

PAWEŁ
LEŚNIAK

KIM JESTES?



historia inspirowana prawdziwymi wydarzeniami

PAWEŁ LEŚNIAK

KIM JESTEŚ?

Warszawa 2023

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ 1 Po tylu latach

ROZDZIAŁ 2 Jestem Michał

ROZDZIAŁ 3 Miejsce zbrodni

ROZDZIAŁ 4 Starsza posterunkowa

ROZDZIAŁ 5 Przerost ambicji

ROZDZIAŁ 6 Przesunięcie

ROZDZIAŁ 7 Mieszkanie

ROZDZIAŁ 8 Trop

ROZDZIAŁ 9 Wnioski

ROZDZIAŁ 10 Potwierdzona tożsamość

ROZDZIAŁ 11 Mały świadek koronny

ROZDZIAŁ 12 Nieporozumienie

ROZDZIAŁ 13 Pierwszy i ostatni

ROZDZIAŁ 14 Układ

Redakcja i korekta: Magdalena Gonta-Biernat

Korekta: Maria Gonta

Projekt okładki: Tomasz Zarucki

Skład i łamanie: Marek Jadczyk

Rysunki: Paweł Leśniak

Copyright by Paweł Leśniak 2023

Copyright for the Polish Edition by Wydawnictwo Noca,
Warszawa 2023

ISBN 978-83-964187-9-1



WYDAWNICTWO
NOCA

WYDAWNICTWO NOCA
ul. Filipiny Płaskowickiej 46/89

02-778 Warszawa

NIP: 9512496374

www.wydawnictwonoca.pl

e-mail: kontakt@wydawnictwonoca.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Z podziękowaniami dla osoby,
która zgodziła się podzielić ze mną
swoimi doświadczeniami z pracy
na komendzie. Te rozmowy były
dla mnie bardzo inspirujące.*

PROLOG

Starszy mężczyzna niósł na plecach sparciały worek, który mocno mu ciążył. Unosił wysoko kolana, a gruby śnieg spowalniał jego kroki, szczypiąc w kostki w przemoczonych skarpetkach. Pomimo mroku nocy w przykrytym białym, śnieżnym kocem lesie widać było niemal wszystko. Spod założonego głęboko na oczy kaptura, którego wystawała jedynie długa broda, ulatywała para ciepłego wydychanego powietrza, które ciągnęło się za nim jak lokomotywa.

Dotarł do powalonego drzewa, przy którym rósł wysoki, łysy krzak. Gdy spoglądał przed siebie, mógł dostrzec stojącą w oddali starą chatkę ze spiczastym dachem. Do drewnianego domku prowadziła jedynie wąska ścieżka meandrująca wśród świerków, którą wydeptał, przemierzając ją niezliczoną ilość razy. Wszedł na drewniany podest i rozejrzał się ostrożnie po okolicy, upewniając się, że nikt go nie śledził. Las był zimny i cichy, sprawiał wrażenie wymarłego. Księżyc wylaniający się zza ciężkich chmur zdawał się nad tą lichą chatką pochylać, jakby zaglądał do jej okien, by przyjrzeć się temu, co miało się w niej zaraz wydarzyć.

Skostniałymi z zimna palcami otworzył kłódkę, którą następnie wsunął na chwilę do kieszeni kurtki. Uchylił bezdźwięcznie drzwi osadzone na naoliwionych zawiasach. Śnieg wspalał się do środka wraz z wiatrem, który zagwizdał i zawył. Mężczyzna zrzucił z hukiem ciężki wór na sosnową podłogę i zamknął za sobą drzwi. Zatrzasnął je na kłódkę od wewnątrz, po czym westchnął z wysiłku.

W środku było ciemno, a nieogrzone pomieszczenie zaprosiło do środka panujący na zewnątrz mróz. Co jakiś czas można było usłyszeć niosący się po izbie dziwny odgłos. Coś szeleściło i drgało, stukając o drewnianą podłogę. Mężczyzna jednak wydawał się nie zwracać na to uwagi. Zsunął kaptur, stykając śnieżnym puchem, a następnie ściągnął czapkę, którą schował do rękawa kurtki. Podszedł do wiszącego przybitego do ściany i zawiesił na nim okrycie. Starzec chwycił za swoje przerzedzone włosy i pociągnął nimi w dwóch kierunkach, naciągając gumkę trzymającą kucyk.

Rozwiązał worek i wyciągnął kilka kawałków suchego drewna, po czym podszedł do zbudowanego z kamienia kominka, w którym rozpalone wcześniej palenisko wydawało ostatnie tchnienia, tłac się lekko czerwonymi rozżarzeniami spod czarnego popiołu. Ułożył suche drewno, przesuwając na bok to niedopalone. Nachylił się i dmuchnął ostrożnie. Cierpliwie powtarzał tę czynność, rozniecając palenisko, aż czerwień nasyciła się i puściła do lotu kilka złotych iskier, kiedy ogień złapał się polana, rozjaśniając chatkę.

Gdy płomień przybrał na sile, starzec dołożył kilka szczap. Zdjął rękawiczki, a nagie dłonie przysunął do ognia, ogrzewając je i pocierając o siebie. Rozległy się kolejne drgania i skrzypnięcia, tym razem w połączeniu z wyraźnym stęknięciem.

– Zaraz będzie cieplej... – skomentował zmęczonym głosem starszy człowiek.

Odszedł od kominka i zatrzymał się przy radiu postawionym na stole. Wymienił baterię i je włączył. Wyciągnął długą antenę i zaczął nastawiać stację, nasłuchując melodii w szumach. Nie trzeba było długo czekać, bo chwilę potem w całej chatce poniosła się piosenka Mariah Carey: *All I want for Christmas is you*, którą wszystkie stacje męczyły w tym okresie na długo przedtem, zanim ktokolwiek pomyślał o rozświetlaniu balkonów lampkami. Z kieszeni spodni wyciągnął zapalki. Zapalił świeczkę w szklanej lampce i zaczepił ją na przywieszonym do sufitu sznurku. Z szafki wyciągnął ładne, zdobione w świąteczne bombki pudełko i położył je obok radia, pomiędzy narzędziami.

Rozwinął szmatkę, w której przechowywał długie, srebrne nożyczki. Ułożył je starannie obok innych przedmiotów, w idealnych, jego zdaniem, odległościach. Z kominka docierał szum i potrzaskiwania

płonącego drewna, pełgające języki płomieni zlewały się ze sobą i wyraźnie czuł, że robi się cieplej. Kolejne stęknięcia i ruch w ciemnym rogu domku wciąły się na krótko w słowa śpiewanej przez Mariah świątecznej piosenki. Mężczyzna wysunął krzesło na środek chatki, usiadł na nim i zawiesił na łańcuszku rozpaloną lampkę, oświetlającą teraz przywiązanego do krzesła mężczyznę w średnim wieku, który próbował coś powiedzieć przez zaklejone taśmą usta.

Związany człowiek był ranny i wyziębiony. Ruszał bosymi, pokaleczonymi i splamionymi krwią stopami. Zastękał, wzdrygając się, i spojrzał przerażonymi oczami na starca z kucykiem na głowie, który przetrzymywał go tu od kilku dni, nie wyjaśniając dlaczego. Wydał z siebie dźwięk brzmiący jak błaganie o litość.

– Zacznijmy od nowa... – rzekł starzec szorstkim, suchym głosem.

Przyłożył zimne nożyczki do policzka związanego mężczyzny i poruszając jego głowę na boki, przglądał się czemuś uważnie. Wiódł po nim skupionym spojrzeniem, mrużąc przy tym oczy. Następnie wstał i zaszedł skrępowanego człowieka od tyłu. Ofiara zaczęła oddychać szybko, w panice łapiąc oddech przez nos. Mężczyzna kręcił głowę na znak protestu, wydawał błagalne dźwięki, a łzy płynęły mu po policzkach. Próbował coś powiedzieć, może nawet krzyknąć, ale przyklejona do twarzy taśma trzymała usta zbyt mocno. Gdy stal długich nożyczek dotknęła jego skóry, szarpnął się i zawył, uciekając głową w bok. Starzec złapał go mocno za włosy, by przytrzymać mu głowę. Oczy porwanego rozszerzyły się w przerażeniu, zaczął drgać ze strachu i furczeć jak byk, biorąc spazmatyczne wdechy nosem. Uniósł się cichy dźwięk otwieranych nożyczek, których ostrza objęły z dwóch stron jego lewe ucho.

Związany mężczyzna głucho zawył z przerażenia, a nożyczki się zamknęły.

ROZDZIAŁ 1

Po tylu latach

Ryk głośnego silnika i syczenie spuszczanego ciśnienia z poduszek, które wydawał z siebie tir jadący przez małą miejscowość Michalczowa nieopodal Łososiny Dolnej, straszyl śpiące zwierzęta i budził tych, którzy mieli domy przy głównej drodze. Ogromna maszyna bez naczepy skręciła z głównej szosy i wjechała na nieodśnieżoną, ubitą drogę, którą rozjaśniały tylko światła lamp toczącego się po niej pojazdu. Reflektory oświetlały unoszące się przed tirem śnieżne drobinki, które łączyły się w locie i zmieniały w półcentymetrowe płyty przyklejające się do przedniej szyby. Kierowca przetarł oczy i włączył wycieraczkę.

Po kilkunastu minutach nierównej nawierzchni z mroku nocy wyłonił się dwupiętrowy, jednorodzinny dom. Pojazd wjechał na duży, ogrodzony siatką parking i zatrzymał się tuż obok dwóch busów.auta pokryte były grubą warstwą śniegu. Janusz zaklął w myślach, zdenerwowany. Zawsze powtarzał bratu, by nakładał materiał na szyby, bo w przeciwnym razie cały ranek spędzi na zeskrobywaniu lodu. Kierowca nie gasząc świateł, przyglądał się uważnie domowi z cegły. Bracia nie dorobili się jeszcze na tyle, by obłożyć go elewacją. W oknach było ciemno, jakby wewnątrz budynku nie było nikogo, co kierowcę mocno zdziwiło. „Dochodzi dopiero dwudziesta druga, zatem nie jest jeszcze tak późno, by dom był pograżony we śnie” – doszedł do wniosku mężczyzna.

Załóżył kurtkę, suwak podciągnął pod szyję i wysiadł z pojazdu. Ostro, grudniowy mróz uderzył w niego, szczypiąc w policzki. Młodszy brat nie odśnieżył też podjazdu, domyślał się więc, że znów musiał się upić. Zabijał tak wolny czas, gdy przychodziła zima, wieczory następowały szybciej, a roboty do wykonania było mniej. Mężczyzna zarzucił torbę na ramię i ruszył w kierunku domu. Gruby śnieg chrupał pod ciężarem jego butów, więc musiał uważać, by się nie przewrócić. Stał przed drzwiami wejściowymi i zaczął szukać kluczy. Gdy je znalazł, chwycił za klamkę, żeby wsunąć klucz do zamka, jednak drzwi, ku jego zdziwieniu, się uchylily.

– Tadek, nawet drzwi nie zamknięłeś, gamoniu!?! Kiedys ci tu wilki wejdą! – krzyknął, nie kryjąc pretensji w głosie.

Wciśnięty włącznik światła rozjaśnił wąski korytarz, rzucając blask na boazerię i ukazując długi, „ruski” dywan, ciągnący się wzdłuż całego przedpokoju.

Janusz miał dwutygodniowy zarost i włosy jeża. Wytuptał śnieg spod podeszw butów, zdjął je, odstał pod ścianę i wsunął stopy w pantofle. „Przynajmniej te są na swoim miejscu” – pomyślał. Przyjemne ciepło ogrzanego domu rozlało się po jego schłodzonej skórze. Rozejrzył się po pokojach, szukając brata praktycznie wszędzie. Wszedł do kuchni, gdzie siwe światło księżycy wpadło przez okno i pokrywało trupim blaskiem stół, szafki i zawieszzone na ścianie sztuce. Nacisnął przycisk zapalający górną lampę i zauważył postawiony na stole talerz z pokrojonym chlebem i leżącą obok kielbasą z wyciśniętą porcją musztardy, która mieszała się właśnie z sokiem z przekrojonego pomidora.

– Tadek, jesteś!?! – krzyknął ponownie.

Kiedy włączył czajnik, by zrobić sobie ciepłą herbatę i przegryzł laskę zimnej kielbasy, usłyszał stukot. Odwrócił się w stronę, z której dobiegał dźwięk i zauważył uchylone drzwi do piwnicy.

Tadek dorywczo zajmował się warzeniem bimbru i sprzedawaniem go każdemu w okolicy, kto tylko miał na niego ochotę. A że wiedzieli o tym wszyscy, z lokalną policją na czele, to nikt go nie karał.

Trzymając w dłoni kielbasę, krótko ostrzyżony mężczyzna wsunął głowę do piwnicy i spojrzal na nieoświetlone betonowe schody prowadzące w dół, na końcu których rozlewała się ciemność jak z hor-

rorów. Włączył światło i nasłuchiwał. Rozświetlona klatka schodowa prowadząca do rozległej piwnicy była pusta, ceglane ściany nie odbijały żadnego dźwięku. Stał jeszcze przez chwilę w progu korytarza, ale niczego nie słyszał.

– Tadek? – Janusz czuł pod skórą, że coś jest nie tak. Schodził na dół, odczuwając zmieniającą się temperaturę.

W piwnicy było chłodniej i pachniało placem budowy. Nie dało się nie zauważyć, że z każdym stopniem unoszący się w powietrzu intensywny zapach alkoholu nienaturalnie wzrastał. Gdy minęło się piwniczkę, w której znajdował się piec, a dalej stos niepotrzebnych krzeseł, narzędzi i wszystkiego, co dało się wcisnąć pod schody, i gdzie spomiędzy cegieł wciąż wypływał zaschnięty cement, docierało się do garażu, gdzie oryginalnie w planie domu miało stać auto. Teraz było to miejsce Tadka, w którym warzył bimber.

Starszy brat wszedł do garażu. Stawiając krok w ciemność, usłyszał chlupnięcie pod kapciem. Spojrzał w dół i zobaczył, że właśnie wdepnął w kałużę krwi znikającą gdzieś w mroku pomieszczenia. Poczł, że zrobiło mu się słabo, a policzki zaczęły mu płonąć.

– Tad... – Przelknął ślinę. – Tadek? Tadek!? Powiedz coś! – Spanikowany szukał włącznika światła, ale nie pamiętał, z której strony go przymocowali. Rzadko schodził do piwnicy. Obmacywał ceglane ściany, aż trafił na plastikowy kwadrat i wcisnął go. Żółta żarówka zwisająca na kablu z sufitu podniosła wcześniejszą kurtynę, przedstawiając obraz kilkunastu potłuczonych butelek bimbrowa i wina, które rozlane po podłodze omyłkowo odebrał jako krew. – Jezu... – Przetarł dłonią spocone czoło. – Tadek, zabiję cię kiedyś – westchnął z ulgą. Miał wrażenie, że jego nogi są zbudowane z waty.

Prawie cały zapas alkoholu na zimę leżał teraz potłuczony na betonowej podłodze. Kilka butelek stało opartych o siebie i jeszcze nie wypadły z drewnianego podestu, na którym były ułożone. „Tylko co tu się stało?” – zastanawiał się.

Długimi krokami pokonywał garaż, stąpając tam, gdzie bimber się nie rozlał. Nie chciał poplamzić sobie kapci. Liczył poprawiane przez siebie butelki. Doskonale wiedział, że utargu z bimbrowa tej zimy nie będzie. Akurat teraz, gdy potrzebują pieniędzy na wykończenie domu. To, co martwiło go najbardziej, to fakt, że Tadka nigdzie nie było. Takie znikanie do niego nie pasowało. Ile by nie wypił, zawsze doczołgał się do łóżka. Postanowił, że poczeka do północy, a jeśli się nie odezwie, zadzwoni na policję, by zgłosił zaginięcie. „Jest zima, jeżeli się upił i śpi w rowie, do rana będzie trupem” – martwił się. Wziął jedną butelkę, by napić się w kuchni, ale gdy się odwrócił i spojrział na koniec garażu – zastygł.

Butelka wysunęła mu się spomiędzy palców i roztrzaskała o betonową posadzkę.

Godzinę później

Kolejny samochód podjechał na nieośnieżony parking przed ceglanym domem w Michalczowej. Tym razem jednak na placu stało już kilka innych radiowozów. Zatrzymał się przed nimi, blokując wjazd, wyłączył silnik, po czym dało się słyszeć specyficzny odgłos zaciąganego hamulca ręcznego. Z pojazdu wysiadł kierownik sekcji do spraw zabójstw Czesław Bartoszewski, owinał się czarnym płaszczem i włożył dłonie do kieszeni, jakby to miało sprawić, że będzie mu ciepło. Mężczyzna był po czterdziestce. Wyróżniał się okrągłą twarzą i gęstym wąsem. Uniósł ramiona, by chronić szyję przed zimnem, i zauważył zmierzającą w jego stronę kobietę. Po kilku krokach stanęła przed nim policjantka z wydziału kryminalnego.

– Dobry wieczór, panie aspirancie – przywitała się.

– Naprawdę musiałaś mnie ściągać tutaj z łóżka, Renato? Nie było młodszych na chodzie? – zapytał, rozglądając się po okolicy.

– Gdyby to nie było ważne, to bym cię nie wzywała, Czesiu – rzuciła poważnym tonem.

– Co się dzieje?

– Chodź i sam zobacz.

Policjantka prowadziła aspiranta Bartoszewskiego do środka niewykończonego jeszcze budynku. Zauważył, że kierowca tira siedział w kuchni, popijając herbatę, i wpatrywał się w tylko jemu znany punkt. Obok niego stał policjant w mundurze, starając się spisać zeznania.

– On go znalazł? – zwrócił się do kobiety. – Powiedział cokolwiek?

– Nic, ale to on zadzwonił. Centrala wspominała, że przez telefon poza kilkoma przekleństwami i adresem nie wyjaśnił niczego więcej.

Zeszli do piwnicy, w której unosił się zapach alkoholu i warzonego bimbru. Na miejscu zbrodni ubrana w białe fartuchy ekipa techników kryminalistyki zabezpieczała już ślady. Aspirant przeszedł pod policyjną taśmą i wystarczyło mu jedno spojrzenie na miejsce zdarzenia, by stwierdzić, że nie czekała go zwykła sprawa. Ofiarą okazał się mężczyzna w średnim wieku, na pierwszy rzut oka mógł być niewiele po trzydziestce. Ręce miał skrępowane za plecami i przywiązane do rury ciągnącej się wzdłuż ściany. Cienki kabel wokół nadgarstków ściśnięty był zbyt mocno, skóra na przegubach była zaczerwieniona, a dłonie zasinione od blokującego dopływ krwi ucisku. Ofiara nie miała na sobie koszulki. Czesław zauważył wyraźne ślady tortur na całym ciele i odbite na skórze podeszwy butów, najpewniej w wyniku kopnięć. Widział też bordowosine wybroczyny na żebrach i rozlaną pod skórą krew. Zgadywał, że co najmniej dwa żebra były złamane. Kawałki szkła po zbitych butelkach i rany cięte w różnych miejscach, płytkie i krótkie, nie miały ofiary zabić, tylko sprawić jej ból. Nogi były zgięte, co wskazywało na to, że mężczyzna walczył do końca.

Zauważył również kilka charakterystycznych kropek węglonej skóry na klatce piersiowej. Torturowany człowiek był przed śmiercią przypalany papierosem. Na jego głowie widniał ślad od uderzenia tępym narzędziem, czaszka pękła, a krew spływała wężykiem, skapując z czoła na spodnie. To uderzenie zadano, by zabić. Kierownik sekcji do spraw zabójstw odwrócił się do Renaty, która stała za taśmą. Podszedł do niej, ostrożnie stawiając kroki, i tym razem pokonał taśmę, przechodząc nad nią. Strzeliły flesze aparatów, dokumentujące miejsce zbrodni.

– I jakie wnioski? – spytała, wskazując głową na denata, nad którym pochylali się teraz technicy.

– Komuś nieźle nadepnął na odcisk – zaczął. – Nie wygląda na to, by zabójca chciał od niego informacji albo starał się coś odzyskać. Raczej przyszedł tu, by się wyczerpać lub co najwyżej wyrównać rachunki za osobistą krzywdę. Przeszukajcie dom, choć wątpię, by cokolwiek z niego zniknęło. Pytanie brzmi: co trzeba zrobić, żeby kogoś wkurwić do tego stopnia? Wiemy już, czy facet miał jakieś problemy albo zartagi? Cudze żony, hazard, długi, nieopłacone prostytutki?

– Postaram się dowiedzieć. A nie interesuje cię bardziej, kogo zdenerwował? Zamiast czym?

– Domyślam się, że to sprawka grupy przestępczej, z którą mamy problem od trzech lat. Kto inny mógł posunąć się tak daleko?

– Ja widzę inne prawdopodobieństwo. Dlatego do ciebie dzwoniłam. Zobacz.

Kobieta wskazała palcem na lewe ucho ofiary, a raczej na jego brak. Aspirant, widząc to, wyciągnął ręce z kieszeni płaszcza i nachylił się, by raz jeszcze spojrzeć na ciało zamordowanego mężczyzny.

– O kurwa... – skomentował przejęty. – Muszę zadzwonić...

* * *

Kraków, dwadzieścia minut później

W cynowoszarym nurcie Wisły gęsto płynął sryż, odbijały się od siebie i obracały kawałki kry. Białe śnieg, leżący na chodnikach Krakowa, szybko szarzał od unoszącego się w powietrzu smogu. Pozbawione liści kikuty drzew, przypominające szpony i łapska poczwara prosto z powieści grozy, wyginały się, pchane mroźnym wiatrem, skrzypiąc upiornie. Centrum miasta grało swoją muzykę krzyczących i bawiących się w najlepsze studentów, którzy starali się rozgrzać alkoholem. W jednej ze starych ka-

mienic nieopodal centrum rozległ się dźwięk pikającego dzwonka. Melodyjka z komórki zbudziła pięćdziesięcioletniego Jana Brudzińskiego, komendanta wojewódzkiego Policji w Krakowie. Sięgnął po telefon, a ten zaświecił mu w oczy zielonym ekranem. Zajął mu chwilę, zanim zdołał go wyłączyć. Technologia nie była jego mocną stroną. Gdy znów zapanowała błoga cisza, przewrócił się na plecy i wziął głęboki wdech. Spojrzał na żonę. Była nakryta pierzyną, jakby starała się ochronić uszy przed nagłym hałasem, mając zapewne nadzieję, że uda jej się szybko ponownie zapaść w sen. Wiedział, że ostatnio miała problemy z zasypianiem i taki nocny telefon mógł zaburzyć i tak już z trudem wywalczony sen.

Komendant złapał za nokię i z dużym wysiłkiem zebrał się, by usiąść na skraju łóżka, które zatrzeszczało sprężynami materaca. Miał zdecydowanie sporą nadwagę. Wsunął stopy w położone obok pantofle i wyszedł do przedpokoj, chowając ręce w rękawy szlafroka. Janek miał dłuższe, siwe włosy wpadające do oczu, które teraz sterczały na wszystkie strony, jakby porażono go prądem. Ważył grubo ponad sto dwadzieścia kilogramów, choć był średniego wzrostu. Nos i oczy miał małe. Gdy spoglądał w dół na telefon, czuł opór drugiego podbródka.

Wcisnął zieloną słuchawkę i przyłożył komórkę do ucha.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego – powiedział zachrypniętym głosem.

– Cześć, Janek, dzwonię, bo musisz to wiedzieć ode mnie. – Usłyszał w słuchawce. – W końcu obiecałem ci, że dam znać, gdyby kiedykolwiek...

– Kto mówi?

– Rafał. – Rozmówca nie krył zawodu, że Janek go nie poznał.

– Kto?

– Rafał Starzak, komendant miejski z Nowego Sącza.

– Rafał, Jezu... – Teraz sobie przypomniał. – Wybacz, jestem nieprzytomny, oczywiście, że poznaję. Co się dzieje?

– Mieliśmy zabójstwo w Michalczowej niedaleko nas, mężczyzna około trzydziestki, były ślady torturowania.

– Kolejna ofiara waszego gangu? Po ostatniej akcji nikt ich nie widział i wygląda na to, że przestali się panoszyć po Krakowie. Nie pomogę ci.

– Ofiara miała odcięte lewe ucho.

Na moment zapadła cisza. Jan poczuł, jak przyspiesza mu tętno. W końcu przerwał milczenie.

– Pewny jesteś, że to nie przypadek? Ktoś je odstrzelił albo wyrwał w szamotaninie...

– Odcięte ostrym narzędziem, precyzyjnie. Ucha nie znaleziono. Kazałem swoim go szukać, aż znajdą, ale obaj wiemy, że tam go nie ma. Dlatego zadzwoniłem o tej porze. Wiedziałem, że będziesz chciał wiedzieć od razu.

– Tak, dzięki. – Mężczyzna usiadł na krześle w kuchni i włączył czajnik. – Minęło piętnaście lat, liczyłem na to, że się powiesił albo zdechł gdzieś pod drzewem. Kurwa, czemu wrócił? Dlaczego teraz? Masz kogoś konkretnego, kto może się tym zająć?

– Już się tym zajmują.

– Rafał, pytam, czy masz kogoś, kto podola.

Znów chwila ciszy.

– Nie mam – odparł komendant z Nowego Sącza. – Mam jednego z pionu kryminalnego, ale nie jest dużo młodszy od nas. Bez wigoru, myśli o emeryturze, a nie o ambitnej robocie. Reszta to małolaty, mało kto wystrzelił z pistoletu poza szkoleniami.

– Wiem. – Komendant zalał sobie kawę. – Dobra, która jest? Pierwsza. Do Nowego Sącza nie jest daleko, do rana ci tam kogoś wyślę, tylko daj mu jakiegos miejscowego do pomocy, najlepiej tego doświadczonego bez werwy. Jeżeli zabójca faktycznie wrócił, to muszę gnoja dorwać za to, co mi zrobił.

– To przez niego wyjechałeś? – Chciał wiedzieć Rafał, ale nie słysząc żadnej reakcji, ciągnął dalej: – Wyznacz osobę i niech się do mnie zgłosi od razu po przyjeździe.

– Tylko to musi być poza papierami – rzekł Jan.

– Nie przez telefon. Dawaj go. Będę czekał.

– Dzięki, Rafał.

– Nie ma sprawy. Na razie.

Odłożył komórkę i westchnął przeciągle, czując stres, który rósł w nim jak balon, aż rozboleł go brzuch. Zapalił małą lampkę w kuchni i z filiżanką kawy w dłoni usiadł przy stoliku wyłożonym foliowym obrusem, po czym odsunął firankę w małym okienku. Sięgnął po telefon i zaczął przeszukiwać zapisane kontakty. Przy każdym kliknięciu urządzenie wydawało irytujące piknięcie. Znalazł, kogo szukał, ale jeszcze nie dzwonił. Upił łyk kawy, odstawił filiżankę i powoli rozsunał dłonią włosy, by zdjąć silikonową protezę małżowiny usznej. Wymacał palcami bliznę, przypominając sobie chwilę, gdy morderca, którego ścigał piętnaście lat temu, odciął mu lewe ucho. Sprawę umorzono i zamieciono pod dywan z uwagi na brak dowodów. Morderca po prostu zniknęła, rozplynęła się jak duch. Była to największa porażka w jego karierze.

Wziął głęboki wdech i podniósł telefon, który chwilę temu położył obok filiżanki na blacie.

– Cześć, Julio. Masz dzisiaj nocną zmianę?

– Tak, panie komendancie. Spokojna noc dzisiaj. Poza tym co zawsze, rzecz jasna – odpowiedziała posterunkowa pracująca w centrali.

– Dobrze. Znajdź mi numer telefonu do Michała Ptaka.

– Tego, co go pan dopiero zawiesił dyscyplinarnie?

– Tak, tego. I będę potrzebował jego adres zamieszkania.

– Coś się stało, panie komendancie? Mam wysłać patrol?

– Nie. Tylko numer i adres. Dzięki.

– Chwileczkę.

Po kilku chwilach usłyszał szmery w słuchawce, gdy kobieta przeszukiwała dokumenty. Wróciła do telefonu i podała mu to, o co prosił.

– Coś jeszcze? – dopytała.

– Nie muszę mówić, że to zostaje między nami?

– Oczywiście. W razie czego jestem po telefonem.

– Cześć.

Rozłączył się i zaczął wybierać numer, który sobie zapisał. Zawahał się. Wiedział, że nie byli w dobrych relacjach. I że ta rozmowa nie będzie łatwa.

– Kurwa. – skomentował pod nosem i wcisnął zieloną słuchawkę, po czym przyłożył komórkę do ucha i czekał. Drugi, trzeci, czwarty sygnał. Nie odebrał. Kolejna próba również niczego nie przyniosła.

Mężczyzna odstawił kawę i wyszedł z kuchni.

Godzinę później komendant stał przed jedną z kamienic na obrzeżach Krakowa. Swoim stanem przypominała o tym, jak stare jest to miasto i że jego lata świetności dawno już minęły. Budynek miał splekane ściany, wyrysowane w gangsterskie hasła na zmianę z przekreśloną białą gwiazdą Wisły Kraków oraz herbem Cracovii. Grupka podejrzanych typów stała nieco dalej przy ławce, kilkanaście metrów od niego. Nie rozmawiali, patrzyli na niego jak na zdobycz. Jan wszedł do budynku przez otwartą bramę i ruszył na piętro, aż zatrzymał się przed ciężkimi drzwiami do jednego z mieszkań. Spojrzał w górę i w dół przez wąską przerwę między schodami na klatce schodowej. Był pewien, że to właściwy adres, choć numer mieszkania sprawdził raz jeszcze z tym zapisanym na kartce. Światło zgasło, więc wcisnął włącznik z wyzłobionym rysunkiem żarówki.

Zadzwonił do drzwi, a zadziwiająco głośna melodia poniosła się echem po kamienicy. Gdy korytarz wypełniła cisza, powtórzył dzwonienie, lecz z mieszkania nie dobiegał żaden dźwięk. W końcu zaczął walić pięścią w drzwi. Uniósł się cichy odgłos odsuwanej zasłepki judasza. Zniecierpliwiony komendant przewrócił oczami.

– Na co się gapisz? Otwieraj – rzucił, a sekundę później doszedł go szcęk zamka, gdy człowiek po drugiej stronie przekręcał w nim klucz.

Drzwi się uchyliły i Jan ruszył odruchowo, chcąc przekroczyć próg, gdy nagle wpadł na nie, zablokowane gwałtownie przez przypięty do nich łańcuch bezpieczeństwa. Zdenerwowany spojrzał na komisarza Michała Ptaka, byłego pracownika grupy dochodzeniowo-śledczej, najskuteczniejszego tropiącego, z jakim przyszło mu w życiu pracować. Zmuszony był go zawiesić w obowiązkach służbowych. Powodem były przekraczające jego uprawnienia sposoby traktowania przestępców, bojących się go bardziej niż wrogięgo gangu, z którym wojowali o wpływy.

– Co robisz? Chciałbym wejść – powiedział komendant.

– Masz nakaz? – zapytał Michał.

Był facetem przed czterdziestką, zmarszczki przecinały mu czoło i cierpliwie złościły skórę wokół oczu, choć krótko ścięte włosy go odmładzały. Miał na sobie dżinsowe spodnie i czarny podkoszulek, na którym widać był zawieszony na szyi srebrny łańcuszek. Mimo że koszulka opinała jego dobrze zbudowaną klatkę piersiową i muskularne ręce, mięsień piwny zaczął już o sobie przypominać.

– Michał, nie wkurwiał mnie.

– Muszę wiedzieć, czy jest to wizyta prywatna czy służbowa. Jeżeli służbowa, to chcę zobaczyć nakaz przeszukania. Inaczej mam prawo do tego, by cię nie wpuścić i chętnie z tego prawa skorzystam. Twoje wtargnięcie byłoby nadużywaniem uprawnień, za co mógłbyś być zawieszony w obowiązkach albo nawet wydalony dyscyplinarnie. Ale po co ja ci to mówię, przecież doskonale o tym wiesz.

– Jestem tu prywatnie – parsknął komendant. – I nie mam nakazu. Zadowolony?

– Nie – odparł mężczyzna i odblokował zamek bezpieczeństwa, po czym otworzył drzwi na oścież w zapraszającym geście. Komendant wszedł do środka i zaczął rozpinać płaszcz, wyraźnie mokry na ramionach od topniejącego na nim śniegu.

– Schudłeś – rzucił Michał.

Komendant spojrzał na niego, unosząc wysoko brwi.

– Skąd ta mina? – spytał komisarz Ptak. – Zawsze miałeś do mnie pretensje, gdy wchodziłem do mieszkań bez nakazu. A skoro jesteś prywatnie, to możemy sobie pozwolić na odrobinę szczerości.

Jan nie skomentował. Kiedy drzwi się zamknęły, ruszył wzdłuż korytarza, jednak zastygł przy progu sypialni, w której leżała naga, młoda dziewczyna. Spała na plecach, eksponując jędrne piersi. Na stole obok łóżka stała pusta flaszka i popielniczka z niedopalonymi papierosami. Michał wychylił się zza niego i zamknął drzwi tak, by jej nie oglądał. Następnie wskazał ręką w kierunku salonu.

Tęgi komendant usiadł przy stoliku na krzesle, które zatrzęszczało straszliwie pod naporem jego ciała. Rozejrzał się po salonie. Jedyne światło rzucały lampki przymocowane do ścian. Meblościanka sięgała sufitu, a na samym jej środku idealnie wkomponowano telewizor, ukrywając jego długą dupę. Michał wydawał mu się zbyt młody na takie przestarzałe urządzenie przestrzeni. Nawet szklany stolik, przy którym siedział, przykryty był białym obrusem.

– Ustatkowałeś się. – Kiwnął głową w stronę pokoju ze śpiącą kobietą. – Zawieszenie dobrze ci zrobiło.

– Dobrze mi zrobiło? – Michał nalał rumu do dwóch szklanek, podał jedną Janowi i sprzątnął książki ze stolika. – Bo wyrwałem małolatę? W Krakowie to nie jest trudne. Młodzież w tym mieście jest pijana od świtu do nocy. Stale szukają wrażeń. Starszy facet z kryminalnego wydaje się w ich młodych i naiwnych oczach ciekawą przygodą. – Usiadł po drugiej stronie stolika. – Ale nie przyszedłeś tutaj gadać o dupach. Co jest?

– Nie pij. Będziesz prowadził – skomentował komendant i odstawił swoją szklankę.

– Nie będę – odparł Michał i upił łyk trunku. – Wyjebałeś mnie z roboty za to, że domykałem najtrudniejsze sprawy. Czyli krótko mówiąc: już dla ciebie nie pracuję. Jakakolwiek by ta robota nie była, zapewne masz lepszych.

– Po pierwsze, zawiesiłem cię w obowiązkach, nie wyjebałem z roboty. Po drugie, sam się o to prosiłeś. Nie powiesz mi, że cię nie ostrzegałem. Wiele razy. Przesłane ci również mają swoje prawa, a my jesteśmy zobowiązani tych praw przestrzegać. To nie jest wolna amerykanka. Wywiozłeś gościa do lasu i kazalesz mu nago wracać do domu. W listopadzie. To już lekka przesada. – Wymienili się spojrzeniami.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– W zeszłym roku zmieniły się przepisy. To już nie jest ta sama komenda co wcześniej. Powoli stajemy się kolejną nogą tych skurwysynów z partii rządzącej tym krajem. Ustawa mówiąca o zmianach w reformie administracji, którą wprowadzili, pozwala politykom zwolnić komendanta w każdym momencie, nie podając żadnego konkretnego powodu. Dostajesz fax z odwołaniem ze stanowiska, a w uzasadnieniu jest napisane: „brak możliwości dalszej współpracy” i rano nie wejdiesz już do własnego biura. Ty zacząłeś być zbyt głośny w swoich działaniach. A ja mam rok do emerytury, nie mogłem tego spierdolić.

– Czyli przyszedłeś po przysługę i umywasz ręce, chowając się za politykami?

– Tego nie powiedzialesz. – Jan zazgrzytał zębami na znak niezadowolenia. – Decyzja była moja, ale wymuszona zmianami przepisów. Uważam zatem, że dobrze zrobiłem, ale mimo to czuję się winny.

Obaj wzięli po łyku, nie spuszczając z siebie wzroku.

– Dobra, Janek, mów, co to za sprawa – Michał odstawił drinka i założył nogę na nogę – żebyś mógł ci już odmówić i czuć się winnym.

– Przez ponad dwadzieścia lat służby byłem najlepszy na swoim terenie. Najpierw w Nowym Sączu, później w Krakowie. Nie było skurwiela, który by mi umknął. Poza jednym. Sprawa trwała cztery lata, w tym czasie zmarło osiem osób, gość porywał ludzi, doprowadzał ich do wycieńczenia i zanim zabił, odcinał każdemu lewe ucho.

Komendant zauważył, że były śledczy zawiesił wzrok na atrapie jego ucha.

– Dobrze zgadujesz. Był jeden moment, w którym omal go nie dorwałem. Podczas poszukiwań w pobliskim lesie uderzył mnie jakimś tępym narzędziem w głowę. Gdy się ocknałem, byłem przywiązany do drzewa z odciętym uchem i kartką, na której było napisane: „Nie usłyszysz mnie z jednym uchem”. Dał mi tym do zrozumienia, że nigdy go nie złapię. Potem zabił jeszcze dwie osoby i słuch po nim zagnął. To było piętnaście lat temu.

– Wszyscy mamy pamiętki. – Michał dotknął palcami swojej blizny po oparzeniu, ciągnącej się przez szyję tuż pod linią szczęki. – I dlaczego przychodzisz z tym teraz? Facet może już nie żyć. – Siegnął po szklankę i upił kolejny łyk.

– Dostałem telefon od komendanta miejskiego z Nowego Sącza, kilka godzin temu znaleźli ciała z odciętym lewym uchem. To, co się nie zgadza, to informacja, że ofiara była torturowana przed śmiercią, a on nigdy tak nie robił.

– Ludzie się zmieniają – skomentował Michał i zbliżył szklankę do ust, lecz karcące spojrzenie Jana sprawiło, że ją odstawił. – Może jest wkurwiony brakiem zainteresowania? A może to naśladowca i się pod niego podsztywa? Co byloby nam na rękę, bo w ten sposób możliwe że wykurzy tamtego zabójcę z ukrycia. Tacy nie lubią, gdy ktoś psuje ich reputację. Wtedy najczęściej popełniają błędy, emocje nigdy nie są dobrym doradcą.

– Dlatego pojedziesz do Nowego Sącza i się tego dowiesz. – Jan napił się alkoholu. – Uprzedziłem już komendanta o twoim przyjeździe. Dostaniesz tam do pomocy miejscowego z pionu kryminalnego, kość, kto dobrze zna teren i będzie potrafił odpowiedzieć na twoje pytania. Sądząc po jego wieku, mógł

już pracować w komendzie, gdy zabójca był aktywny. Chociaż nie pamiętam, by pracował u mnie ktoś o takim imieniu i nazwisku.

Michał wstał z krzesła i podszedł do dużej szafy. Wsunął za nią rękę i z szarpnięciem wyciągnął pistolet, sprawdzając od razu zawartość magazynka.

– Zabrałem ci broń – skomentował Jan.

Komisarz rzucił mu jedynie spojrzenie, które ucinało dalszą dyskusję na ten temat.

– Nie sądziłem, że tak szybko się zgodzisz – dodał komendant.

– Nie mam nic do roboty, a w Sączu też są ładne dupy. Mam za to jeden warunek, jeżeli złapię tego typa...

– Przed wyjazdem zostaniesz odwieszony. Ale tak, jeżeli go złapiesz i przyprowadzisz pod sąd, pogadamy o stałym powrocie i może nawet o awansie i nagrodzie finansowej. – Komendant dopił zawartość szklanki jednym haustem i wykrzywił się. Nie weszło dobrze. Następnie wstał z krzesła i skierował się w stronę wyjścia. – Zbieraj się, masz być w Nowym Sączu jak najszybciej. Numer do mnie masz, raportuj mi wszystko, nawet najdrobniejszą informację. Zanim wyruszysz, wstąp na komendę po legitymację służbową, bo bez tego nie udzieli ci w Sączu żadnych informacji. Idź prosto do mojego biura, Karolina wszystko ci przekaże, już ją uprzedziłem. I nie pij więcej, będziesz prowadził!

– Dlaczego? Podaj mi jedną osobę na komendzie, która nie pije. Poza tym jak mnie złapią, to im powiesz, żeby mnie puścili.

– Kurwa, Michał... – Komendant wskazał na niego ostrzegawczo grubym palcem, a mężczyzna odpowiedział mu jedynie zadziornym uśmiechem.

Wychodząc, zwolnił przy przymkniętych drzwiach do sypialni, ale nie zdołał już nacieszyć oczu młodą dziewczyną. Wyszedł z mieszkania, a były policjant śledczy zamknął za nim drzwi na klucz.

Wracając w głąb mieszkania, Michał uchylił drzwi do sypialni i widząc leżącą zgrabną studentkę polonistyki, wpatrywał się w nią przez chwilę. Ta przewróciła się na bok ze zmysłowym westchnięciem, zgijnając jedną nogę i wypinając przy tym jędrne pośladki.

– Jeśli będę w Sączu godzinę później, to też nic się nie stanie... – ocecił pod nosem, odłożył pistolet i wszedł do pomieszczenia, zdejmując podkoszulek.

* * *

Dochodziła piąta rano, nadal było ciemno, a żółtopomarańczowy księżyc chował się za gęstymi chmurami. Ulice były nieodśnieżone, a przestało sypać dopiero, gdy mijał Brzesko. Michał podążył drogą numer 75. Przejeżdżając właśnie przez Kurów, dojechał do wąskiego mostu przerzuconego nad rzeką Dunajec. Napił się kawy z termosu. Kojarzyło to miejsce, zostało mu jedynie minąć kopalnię kamienia, przejechać Wielopole, a potem wyłoni się przed nim panorama Nowego Sącza. „Jeszcze kilkanaście minut” – liczył. O tej porze nie było nikogo poza nim, a sam nie mógł się doczekać, aż wszędzie słońce i wyłoni przed nim góry, które otaczały to miasto.

Jechał wolno. Jezdnia była wyjątkowo śliska i mimo że w swoim Oplu Kadetcie miał założone opony zimowe, nie czuł, by wiele to zmieniało. Tylna oś uciekała w bok, gdy tylko dociskał pedał gazu. Zjechał z mostu i kierował się łukiem u podnóża góry, która znajdowała się po jego lewej stronie, po prawej zaś, tuż za jezdnią, widział ośnieżone korony drzew, za którymi znajdował się duży spad prowadzący prosto do rzeki. Zaparowana przednia szyba utrudniała widoczność, a plyn do spryskiwaczy zamarzał, niewymieniany od lat. Michał sięgnął po gąbkę i zaczął przecierać nią szybę od środka, by ją ogrzać. Dmuchawy, które miały ogrzewać okno, były ledwo odczuwalne na skórze, kiedy przyłożył do nich dłoń.

Rzucił gąbkę na fotel pasażera z leżącą na nim jego czarną torbą, w której szukał czegoś, co mogłoby mu pomóc, i gdy powrócił spojrzeniem na drogę, zobaczył osobę stojącą na środku jezdni.

– Kurwa! – krzyknął, wciskając z całej siły pedał hamulca.

Samochód wpadł w poślizg. Osoba odskoczyła na bok drogi, a opel po trzech obrotach, syjąc świeżym śnieżnym puchem na wszystkie strony, zatrzymał się, uderzając bokiem o szyny ochronne od strony rzeki i wbijając się w zaspę. Huk i trzask przeszył go na wylot, oddychał głośno i łapczywie. Trzymał się kierownicy jak przyspawany, przednia szyba zasypana była śniegiem, wycieraczki, zrzucając jedną warstwę na bok, zasypywały ją kolejną z głośnym dźwiękiem trącej o szkło gumy. Oparł głowę o oparcie fotela i wziął kilka spokojnych wdechów.

– Nic ci nie jest!? Żyjesz!? – krzyczał mężczyzna, pukając do okna samochodu, ten sam, który stał przed momentem na środku drogi. Miał na sobie niebieską kurtkę puchową sięgającą pasa i czarną czapkę, na którą zarzucił jeszcze kaptur. Szalik podciągnął pod nos.

Zdenerwowany Michał wysiadł z samochodu i odepchnął mężczyznę na tyle mocno, że ten się omal nie przewrócił.

– Pojebało cię!? – ryknął mu w twarz. – Mogliśmy obaj zginać! Co robisz na środku drogi o tej godzinie!? Życie ci, kurwa, niemiłe!?

– Proszę mi wybaczyć. – Mężczyzna unosił ręce w przepraszającym geście. – Kumple zostawili mnie na imprezie samego i nie miałem jak się dostać do domu. Szedłem ulicą, bo którądy miałem niby iść!? Odsnieżarki zasypały pobocze śniegiem. – Spojrzał na wbite w zaspę auto. – Omal nie wypadł pan z drogi. Miał pan szczęście.

– Jezu. – Michał pokręcił głową i spytał spokojnie: – Jesteś z Szcza?

– Tak, jedzie pan tam może?

– Jadę. – Spojrzał na swoje auto, emocje dalej trzymały go jak na smyczy. – Jadę, kurwa. Pojedziesz ze mną, jeśli pomożesz mi wyciągnąć auto z zasy.

– Naprawdę!? Super, dzięki!

– Spróbuję wycofać, a ty pchaj. – Michał wsiał za kierownicę, już o wiele spokojniejszy. Nie przywykły nigdy wagi do samochodu. Opla Kadetta kupił za pierwsze większe pieniądze zarobione w komendzie wojewódzkiej w Krakowie za rozwiązanie dużej sprawy narkotykowej. Całą kasę, oszczędzoną i pożyczoną, wydał na ten pojazd, wszystko po to, by zaimponować dziewczynie. Była to ostatnia rzecz, jaką zrobił dla kobiety, gdyż szybko w jego ocenie zarówno samochód, jak i kobieta okazali się niewarci wysiłku, jaki musiał wykonać, by zarobić te pieniądze.

– Gotowy! – zawołał nieznajomy, unosząc kciuk do góry.

Michał odpowiedział tym samym i wrzucił wsteczny bieg. Gdy znów zaczął logicznie myśleć, doszedł do wniosku, że na tej sytuacji może jeszcze dobrze wyjść. Bliski kontakt z miejscowym cywilem, który nie jest częścią komendy miejskiej, to dobre posunięcie. Od kogoś takiego często wyciągnie więcej rzetelnych informacji o tym, co dzieje się w mieście, niż od pracownika komendy, który od kilku lat zajmuje się jedynie przesłuchiwaniami świadków.

– Pchaj!

Michał wcisnął pedał gazu. Koła zabuksowały, ślizgając się głośno w zlodowaciałym śniegu. Mężczyzna przed nim pchał auto z całej siły, jednak nic się nie wydarzyło.

– Rozhuśtam go! Pchaj, jak będę cofał!

Michał znów wcisnął pedał gazu, auto cofnęło się o kilka centymetrów i puszczone luzem przejechało do przodu, wjeżdżając delikatnie na zaspę. Wtedy znów wcisnął, nieznajomy ponownie popchnął i tym razem samochód cofnął się odrobinę dalej. Powtarzali tę sekwencję kilkakrotnie, unosząc się odgłos warczącego silnika, obracających się kół i ocieranej karoserii o bramki ochronne. Auto zaczęło się wygrzebywać, aż w końcu wypchnęli je na jezdnię. Nieznajomy przewrócił się na brzuch, gdy opel uciekł mu spod rąk.

– Wsiadaj, bo zimno! – zawołał Michał, ale widział, że facet pokazuje palcem na przednie koło. – Co jest!?

– Nie wiem, czy damy radę z tym jechać! – ryknął nieznajomy, przekrzykując silnik. – Chyba musimy zadzwonić po pomoc. Ma pan telefon?

– Mam, ale czemu... – Zaciągnął ręczny, włączył światła awaryjne i wysiadł z samochodu. – Kurwa mać... – Michał poszedł przed samochód. Pierwsze rzuciły mu się w oczy zarysowania na drzwiach i błotniku. Kucnął i włączył latarkę, by przyjrzeć się kołu. – Co mu jest? Nic nie widzę – zapytał, przyglądając się dokładnie.

W tej samej chwili tajemniczy mężczyzna dzielił go w głowę pałąk, którą miał ukrytą pod kurtką. Były śledczy padł na śnieg, nie wiedząc, co się dzieje. Napastnik doskoczył i zaczął tłuc go kijem po głowie raz za razem, aż czaszka pękła i ciepła krew rozlała się po śniegu, spływając spod ciemniejącej czapki. Gorąca ciecz parowała w niskiej temperaturze. Gdy mężczyzna ocenił, że już po wszystkim, a Michał jest martwy, zdjął z niego płaszcz, nim ten zdążył się pobrudzić. Wyciągnął dokumenty, broń i wszystko, co mogło potwierdzić jego tożsamość.

Zdjął swoją niebieską, puchową kurtkę i ubrał w nią martwego Michała. Płaszcz nieboszczyka założył na siebie, wsuwając do kieszeni jego dokumenty. Następnie podniósł Michała i wyrzucił za barierki, a jego ciało sturlało się po śniegu i wpadło pomiędzy zaśnieżone drzewa, niknąc zupełnie w bieli. Wiedział, że do wiosny nikt go tutaj nie znajdzie.

Zakopał znajdującą się na poboczu krew śniegiem tak, by zatrzeć ślady, po czym trzepnął dłońmi o płaszcz, wsiadł za kierownicę opla i zamknął drzwi z trzaskiem. Zdjął rękawiczki i przyłożył zmarznięte dłonie do ogrzewaczy w pojeździe, które ledwo dmuchały, ale uważał, że lepsze to niż nic. Spojrzał na dowód osobisty oraz na ostatnie połączenia w telefonie denata. Przeszukał torbę, znajdując tam legitymację policyjną, kolejny pistolet i kilka ubrań. Popatrzył na kartkę leżącą przy podłokietniku z adresem komendy policji w Nowym Sączu oraz imieniem i nazwiskiem komendanta miejskiego razem z jego numerem telefonu i dopiskiem: „Dzwoń, jak dojedziesz do Nowego Sącza. Czeka na ciebie”.

Mężczyzna wrzucił bieg i ruszył drogą przed siebie. Kilka chwil później minął znak drogowy: „Nowy Sącz”. Chwycił zatem telefon i wybrał numer do komendanta.

– Halo? Dzień dobry, panie komendancie, tutaj Michał Ptak z wydziału dochodzeniowo-śledczego z Krakowa. Tak. Tak. Właśnie minąłem tabliczkę, za niedługo u pana będę...



MBY

ROZDZIAŁ 2

Jestem Michał

Rozległ się gwizd lokomotywy, który oznajmił odjazd pociągu z peronu. Ciężka, stalowa maszyna ruszyła po szynach, które wystawały spod warstwy śniegu. Mężczyzna podający się za Michała Ptaka, należącego do wydziału dochodzeniowo-śledczego z Krakowa, znajdował się właśnie na trzecim piętrze długiego, starego bloku stojącego przy ulicy Ignacego Krasickiego w Nowym Sączu. Osiedle Pekin zbudowane zostało naprzeciwko dworca PKP i oddzielone było od niego jedynie szerokością jezdni.

Mężczyzna nie miał więcej niż trzydzieści lat. Ubrany był w czarny płaszcz, który zdjął z zamordowanego Michała, oraz ciemny szalik, oplatający jego szyję jak wąż. Zmuszony był poczekać, aż pociąg odjedzie, a dźwięki ciężkiej maszyny ucichną. Stał zatem na korytarzu, niecierpliwie spoglądając na zegarek. Było już po szóstej. Niepotrzebnie uprzedzał miejscowego komendanta, że jedzie od razu do niego, nie sądził, że odnalezienie tego mieszkania zajmie mu tyle czasu. Odgłosy pociągu ucichły, a na obskurnej klatce schodowej, z lepiącą się do dłoni gumą na barierce, znów zapanowała cisza.

Nie włączył światła, dzięki czemu mniej zwracał na siebie uwagę. Wychylił się i spojrzął w górę i w dół schodów. „Czysto” – pomyślał. Wyciągnął przyczepioną do paska spodni małą latarkę i kucnął przed zamkiem w drzwiach, włożył ją do ust tak, by oświetlała zamek. Trzymał w dłoniach dwa narzędzia: gruby drut zagięty w literę „L” i węższy, który był prosty. Grubszy włożył do górnej części zamka i odchylił go w dół w ruchu podobnym do ruchu klamki, by wytworzyć napięcie. Wtedy włożył drugie narzędzie z lekkim zagięciem na końcówce w dolną część zamka. Miało ono na celu wciśnięcie wszystkich zastawek po kolei. Operował drutem z nadzieją, że gdy uda mu się je odpowiednio ustawić, bębenek zamka obróci się i drzwi się otworzą.

W praktyce było to jednak o wiele trudniejsze niż w teorii. Narzędzie nie chciało wejść głębiej niż za drugą zastawkę, wyciągnął więc drut i biorąc latarkę do ręki, oświetlił lepiej zamek.

– Kurwa – skonkludował i schował przyrządy do kieszeni. Po chwili namysłu się podniósł. Nie mógł przekreślić zamka, ponieważ mechanizm był uszkodzony. Coś utkwilo w środku, zakładał, że złamana część klucza albo inny włamywacz używał zbyt cienkich narzędzi i ukruszył odłamek.

Usłyszał podejrzaną dźwięk i zastygł jak zamrożony. „Ktoś tu szedł? Nie, za cicho” – rozważał w myślach. Wstrzymał powietrze w płucach i nasłuchiwał. Miejsce śmierdziało śmietnikiem, jednak dawno niesprzątnany budynek odpychał nie tylko zapachem. Popękane ściany z odpadającym tynkiem pomalowane na dwa kolory: kremowy i beżowy, błagały o remont. Małe okienko na klatce schodowej wpuszczało coraz więcej światła, co znaczyło, że niebawem będzie jasno. Musiał się spieszyć. Wyciągnął pęsetę i spróbował wyciągnąć odłamek z zamka.

Zniecierpliwiony i poirytowany wstał wreszcie i uderzył kilkakrotnie barkiem w drzwi, jednak nic to nie dało. W końcu się odsunął i kopnął w nie w okolicach klamki. Huk uderzenia rozniósł się po całym bloku, ale już mu nie zależało na dyskrecji, byle tylko udało mu się dostać do środka. Nagle usłyszał dźwięk przekrecanego w zamku klucza. „Ktoś jest w środku” – zdziwił się, robiąc krok w tył.

– Chłopie, na głowę upadłeś? – Usłyszał zachrypnięty głos sąsiada, który wyszedł z drzwi do drugiego mieszkania na tym samym piętrze. Chudy i niski, na głowę zarucono miał kaptur od szarej bluzy, która na nim wisiała. – Daj ludziom spać, zamiast tak walić jak... jak... jak...

– Czy zastałem lokatorkę? – Przerwał mu jękanie i wskazał na drzwi, które przed momentem kopał.

Sąsiad był przepity, miał czerwoną, opuchniętą twarz, zniszczoną cerę i braki w żółtym uzębieniu. Sąsiad uciskał skronie palcami, jakby chciał pobudzić mózg do myślenia.

– Ej... – ponaglił go.

– Gównu ci powiem. Nie jestem kapusiem. – Przepity mężczyzna splunął mu pod nogi.

– Nie jestem z policji. Szukam kobiety, która tu mieszka, bo mam spadek do przekazania – kłamał. – Nie ma z nią kontaktu, więc sądziłem, że może coś się stało. Jeśli jej nie znajdę, to wszystko przejmie urząd.

– Pan mi go da. – Sąsiad wyciągnął rękę. – Przekażę, jak wróci. Możesz mi zaufać, tutaj dbamy o swoich.

– Adres jest aktualny? Ona dalej tu zamieszkuje?

– Tak. Wychodzi i wraca, ale tak. Daj mi ten spadek, po co będziesz tu stał.

– Spadku nie można tak po prostu dać, to są dokumenty do podpisu. – Pchnął klamkę raz jeszcze dla pewności. Zauważył, że sąsiad zerknął na schody, upewniając się, że nikt nie idzie. Następnie zaczął się zbliżać.

– Lepiej daj mi te papiery. – W głosie sąsiada zabrzmiała brudna nuta groźby.

Niezajomy pokręcił zniecierpliwiony głową i wyciągnął pistolet, który wycelował wprost w zmierzającego ku niemu faceta. Ten uniósł od razu ręce i zgiął się, jakby dostał skurczu żołądka. Cofnął się do swojego mieszkania.

– Mieszka tu czy nie? – spytał bez emocji, sucho i pewnie.

– Nie! – odpowiedział od razu. – Wyniosła się lata temu. Mieszkanie stoi puste. Jak robili włam, to uszkodzili zamek i drzwi się zacięły. Trzeba by je zniszczyć, żeby wejść.

– Masz siekiere?

– Co? – zdziwił się.

Słychać było poruszenie na klatce schodowej, kolejni sąsiedzi otwierali drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje i zaczęli zadawać między sobą pytania. Zrobiło się zbyt duże zamieszanie.

– Nie było mnie tu – rzucił twardo i minął go.

Uniósł szalik na nos, osłaniając twarz i bez słowa schodził pospiesznie po wytartych przez lata używania schodach. Mijał mieszkańców ze spuszoną głową. Im mniej osób będzie w stanie go rozpoznać, tym lepiej. Nie sądził jednak, by ktokolwiek tutaj był zdolny zadzwonić na policję, a nawet jeśli, nikt by im nie uwierzył. Wyszedł z klatki na ulicę Ignacego Krasicckiego otoczoną obdrapanymi blokami i łysymi drzewami. Poszedł w lewo, chowając dłonie przed zimnem w kieszeniach płaszczka. Nadal było ciemno, choć latarnie już zgasły, a na horyzoncie za blokami wykwitła szara smuga i zaczęło się przejaśniać.

Przy ośnieżonej ławce po drugiej stronie ulicy stała grupka pijanych młodych ludzi, w zaspę obok nich wbite były piwa. Patrzyli na niego z dużym zainteresowaniem. Gdy się zbliżał, dwóch z pięciu zrobiło dwa kroki w jego stronę, bujając się chuligańsko.

– Zgubiłeś się? – rzucił jeden z nich, w puchowej, rozpiętej kurtce i z kapturem na łysej głowie.

– Głuchy jesteś!? – zawołał drugi, rozdrażniony brakiem odpowiedzi.

Mężczyzna w płaszczu wszedł do tunelu pośrodku ciągnącego się przez całą długość ulicy bloku, który prowadził do wyjścia z osiedla. Ciemne, pokryte graffiti z nazwą tutejszego klubu piłkarskiego „Sandecja” miejsce nie odbiegało zapachem od klatki schodowej.

– Chodźże tu! Chcę cię tylko o coś zapytać! – krzyknął jeden z nich, a pozostali ryknęli głupawym śmiechem. Stali na końcu tunelu. Sylwetkami zlewali się z ciemnością, jaka tam panowała, przypominając upiory z najgorszych horrorów.

Po tej stronie długiego bloku było już jaśniej, śnieg odbijał srebrnymi drobinkami poranne światło, jakby był posypany brokatem. Wyszedł na chodnik, skąd miał widok na dworzec PKP. W tym miejscu chodzili już ludzie, a po ulicy jeździły autobusy. Dotarł na parking przed dworcem, gdzie zostawił swój samochód, odnalazł opla i wszedł do środka.

– Kurwa – przeklął, gdy niepowodzenie mieszało się w nim ze złością, po czym spojrzął na kartkę, którą miał ze sobą. Był na niej adres komendy policji w Nowym Sączu. Przekręcił kluczyk w stacyjce Opla Kadetta, kontrolki na desce rozdzielczej zaświeciły się wszystkie, coś piknęło, przekręcił dalej, silnik kaszlnął i odpalił. Wrzucił bieg i odjechał.

Rynek Nowego Sącza był dużą, wyłożoną kostką płytą, na środku której stał Ratusz, świecący o tej porze pustkami. Świąteczne lampki, którymi ozdobione były latarnie i budynek ratusza wraz z wysoką choinką postawioną obok kasztana, migwały w tylko sobie znanym rytmie. Śnieg zbierany z płyty usypywany był z boku w niewielkie zasypy, by nie przeszkadzał mieszkańcom miasta. Białe na czubkach i brązowe przy spodzie od błota i brudu przypominały góry. Mężczyzna podający się za Michała przejeżdżał właśnie obok, słuchając głośniego szumu kół pojazdu toczących się po gęsto ułożonej kostce. „Ładnie tu” – pomyślał. Zjechał z płyty rynku w ulicę Dunajewskiego i dotarł do przecinającej ją ulicy Szwedzkiej, przy której w starej kamienicy mieściła się komenda Policji.

Pod numerem 9 znajdował się zabytkowy, trzypiętrowy budynek z wyżej wysuniętą czołową kopułą i charakterystycznym zaokrągleniem na dachu. Nie dało się nie zauważyć ciężkich krat, którymi zabezpieczone były wszystkie okna na parterze oraz zdobiących go architektonicznie dużych balkonów. Przed budynkiem, wzdłuż ulicy, zaparkowane były wozy policyjne. Naprawdę nie sposób było nie rozpoznać tego miejsca.

Zjechał w prawo i zaparkował przy chodniku naprzeciwko więzienia, ale nie gasił jeszcze silnika. Wyciągnął przed siebie skradzione dokumenty i ponownie je przejrzał, powtarzając zapisane informacje, by zakodować je sobie w pamięci. Kiedy zostanie zapytany o dane osobowe Michała, musi odpowiedzieć śpiewająco. Pistolet schował do torby, a komórkę włożył do bocznej kieszeni płaszcza. Spojrzął w lusterko wsteczne. Wiedział, że wyglądem niezupełnie przypominał tego, za kogo się podszywał. Był młodszy, ale na całe szczęście zarost i kolor włosów się zgadzały, choć był ścięty nieco krócej. Powinien myśleć o sobie jako o Michale Ptaku. Będzie bezpiecznie, jeżeli nie wymsknie mu się nic po drodze.

Założył czapkę, naciągając ją głęboko na brwi i owinał szyję szalikiem aż do wysokości ust. Spojrzął ostatni raz w lusterko wsteczne.

– Lepiej nie będzie – powiedział do siebie, oceniając swój wygląd i zgasił silnik. Wyszedł z samochodu. Poranek nie był przyjemny, ostre, zimne powietrze mroziło do szpiku kości, jakby przewiercało się przez ubranie. Powietrze jak stłuczone szkło raniło mu płuca. – Nienawidzę zimy – stwierdził z przekonaniem.

Szybkim krokiem przeszedł przez jezdnię, minął kilka zaparkowanych policyjnych polonezów i uaza z białymi, zamrożonymi szybami. Dwóch policjantów wyszło właśnie z komendy i jeden z nich poślizgnął się na schodach, które pokryły się lodem, ale cudem ustał na nogach. Lecąca wiązanka niecenzuralnych słów opuszczała właśnie usta ocalałego od upadku funkcjonariusza. Minęli go, a on oparł się ręką o białą, zdobiacą wejście bramę i wydłużonym krokiem obszedł polyskujące od lodu schodki.

Stare, drewniane drzwi trzasnęły za nim głośno, kiedy znalazł się w wąskim korytarzu, który witał gości widokiem krat. Skręcił w prawo i podszedł do małego okienka portierni po prawej stronie, z mikrofonem zamontowanym idealnie na środku. Za szybą w małym kantorku zasiadało dwóch mundurowych. Jeden pisał coś odwrócony tyłem do niego, a drugi patrzył w ogromny zeszyt i czegoś w nim szukał.

– Jestem umówiony z komendantem – chrząknął, pozbywając się wydzieliny z gardła.

– Godność? – odezwał się policjant pochylony nad zeszytem, nie podnosząc głowy.

– Komisarz Michał Ptak, pracownik dochodzeniowo-śledczy z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie – wyrecytował pewnym głosem.

– Legitymację poproszę.

Wsunął dokument przez wąską szparę w okienku.

– Pan poczeka.

Pomocnik oficera dyżurnego podniósł słuchawkę telefonu i spojrzął na gościa. Na ułamek sekundy zawiesił na nim wzrok, jakby coś zauważył albo go rozpoznał, ale wrócił do telefonu, wolnym ruchem wybrał numer i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Cześć, Basiu, przyszedł Michał Ptak z dochodzeniówki w Krakowie, podobno był umówiony z komendantem. Tak. Tak. Jasne. – Odłożył słuchawkę. – Proszę chwilę zaczekać – zwrócił się do Michała.

Ptak przytaknął, po czym odwrócił się, odchodząc od okienka i robiąc miejsce następnej osobie, która weszła do komendy tuż za nim. Spojrzął na wiszącą naprzeciwko tablicę ogłoszeń. Widział numery bezpłatnych infolinii, na które można zadzwonić, gdy myślało się lub było się ofiarą przemycej domowej. Po prawej stronie wisiała lista osób zaginionych oraz poszukiwanych wraz z ich zdjęciami. Zauważył na niej coś, co przykuło jego uwagę. Jednym z poszukiwanych był złodziej, który opisem bardzo pasował do niego samego. Miał około dwudziestu ośmiu lat, zarost, krótkie włosy, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu oraz ostatni raz widziany był ubrany na czarno. Domyślał się, że to dlatego pomocnik oficera dyżurnego zawiesił na nim wzrok. Tablica była zapełniona, osób zaginionych zaś było całkiem sporo jak na miasteczko z osiemdziesięcioma tysiącami mieszkańców. Miało to związek z terroryzującym je gangiem. Nietrudno było się domyślić, że ten, kto nie chciał współpracować albo płacić haraczu, trafiał na tablicę osób zaginionych.

Rozległ się sygnał dzwoniącego telefonu.

– Tak? Dobra, już przekazuję. – Pomocnik oficera dyżurnego odłożył słuchawkę. – Komendant wydał dyspozycję, zapraszam.

Usłyszał dźwięk puszczanego elektromagnesu, który trzymał kraty blokujące wejście do komendy. Mimo to wciąż przyglądał się zawieszonym ogłoszeniom w sekcji osób poszukiwanych. Znalazł tam kogoś, kto bardzo go zainteresował.

– Halo? Panie Komisarzu, idzie pan?

– Idę. – Mężczyzna wrócił przed okienko i wyciągnął rękę. – Moja legitymacja.

Łysy policjant spojrzął na niego krzywo i oddał dokument przez otwór pod okienkiem. Michał wziął go i rzucając ostatnie spojrzenie na tablicę, podszedł do krat. Po drugiej stronie przywitał go stary, rosy strażnik, który zamknął za nim przejście. Następnie usiadł i wrócił do czytania gazety, krata bzyknęła na znak trzymającego ją ponownie magnesu.

– Którędy mam iść? – spytał, odwracając się w stronę okienka.

– Schodami na pierwsze piętro, potem w lewo i szukać drzwi z tabliczką sekretariat komendanta.

Wchodząc do środka, usłyszał szmer pracujących osób, które co chwilę przechodziły korytarzem. Wysokie, czterometrowe pomieszczenia, popękane tynki na ścianach, przez które w powietrzu wyczuwało się zapach kurzu, wskazywały, że na remont nie było środków bądź pozwolenia. Zaczął wchodzić na górę klatki schodowej, przytrzymując się wysokich, kutych balustrad. Budynek był zabytkiem z końca dziewiętnastego wieku i wyróżniał się specyficzną architekturą, co niosło za sobą poczucie przebywania raczej w muzeum niż w komendzie. Wszelkie trzaski i tupoty butów niosły się tutaj głuchym echem.

Wchodząc na piętro, minął się z zatrzymanym, prowadzonym zapewne na przesłuchanie do wydziału kryminalnego, który miał skute za plecami ręce. Michał poszedł w lewo, jak mu doradzono, i czytał informacje wypisane na tabliczkach na drzwiach. Nietrudno było znaleźć sekretariat komendanta. Tabliczka na drzwiach była wykuta i przesadnie duża. Zapukał i nie czekając, wszedł do środka.

Przywitał go pytający wzrok sekretarki siedzącej za dużym biurkiem. Prowadził do niego podłuzny, wytarty przez buty dywan. Kobieta miała niewiele ponad trzydzieści lat. Ubrana była w białą koszulę i marynarkę służbową. Spojrzała na niego zmęczonymi, podkrążonymi oczami, a pomimo młodego wieku jej policzki zaczynały przegrywać walkę z grawitacją. Brązowe włosy związane miała tasiemką, choć sporo kosmyków zdołało się uwolnić i odstawać, co było szczególnie wyraźne w padającym na nią

światle z włączonych lamp sufitowych. Nie uszły jego uwadze wąskie, ledwie widoczne wargi i głębokie zmarszczki wyżłobione w skórze wokół ust w efekcie częstego ściskania nimi papierosa.

Podchodząc bliżej, wyczuwał unoszący się w powietrzu zapach tytoniu. Mocniejszy z każdym krokiem. Sekretarka zapewne nie czuła już wwiercającego się w nozdrza duszącego smrodu dymu nikotynowego, mając uposłedzony węch w wyniku stałego przebywania w jego toksycznych kłębach. On natomiast nie wiedział, jak ma w tym pomieszczeniu oddychać.

– Dzień dobry, ja do komendanta Rafała Starzaka – powiedział i zamachał dłonią przed twarzą, odganiając smród.

– Godziny audyencji, w których komendant przyjmuje interesantów, odbywają się w każdy poniedziałek od godziny piętnastej do siedemnastej. Proszę się umówić bądź przyjść w tych godzinach, to pana przyjmie.

– Pani nie rozumie, byłem umówiony. – Zatrzymał się. Płaszcz nadal miał zapięty, choć policzki zaczerwieniły się lekko po zderzeniu zmarzniętej twarzy z nagrzanym aż do przesady powietrzem w sekretariacie.

Posłała mu pytające spojrzenie.

– A, to ty jesteś ten z Krakowa – skomentowała retorycznie, po czym wstała od biurka i ruszyła w stronę drzwi komendanta. Minęła Michała, patrząc mu głęboko w oczy i zanim odwróciła twarz, zauważył, jak podnosi się jej kącik ust. Wyraźnie kręciła biodrami jak modelka na wybiegu. Zapukała dwa razy, a następnie zajrzała do środka przez uchylone drzwi, wypinając przy tym mocno pośladki w ciąsnej spódnicy. Mężczyzna, mimo iż zaskoczony sytuacją, nie miał zamiaru odwracać wzroku. Delektował się, jak szybko stwierdził, dość przyjemnym widokiem.

Usłyszał niski głos dochodzący zza drzwi, które chwilę potem sekretarka zamknęła. Gdy się odwracała, by wrócić do biurka, nie zdążył unieść wzroku wystarczająco szybko. Minęła go z uśmiechem, wiedząc, że jej się przyglądał, i wróciła na swoje miejsce pracy.

– Proszę usiąść i poczekać. Komendant zaraz pana przyjmie.

Rozpiął płaszcz i poluzował szalik, następnie usiadł na jednym z kilku krzeseł stojących pod ścianą, przygotowanych dla tych, którzy przychodzili w poniedziałki na audyencję. Sekretariat miał około dwudziestu metrów kwadratowych i wysoki sufit, jedynymi meblami były: biurko zasypane dokumentami, biblioteczka, regał ze starannie ułożonymi ustawami karnymi oraz mały regał w kącie ze stojącymi na nim szklankami i naczyniami. Można było zaparzyć przy nim kawę. Rozległ się odgłos dzwoniącej komórki i mężczyzna wyciągnął z kieszeni telefon, który należał do martwego i wyrzuconego za barierki Michała. Spojrzał, kto dzwonił, i odczytał połączenie od komendanta wojewódzkiego z Krakowa. Wymienił się z sekretarką pytającymi spojrzeniami, po czym rozłączył połączenie i oparł się o krzesło.

Zadzwonił telefon na biurku, a mężczyzna poczuł, jak po plecach przebiega mu stado mrówek. Czyżby komendant z Krakowa wykręcił numer sekretariatu, by się upewnić, że Michał dotarł na miejsce? Jeżeli poprosi, by podano go do telefonu, może się zorientować, że nie jest osobą, z którą chciał rozmawiać.

Odebrała połączenie, a on obserwował ją czujnym, nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Tak. Dobrze. – Odłożyła słuchawkę. – Pan komendant zaprasza. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję, nie będę długo – odpowiedział i wypuścił z ulgą powietrze.

Wszedł do gabinetu bez pukania. Pomieszczenie nie było większe od sekretariatu. Komendant nurkował właśnie w swoim komputerze, a uderzenia palców w klawiaturę niosły się głośno, jakby dopiero co przerzucił się na nią z maszyny do pisania. Komendant zajmował biały pokój z długimi, kremowymi firankami. Pod ścianą znajdował się przeszklony kredens, w którym stały zdobione filiżanki. W rogu po lewej zauważył stół na sześć krzeseł, duży, rosyjski dywan na środku oraz kilka wysokich kwiatów w donicach ustawionych w rogach gabinetu. Podeszedł bliżej dużego, drewnianego biurka, za którym pracował komendant. Na ścianach wisiały dyplomy, proporzyczki i medale. Na szafce, pomiędzy dwoma kwiatami, stał spory puchar i zdjęcie komendanta trzymającego go ponad głową. „Pierwsze miejsce

w zawodach strzeleckich o puchar komendanta wojewódzkiego”, nie obyło się również bez dyplomu wiszącego obok zdjęcia.

Usłyszał toporny trzask, gdy komendant uderzał palcem w klawisz „Enter”, co wyrwało go z obserwacji gabinetu. Komendant Rafał Starzak przetarł komputer oraz biurko szmatką, po czym złożył ją w kosteczkę i schował do szuflady. Spojrzeli po sobie i zastygli na moment, Michał uśmiechnął się kwaśno i czekał.

– Chcesz kawy? – Komendant przerwał niezręczną ciszę.

– Nie – odparł od razu.

– Ja sobie naleję.

Komendant wstał ze skrzypiącego, skórzanego dużego fotela i podszedł do komody z filiżankami. Michał przyglądał mu się teraz uważnie. Wyglądał na czterdzieści dwa lata, wysoki, postawny, włosy z przeważającą już siwizną zaczesane były starannie do tyłu, a zarost ogolony aż do skóry. Mundur leżał na nim idealnie, jakby był skrojony w Paryżu. Czyściutki, pachnący, wyprasowany. Nawet buty błyszcząły wypastowane. „Pedant” – pomyślał.

Komendant, trzymając w dłoni filiżankę, odwrócił się do niego i uściśnił sobie dłonie, patrząc w oczy.

– Komendant Rafał Starzak. Miło mi – przedstawił się, unosząc lekko brodę. Nie musiał być geniuszem, by widzieć, że ten człowiek ma wysokie mniemanie o sobie.

– Komisarz Michał Ptak, pracownik dochodzeniowo-śledczy z komendy wojewódzkiej w Krakowie.

– Jak droga? – spytał komendant i zaprosił go do stołu gestem dłoni, a następnie sam usiadł po przeciwnej stronie, zakładając nogę na nogę.

– Biała. Śliska. I mam nadzieję, że nie na próżno – odpowiadając, odwrócił głowę, by uniknąć kontaktu wzrokowego, co nie uszło uwadze komendanta.

– To, czy na próżno, to zależy od tego, czy jesteś tak dobry, jak mówił twój przełożony. Chyba że komendant z Krakowa wisi ci po prostu przysługę i w ten sposób będzie próbował przyspieszyć twój awans.

Michał uniósł brwi, zaskoczony jego złośliwą uwagą. Wiedział, że się nie polubią. Komendant obrócił uszko filiżanki, tak by było mu wygodnie po nią sięgać.

– Gdzie jest Janek? – Rafał Starzak uniósł filiżankę. – Liczyłem na to, że komendant zaszczyci nas swoją obecnością i przyjedzie tu z tobą. W końcu przecież tak bardzo mu zależy na tej sprawie. Zaczynam w to teraz wątpić, wszak z Krakowa do Nowego Sącza jest niespełna półtorej godziny drogi. To nie tak daleko.

– Będę musiał wystarczyć.

Mężczyzna z zaczesanymi do tyłu włosami wziął łyk kawy, nie przestając wpatrywać się w Michała. Odstawił filiżankę i mlasnął.

– Przejdę od razu do rzeczy. Nie potrzebuję na moim terenie wariata, który odcina ludziom uszy. Całe szczęście do zabójstwa nie doszło w moim mieście, ale i tak zaraz wszyscy zaczną o tym gadać. Pismaki szukają sensacji przed świętami, nam z kolei zależy na opanowaniu, również w prasie. Ma być cisza i spokój aż do nowego roku.

Michał wciąż rozglądał się po pomieszczeniu i komendant widział, że nie był zainteresowany tym, co ma mu do powiedzenia.

– To nie muzeum – upomniał go, a jego oczy zrobiły się przenikliwe. – Obu nam zależy na tym samym. Tym samym, czyli abyś jak najszybciej wrócił do domu, rzecz jasna.

– Zaraz po tym, jak dorwę zabójcę, rzecz jasna – odparł Michał i uniósł zaczepnie kącik ust.

– W kartotece wyczytałem, że nie wylewasz za kołnierza. Bijatyki na komendzie z kolegami z pracy, jazda pod wpływem i rozbity radiowóz. Innymi słowy: człowiek problem. Aż dziwne, moim zdaniem

powinni cię już dawno zwolnić. U nas takie zachowanie nie będzie tolerowane, a przywileje, jakimi darzy cię Janek, nie będą tutaj powielane.

– Jest brudna robota do załatwienia, to idę i ją załatwiam. Tyle.

– Tyle, tak? – Upił kolejny łyk czarnego napoju. – To dlaczego cię zawiesili, skoro było tego tyko „tyle”?

Michał wziął wdech, dając wyraźnie do zrozumienia, że robi się zmęczony tymi pytaniami. Ponownie odwrócił wzrok.

– Skoro tu jestem, to chyba mnie nie zawiesili? – odpowiedział w końcu.

– Jesteś tu, bo Janek o to prosił. Tylko dlatego. – Komendant znów się napił, wyciągając przy tym mały palec jak antenę. – Zanim cię stąd wypuszczę, musisz wiedzieć, że twoje zadanie jest proste. Przeglądasz się i podpowiadasz. Jesteś tu, by rozwiązać problem, a nie dostarczać nowe. Jeżeli masz zamiar zrobić coś poza doradztwem, dzwonisz do mnie i prosisz o zgodę. Jeżeli chcesz przesłuchać świadka, dzwonisz do mnie i prosisz o zgodę. Jeżeli widzisz, że coś się dzieje i chcesz reagować, najpierw...

– Dzwonię do ciebie.

– Dzwonię do pana komendanta – poprawił go. – Ale tak. Cieszę się, że to rozumiesz – dokończył.

– Ale jeść i srać bez zgody mogę?

– Zabawne – skwitował z pustym wyrazem twarzy i odstawił filiżankę na talerzyk. – Mam na głowie wiele innych spraw, większych niż ta dotycząca ofiary z odciętym uchem. Dlatego jeżeli zrobisz coś, co zrzuci mi na łeb więcej gówna, to nawet Janek ci nie pomoże. Czy wyraziłem się jasno?

Michał się uśmiechnął. Zrozumiał, że ma do czynienia z osobą, która jest wręcz stworzona do przemówień publicznych. Eloquentny showman z odpowiednią dykcją. Nie patrząc komendantowi w oczy, pochylił się w jego stronę na znak zrozumienia i odparł:

– Zobaczymy.

Komendant mierzył go bacznym spojrzeniem i przejechał ostrożnie dłonią po włosach, upewniając się, że żaden kosmyk nie odważył się na nieposłuszeństwo.

– To wszystko. Poczekaj w sekretariacie. Zadzwoń do naczelnika i przyślę tu kierownika sekcji do spraw zabójstw. Czesława Bartoszewskiego. Zabierze cię na miejsce zbrodni. Obserwuj i rób notatki, potem wróć do mnie z raportem i wnioskami. Jeżeli będą wnosili coś do sprawy i pchną ją do przodu, zostaniesz, jeżeli nie, wracasz do Krakowa.

Komendant wstał i poprawił marynarkę od munduru, ciągnąc ją lekko w dół i sprawdzając, czy dobrze leży. Michał również się podniósł, a następnie podszedł do drzwi i złapał za klamkę.

– Czy mogę otworzyć drzwi, szanowny panie komendancie?

Spojrzał na starszego mężczyznę, który uśmiechnął się z satysfakcją, po czym przytaknął i wrócił za swoje biurko. Michał wyszedł, celowo trzaskając za sobą drzwiami.

– Kurwa – mruknął cicho pod nosem. Złapał kontakt wzrokowy z sekretarką, ta odpowiedziała uśmiechem, ale po tej rozmowie nie był w nastroju na kokieterię. Usiadł na krześle w poczekalni, zakładając nogę na nogę, a Basia zmieszła się i poprawiła włosy.

Usłyszał pukanie do drzwi.

– O proszę, jak tu szybko działacie – skomentował z ironią w głosie i podniósł się, by poznać aspiranta.

Do sekretariatu weszła zgrabna blondynka. Musiała mieć nie więcej niż dwadzieścia trzy lata. Miała na sobie marynarkę od policyjnego munduru. Dżinsy podkreślały jej szczupłe nogi, a skrzyżowane ręce przytulały stertę dokumentów do jej piersi. Blond włosy spięta w kucyk. Zauważył, że miała zielone oczy, okolone gęstymi rzęsami i wąski nos upstrzony kilkoma piegami, które dodawały jej uroku. Nośnię nieduże okulary w cienkiej, czerwonej oprawce. Młoda policjantka minęła go, nawet na niego nie patrząc, i przywitała się z sekretarką. Spojrzał na jej karminowe usta, gdy mówiła, tworzyły na jej po-

liczkach atrakcyjne dołączki. Potraktowany jak powietrze Michał zaparł się plecami o oparcie krzesła i obserwował dziewczynę, która szła w tej chwili do gabinetu komendanta. Złapała za klamkę i otwierając drzwi, lekko się nachyliła. Michał obrócił się cicho na siedzeniu, by spojrzeć na jej pośladki, lecz zderzył się z karcącym spojrzeniem sekretarki, wyraźnie teraz na niego obrażonej. Skrzyżował ręce i zapatrzył się w podłogę.

Blondynka weszła do środka, trzaskając drzwiami. Michał uśmiechnął się do siebie, rozbawiony tym, co właśnie zaszło.

– Co ci się tak gęba cieszy? – Usłyszał niski głos i zobaczył stojącego nad nim mężczyznę w mundurze. Był to kierownik sekcji do spraw zabójstw Czesław Bartoszewski. Brzuch delikatnie wypychał mu mundur. Uniósł rękę, dając powitalny sygnał Basi i palcami wygładził swój gęsty wąs rosnący na okrągłej twarzy.

– Że co proszę? – spytał Michał.

– To ten? – Aspirant zwrócił się do sekretarki, a ta przytaknęła, unosząc aktorsko ramiona, jakby jej nie zainteresował. – Miałeś być starszy.

– Mam dobre geny po dziadku. – Uśmiechnął się półgębkiem i podali sobie dłonie. – Komisarz Michał Ptak, pracownik dochodzeniowo-śledczy z komendy wojewódzkiej w Krakowie. Rozumiem, że ty będziesz moim przewodnikiem?

– Kierownik sekcji do spraw zabójstw Czesław Bartoszewski. – Miał silny uścisk. – Poinformowano mnie, że mam cię zabrać na miejsce zbrodni. Gotowy jesteś? Jedziemy od razu?

– Chodźmy.

– Cześć. – Bartoszewski pożegnał się z Basią i wyszedł razem z nowym komisarzem.

Michał zauważył, że korytarze tętniły teraz życiem. Komenda się budziła, w końcu dochodziła już ósma rano. Nocna zmiana wróciła do domu, a dzienni zaczęli przyjmować już pierwszych świadków. Stukot obcasów, szelest dokumentów i huk trzaskających drzwi, gwar niósł się echem po wysokich korytarzach zabytkowej kamienicy. Zeszli na parter i zatrzymali się przy kratkach.

– To daleko stąd? – zapytał Michał.

– Chwilę będziemy jechać. – Aspirant poklepał się po wszystkich kieszeniach. – Zapomniałem czegoś, poczekaj tutaj.

– Muszę jeszcze podejść do auta.

– Dobra, to idź. Spotkajmy się za pięć minut przed drzwiami.

Czesław wrócił po schodach do góry, stękając głośno z powodu narzuconego sobie szybkiego tempa.

Michał wyszedł na zewnątrz. Mroźne powietrze dmuchnęło nieprzyjemnie i poślizgnął się na zlodowaciałych stopniach, ale ustał na nogach.

– Kurwa – rzucił w przestrzeń i poprawił płaszcz, chroniąc szyję, po czym poszedł do samochodu. Wsiadł do opla, który był tak wyziębiony, że miał wrażenie, jakby usiadł gołym tyłkiem na kamieniu. Gdy odetchnął głębiej, z ust buchnęła mu para. Temperatura wewnątrz nie różniła się niczym od tej na zewnątrz. Wyciągnął pistolet z torby oraz trochę pieniędzy. Ukrył je dobrze i wrócił pod komendę.

Wszedł do środka i oparł się plecami o ścianę. Łysy policjant na portierni wciąż wlepił w niego podejrzanego spojrzenie. Michał pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, iż nie będzie wchodził. Doskonale jednak wiedział, że nie to miał na myśli. Niedługo potem Czesław pojawił się na dole, zabrzmiał mechanizm krat, walniący magnes i mężczyzna podszedł do Michała.

– Chodźmy – rzucił pewnie, zakładając na głowę czapkę od munduru.

Ruszyli razem w kierunku drzwi.

– Czesiu, zaczekaj! Podejdz na chwilę! – Zatrzymał ich mechaniczny głos z głośnika umieszczonego w szybie.

Aspirant odwrócił się i cofnął się kilka kroków do okienka, nachylając się przy nim. Michał stał zniecierpliwiony i obserwował uważnie, jak rozmawia z portierem. Szeptali, więc nie słyszał, o czym mó-

wią. Widział jednak, że pomocnik oficera dyżurnego zerka co chwilę w jego kierunku. Mówił o nim. Gdy skończyli, przytaknęli sobie, obaj śmiertelnie poważni. Bartoszewski wyprostował się i spojrzął na stojącego przy drzwiach Michała.

Mężczyzna podający się za komisarza wiedział, że aspirant patrzy teraz na niego inaczej. Tak samo jak łysy policjant.

Wiedział też, że coś było nie tak.

ROZDZIAŁ 3

Miejsce zbrodni

By dotrzeć do Łososiny Dolnej potrzebowali około pół godziny jazdy. Właśnie minęli tabliczkę zęgnającą gości Nowego Sącza i jak dotąd ani Michał, ani aspirant Czesław Bartoszewski nie odezwali się do siebie nawet słowem.

Ośnieżone góry wyloniły się z szarości, eksponując białe szczyty. Ich widok napawał Michała przyjemnym uczuciem i pomyślał, że powinien każdą zimę spędzać w górach. Widział kilka pojedynczych domków wybudowanych pod lasem. Z ich kominów unosił się ciemny dym. Zastanawiał się, jak ktoś może chce mieszkać w takim miejscu. Przyglądał się posesjom i nie widział żadnej drogi umożliwiającej dojazd samochodem. To znaczyło, że mieszkańcy po każde zakupy zmuszeni byli iść pieszo w dół wzniesienia, nawet teraz – w samym środku zimy. Wyjrzał przez okno. Poranny śnieg grubymi płatami przykrył ten stary, już ściemniały od przydrożnej chlapy.

Dojeżdżali do Wielogłów i Michał wiedział, że musi przerwać tę niezręczną ciszę. Niebawem będą mijać miejsce, w którym wyrzucił zwłoki komisarza Ptaka, pod którego się podszywa. Wołał się upewnić, że aspirant będzie wtedy czymś zajęty.

– Mamy już jakieś informacje, czy znaleziono coś konkretnego na miejscu zbrodni? – zagaił rozmowę.

– Dojedziemy, to się dowiemy. Ale nie nastawiałbym się na żaden przełom, jeszcze za wcześnie – odparł sucho Czesław. – Coś taki niecierpliwyy?

– Chcę zrobić swoje i wracać do Krakowa.

– Zrobić swoje... – parsknął, jakby obrażony jego słowami. – A my niby co robimy?

– Na pewno się staracie i nie twierdzą, że nie macie tu zdolnych śledczych. Dostałem polecenie, więc przyjechałem. Zrobię swoje i wracam, nie ma w tym niczego personalnego.

– Taaaa... – Czesław pokręcił głową i zwiększył nawiew ciepłego powietrza. – A tutaj co się stało?

Aspirant zwolnił, widząc rozsypany śnieg, ślady po ostrym hamowaniu i zdarty lakier karoserii na barierkach chroniących przed wypadnięciem z jezdni. Jechali powoli, a Czesław przyglądał się uważnie śladom wypadku.

– Ktoś miał szczęście – skomentował Michał. – Łuk jest zdradliwy, zwłaszcza w taką pogodę. Pod białym puchem często czai się szklanka, musiał jechać za szybko.

– Jechałeś tędy w nocy. Nie widziałeś niczego? – Aspirant wydawał się przejęty.

– Nie. Gdy dojeżdżałem, jeszcze było ciemno, ale zauważyłbym wypadek.

– O której to było?

– Przed szóstą.

– I wypadek jeszcze nie miał miejsca? Czy nie zauważyłeś?

– Nie miał miejsca, bo nie zauważyłem – powiedział pewnie. – Musiało się to wydarzyć później.

– Lepiej sprawdźmy i upewnijmy, że nikogo nie potrącono. Kierowca mógł się przestraszyć i uciec z miejsca zdarzenia.

– Przecież nikogo tu nie ma. – Michał wskazał ręką na pustą drogę. – Jedźmy dalej.

Czesław zjechał w prawo w zatoczkę przed domkiem, w którym wyrabiano karty wędkarskie. Wybudowany był plecami do góry, parter miał obłożony kamieniem, a reszta budynku złożona była z zielonych, prostych desek. Nie sposób go było nie zauważyć, a Michał zupełnie o nim zapomniał, czekając na drodze na nadjeżdżającego komisarza. Zaczął odczuwać stres. Jeżeli ktoś tu nocował, to mógł widzieć całe zajście. Huk uderzenia pojazdu o barierki był głośny, obudziłby każdego.

– Poważnie? – zapytał oburzony Michał, widząc, jak aspirant zakłada na głowę czapkę. – Co chcesz sprawdzać? Nie ma nawet samochodu.

– Nikt cię o nic nie prosił. Zostań w aucie i grzej dupę, nie zgaszę silnika.

Czesław wygrzebał się z policyjnego poloneza i trzasnął głośno drzwiami, które nieprzyjemnie zaskrzyphiały. Odwrócił się plecami do jezdni, by nadjeżdżający tir nie zmoczył go brudnym śniegiem. W tym czasie Michał z uwagą obserwował okna małego domku, przed którym się zatrzymali. Dostrzegł zaparkowanego malucha z zarzuconym na przednią szybę kocem, docięniętym do niej wycieraczkami. Szukał tabliczki, która informowałaby, od której godziny rybacy zaczynają w tym miejscu pracę. Pojazd był ośnieżony, co znaczyło, że jego kierowca nie mógł nim rano przyjechać. Nie widział też śladów opon na świeżym śniegu. Ktoś, kto pełnił tutaj wartę, mógł także spędzić tu noc, a co za tym idzie, widzieć, co tutaj zaszło.

Sprawy się komplikowały.

Kiedy obrócił głowę, zauważył, że Czesław przebiegł właśnie na drugą stronę ulicy i zaczął przyglądać się zarysowaniom na barierkach. Odwrócił się następnie w stronę jezdni i było jasne, że próbował odwzorować wypadek w swojej wyobraźni na bazie tego, co udało mu się zaobserwować. Stał w bezruchu, zbierając myśli, a Michał czuł, jak przyspiesza mu serce. Gdy zaczął podchodzić do spadku, gdzie mężczyzna wyrzucił ciało, wychylił się na siedzenie kierowcy i nacisnął mocno na klakson, ponagляjąc aspiranta. Podziałało. Czesław, słysząc go, rozejrzał się ostatni raz. Począł, aż przejadą kolejne auta, wrócił do poloneza i zdjął czapkę.

– Niech zgadnę – podjął Michał. – Nic.

– Nie do końca.

– A co masz? – zdziwił się.

– Spokojnie, to nie dotyczy takich grubych ryb jak ty. – Rzucił okiem na pasażera i poprawił wąsy czerwonymi od zimna palcami. – To sprawa dla tutejszych.

Zapiął pasy i wrzucił bieg.

– Nie chcesz zapytać tych tutaj? – Michał wskazał palcem na dom wyrobu kart wędkarskich. Jeżeli pracownik cokolwiek widział, lepiej, by powiedział to teraz. Najgorszym możliwym scenariuszem był ten, w którym kierownik sekcji do spraw zabójstw postanowiłby wrócić tu później w pojedynkę. – Może coś zauważył? O ile jest ktoś w środku.

– Jurek? – zaśmiał się aspirant. – Jedyne, co on widzi, to białe myszy. Pracuję w policji już długo i jeszcze nigdy nie widziałem go trzeźwego. Da ci kartę wędkarską, jak tylko postawisz mu flaszkę na stole. Jedyne, na co liczę, to to, że przykrył się kocem i nie zamarnie, o ile w ogóle tam jest.

– Tak pilnuje nawodnienia? – rzucił sarkastycznie Michał.

– Gdy ostatni raz go spotkałem i zapytałem, czy nie może sobie odpuścić, odpowiedział: „Czesław, alkohol należy traktować jak największego wroga, trzeba go łać w mordę”.

Michał zaśmiał się lekko, kierując ostatnie spojrzenie na malucha.

– Dobre motto – podsumował.

– Taa.

Auto, buksując kołami w przydrożnym śniegu, w końcu ruszyło i wrócili na czarną, odśnieżoną ulicę. Mijając most nad Dunajcem, aspirant kaszlnął, a Michał wykorzystał moment przerwania ciszy i zagał, nawiązując do dręczącego go od momentu opuszczenia komendy tematu.

– Ten łysy na portierni wydawał się bardzo przejęty, coś się stało? – zapytał, nie patrząc na kierowcę, ale Czesław zerknął na niego pytająco. – Ten, który zawołał cię do okienka, zanim wyszliśmy. Miał coś istotnego do dodania w naszej sprawie?

– Aaaa, ten... Czemu tak sądzisz?

– Bo patrzył na mnie, kiedy z tobą rozmawiał. Będę wdzięczny, jeżeli nie będziecie przede mną niczego ukrywali. To ułatwi nam wszystkim robotę.

– Nie chodziło o to. Ale trochę zahacza również o twoją obecność.

– Bo?

– Bo to ściema. Całe to ucinanie uszu – wyjaśnił, i poprawił bujny wąs palcami.

– Jak to ściema?

– Od trzech lat mamy na terenie dwie grupy przestępcze walczące o wpływy. Na początku były to niewinne przepychanki czy puste groźby, ale od roku zaczynały pojawiać się zaginięcia wśród cywilów. Pogrożki, okupy. Nawet jeżeli rodzina zdolna była zapłacić, porwany i tak nigdy nie wracał do domu. Wciąż ich szukamy, ale pewnie leżą gdzieś zakopani albo rozpuszczeni w kwasie. To nie tak, że wcześniej nie było zabójstw, ale były to porachunki między nimi. To zupełnie coś innego, gdy przyjeżdżasz na miejsce zbrodni i leży przed tobą trzech typów, z których każdy już siedział i na każdego masz teczkę lub dwie, a kiedy patrzysz na zapłakanych rodziców, którym porwano dziecko i zmuszeni są oglądać zdjęcia z jego przetrzymywania

– Zatrzymaliście już kogoś? – zaciekawiał się Michał.

– Nie ma dowodów. Wiemy, kto jest odpowiedzialny i kto zarządza grupą, ale co z tego, skoro wszystko jest poza protokołem, bo każdy boi się oficjalnie zeznawać. Sądziłem, że będą mieli granicę, ale niestety zaczęli straszyć i nachodzić lokalnych przedsiębiorców, wymuszając na nich haracze lub grożąc porwaniem ich dzieci, do których, jak wspominałem, i tak dochodziło. W zeszłym tygodniu jeden z lokalnych biznesmenów, posiadający sieć sklepów spożywczych, miał wjazd do domu. Tłukli go na oczach jego żony i dzieci, ale na całe szczęście nic im nie zrobili. Pewnie dla świętego spokoju zgodzili się na narzucone przez nich podwyżki. Każdy z odrobiną oleju w głowie by tak zrobił. Żadne pieniądze nie są tego warte. Bandyci twierdzą, że płacą za ochronę, szkoda, że przed nimi samymi. Gdybyśmy znaleźli choć jednego martwego cywila, to pozostali być może by się złamali.

– Albo jeszcze bardziej stwardnieli – zauważył Michał. – Jaki to ma związek z naszą sprawą?

– Myślałem, że będziesz bystrzejszy – zripostował Czesław, po czym zmienił bieg, gdy dojeżdżali do zderzaka ciężarówki. – Moim zdaniem tracisz tutaj czas. To, po co przyjechałeś, to tylko podpucha, żeby odwrócić naszą uwagę od prawdziwego problemu. Zwłaszcza że ofiara nie jest przypadkowa, ponieważ jest bratem kierowcy jednego z większych przedsiębiorców dostarczających sklepom zaopatrzenie. Odciepli mu ucho, żebyśmy zaczęli szukać ducha, którego nie znajdziemy. A ja zamiast zajmować się swoją robotą, będę robił za twojego kierowcę. – Spojrzał na niego z kwaśną miną. – Bez urazy. Po prostu mnie to wkurwia.

– Fajna teoria, bardzo wygodna, to wam przyznaję, tylko że nie jest poparta niczym poza waszą wyobraźnią. Albo lenistwem, bo nie macie ochoty na kolejną trudną sprawę w tym momencie. – Michał spojrział w ten sam kwaśny sposób. – Bez urazy, ale idźcie po najniższej linii oporu, a to jest akurat coś, co mnie wkurwia.

– Tu się z tobą zgodzę, panie utalentowany komisarzu. Nie potrzeba nam kolejnej trudnej sprawy. Ani obcego z przerostem ambicji, który za wszelką cenę będzie chciał się wykazać. Nie teraz.

Dalej jechali już w ciszy. Po niecałych dwudziestu minutach mieli dotrzeć na miejsce. Jechali nieodśnieżoną drogą, trzymając się ubitych przez inne pojazdy linii, które wyznaczały w miarę przetartą trasę. Przez pogodę i wzmożony ruch droga była w oplakany stan, a dziury sprawiały, że kierowca wozu policyjnego obawiał się o jego podwozie. Po kilku minutach, podczas których nierówna nawierzchnia wytrzęsła ich razem z samochodem, dojechali na miejsce. Wyrósł przed nimi jednoroz-

dzinny, niewykończony dom, z dużym terenem odgrodzonym siatką, na którym wciąż stały samochody policyjne. Zaparkowali za ostatnim na wjeździe i wysiedli.

Czesław poszedł od razu w stronę budynku, spiesząc się, by wejść do środka i skryć się przed mrozem, który pod lasem wydawał się ostrzejszy niż w mieście. Gdy się odwrócił, zauważył, że Michał stał pomiędzy samochodami i rozglądał się. Nie patrzył jednak na teren posiadłości, ale dalej, o wiele dalej na linie drzew pobliskiego lasu, z którego wiatr sypał śnieżnym puchem.

– Pozwiedzasz później! Chodź, bo zimno! – ponaglił go aspirant, a Michał, nie spuszczać wzroku z tylko sobie znanego punktu, ruszył w kierunku domu. Chwilę później byli w piwnicy, skąd zwłoki zostały już przetransportowane, a na miejscu wciąż krzątały się technicy w fartuchach, maseczkach i rękawiczkach. Rozstawione na stojakach lampy oświetlały wybrane miejsca, w których zbierano ślady traseologiczne. Michał wiedział, że podjęto się identyfikacji obuwia na podstawie pozostawionych odwzorowań powierzchniowych powstałych w wyniku przenoszenia się ofiary bądź napastnika z miejsca na miejsce. Wszyscy zajmujący się oględzinami należeli do komendy wojewódzkiej i nie sprawiali wrażenia, jakby mieli zaraz skończyć pracę, bo odciski i ślady zbierano w całym domu.

Nie zwracano na nich uwagi, jedynie zostali pouczeni, że mają niczego nie dotykać i nie wchodzić na oznaczone miejsca. Ostra woń rozlanego na betonowej podłodze alkoholu drażniła nozdrza. Michał miał wrażenie, że zaraz się upije od samego wdychania tego zapachu.

– Ślady włamania? – spytał aspiranta.

– Nic nie znaleziono. Brat ofiary zeznał, że drzwi wejściowe zastał otwarte i że to nie było normalne. Młodszy z braci zawsze je zamykał, gdy był sam. Co wskazuje na to, że ofiara знаła swojego zabójcę i sama wpuściła go do środka. Ślady walki na pierwszy rzut oka widać tylko tutaj i przy butelkach. Być może to jeden z klientów, który zaopatrywał się u niego w bimber. Zbieramy listę osób, które w ostatnich trzech latach kupowały od ofiary alkohol.

– Sąsiedzi?

– Nikt niczego nie widział. Żadnych pojazdów, żadnych krzyków, normalny wieczór.

– Musiał prowadzić coś w rodzaju notesu, w którym zapisywał, ile sprzedał. Porównajcie, czy przez ostatnie lata stali klienci przychodzili o tych samych porach. Jeżeli tak, niech znajdą trzech następnych w kolejce i trzech ostatnich, którym sprzedał bimber. Może ktoś się oburzył jakością tego, za co zapłacił, a ten nie chciał przyjąć reklamacji.

Michał popatrzył na okienka w piwnicy i zaczął zerkać przez każde z nich.

– Już ci mówiłem, nie ma śladów włamania – powiedział Czesław, chcąc oszczędzić mu pracy.

Komisarz jednak nie reagował i przeszedł od okienka do okienka, aż zatrzymał się przy jednym z nich. Obserwował je przez moment, co nie uszło uwadze aspiranta. Następnie wrócił bez słowa przed taśmę policyjną.

– Mogę? – zapytał najbliższego z techników.

– Proszę. Tylko unikajcie oznaczonych miejsc i niczego nie dotykajcie.

– Ja nie idę. – Kierownik sekcji do spraw zabójstw uniósł rękę, na znak, by szedł sam.

Michał sprawnie zanurkował pod taśmą. Kucnął przed miejscem, gdzie przywiązane było ciało mężczyzny, brudne teraz od zaschniętej krwi i upstrzone odłamkami szkła. Nie był nim specjalnie zainteresowany, odwrócił się i znów popatrzył na okienko. Omiótł wszystko szybkim spojrzeniem i po niespełna kilku minutach podniósł się, przeszedł pod taśmą policyjną i skierował się do wyjścia.

– Już? – zdziwił się Czesław.

– Nie. Zaraz wracam – odparł i opuścił piwnicę. Aspirant odprowadził go podejrliwym wzrokiem, po czym podjął rozmowę z jednym z techników. Michał wyszedł z domu, w którym pracowało w tej chwili sporo osób z komendy, i wrócił na drogę, po czym ruszył nią pod górę. Maszerował w mrozie, trzymając się ubitych przez koła pasów. Po chwili dotarł do miejsca, gdzie droga się kończyła. Linia białego lasu była na wyciągnięcie ręki. Wszedł w śnieg i zatopił się w nim do połowy łydki. Ponownie

skierował swoje kroki pod górę, czując przy tym, jak mokry i zimny śnieg wsypywał mu się do butów, szczypiąc w kostki u nóg i od razu topniejąc. Przebił się przez pierwszą linię leśnej roślinności i zaczął się rozglądać. Nieprzyjemny wiatr ucichł, powstrzymywany przez rosnące gęsto drzewa.

Spojrzał w dół na dom ofiary i poszedł w lewo, przedarł się przez lyse gałęzie krzaków, które strzelały, łamiąc się pod ciężarem jego butów. Śnieg lepił się do drzew i odpadał, gdy Michał się o nie podierał. W końcu, po niedługim czasie, zawiesił wzrok na czymś, co zdawało się być dokładnie tym, czego szukał. Ponownie spojrzał w dół z boczna na dom ofiary. Wydawał się pasować idealnie.

W tym samym czasie aspirant Czesław Bartoszewski wyszedł z piwnicy i szukał Michała.

– Nie widziałaś lajkonika? – spytał policjantkę, na którą natknął się, wchodząc do kuchni.

– Kogo? – zdziwiła się kobieta.

– Faceta, z którym przyjechałem. Czarny płaszcz, zarost.

– A, tak. Wyszedł jakiś czas temu.

– Wyszedł? – zdziwił się – Dzięki.

Załóżł czapkę i ruszył na zewnątrz budynku. Tam również nie odnalazł komisarza. Poszedł zatem na tyły jednorodzinne domu i zajrzał do tira, którym przyjechał brat ofiary, by sprawdzić, czy może czegoś tam nie szukał. W końcu zrezygnowany wrócił do samochodu, nie mając zamiaru dłużej marznąć na tym mrozie. Facet po prostu zniknął. Wsiadł i sięgnął po gruszkę, nawołując centralę.

– Pięćdziesiąt-pięć-pięćset do zero-zero, przydzielono mi do opieki komisarza śledczego z Krakowa Michała Ptaka. Przyjechał dziś rano. Czy możecie mi zorganizować jego numer telefonu?

– Nie podaś ci? – zdziwił się głos w radiu.

– Nie, a gdzieś mi zniknął.

– Jak to zniknął?

– Możesz mi zorganizować ten numer?

– Moment.

Czesław siedział w zimnym samochodzie i czekał na odpowiedź. Zniecierpliwiony sięgnął po gruszkę, by popędzić funkcjonariuszkę centrali, kiedy do poloneza wsiadł Michał i zatrzęsął za sobą drzwi. Ściągnął od razu rękawiczki z dłoni i zaczął w nie chuchać. Jego palce były czerwone jak papryka.

– Gdzie ty byłeś? – odezwał Czesław z irytacją w głosie. – Szukałem cię.

– Byłem popytać po sąsiadach. Nikt nie chciał gadać.

– Od tego są operacyjni, nie ty. Na komendzie dostałbyś raport z przesłuchań.

– Wolałem ich sam zapytać. Zwłaszcza gdy przychodzi się do nich w cywilu, to są bardziej skłonni do gadania. – Rozpiął płaszcz, by się ogrzać. – Możesz odpalić? Zamarzam.

– I byli skłonni?

– Nie. – Pocierał dłonie o siebie. – Możemy jechać? Tutaj niczego więcej się nie dowiem. Zawieź mnie do prosektorium, chcę zobaczyć zwłoki.

– Pięćdziesiąt-pięć-pięćset do zero-zero, odpusćcie z tym numerem. Już się znalazł – powiedział Czesław przez gruszkę.

– Przyjęłam – odpowiedział głos z radia.

Michał wygiął się, by sięgnąć po pasy bezpieczeństwa, a Czesław zerknął na jego szyję, którą pierwszy raz miał okazję zaobserwować. Nie uszło to uwadze Michała, więc aspirant szybko odwrócił wzrok. Odpalił auto i wrzucił wsteczny bieg. Ruszyli z powrotem do Nowego Sącza. Gdy tylko wyjechali na drogę główną w Michalczowej, Michał podjął rozmowę, nie chcąc odpuścić powracającego tematu.

– Coś nie tak? Odnoszę wrażenie, że mi się przyglądacie, od kiedy pojawiłem się w drzwiach komendy. Wyjaśnisz mi, o co tu chodzi? – zaczął i poczuł dziwne napięcie płynące od Czesława, który na-

stępny bieg w skrzyni wrzucił nieco agresywniej. Dotarło do niego, że Michał nie odpuści, w związku z czym nabral powietrza w płuca i odparł:

– Wiesz... – Zaczesał włosy. – Kiedy będziesz w moim wieku i zobaczysz tyle, co ja, pewne rzeczy będziesz umiał dostrzec od razu. Czy potrafisz je udowodnić, czy też nie. Ludzie wcale się tak od siebie nie różnią i wszyscy popełniają te same błędy, mimo iż myślą, że są kreatywni i wszystko wcześniej przemyśleli. Tak jak w przypadku tego zabójstwa, niby jest podobne do mordercy sprzed piętnastu lat, ale ja byłem wtedy przy tym, jak go ścigali. Pamiętam komendanta, który w tamtym czasie nie był w zasadzie jeszcze komendantem, jak przez miesiąc chodził w czapce w samym środku lipca. Myślał, że nikt nie zauważy jego odciętego ucha. Nie miałem dużego wpływu na tę sprawę, ale trup z odciętym uchem był moją pierwszą. Pierwszy trup, pierwszy raz na miejscu zbrodni, a pierwszego razu się nie zapomina. I mówię ci, to, co zobaczyłem w tej piwnicy – wskazał kciukiem za siebie – to nie jest ten sam zabójca.

Znów zmienił bieg i poprawił lusterko.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Michał wplótł nitkę grozy w pozornie spokojny ton.

Aspirant trzymał głowę prosto, ale wzrokiem uciekał na fotel pasażera. Nerwowo przejechał językiem po wewnętrznej stronie policzka i odruchowo zaczesał włosy palcami.

– Tak jak w twoim przypadku – powiedział cicho. – Oczywiście jest to, że coś ukrywasz.

– I cóż to takiego? – Michał nie zmieniał wyrazu twarzy.

– Tego nie wiem. Jednak w znakach szczególnych jest wyraźnie napisane, że na szyi powinieneś mieć dużą bliznę po oparzeniu, a twoja szyja jest czysta jak łąka. Takie rany się nie goją bez śladu. No i jesteś młodszy, niż to stoi w papierach. Nie wiem, czy komendant o tym wie, domyślałem się, że tak. Ale wysyłanie do Sąca kogoś pod przykrywką nie jest fajne.

W czasie gdy Czesław dzielił się swoimi przemyśleniami, Michał zaczął wolno przesuwając dłoń po płaszczem tak, by nie wzbudzić podejrzeń starszego kierownika sekcji do spraw zabójstw. Wiedział, że ten się domyślił. Wiedział, że może go zdemaskować. Jeżeli tylko komendant się o tym dowie i zadzwoni do komendanta z Krakowa, będzie po nim. Czuł, jak wali mu serce, a w gardle jakby stanęła mu piłeczka do tenisa. Nagle chłód już mu nie przeszkadzał.

– Posłuchaj – wtrącił jeszcze aspirant. – Nie wiem, w jaką ty i komendant gracie gierkę, ale jestem wkurwiony, że tak ze mną pogrywacie. Jestem starszy od komendanta i zasłużyłem, by mnie traktować z szacunkiem. A teraz mam w samochodzie kogoś, o kim nie wiem, czy jest tym, za kogo się podaje, i po co tak naprawdę ci pokazuję te wszystkie rzeczy, skoro zapewne nie dlatego tu jesteś.

– Czy to ci właśnie powiedział portier? On też zauważył brak blizny?

– Nie, jemu nie zgadzał się rocznik i kolor oczu. Widzisz, przyjazd kogoś z dużego miasta jako wsparcie w sprawie niewykraczającej poza nasz teren nie przechodzi się na komendzie bez echa. Każdy chciał wiedzieć, kogo przysyłają, więc czytali o tobie wszystko, co jest w twoich w papierach. A te wskazują na inną osobę, przynajmniej w mojej opinii. Dlatego uprzedził mnie co do ciebie, bym nie mówił ci o problemach innych pracowników, bo możesz na nich donieść, zwłaszcza teraz, gdy czasy są niepewne i brakuje pieniędzy. Ludzie boją się o swoje posady. Po czym zabieram cię na miejsce zbrodni, a ty znikasz jak duch, twierdząc, że chciałeś rozmawiać z sąsiadami. Ale tak jak mówię, to nie jest moja sprawa, w jakim celu komendant cię tu wysłał ani kim jesteś naprawdę. Nie mam jednak zamiaru pozwalać się tak dłużej traktować, gdy wrócimy na komisariat, będziesz musiał znaleźć sobie innego szofera.

Michał trzymał dłoń nisko, w gotowości, by sięgnąć po broń, i czekał tylko na odpowiedni moment. Nie dowierzał temu, jak mógł być tak głupi, by nie sprawdzić w książeczce na znaków szczególnych komisarza śledczego, którego zamierzał udawać. Napięcie, jakie panowało teraz w polonezie policyjnym, było niemal namacalne. Żaden z nich już się nie odezwał. Michał zacisnął pięść na broni skrytej pod płaszczem od strony drzwi. Jeżeli wrócą do komendy razem, będzie zdany na jego łaskę. Jeżeli to się

wyda, długie lata spędzi w więzieniu, bo sprawa była o wiele poważniejsza, niż aspirant podejrzewał. Nie mógł sobie na to pozwolić. Wtedy do głowy wpadł mu pewien pomysł.

– Musimy wrócić, bo zapomniałem o...

– Czy jest ktoś w okolicach Łososiny Dolnej? – głos z radia przerwał jego wypowiedź.

– Zgłaszam się – odezwał się Czesław, chwytając za gruszkę.

– Otrzymaliśmy zgłoszenie od Kalickiej. Jej mąż jest agresywny. Mówiła, że może ją skrzywdzić. Była bardzo przejęta, mąż może mieć broń.

– Przyjąłem. Już jedziemy.

Odłożył gruszkę.

– Nie mamy na to czasu! – oburzył się Michał – Niech wyślą kogoś innego!

– To nie jest pierwsze zgłoszenie. Kobieta ma chorego psychicznie męża, normalnie nie jest groźny. Tylko jak poczuje alkohol w ustach. Facet ciągnie tak dniami. Wtedy jest nieobliczalny. Skoro zadzwoniła, to musi być duży problem i nie chcę mieć jej na sumieniu. To niedaleko, a z Sącza patrol będzie jechał około czterdziestu minut. Po drodze na komendę jest izba wytrzeźwień, zostawimy go tam. Dużo nie stracisz.

Michał parsknął i odwrócił głowę w stronę szyby. Samochód zawrócił i ruszył w przeciwnym niż dotychczas kierunku. „Gorzej być nie mogło” – podsumował w myślach. Teraz nie będzie chwili, kiedy znajdą się bez świadków, a skoro centrala wie, że przyjęli zgłoszenie, co by się nie wydarzyło, będą w stanie połączyć kropki. Wziął wdech i uspokoił myśli. Okazało się, że rzeczywiście nie jechali daleko.

Po kilku minutach wjeżdżali już w boczną uliczkę nieopodal trawiastego lotniska dla małych samolotów. Dojechali do końca ulicy, która ciągnęła się pod górę, aż znaleźli się przed dwupiętrowym domem wyłożonym małymi, białymi kamyczkami. Ogrodzenie zbudowane z pospawanych ze sobą i pomalowanych na czarno sztachet miało bramę składającą się z dwóch skrzydeł, które przymocowane były do siebie jedynie drutami. Zatrzymali się, wjeżdżając kołami na chodnik, i dali sygnał syreną, by poinformować, że dotarli na miejsce.

– Skoro jest chory psychicznie, to dlaczego go nie zamkniecie? – zapytał Michał, patrząc na okna domu i rozciągając w dłoniach czapkę.

– Rodzina nie chce złożyć petycji o przymusowe leczenie. Twierdzą, że zrobią mu tym krzywdę, a on nigdy im nie wybaczy. Bez tego nie możemy nic zrobić.

– I lepszym rozwiązaniem jest żyć z zagrożeniem, że w końcu ktoś zajebie we śnie?

– Oddałbyś osobę z rodziny do zakładu?

– Jeżeli to miałyby tej osobie pomóc.

– Czy komukolwiek kiedykolwiek pomogło zamknięcie w czterech ścianach?

Spojrzeni na siebie poważnie, po czym założyli czapki i wysiedli z policyjnego poloneza. Aspirant pociągnął za furtkę, ale ta była zamknięta. Michał zauważył, że w oknie domu obok sąsiedzi z zaciekawieniem obserwowali całe zajście.

Czesław chwycił druty wiążące bramę i zaczął je odkręcać, co nie okazało się trudne. Pchnął lewe skrzydło. Nadmiar śniegu, który uzbierał się na niej, zsunął się, a dwa kruki siedzące na łysym drzewie w ogrodzie, poderwały się do lotu. Brama stawiała opór, trzymana nieodgarniętym śniegiem, pchnął zatem mocniej, robiąc miejsce, by się przecisnąć. Zimne powietrze dostawało się przez szczeliny w ubraniach i nieprzyjemnie chłodziło skórę. Michał zauważył, że aspirant wyciągnął broń z kabury, przeładował ją, by była gotowa do wystrzału i zaciągnął przycisk bezpieczeństwa.

– Co robisz? – spytał zdziwiony.

– Słyszałeś centralę. Powiedzieli, że może być niebezpieczny. Lepiej być ostrożnym.

– Schowaj to, bo jak zobaczy, że trzymasz broń, to dopiero wtedy zrobi się niebezpieczny – skomentował Michał.

Podeszli do drzwi wejściowych i zapukali, jednak nikt się nie odezwał.

– Dzień dobry, policja! Proszę otworzyć – powiedział Czesław donośnym głosem. – Chcemy tylko porozmawiać. Halo?

Zapukał raz jeszcze i wtedy Michał pociągnął mocno za klamkę. Drzwi były zamknięte.

– Co robisz? – oburzył się aspirant.

– Mówiłeś, że jest niebezpieczny, a w środku jest bezbronna kobieta. Wiemy, że tam są. Siedzi cicho, bo liczy na to, że sobie pójdziemy.

– Cicho – warknął aspirant, wykrzywiając twarz w nerwowym grymasie, po czym kontynuował szepem: – Nie mamy nakazu i nie możemy tak po prostu wejść do środka. Nie będę na stare lata odpowiadał za włam. Poczekamy jeszcze, może otworzą.

– Jaki włam? Ratujemy kobietę. – Michał wyraźnie się zdenerwował. – Może ją teraz dusić.

– Bez przesady, to jego żona.

Michał uniósł brwi i cierpko się uśmiechnął. Aspirant wiedział, że się wygłupił.

– Pukaj dalej, idę to zgłosić.

Michał uderzył pięścią w drzwi kilka razy, aż huczało, jednak Czesław złapał go za rękę, by się pohamował.

– Wiemy, że tam jesteś! – kontynuował komisarz. – Otwórz, jeżeli nie chcesz problemów. I lepiej żebyś nie zrobił krzywdy swojej żonie! Masz pięć sekund albo wyważę te jebane drzwi!

– Michał! – krzyknął starszy policjant, zdenerwowany jego nieprofesjonalnym zachowaniem.

– Spierdalać! Nie otworzę! – Dobiegł ich głos zza drzwi, a Michał uśmiechnął się zadziornie do stojącego obok gliny.

– Otwieraj natychmiast, póki chcemy rozmawiać! – zawołał. – Nie odejdziemy stąd, dopóki nie upewnimy się, że wszyscy w domu są bezpieczni! Takim zachowaniem pogarszasz sytuację! Nie zmuszaj nas, byśmy cię aresztowali! – Pociągnął za klamkę. – Otwieraj! – krzyknął ponownie, wyraźnie tracąc cierpliwość.

– Czy pańska żona jest z panem w środku!? – dopytał aspirant. – Chcemy z nią porozmawiać, to wszystko.

– Uciekła! Nie ma jej! – odparł głos zza drzwi. – Pewnie żeście widzieli na drodze, jak zdupcała!

– Mam wyważyć te drzwi!? – odezwał się Michał.

– Wejdziesz, to zajebię siekierą!

– Masz siekierę!? – Cofnęli się i złapali za broń.

– Mom, a co! Wydupcać stąd, bo obu posiekom!

Wtedy uniósł się hałas czegoś niszczzonego, przypominał odgłos walki. Michał zaczął szarpać za klamkę, a Czesław zbiegł z ganku.

– Ty, kurwa, gdzie!? – zawołał Michał.

– Idę to zgłosić!

– Co chcesz zgłosić? Musimy go zawinąć!

– Facet jest nieobliczalny i ma broń, potrzebne jest wsparcie i nakaz wejścia!

– Dla jednego typa!?

– Nie wiemy, ilu ich tam jest!

Czesław był tuż przy bramie, gdy usłyszał odgłos tłuczonej szyby. Odwrócił się i ujrzał Michała, który wślizgiwał się właśnie do środka przez wybite okno.

– Pojebało cię!? Nie wchodź tam! – krzyknął, jednak Michał zniknął pod firanką i sekundę później uniosły się krzyki i odgłosy walki. – Kurwa!

Czesław pobiegł do poloneza i wskoczył do środka.

– Pięćdziesiąt-pięć-pięćset do zero-zero! Potrzebne natychmiast wsparcie do zgłoszenia! Napastnik jest uzbrojony w siekiere i jest niebezpieczny. Komisarz Michał Ptak wbiegł do środka mimo mojego zakazu, wchodzę jako wsparcie!

– Przyjęłam, wysłałam patrol i karetkę!

Aspirant wyskoczył z auta, nie zamykając drzwi i podbiegł do rozbitego okna. Widząc, że framuga jest czysta, wdrapał się na nią i wpadł do środka na potłuczone kawałki szkła, które chrupnęły pod jego ciężarem. Podniósł się i złapał za broń, z której zwolnił skrzydełko, odciągając kurek zabezpieczający. Był w salonie. Dostrzegł starą kanapę i meble ściankowe, na których stał pęknięty telewizor. W powietrzu widać było unoszące się drobinki kurzu. Zestresowany, z buzującą w żyłach adrenaliną podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i ostrożnie się wychylił. Nikogo nie dostrzegł, hałasy walki docierały z piętra. Wbiegł po drewnianych schodach, przez których środek ciągnął się wąski dywan.

Serce waliło mu jak młotem, nie był na takiej akcji od lat. Gdy dotarł już na górę, zauważył mały przedpokój z czterema drzwiami. Usłyszał kolejny huk. Wbiegł do jednego z pokoi, który wyglądał jak graciarnia zasypana starymi meblami, rowerami i niepotrzebnymi rzeczami upchniętymi wzdłuż ścian. Na środku, przy drewnianych schodach, stał Michał, łapiąc oddech. Był czerwony od wysiłku i wycierał właśnie nos w rękaw.

– Jesteś cały!? – zapytał Czesław i zerknął do dziury w suficie prowadzącej na strych.

– Tak... – odparł Michał zdyszany i rozpiął czarny płaszcz. – Spoko.

– Ranił cię?

– Nie – oparł ręce na biodrach – uderzyłem go w zęby i pękła mu warga. – Uniósł pięść, na której skóra była przetarta do krwi. Wziął jakąś szmatkę leżącą na stercie starych mebli, trzepnął nią mocno i przyłożył do skaleczonej pięści.

– Schował się tam? – dopytywał aspirant, patrząc na strych.

– Tak. – Michał wskazał na drewnianą drabinę.

Czesław zaczął się ostrożnie wspinać, chcąc się upewnić. Nadal trzymał w jednej dłoni pistolet. Jego oddech nie zwalniał, gdy stopień po stopniu powoli wdrapywał się na strych. Napastnik wyłonił się nagle i machnął siekiere, celując w jego głowę. Aspirant schylił się w ostatniej chwili i runął z hukiem na drewniane schody, pistolet wypadł mu z ręki, uderzając o podłogę. Stanął na nogi i podniósł go.

– Kurwa mać! – krzyknął i wycelował w małe drzwiczki. – Odciałyb mi głowę!

– Mówiłem, żebyś uważał – powiedział Michał spokojnie, odrzucając szmatkę na bok.

– Nie mówileś!

– No to teraz mówię. Wezwalesz wsparcie?

– Tak, karetka i posilki są już w drodze.

– Słyszałeś!? – ryknął Michał. – Kolejni policjanci tu jadą razem z karetką! Karetka nie jest dla nas, chcę zauważyć! Odłóż siekiere i złaż tutaj albo skończysz w jebanym worku! Ja mam to w sumie w dupie!

– Jok zejde, to mnie zastrzelisz! – Uslyszeli dobiegającą ze strychu odpowiedź.

– Zrobię to, jak tu nie zajdziesz! – Michał kopnął drabinę.

– Ej, ej... – upomniał go Czesław. Widział, że jego towarzysz przesadza. Ten jedynie wzruszył ramionami. – Proszę pana, proszę mnie chwilę posłuchać. Uważam, że powinniśmy wszyscy wziąć kilka wdechów i się uspokoić. Zacznijmy od początku. Nikt pana nie zastrzelił ani nikt nie zrobił panu krzywdy. Przyjechalimy tutaj, by pomóc panu i pana żonie. Proszę odłożyć siekiere i zejść na dół z uniesionymi wysoko rękami. Tak, bym je widział. Pojedzie pan z nami na komende, tam wszystko wyjaśnimy, a później wypuścimy pana do domu. Czy to brzmi dla pana rozsądnie?

– Tak jak ten drugi narwaniec, co mi szybę wyjebał!?

– Sam się prosiłeś! Mówiłem, co się stanie, jak nie otworzysz!

– Daj spokój – skarcił go aspirant. – Mój kolega przesadził, ale musi być pan świadomy, że jeżeli pan nie zejdzie dobrowolnie i nie odda broni, będziemy zmuszeni zabrać pana siłą. Wtedy przez przypadek możemy wyrządzić panu krzywdę, a tego nie chcemy. Niech pan z nami współpracuje.

Zapadła cisza. Michał i Czesław spojrzeli na siebie, po czym spoglądali spod różnych kątów w otwór w suficie, chcąc dostrzec mężczyznę z siekierrą.

– Decyduj się! – ponaglił go Michał.

– Dobra! Schodzę! Tylko nie szczyble! – Usłyszeli głos dobiegający ze strychu i zrobili krok w tył.

– Proszę odłożyć siekierrę na podłodze i wolno zejść po drabinie. Bez gwałtownych ruchów – instruował go aspirant.

– No idę.

Usłyszeli stukot odkładanej na podłogę siekiery. Ujrzeni pierwszą nogę zatrzymującą się na stopniu drabiny. Mężczyzna pod pięćdziesiątkę schodził powoli, jak mu kazali. Kucnął, żeby się im przyjrzeć, a oni stali nieruchomo, obserwując każdy jego ruch. Będąc już na dole, odwrócił się do nich z rękami w górze. Miał długą, zaniedbaną i zakrwawioną teraz brodę, nosił stary brązowy sweter, za duży o jeden rozmiar. Rozglądał się przestraszony po całym pokoju, przeskakując wzrokiem z jednego na drugiego policjanta.

– Proszę oprzeć ręce za głowę i położyć się na brzuchu. Skuję panu ręce i poczekamy razem spokojnie na przyjazd karetki. Sprawdź, czy nic panu nie jest, okej?

Przytaknął, po czym zrobił, jak kazali. Następnie aspirant włożył pistolet do kabury i sięgnął po kajdanki. Klęknął za mężczyzną i ściągnął mu jedną rękę w dół. Michał w tym czasie stanął za nim w formie wsparcia. Wykorzystując jednak sytuację i nieuważę starszego policjanta, sięgnął po jego pistolet włożony do kabury, a Czesław odskoczył zdezorientowany z rękami w górze i szerokimi ze strachu oczami. Michał, nie czekając ani chwili, strzelił dwa razy w jego klatkę piersiową. Aspirant potknął się o leżącego i padł na plecy z krótkim krzykiem. Mężczyzna zawył przestraszony i zerwał się na kolana, ale Michał wycelował w niego pistoletem.

– Leż, kurwa! – zagroził mu – Leż albo zabiję jak psa!

Mężczyzna wrócił do pozycji na brzuchu, złapał się za głowę i płakał ze strachu. Michał podszedł do aspiranta, z którego uchodziło życie. Kałuża krwi pod nim powiększała się z każdą sekundą. Kucnął i kiwał głową ze skwaszoną miną, widząc, jak starszy aspirant dawi się krwią przez przestrzelone płuca. Nie mógł nabrać powietrza, dusił się, a czerwony płyn wylewał się z jego ust, cieknąc wężykami po policzku oraz plamiąc gęsty wás.

– Powiedziałeś mi, że w tym wieku pewne rzeczy widzisz od razu. – Michał wzruszył ramionami. – Tego nie zauważyłeś. Twój kumpel zza okienka miał rację, by nic mi nie mówić. Kiedy wyjawileś, że masz zamiar donieść na mnie do komendanta, w zasadzie sam wydałeś na siebie wyrok. Nie miałem innego wyboru – uzasadnił, po czym wstał i wycelował. – To nic osobistego. Złe miejsce i zły czas.

Strzelił raz jeszcze, przebijając serce. Następnie zerknął na leżącego mężczyznę, który popuścił w spodnie. Michał usłyszał nadjeżdżający z oddali patrol na sygnale, wiedział, że nie miał dużo czasu. Odwrócił się do mężczyzny.

– Wstawaj – rozkazał, ale ten nie słuchał. – Wstawaj, kurwa, bo dostaniesz kulkę!

Mężczyzna zerwał się na nogi i trzęsąc się cały, ze łzami w oczach patrzył błagalnym wzrokiem na Michała, który opuścił rękę trzymającą pistolet, co odrobinę uspokoiło starszego lokatora. W tej samej chwili Michał sięgnął drugą ręką pod płaszcz, wyjął swoją spluwę i wpakował cztery strzały w klatkę mężczyzny, który padł na drewniane schody. Schował pistolet, po czym w pośpiechu złapał trupa za nogawki, dosuwając jego krocze do plamy, jaką zrobił wcześniej, by zgadzała się odległością. Mężczyzna charknął jeszcze jeden raz, oczy schowały się za powiekami i wydał ostatni dech.

Patrol był już przed domem. Michał sięgnął po szmatkę i przetarł broń aspiranta, pozbawiając ją swoich odcisków palców. Włożył ją w dłoń martwego policjanta, a następnie zabrał, wsunął między palce nieżywego lokatora i tam ją zostawił. Rozejrzał się jeszcze, czy wszystko się zgadza, po czym

zszedł na dół i zatrzymał się przed głównymi drzwiami. Widział trzech policjantów idących w stronę drzwi wejściowych. Wszyscy mieli w rękach broń.

Wziął głębszy wdech, przygotowując się do odegrania swojej roli. Przekręcił klucz i wyszedł na zewnątrz, trzymając się ręką za głowę z miną załamane i poruszonego człowieka. Wycelowali w niego, ale on udawał, że nic sobie z tego nie robi. Stał do nich bokiem i patrzył na dom.

– Stój! Unieś ręce tak, byśmy je widzieli!

Przytakiwał głową z teatralnie smutną miną. Uniósł ręce i odwrócił się do nich przodem.

– Nazywam się Michał Ptak, jestem komisarzem śledczym z komendy wojewódzkiej w Krakowie. Przyjechałem tutaj z kierownikiem sekcji do spraw zabójstw Czesławem Bartoszewskim na interwencję. Aspirant został zastrzelony ze swojej broni przez napastnika, gdy próbował skuć go kajdankami.

– A napastnik!?! – krzyknął jeden z policjantów.

– Zastrzeliłem go, zanim zdążył strzelić do mnie.

– Kurwa mać! – skomentował jeden z nich – Wołaj tych z karetki!

Jeden z funkcjonariuszy pobiegł do samochodu, by ich ponaglić przez radio. Michał zauważył, że policjanci wycelowali bronią w kogoś za nim. Odwrócił się i dostrzegł starszą kobietę, odzianą w sukienkę i rozpięty sweter, która stała w drzwiach z czerwonymi oczami, przerażonymi i mokrymi od łez.

– To on ich zabił! – wskazała palcem na Michała. – Wszystko widziałam!

ROZDZIAŁ 4

Starsza posterunkowa

Było zimno. I nie było to jego największe zmartwienie na ten moment. Siedział na przymocowanym do podłogi krześle w celi Komendy Miejskiej Policji w Nowym Sączu. Pobrali mu już odciski palców. Minie czterdzieści osiem godzin, zanim wrócą z analizy i pewne będzie, że nie jest tym, za kogo się podaje. Zatrzymanie ma potrwać czterdzieści osiem godzin, o ile sąd nie zadecyduje o tymczasowym aresztowaniu. Odmówiono mu telefonu oraz audiencji u komendanta. Miejscowi patrzyli na niego, jakby chcieli go udusić za to, że doprowadził do śmierci jednego z nich. Wiedzieli, że wymusił wejście bez wsparcia, a teraz ta szalona kobieta wykrzykiwała, że zabił aspiranta z zimną krwią.

Kierownik sekcji do spraw zabójstw Czesław Bartoszewski był jedną z najstarszych osób pracujących w komendzie. Zdobył kilka dobrych osiągnięć na początku swojej kariery, przez co szybko jego nazwisko znalazło się w gronie śledczych w Nowym Sączu i poza nim. Nieoszlifowany diament, można by rzec. Zaliczył jedną wpadkę podczas akcji zatrzymania podejrzanego o morderstwo, kiedy to pomylił piętro, na którym miała znajdować się osoba podejrzana, przez co morderca uciekł i zanim znów go namierzili, zabił jeszcze jednego człowieka. Bartoszewski źle to przyjął, obwiniając siebie. Ta wpadka i dalsze, już asekuracyjne poczynania odsunęły go od drabiny awansów. Stał się bierny, nie lubił ryzyka i każdemu je odradzał. Był wyrozumiały dla wszystkich w komendzie, gotowy służyć radą, pocieszyć czy wstawić się za słabszymi przed komendantem. Gdy komuś brakowało papierosa, on zawsze mógł go poratować fajką. Był takim wujkiem „Dobra Rada”, choć nikt nigdy go nie zapytał, jak się czuje i jak sobie radzi.

Wszystko to Michał usłyszał od policjanta z patrolu, który przyjechał jako wsparcie do zawiadomienia o interwencji, podczas której Czesław został zabity swoją własną bronią przez człowieka grożącego mu wcześniej siekierą. Taką wersję przynajmniej podał podszywający się pod komisarza Michała Ptaka mężczyzna. Siedząc na tylnym kanapie, zakuty w kajdanki i odgrodzony kratką od kierowcy i pasażera, chcąc czy nie chcąc, zmuszony był słuchać wielu takich historii o zabitym aspirancie do czasu, aż dotarli do komendy.

„Nie wygląda to dobrze” – podsumował w myślach.

Było zimno, para wydostawała się z ust przy każdym wydechu. W celi otulonej półmrokiem temperatura powinna utrzymywać się na poziomie osiemnastu stopni Celsjusza, ale jego zdaniem była o wiele niższa. Podniósł się i zabrał koc z łóżka ułożonego z drewnianych skrzyń. Nie było poduszki, nie mógł nawet marzyć o materacu. Deski i śmierdzący, stary koc były wszystkim, na co mógł liczyć. Nie były to standardowe warunki spędzania czasu w areszcie, co było przejawem „gościnny” miejscowych. Rozejrzał się po szarych ścianach i spojrzał na ciemne, wzmocnione drewniane drzwi z wizjerem pośrodku. Nie otworzyły się, odkąd go tutaj zamknęli, poza jednym momentem, kiedy podano mu posiłek składający się z kawałka mięsa i dwóch ziemniaków. Usiadł na krześle i zarzucił na siebie koc. Cuchnął okropnie, ale przy tak niskiej temperaturze było to lepsze niż zamarznięcie. Beżowy mundurek więzienny ze swoją lichą grubością nadawał się jedynie do spacerów wczesną jesienią. Buty, które mu dali, nie miały sznurówek. Z paskiem w spodniach, z oczywistych względów, również nie mógł tu siedzieć.

Zabrali mu ciuchy, wszystkie. Zabezpieczono je jako dowody zbrodni, i w oparciu o zebrane z nich ślady, będą starali się ustalić pewne fakty bądź wykluczyć jego winę. W tym przypadku wiedział, że będą się bardzo przykładać, by sprawa zakończyła się aktem oskarżenia i skazaniem. Jak mógł nie zorientować się, że kobieta była w środku? Zawiadomienie złożyła osoba, która mieszkała z szaleńcem

wymachującym siekierą. Gdyby zdołała wybiec, zapewne czekałaby na patrol przed domem. „Jak mogłem tego nie zauważyć?” – powtarzał w myślach, nie mogąc się z tym pogodzić. Jednak jego największym zmartwieniem nie było to, że badania udowodnią, że nie jest osobą, za którą się podaje, tylko fakt, że ustalona zostanie jego prawdziwa tożsamość. A gdy do tego dojdzie... zamieszanie dopiero się zacznie.

Oparł głowę o zimną ścianę.

– Kurwa – skomentował pod nosem. W tej samej chwili usłyszał szuranie butów po drugiej stronie drzwi, a następnie trzask przekręcanego starego zamka. Drzwi się otworzyły, a do środka weszło dwóch policjantów z kajdankami połączonymi cienkim łańcuchem. – Bez jaj – rzucił oburzony.

– Wstawaj – rozkazał jeden z nich ostrym tonem. – Plecami do nas.

Michał podniósł się ospale, co wyraźnie wskazywało na jego frustrację. Zaczęli zakuwać mu zarówno ręce, jak i nogi. Usłyszał odgłos zębarki w kajdankach i wzdrygnął się z bólu, gdy zacisnęły je za ciasno. Nie zwrócił im jednak uwagi. Nie chciał dawać im tej satysfakcji.

– Rusz dupę – rozkazał młodszy, patrząc na niego wyzywająco, po czym pchnął go, wymuszając na nim marsz.

Wyszli na korytarz. Prowadzili go między innymi celami, potem skierowali się po schodach w górę, aż dotarli do portierni. Został zmierzony przenikliwym wzrokiem przez pomocnika oficera dyżurnego, któremu nie podobał się od początku. Nie zatrzymywali się jednak, tylko wchodzili wyżej. Eskortujący go ambitny, młody policjant wymuszał szybkie tempo. Michał z trudem pokonywał wysokie, stare stopnie za bytkowej kamienicy, aż łańcuszek trzymający jego nogi zadzwonił od naprężenia, blokując kroki, i męczyzna runął na schody.

– Wstawaj! Zmęczyłeś się już? – parsknął szyderczo funkcjonariusz.

Michał chciał mu odpowiedzieć, sprowadzić go na swoje miejsce, ale wziął spokojny wdech i rozluźnił zaciśnięte pięści, pozwalając napięciu rozejść się po ciele. Każdy akt czy agresywna postawa w jego obecnej sytuacji będą działały na jego niekorzyść. A problemów miał aż nadto. Przełknął ślinę i zaczął się podnosić ze schodów, brudnych od wnoszonych na spodach butów kamyczków i piasku. Podpierając się na kolanie, uniósł głowę i zauważył, że schodziła nimi właśnie blondynka, którą spotkał rano w gabinecie komendanta. Nie zabrakło na jej nosie zgrabnych okularów w czerwonej oprawce, które jego zdaniem dodawały jej uroku. Kątem oka zerknęła na jego skute nogi i ręce, po czym spotkali się wzrokiem, ale tylko na ułamek sekundy. Była tak samo zaskoczona sytuacją jak i on.

– Ruszysz w końcu dupę? Czy potrzebujesz zaproszenia na piśmie?

– Chętnie bym na nie poczekał.

Policjant złapał go za ubranie i podniósł siłą na nogi.

– To nie przystanek – warknął.

Michał ruszył w górę, stopień za stopniem. Dotarli na drugie piętro, gdzie znajdowały się pokoje przesłuchań. Weszli do środka jednego z nich. Na prawo od drzwi stał mały stolik, dosunięty do ściany. Na nim znajdował się komputer z dużym monitorem i żółkniętą klawiaturą, na której część liter została wytarta przez spocone palce pracowników komendy. Po lewej stronie stała ciężka szafa wypełniona dokumentami i papierami. Teraz była otwarta, a kłódka, na którą była zamykana, wisiała jak leniwiec zahaczona o kółko. Usiadł na krześle, ale nie zdjęli mu kajdaneł, które w jego ocenie były spięte za ciasno. Czuł, jak ranią mu nadgarstki i kostkę u lewej nogi. Prokurator siedział wpatrzony w monitor i coś jeszcze zapisywał na komputerze. Pozostali policjanci wyszli z pomieszczenia.

Prokurator Janusz Perła był człowiekiem starszej daty, jednak nie tak, jak Czesław Bartoszewski, a już na pewno nie o tej samej reputacji. Miał lekki zarost, rzadkie włosy ścięte na języka, koszulę w kratę i dziwny sygnet na palcu prawej dłoni. Gdy skończył swoją robotę przy komputerze, podsumował to ostrym jebnięciem w klawisz „Enter”, podobnie jak robił to komendant. Następnie odsunął się od ekranu, tak by widzieć Michała siedzącego na drewnianym, szkolnym krześle. Prokurator zapalił

papierosa i zmrużył oczy, które piekły go od dymu. Odłożył okulary na stolik i palcami wymasował miejsca, gdzie opierały się na nosie.

– Nazywam się Janusz Perła i jestem prokuratorem. Będę prowadził postępowanie mające na celu wyjaśnienie okoliczności zabójstwa aspiranta Czesława Bartoszewskiego. Chciałbym, żebyś wprowadził mnie w sprawę ze wszystkimi szczegółami. Pojawili się kilka godzin temu, a teraz siedzisz podejrzany o dwa zabójstwa. W tym policjanta na służbie – ciągnął. – Jak długo pracuję, drugiego takiego przypadku nie znam. Zanim zacznę pisać, czy chcesz powiedzieć coś poza protokołem? Coś wydawało ci się dziwne? Może coś zauważyłeś? Potraktuj to jako przysługę po fachu.

– Chcę rozmawiać z komendantem – odparł Michał, patrząc mu pewnie w oczy.

– Tylko z nim?

Michał nie odpowiedział. Prokurator przytaknął, pochylając się w jego stronę.

– A czemu akurat z nim? Liczysz na jakieś specjalne względy?

Siedział i czekał.

– Komendanta nie ma. Wyszedł. Nie jestem pewien, czy w ogóle wie, że siedzisz w celi.

– To go poinformujcie.

Prokurator patrzył na niego przez chwilę, zaciągając się.

– To nie mój obowiązek. Zresztą w czym miałyby ci pomóc?

– W wyjaśnieniu tego gówna – uzasadnił. – Powiem to, co powiedziałem już wcześniej. Przyjechałem na miejsce zbrodni i zobaczyłem, co miałem zobaczyć. Gdy wracaliśmy, aspirant Bartoszewski przyjął zlecenie, którego nie powinien przyjmować. Nie jest od tego. Pojechaliśmy, gość miał siekiere i w domu miała być kobieta, której groził śmiercią, więc weszliśmy do środka, by jej pomóc. Spierdolił na strych, a gdy zszedł, twierdząc, że się poddaje, zabrał aspirantowi Bartoszewskiemu broń, którą ten wcześniej włożył do kabury i nie zabezpieczył. Potem go zastrzelili. Ja wyciągnąłem swoją i strzeliłem, zanim zdążył zabić i mnie. Była to samoobrona, mówiłem już o tym na miejscu zdarzenia. Przyjechałem tutaj rozwiązać sprawę mordercy, który odcina ludziom uszy i dokładnie to mam zamiar zrobić. Jeżeli oczekujecie tu ode mnie, bym w momencie, gdy napastnik zabija mundurowego i zaraz potem celuje we mnie, zareagował jedynie próbą polubownego rozwiązania sporu, to przykro mi, ale to się nie wydarzy. Proszę, panie prokuratorze, ma pan swoje zeznania poza protokołem. Teraz zawołaj tu komendanta.

Prokurator patrzył na niego spod byka i przeszywał go wzrokiem na wylot. Nie wierzył mu.

– Przecież to podpucha miejscowych gangów, żeby zmylić nasz trop. Panie prokuratorze Perła, każdy to wie. Z tym może pan sobie odpuścić. – Gdybyście byli tacy dobrzy, nie musiałbym tu przyjeżdżać.

Prokurator zaciągnął się papierosem. Wyglądał na spokojnego, ale widać było po wyrazie jego twarzy, ile kosztuje go ten wysiłek.

– Na pewno już przesłuchiwaliście kobietę, która twierdzi, że wszystko widziała. Mimo że jej tam nie było – podjął Michał. – Co powiedziała? Że gdzie niby była?

– Zeznawała – odparł prokurator, nie podejmując tematu.

– I co?

Prokurator znów się zaciągnął, a Michał parsknął i odwrócił wzrok, rozumiejąc, że nic mu nie powie.

– Chcę rozmawiać z komendantem. Zawołajcie go.

– Już to pan mówił, panie komisarzu Ptak. – Prokurator odłożył niedopaloną fajkę i wsunął okulary na nos. – Najpierw spędzi pan czterdzieści osiem na deskach, a potem sąd zdecyduje, co z panem dalej zrobić. A biorąc pod uwagę, że udało się nam ustalić, iż broń, z której został zabity mężczyzna z siekiereą, jest nielegalna, nie liczyłbym na warunkowe zwolnienie.

Tego Michał nie wiedział. Sądził, że pistolet był służbową bronią komisarza, za którego się podszywał. „O co tu chodzi?” – zastanawiał się, zaskoczony.

– O czym ty mówisz? To służbowa – zaprzeczył, udając pewność siebie.

– Jesteś pewien, że tak mam wpisać na protokół? Zastanów się lepiej.

Prokurator przysunął się do klawiatury i wyciągnął ręce, trzymając papierosa w ustach.

– Nie będę zeznawał na protokół – stwierdził Michał.

– Na pewno? – Prokurator zerknął na niego znad szkielek.

– Zdecydowałem. Odmawiam składania zeznań.

Prokurator Perła przytaknął z kwaśną miną i zastukał w biurko dwa razy. Do środka weszli policjanci, a Michał wstał bez słowa, łańcuszki od kajdanek zadzwoniły i wyszedł z nimi z pokoju przesłuchań. Wrócił do celi. Młody policjant z pełnym złości wyrazem twarzy zdjął mu kajdanki. Gwałtowne uwolnienie ściśniętych dotychczas nadgarstków zabolalo Michała, ale chwilę później w miejsce bólu wskoczyła ulga. Stał w tym samym miejscu, gdy wychodzili, utrzymując kontakt wzrokowy z młodym policjantem. Drzwi zamknęły się z hukiem i usłyszał chrobot klucza obracającego się w zamku. Zimno panujące w celi szybko o sobie przypominało, chłodząc rozgrzane od temperatury w komendzie ciało.

Usiadł, masując nadgarstki i kostki, które były sine i zdarte do czerwoności w dwóch miejscach. Sięgnął po śmierzdzący koc i został na krześle, czekając na swój los.

O poranku, gdy noc ustępowała miejsca nowemu dniowi, obudził go trzask przekręcanego w zamku klucza. Do środka wszedł policjant trzymający w rękach ciuchy, ale nie była to jego odzież.

– Ubieraj się, wychodzisz.

Michał spojrział na łysego, narwanego policjanta, który wczoraj popychał go na schodach, a dzisiaj wyglądał jak zbity pies, unikający kontaktu wzrokowego. Stał tuż przed nim i zaczął odbierać od niego wolno rzecz po rzeczy, delektując się tym momentem.

– Co za życie, co nie? – rzucił, unosząc kącik ust.

Policjant skierował wzrok ku górze, a komisarz w odpowiedzi puścił mu oczko. Klawisze zostawili go samego w celi. Michał złożył na siebie dżinsy, czarną bluzę z kapturem i zimowe buty, na plecy zarzucił starą kurtkę pachową w szarym kolorze, która cuchnęła papierosami. Gdy był gotowy, zapukał do drzwi, a te się otworzyły. Klawisz zaprowadził go na pierwsze piętro, aż zatrzymali się przed gabinetem komendanta. Michał bez słowa zapukał i od razu wszedł do środka. W gabinecie czekała za biurkiem pani Basia. Jej oczy były podkrążone równie mocno, jak i wczoraj, co wskazywało na to, że nie były wynikiem nieprzespanych nocy, a jej uroda. Brązowe włosy miała rozpuszczone i lśniące, zapewne umyła je tuż przed pracą. Zatrzymał się przed jej biurkiem, kiedy spinała właśnie jakieś dokumenty, które rzuciła z trzaskiem na szczyt sterty papierów leżącej na szafce za nią. Chrząknął, a ona uniosła głowę, zastygając tak na sekundę. Wyglądała inaczej, po oczach był w stanie stwierdzić, że nienawidziła go teraz tak, jak reszta komendy.

– Pan siada i czeka – fuknęła ostentacyjnie, kładąc dłoń na kolejnych papierach. – Zaraz pana zawoła.

– Czy mogę prosić kawę? – zapytał, czując, jak z głodu żołądek przykleja mu się do kręgosłupa.

– Czarną?

– Białą z trzema łyżkami cukru.

– Akurat nie mamy.

– Kawy czy cukru? – Rzucił jej szybkie spojrzenie i usiadł na krześle.

– Tego i tego.

Otworzyła teczkę i zaczęła coś notować, wypełniała dokumenty, a na koniec przybijała pieczętkę. Choć powiedzieć, że przybijała, to jak nie powiedzieć nic – pierdolnęła, jakby ubijała kurę, było bardziej trafnym określeniem. Michał drgnął na krześle, zaskoczony hukiem, a gdy odważył się na nią spojrzeć, patrzyła na niego gniewnymi, zimnymi oczami, odkładając teczkę powiększającą stos.

Odwrócił wzrok i skrzyżował ręce na klatce piersiowej. Wypuścił powietrze nosem i patrzył na podłogę. Nie miał do niej pretensji. Przekazano jej, że zabił kierownika sekcji do spraw zabójstw Czesława Bartoszewskiego, wujka całej komendy, a tego nikt nie był gotowy mu wybaczyć. Zadzwoił telefon, przyłożyła słuchawkę do ucha i bez słowa ją odłożyła, a raczej nią jębla, zerkakając przy tym na Michała.

– Możesz wejść.

Michał wstał i wszedł do gabinetu bez pukania. Komendant Rafał Starzak był właśnie w drodze do okrągłego, małego stołu po lewej stronie pomieszczenia. Już po jego mowie ciała wiedział, że był na niego wkurzony. Komendant usiadł i założył nogę na nogę, stukając palcem w blat, po czym nerwowo poprawił zaczesane do tyłu siwiejące włosy. Michał dołączył do niego, siadając na wolnym krześle.

– Nie zabiłem go – zaczął od razu.

– Kurwa mać! – Komendant uderzył pięścią w stół i wykrzywił twarz w grymasie, po czym poprawił marynarkę. – Prosiłem cię o dyskrecję. Miałeś być jak pieprzony duch. I teraz co? Musiałem wziąć kolejną przysługę u sędzi, żeby dała ci warunkowe zwolnienie z aresztu do czasu wyjaśnienia sprawy! Sama się dziwiła, że proszę o coś takiego dla gościa, który być może zabił naszego człowieka. Wiesz, jak to wygląda? Jak ja przez to wyglądam!?

Uniósł rękę, by znowu uderzyć nią o stół, jednak zatrzymał ją w górze i oparł spokojnie o blat.

– Co z zeznaniami kobiety?

– Z tym miałeś akurat szczęście – dodał już spokojniej. – Kobieta miała w przeszłości styczość z zakładem psychiatrycznym, głównie przez męża, ale sama przyjmowała przepisane leki. Wyciągnęliśmy te dokumenty i dołączyliśmy do akt sprawy, czyniąc ją niewiarygodną. To wystarczyło sędzi. – Napił się herbaty. Po zapachu, jaki panował w gabinecie, śmiał wątpić, czy poddany analizie rudy płyn wskazywałby na herbatę „bez domieszki”.

– Doceniam. – Michał zagryzł wargi i odwrócił głowę. – Ale jak już mówiłem, chciałem tylko wrócić na komendę. Aspirant się uparł, żeby jechać na to zgłoszenie. A teraz cała komenda ma mi za złe, że nie leżę w prosektorium obok niego.

– Uważaj. – Komendant pogroził mu palcem.

– Na co? Nie obrażam trupa, mówiąc, że nie żyje – odparł. Czoło nadal miał zmarszczone, ale z jego głosu zniknął gniew. – To, co zrobiłem, zrobiłem w obronie własnej. Ale to już za nami. Przydzielcie mi kogoś innego, zobaczę ostatnie miejsca zbrodni sprzed piętnastu lat i ostatnie trzy ofiary. Pojadę do kostnicy, by przyjrzeć się ciału znalezionej zeszłej nocy, w piwnicy własnego domu, mężczyzny. Wtedy otrzyma pan pierwsze wnioski i...

Komendant cmoknął kilkakrotnie ustami i pokręcił głową przecząco, przerywając słowotok Michała.

– Pragnę przypomnieć, że mieliśmy umowę dżentelmeńską, panie komisarzu. Wyraziłem się jasno, że jeżeli zwalisz mi na głowę więcej problemów, niż miałem do tej pory, wylatujesz. A ty wylałeś na mnie całe szambo i jeszcze chcesz szofera? Chociaż wiesz co? Jak teraz o tym myślę, to świetny pomysł. – Przyłożył palec do ust, zbierając myśli. – Tak. Dostaniesz kierowcę. Odwiezie cię na dworzec. Tam wsiądziesz w autobus, który zawiezie cię do Krakowa i więcej mi się tu nie pojawi. Rozmawiałem już o tym z twoim przełożonym, wytłumaczyłem Jankowi, na czym polega sprawa. Nie opierał się zbytnio, zaskoczony też nie był, bardziej zawiedziony i zdradzony. Sam wiesz, jak ważna jest dla niego ta sprawa, a ty to spierdoliłeś już pierwszego dnia. Czeka na ciebie z niecierpliwością. Masz jechać prosto do niego, jak tylko wjedziesz do Krakowa. Chciał ci to powiedzieć osobiście, ale nie odbierasz od niego telefonów. Trudno się dziwić.

– Nie możesz mnie cofnąć, kiedy nawet jeszcze nie zacząłem... – oburzył się i wyciągnął ręce spod stołu.

– Mogę i to robię. Zrobię nawet więcej. – Komendant się nachylił. – Jeżeli tylko się dowiem, że jesteś w Nowym Sączu, posadzę twoją dupę w areszcie i wyciągnę dokumentację kobiety z akt sprawy. Zostaniesz zatrzymany do zakończenia śledztwa i to sąd będzie decydował, co z tobą dalej robić. Bez żąd-

nych moich ingerencji. Biorąc pod uwagę pozostałe postępowania przeciwko tobie, za które zostałeś zawieszony, na twoim miejscu wymazałbym Nowy Sącz z mapy Polski.

– Muszę skończyć tę sprawę... – powiedział przez zaciśniętą szczękę Michał, co brzmiało jak groźba.

– Uważaj, jak do mnie mówisz. Nie jesteśmy kolegami...

Niespodziewanie otworzyły się drzwi i do gabinetu zajrzała młoda blondynka z okularami w czerwonych oprawkach na zgrabnym, upstrzonym piegami nosie. Zmieszała się od razu, widząc ich obu przy stole, i cofnęła się, chcąc wyjść z pomieszczenia.

– Oooo! Pani Irenko! Pani Irenko! – zawołał komendant, zatrzymując ją w progu. – Pani poczeka, przyszła pani w samą porę. Odwiezie pani naszego gościa na dworzec i przypilnuje, żeby wsiadł do autokaru do Krakowa. Kolega skończył swoją pracę przy śledztwie. A że nie posiada nic swojego, to zabierzesz go w opakowaniu, w którym tu siedzi.

– Proszę? Ale ja chciałam tylko – zakłopotana wyciągnęła w jego stronę papiery, które przyniosła – to tu zostawić i wracać do...

– To może poczekać. Poza tym takie rzeczy należy przynosić do prowadzącego śledztwo albo zostawić pani Basi, a nie bezpośrednio mnie. Ale dobrze. Zabierz pana komisarza na dworzec, przypilnuj, by wsiadł do autobusu i wróć, wtedy pogadamy.

– Tak jest – przytaknęła Irena Adamczuk, referent operacyjno-dochodzeniowy w stopniu starszego posterunkowego.

– Dziękuję za wszystko panie komisarzu i życzę miłego powrotu do domu.

Michał wstał bez słowa, szurając głośno krzesłem i wyszedł z gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami. Irena położyła dokumenty na stole, przy którym przed momentem siedzieli mężczyźni. Gdy chciała wyjść, komendant złapał ją za rękę i wskazał na nią palcem. Minę miał grobową.

– Nie spuszczaaj go z oka i trzymaj blisko jak na rzepie.

– Przyjęłam.

– Jeżeli coś znowu nawywija, to tobie się oberwie. Zrozumiano?

Przytaknęła i chciała się odwrócić, ale przytrzymał ją silnie.

– Zrozumiano? – powtórzył.

– Tak jest.

– Dobrze. – Puścił ją, poprawił wyprasowaną marynarkę ściągając ją w dół i się wyprostował. – Teraz idź. Zamelduj, gdy odjedzie. Niech spier... – Nie dokończył.

Wyszła za Michałem i ogarnął ją skrajny skurcz strachu. Poczula, jak krew zastyga jej w żyłach. Pojawił się zabójca jednego z policjantów i akurat jej przyszło go eskortować na dworzec. W dodatku do tego ma zależeć jej kariera. „Za jakie grzechy?” – pomyślała. Zamknęła za sobą drzwi i zauważyła, że komisarza Ptaka w gabinecie już nie było.

– Gdzie on jest? – zapytała sekretarkę.

– Wyszedł – odparła, nie podnosząc nosa znad dokumentów. – I niech nie wraca.

– Jak to wyszedł? Nie kazałaś mu czekać?

– Nikt mi nie powiedział. – Wzruszyła ramionami.

Irena wybiegła na korytarz, ale tam, w gęszczy osób, nigdzie go nie widziała. Zbiegła na parter i dostrzegła, że właśnie zamykał za sobą drzwi wyjściowe z komendy. Nie mając na sobie kurtki, wybiegła za nim na ziąb w samej marynarce od munduru. Widziała, że Michał otulony był kurtką puchową, która cuchnęła nikotyną nawet z tej odległości. Mimo to na mrozie sprawdzała się perfekcyjnie. Ona jednak marzła. Czapkę naciągnął na uszy i szedł chodnikiem ulicą Dunajewskiego w kierunku Rynku.

– Czekaaj! Miałam cię odwieźć! – Nie zarea-gował. – Stój!

Michał szedł dalej wzdłuż ulicy i przez swoje zdenerwowanie nie słyszał, jak posterunkowa go woła. Trzymał ręce w kieszeni. Nie miał pistoletu, kartki, ani dostępu do informacji. Sprawa bardzo szybko

z trudnej zrobiła się beznadziejna. W ten sposób nie miał możliwości, by odnaleźć seryjnego mordercę, który z jakiegoś powodu postanowił wrócić i ponownie zabijać. Choć jedynym pozytywnym aspektem tego, co się właśnie działo, było to, że jeszcze nie ustalono jego prawdziwej tożsamości. Jego czas na odnalezienie sprawcy zawęził się do momentu, w którym wróć dane z laboratorium i potwierdzą pewne niewygodne dla niego fakty. To tylko kwestia czasu, jak znajdzie się kolejny trup bez ucha, a on nie będzie miał dostępu do informacji. Prasa też odpada, bo na dany moment policja ukrywa te zdarzenia w obawie przed paniką. Komenda liczy po cichu, że to tylko walczące o wpływy grupy przestępcze, które działają na tym terenie i chcące ich w ten sposób zbić z tropu.

I tylko on wiedział, że to nie była prawda.

Gdy wychodził z uliczki, jego oczom ukazał się Ratusz. Tym razem zauważył więcej zaparkowanych taksówek. „Gdzie są wszyscy ludzie?” – zastanawiał się. Oznakowany radiowóz policyjny wyłonił się z uliczki po lewej stronie i wjechał przed nim na chodnik. Wydłużona w taką pogodę droga hamowania zmusiła Michała do odskoczenia i wsparcia się rękami na masce poloneza, by ten go nie rozjechał. Serce mu stanęło ze strachu o własne życie. Gdy radiowóz się zatrzymał, pełen emocji uderzył ręką w maskę pojazdu, a leżącą na niej śnieg zsunał się jak ze ślizgawki.

– Kurwa, ślepy jesteś!? – wrzasnął.

Zauważył, że za kierownicą samochodu siedzi Irena Adamczuk. Blondynka, która miała odwieźć go na dworzec. Dziewczyna wściekłym ruchem wskazała, by wsiadł do środka. Ten postukał się w odpowiedzi palcem w czoło i obszedł samochód, idąc dalej chodnikiem. Wywrócił oczami, słysząc, jak trzaskają drzwi samochodu. Dziewczyna, mająca na sobie w dalszym ciągu jedynie marynarkę od munduru, zabiegła mu drogę. Zatrzymali się, a on rozejrzał się, unikając kontaktu wzrokowego z posterunkową.

– Do radiowozu. Już! – warknęła.

– Nie jest ci za zimno? – uśmiechnął się ironicznie.

– Wsiadaj do auta. Zabieram cię na dworzec.

Widział, jak trzęsie się z zimna, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękami, by utrzymać temperaturę ciała. Usta zaczęły jej już sinieć. To był wyjątkowo zimny ranek. Wyciągnął ręce z kieszeni i uśmiechnął się do niej cwaniacko.

– Posłuchaj, kochana, wracaj na komendę, powiedz swojemu wypachnionemu komendantowi, że mnie odwozisz i jestem już w autobusie w drodze do Krakowa, gdzie śpiewam z pasażerami świąteczne piosenki Mariah Carey. Zapunktujesz, będziesz miała mnie z głowy, a ja zajmę się sam sobą. Brzmi dobrze? Dzięki.

Chciał ją minąć, ale zaszła mu drogę.

– Wsiadaj, kurwa, do auta. Nie rozmawiasz z krakowską studentką. – Nie zamierzała odpuścić, a para ulaćniała się jej z ust z każdym słowem.

– Posłuchaj...

– Dworzec albo cela. Twoja decyzja. – Postawiła sprawę jasno.

Znów chciał ją obejść, ale ponownie zagroziła mu drogę. Wyciągnęła kajdanki, tak by je zobaczył. Jego twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas. Rozejrzał się, widząc, że dorobili się już kilku gapiów. Dodatkowo sprzedawczyni sklepu monopolowego, wyciągając głowę przez okno jak żuraw, traktowała ich jak przestawienie w teatrze. Wzdłuż chodnika wiatr uniósł stare, przemoczone gazety. Zrobiło się zimniej, powietrze nie było rześkie od panującego mrozu, wydawało się raczej przygnębiająco suche. Spod odgarniętego z chodnika śniegu wystawał lód, który nie stopniał mimo sypanej kilogramami soli.

Michał wziął głęboki wdech ostrego, mroźnego powietrza i odwrócił się w kierunku samochodu. Podszedł do pojazdu i wsiadł do środka, a dziewczyna odpała silnik i włączyła ogrzewanie. Przyłożyła dłonie do dmuchawy, jednak słyszał, jak przemarznięta szczeka zębami. Widział jej czerwone od mrozu palce i nos. Wrzuciła bieg, a radiowóz, ślizgając się kołami po zamarzniętej nawierzchni, ruszył przez rynek i pojechał w dół ulicą Lwowską.

- Długo pracujesz w policji? – zaczął, gdy stanęli na czerwonym świetle przed mostem.
- Teraz nagle stałeś się miły? Przed chwilą myślałam, że będę musiała cię zaciągnąć siłą.
- Zawsze jestem miły – burknął jakby urażony. – Nie wszyscy to jednak dostrzegają.

Przejechali główną ulicę Nowego Sącza i dojechali do dużego skrzyżowania. Widział ludzi kierujących się na „ruski targ” znajdujący się przy osiedlu Barskim. Ogromny, betonowy plac z mnóstwem blaszanych sklepików ze wszystkim, czego dusza zapagnie. Od jedzenia po ciuchy i meble. Sprzedawcy ubrani w kilka warstw wyglądali jak niedźwiedzie, a spod ich ciepłych ubrań wystawały jedynie oczy. Mieszkańcy tego miasta opuszczali to miejsce obkupieni w prezenty i artykuły spożywcze hodowane na prywatnych ogródkach działkowych, wciśnięte teraz w słoiki. Dzieci skakały obok rodziców powyginanych od ciężaru niesionych przez nich zakupów, szczęśliwe i roześmiane, bawiące się i imitujące odgłosy zabawek przedstawiających He-Mana lub Godzillę, które sprowadzano z Turcji.

Łatwe życie, które wydawało się proste i przyjemne, kiedy się na nie spoglądało z perspektywy przejeżdżającego samochodu. Michał wiedział jednak, że wszystko ma drugie dno i że, „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”. Nigdy nie myślał o takim życiu dla siebie, wiedział, że nie dożyje czasu, kiedy jego dzieci mogłyby dorosnąć. Po co się więc starać?

- Za co cię zawiesili? – odezwała się Irena, odrywając go od przemyśleń.
- Czy jest chociaż jedna osoba na komendzie, która nie czytała moich akt? – odparł.
- Dziwi cię to?
- Nie. – Znów wyrzwał za okno jakby znudzony. – Ty jedna nie wydajesz się jakoś szczególnie tym wszystkim przejęta.

- Przejęta? Owszem, jestem. Czy trafiło mnie to osobiście? Nie. – Skręciła w prawo w ulicę Krańcową. – Nie znałam aspiranta Bartoszewskiego, nie poznałabym go na ulicy, więc trudno poczuć stratę kogoś takiego. Pozostali traktują to jako wielką tragedię. I ciężko się nie zgodzić, facet przepracował swoje, pozaykał sporo przestępców, zasłużył na emeryturę i popijanie piwka w ogrodzie, a nie na pogrzeb. System przewiduje kompensatę dla rodziny w takiej sytuacji, ale są to marne pieniądze. Po prostu facet zniknął. Słabo.

Michał pociągnął nosem i zamilkł na krótką chwilę. Zastanawiał się, dlaczego słuchając tego wszystkiego, zarówno od niej, jak i od policjanta z patrolu, nie czuł żadnej empatii względem zabitego kierownika sekcji do spraw zabójstw. Mimo iż go nie znał, odebrał ludzkie życie, powinien czuć cokolwiek.

- System – parsknął – system to żart. Osobiście uważam, że powinni przywrócić karę śmierci. Pomyśl tylko, łapiesz najgorszego z najgorszych: mordercę, gwałciela dzieci, tego typu gnidę i taka osoba ma być traktowana przez policję dokładnie tak samo jak nastolatek, który ukradł portfel, bo nie miał pieniędzy. Wszyscy mamy te same prawa, nie powinno tak być, skoro ofiary nie są traktowane tak samo przez przestępców. I jaka kara ich spotyka? Ciepłe spanie, ciepły posiłek, za który ci wszyscy za szybą muszą zapłacić. Bzdura! Nic więcej. Tak w skrócie.

- Skoro nie podoba ci się prawo, trzeba było iść do polityki – podsumowała, zatrzymując się przy kolejnych światłach obok stadionu Sandecji Nowy Sącz.

- Wolę trzymać z tymi dobrymi.

Zerknęli na siebie, jakby się ze sobą zgadzali.

- Opowiedz mi o tych grupach przestępczych. Jak macie zamiar ich zatrzymać? – zmienił temat. – Wysyłając do nich listy z terminem przesłuchania? Z prośbami o wyjaśnienia? Kiedy wy bawicie się w ten głupi system, oni się bogacą pieniędzmi niewinnych ludzi, a kto staje im na drodze, zostaje albo pobity na oczach rodziny, albo zapełnia wam tablicę informacyjną o osobach zaginionych. A policja przez kolejne tygodnie szuka kogoś, kto mógłby złożyć zeznania – parsknął. – Zresztą nawet jeżeli uda ich się zatrzymać, to ich adwokaci przedłożą sfałszowane lub kupione alibi albo używając kruczków prawnych wyciągną ich z więzienia jeszcze tego samego dnia.

- Sporo wiesz o naszych grupach przestępczych – wtrąciła wyraźnie zaciekawiona.

Gdy mijali sądecki szpital, zauważyli, że znów zaczęło sypać, a wycieraczki zbierają leniwie opadające płatki śniegu.

– Nie możemy być ponad prawem, to nas różni od przestępców – wyrzuciła z siebie po chwili.

– Tłumacz to sobie, jak chcesz. Nie macie tu nikogo, kto poradzi sobie z tą grupą, nie mówią już o zabójcy. Jeżeli Czesław Bartoszewski był waszym najbardziej doświadczonym i najlepszym człowiekiem, to nawet gdyby żył, byłibyście w dupie. Nie widzicie okruszków, jakie wam zostawiają. Seryjni mordercy wbrew pozorom chcą być złapani, zostawiają za sobą podpowiedzi, ukryte, rzecz jasna. Byłem na miejscu zbrodni, i choć aspirant twierdził, że i tak nic nie znajdziemy, to mnie się udało. Pomińcie najważniejsze poszlaki. Poszlaki, które leżały na samym środku, wyłożone jak na patelni, i nikt z sądeckiej grupy dochodzeniowo-śledczej nie umiał ich podnieść. Bo myślicie jak policjanci. Myślicie, jak nakazuje wam prawo, a żeby złapać seryjnego mordercę, musicz spróbować myśleć jak on. Wtedy wszystko staje się bardziej widoczne.

– I jakie to poszlaki? – Zwolniła, by zapewnić sobie z nim więcej czasu.

– Pozwól mi zostać, to ci powiem.

Zmierzyli się wzrokiem jeszcze raz, po czym parsknęła i docisnęła pedał gazu. Zajechała na dworzec autobusowy. Był to duży, zalany betonem plac z kilkoma ponumerowanymi punktami mającymi służyć za przystanki, z których „ogórki” na kołach rozwoziły ludzi po całej Polsce.

– To tutaj. Autobus do Krakowa właśnie pakuje ludzi. – Wskazała palcem. – Wsiądź teraz, to zdążyś. Masz kasę na bilet?

– Miło cię było poznać, Irenko – uśmiechnął się kwaśno. Wsiadł z auta, jednak nachylił się jeszcze do niej, dodając: – Powodzenia.

Trzasnęła drzwiami oznakowanego radiowozu i poszedł na przystanek, naciągając na głowę czapkę.

Dziewczyna przyglądała się, jak wchodzi do środka i siada przy jednym z okienek. Czekala, nie gasząc silnika. Nie interesowały jej teraz cięcia budżetowe, bo nadal nie ogrzała się po przebywaniu na mrozie. Autobus odjechał, zostawiając za sobą chmurę czarnego dymu jak ze starego komina. Smród spalin dostał się do poloneza przez wentylację. Machnęła dłonią przed twarzą, marszcząc nos od wypełniającego wewnątrz duszącego zapachu. Wrzuciła bieg i wróciła do komendy, parkując zaraz przed przejściem dla pieszych.

Wbiegła do środka, zamykając za sobą drzwi i otrzepała się ze śniegu, czując przyjemne, ciepłe powietrze. Zrzuciła z siebie ostatnie płatki i poprawiła wilgotne blond włosy.

– A gdzie ty tak wybiegła bez kurtki? Będziesz chora – rzekł strażnik stojący przy kratach.

– Komendant kazał odwieźć komisarza Ptaka na dworzec. Jest już w drodze do Krakowa. – Przecierała zaparowane okulary w czerwonych oprawkach.

– Dworzec? Przecież on przyjechał samochodem – odparł.

– Co? Jesteś pewien? – zdziwiła się.

– Zaraz przed tym, jak pojechali na miejsce zbrodni razem z aspirantem Bartoszewskim, powiedział, że musi wyjść, bo zapomniał czegoś z auta. Zrozumiałem przez to, że ma samochód.

– I go tutaj zostawił? Przecież to bez sensu.

– Wszystko z tym gościem jest dziwne, mówiłem od początku – wtrącił zastępca dyżurnego zza okienka. – W znakach szczególnych ma wpisane, że ma dużą bliznę po oparzeniu na szyi po lewej stronie, z tym że ten, co tutaj przyszedł, jej nie miał. Powiedziałem to Czesiowi, gdy z nim wychodził i wrócił w worku. Teraz wszyscy udają zaskoczonych. Mówiłem, kurwa, od początku, ale nikt nie słuchał.

Posterunkowa nie dostrzegła u niego żadnej blizny, ale również się mu tak bardzo nie przyglądała. Choć czegoś takiego, miała wrażenie, że by nie przeoczyła. Oparła ręce o biodra, zbierając myśli.

– Daj mi swój płaszcz – zwróciła się do strażnika, a ten podał jej kurtkę. Zrzuciła ją na siebie i zaczęła krążyć po parkingu przed komendą. Chodziła od auta do auta, sprawdzając je dokładnie. Poszukiwania nie okazały się trudne, jednym z niewielu samochodów, które były pokryte śniegiem, był Opel

Kadett na krakowskich rejestracjach. Dziewczyna podeszła bliżej i zajrzała do środka, widząc tam zostawioną czarną torbę. I wtedy zauważyła coś podejrzanego, prawy bok auta był zarysowany, a drzwi lekko wgniecione. To nie musiało oznaczać niczego szczególnego, jednak komisarz z Krakowa wydał się jej coraz bardziej niewiarygodny.

Wróciła na posterunek i oddała kurtkę strażnikowi.

– I co? – spytał zaciekawiony.

– Muszę porozmawiać z komendantem – odparła przejęta. – Nie wiecie może, czy ktoś w ostatnich dniach zgłaszał wypadek z Oplem Kadettem na krakowskich numerach?

Pokręcili głowami przecząco. Wbiegła na pierwsze piętro i dopadła do drzwi gabinetu komendanta, gdzie zatrzymała ją sekretarka.

– A ty dokąd? – rzuciła karcąco i w tym samym momencie zadzwonił telefon. – Poczekaj tutaj, nie wchodź.

– Muszę z nim pogadać.

Pani Basia pokiwała głową przecząco i podniosła słuchawkę.

– To nie może czekać. – Irena chciała wejść, ale kobieta siedząca za biurkiem podniosła się z krzesła i uniosła rękę na znak, by się zatrzymała. Minę miała poważną niczym surowa nauczycielka od matematyki.

– Musi o tym wiedzieć już teraz.

Pani Basia odłożyła słuchawkę w połowie rozmowy i stanęła pomiędzy nią a drzwiami do gabinetu.

– Chcesz, żebym straciła pracę? Teraz nie wolno, cokolwiek to jest.

– Mam podejrzenia odnośnie do śmierci aspiranta Bartoszewskiego i tego, co się dzieje z zabójcą, który odcina ludziom uszy, a ty mi mówisz, że mam przyjść później?

Do sekretariatu wszedł policjant, który właśnie zarzucał na siebie kurtkę służbową. Wysoki i chudy, z wyjątkowo pociągłą twarzą.

– Czemu nie odbierasz? – zapytał. – Komendant chciał pilnie wiedzieć, jeżeli dojdzie do kolejnego zabójstwa.

– A doszło? – odezwała się posterunkowa, uprzedzając sekretarkę.

– Jakaś kobieta trafiła na ciało, gdy wychodziła rano do pracy. Patrol już tam jest, zbieramy się na miejsce.

– Dobra, jedź z nimi – rzuciła pani Basia, zwracając się do Ireny.

– Co? To nie ty decydujesz, kto jedzie na interwencję.

– Kochana – spojrzała na nią ciepło – kiedy mówię, że możesz jechać na interwencję, to znaczy, że możesz jechać. Będziesz miała zajęcie i nie będę musiała stać przed tymi drzwiami, żeby cię pilnować. Rafał, zabierzcie ją ze sobą.

Zmierzyły się spojrzeniem.

– Jedziesz czy nie? – pospieszał policjant.

– Jadę.

Irena wyszła razem z policjantem. Sekretarka przetarła spocone czoło i spojrzała poważnie na zamknięte drzwi do gabinetu komendanta. Usiadła za biurkiem i na kartce zapisała sobie to, co powiedziała jej młoda policjantka. Następnie wyciągnęła telefon i oddzwoniła. Grupa dochodzeniowo-śledcza wsiadła do radiowozów i wyjechali spod komisariatu.

– Co już wiemy? – spytała blondynka.

– Zastrzelony facet na klatce schodowej, około pięćdziesiątki. Patrol zabezpiecza miejsce popełnienia przestępstwa, zaczęło zbierać się sporo gapiów.

– Gapiów? Mówiłeś, że to było na klatce.

– Ciało blokuje drzwi do klatki.
– Odcięte ucho? – dopytała.
– Ty też o tym? Opuść sobie tę teorię i skup się na gangu braci Straszewskich. To ich sprawka, bo niby kogo innego?

– I wpadliby na to tak po prostu?

– Nie po prostu, jednym z bliskich pracowników braci ze Starego Sącza jest były policjant, który doskonale znał tę sprawę. Starszy facet, teraz już po pięćdziesiątce, popracował dwa lata i go wydalili. Udowodniono mu, że wyprowadzał oraz sprzedawał broń i amunicję z policyjnej zbrojowni. Robiło się gorąco, wszystkie oczy były skierowane na braci Straszewskich, więc zasugerował im, by odcięli jedno ucho i nagle cała komenda szuka ducha. A ci, którzy terroryzują mieszkańców i żyją z pieniędzy brudnych od krwi, mają trochę oddechu. Bardzo cwane, jeżeli miałbym być szczery.

– Ale to tylko teoria – powiedziała. – Nie wiemy tego.

– Teorią jest to, że zabójca znów się pojawił. A faktem jest grupa przestępcza, o której wiemy, że działa na naszym terenie, i którą ścigamy już kilka lat.

Dziewczyna nie odezwała się już ani słowem. Miejsce zbrodni znajdowało tuż przy Rynku, po przeciwnej stronie Ratusza. Objechali płytę i okrążyli kamienicę z uwagi na jeden kierunek jazdy, aż dotarli do ulicy Kazimierza Wielkiego. Z daleka widzieli, że gapiów nie była grupka, tylko całe stado ludzi stojących przed łączonym budynkiem, przypominającym odwrócone „U”. Na chodniku zaparkował już oznakowany uaz, którego kogut na dachu kręcił niebieskimi światłami. Stanęli tuż za nim. Wysiedli z auta, a Irena podciągnęła zamek kurtki pod szyję, czując, że przemarzła do kości. Przebili się przez tłum i przeszli pod taśmami policyjnymi. Szli wyłożoną kostką ścieżką z niskim, łysym żywoptem po bokach, trzymającym na górze świeży, biały puch. Irena zamarła, widząc nogi wystające z drzwi do klatki znajdującej się po lewej stronie, ubroczone niemal zamarzniętą, gęstą krwią. Ciuchy były już sztywne od mrozu.

Poczuła, że zrobiło jej się słabo. Po raz pierwszy widziała trupa z tak bliskiej odległości. Przelknęła ślinę. Nie chciała dać po sobie poznać, że jest poruszona zastaną sytuacją. Była bardzo ambitna, wiedziała, że to jej okazja, by się wykazać. Marzyła jej się kariera w jakimś dużym mieście, ale żeby mogła zostać przeniesiona na racjonalnych warunkach, powinna najpierw zrobić wynik na swoim terenie. Przelknęła ponownie, ale czuła stale napływający nadmiar śliny. Nogi zrobiły jej się miękkie, jakby zupełnie straciła siłę w mięśniach. Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy i z całych sił starała się, by nikt nie zauważył, że zbladła.

Podeszła do drzwi razem z policjantem.

– Nie otwieraj – pouczył ją Rafał. – Technicy zaraz tu będą. Jeżeli musisz, spróbuj się prześlizgnąć, ale radzę zaczekać na nich.

Nie odpowiedziała, tylko podeszła bliżej i wsunęła się do środka, unikając nadeptnięcia na zwłoki lub krew. W środku nie śmierdziało, niska temperatura spowodowała, że ciało było zakonserwowane jak w zamrażalniku. Kucnęła i przyjrzała się uszom ofiary, były na swoim miejscu. Spojrzała na ranę i wstała, odwracając się tyłem do denata. Wzięła kilka głębokich wdechów mroźnego powietrza. Słyszała odgłosy rozmowy jednego z funkcjonariuszy z mieszkańcami na piętrze, którzy domagali się od niego wyjaśnień. Wykłócili się z nim o to, że muszą iść do pracy. Usłyszała kolejny samochód na zbliżający się sygnale, domyślała się, że to ekipa techników kryminalistyki i karetka. Wyszła przed klatkę, po czym przypomniała sobie słowa Michała, by myśleć jak zabójca. Wróciła do ciała i uważnie się rozejrzała. Zwróciła uwagę na śnieg zrzucony z tylnej części żywoptu od strony bloku. Podeszła do Rafała, który rozmawiał z policjantem z patrolu.

– Mam nadzieję, że niczego nie dotykałaś bez rękawiczek? – zwrócił się do niej.

– Ofiara ma w głowie dziurę po kuli, nie widać żadnego śladu walki. Mężczyzna leży na brzuchu, co świadczy o tym, że była to egzekucja. Nawet z nim nie rozmawiali, musiał wchodzić do klatki, kiedy ktoś inny wszedł za nim, przyłożył pistolet do jego głowy i strzelił.

– Skąd wiesz? – zapytał ten z patrolu.

– Wokół dziury w głowie zauważyłam oparzenia skóry od wystrzału. Pistolet musiano przyłożyć mu do głowy. Za żywoplotem są ślady, zapewne właśnie tam zabójca na niego czekał. Trzeba zwrócić na to uwagę techników, przy odrobinie szczęścia może jedna z gałęzi podrapała zabójcę i uda się zdjąć z niej włókna. Widziałam, że zrzucił z żywoplotu trochę śniegu, musiał mieć kontakt z krzakiem.

– Dobra jesteś – podsumował Rafał – ale zostawmy to śledczym i technikom. Musimy zabrać stąd tych ludzi.

Policjanci skierowali się w stronę tłumu, a ekipa dochodzeniowo-śledcza właśnie wypakowywała sprzęt z samochodu zaparkowanego za nimi. Weszli na teren przylegający do miejsca zbrodni i zaczęli rozkładać się przed drzwiami do klatki. Chciała przekazać im to, co zdołała zaobserwować, ale spojrzawszy na tłum ludzi i zaskoczona otworzyła szeroko oczy. Wśród gapiów, dostrzegła człowieka, którego znała, a który w tej chwili przyglądał się całej sytuacji.

Patrzyła prosto na komisarza Michała Ptaka.

ROZDZIAŁ 5

Przerost ambicji

Irena stała blada, jakby zobaczyła ducha. Patrzyła na tłum osłupiałych i wstrząśniętych ludzi, którzy szeptali jeden przez drugiego. Michał nie zorientował się, że ktoś go rozpoznał. Stał wśród innych osób i jako jedyny zdawał się wiedzieć, na co powinien patrzeć. Zapewne nie spodziewał się jej tutaj, nie nowicjuski, która dopiero co rozpoczęła pracę w policji, a inni nie szukaliby go w grupie gapiów. Uniósł się głośny szum, gdy część śniegu zsunęła się z dachu i runęła ciężko obok żywopłotu. Całe szczęście po drugiej stronie kamienicy. Technik podszedł do niej i usłyszała, że coś mówi, ale była zbyt przejęta obecnością komisarza z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie, by zareagować.

– Halo! Pobudka! – Technik podniósł głos, machając jej dłonią przed twarzą.

– Słucham? – spytała przywołana do porządku. – Przepraszam, Irena Adamczuk, referent operacyjno-dochodzeniowy – przedstawiła się.

– Irek. I chyba nie muszę nic dodawać. – Wskazał na swój fartuch. – Wyprowadźcie stąd tych ludzi. Nie wiadomo, na jak dużym terenie będziemy zbierać dowody. Stoją blisko, a materiału będzie pewnie sporo. Zabójca mógł zaiść się wszędzie, skoro zaatakował ofiarę przed klatką schodową. – Gumowe rękawiczki strzelały naciągane na dłonie. – Zawołajcie też przez radio więcej wsparcia, jesteśmy w środku osiedla i z każdą godziną będzie przybywało ludzi. Nie ogarniecie tego we czwórkę.

– I dlaczego tyle osób chodziło obok ofiary? Tu są co najmniej trzy pary świeżo odbitych butów! Ludzie, myślcie czasami! – dodał inny technik.

– No właśnie, to też – potwierdził Irek. – Karetka już jedzie, żeby stwierdzić zgon. Potem nie chcę tu widzieć tych ludzi.

– Tak jest... – Irena ponownie spojrzała na Michała, który nie patrzył na miejsce zbrodni, ale skulony był na czymś innym. Na czymś, co działo się za stojącym gęsto tłumem. Minę miał zastanawiająco poważną.

– Dlatego na miejsce zbrodni nie bierze się nowych – skomentował analityk, widząc, że posterunkowa znów go nie słuchała.

– Więcej ludzi! Już ogarniam – powiedziała.

– Spokojnie, wiem, że ogarniesz. – Technik kryminalistyki przytaknął z ciepłym uśmiechem, pełnym wsparcia dla zestresowanej, początkującej policjantki.

– Zidentyfikowano już ofiarę? – zapytała.

– Nie trzeba, jego to akurat zna każdy z kryminalnego.

Technik wrócił do pracy, a posterunkowa usłyszała, że szmer wśród zgromadzonych przybrał na silę, co przykuło jej uwagę. Tym razem jednak nie dostrzegła już komisarza. Zmrużyła oczy i zaczęła podchodzić do zgromadzonych, śnieg chrupał zaś w rytm jej kroków. Tłum zamilkł jak ściszone radio, widząc zbliżającą się do nich policjantkę.

– Pani władzo, czy on nie żyje?

– Zabili go?

– Wiecie, kto to zrobił?

– Złapaliście go?

Pytania sypały się jednocześnie z każdej strony, a posterunkowa zrozumiała, że Michał zdążył zniknąć. „Zorientował się?” – dumiała.

– Przepraszam, zróbcie przejście! – krzyknęła.

Przeszła nad taśmą policyjną, po czym przebiła się przez grupę ciekawskich ludzi. Przechodząc na drugą stronę, zauważyła, jak Michał w pełnym biegu znika za budynkiem ulicę dalej. Uciekał. Posterunkowa ruszyła za nim w pościg. Pędziła wzdłuż chodnika, mijając sznur przejeżdżających samochodów i przebiegła na drugą stronę, gdy tylko pojawiła się ku temu okazja. Wbiegła w ulicę Tymowskiego. Podążała za uciekinierem, gnając co tchu w piersiach, i teraz nie miała już wątpliwości, że komisarz Michał Ptak miał coś wspólnego z powrotem mordercy po latach.

Był szybki, szybszy od niej. Na szczęście pogoda była przeszkodą także dla niego i utrudniała mu ucieczkę. Omal się nie przewrócił, kiedy skręcał w kolejny zakręt pomiędzy kamienicami. Gdy wbiegał za budynek, zahaczył o niską gałąź ośnieżonego drzewa, które sypnęło puchem.

Komisarz dobiegł do ulicy Bańniczej prowadzącej na plac Zamkowy. Posterunkowa straciła go z pola widzenia, gdy zniknął za drzewem. Instynktownie pobiegła ścieżką prowadzącą do ruin zamku. Będąc bliżej fragmentu muru z wysoką wieżą, który ostał się po wojnie, zwolniła, zastanawiając się, dokąd się skierować. Rozglądała się, starając się uspokoić serce, które waliło jej w piersi jak młotem. Sapała głośno, dotleniając ciało po kilkusetmetrowym sprincie.

Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mogła go zgubić. Niestety, nigdzie go nie widziała, a możliwości ucieczki było zbyt wiele. Równie dobrze mógł leżeć pod któryms z krzaków. Spojrzała na wieżę zamku, na której dumnie trzepotała na wietrze flaga Polski.

– Jasna cholera – burknęła pod nosem.

Była na siebie wściekła. Poprawiała kurtkę i czapkę, godząc się z myślą, że się jej wymknął. Stanęła tyłem do ruin zamku i ruszyła z powrotem na miejsce zbrodni. Wyjęła telefon. Wiedziała, że musi to zgłosić. Że musi poinformować przełożonych, że widziała komisarza Michała Ptaka, który sprzeciwił się poleceniu komendanta i opuścił autobus do Krakowa. Wybrała numer na komendę i przyłożyła telefon do ucha. Po dwóch sygnałach usłyszała głos w słuchawce.

– Komenda Miejsca Policji w Nowym Sączu, w czym mogę pomóc?

Usłyszała szelest w ośnieżonym żywopłocie dzielącym ścieżki dla spacerowiczów na placu Zamkowym. Dwóch mężczyzn wypadło z krzaków, łamiąc gałęzie żywopłotu, i przeleciało przez drewnianą ławeczkę postawioną przy ścieżce. Posterunkowa sięgnęła po pistolet i sprawnym ruchem wyrwała go z kabury. Wycelowała w mężczyzn. Jej broń miała za zadanie zadziać na nich jak straszak, dlatego nie odbezpieczyła blokady bezpieczeństwa.

– Stać! Jesteście aresztowani! – krzyknęła, ale mężczyźni nie przestawali się szarpać, wydając przy tym zwierzęce ryki i zdzierając śnieg butami. Sapali i przerzucali się przez siebie jak profesjonalni zapasnicy. Każdy próbował założyć przeciwnikowi dźwignię, by go udusić, ale grube, puchowe kurtki bardzo utrudniały takie manewry. Napastnik w czarnej kurtce i czapce owinął rękę wokół szyi komisarza Ptaka, zmuszając go do defensywy. Ten uderzył w rękę, która trzymała jego szyję, a kiedy zsunęła mu się na twarz, tyłem głowy trzasnął przeciwnika w nos, aż gruchnęło. Odskoczyli od siebie i zebrali się szybko, stając na nogi.

– Przestańcie! Będę strzelać! Obaj na kolana!

Napastnik był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o szerokiej szczęce z kilkunastoma zębami. Potężny typ, którego nie chciałaby spotkać w ciemnym korytarzu. Teraz miał zalane krwią zęby i brodę, a złamany nos, skierowany na lewy policzek, broczył posoką. Wraz z komisarzem dyszeli i tańczyli przed sobą, zataczając kółka, markując wyprowadzane ciosy i odskakując do tyłu, by za chwilę znów do siebie doskoczyć. Żaden nie chciał ryzykować nokdaunu. Zachowywali się jak bokserzy wagi ciężkiej w ostatniej rundzie tuż przed końcem czasu. Z tym że tutaj żaden z nich nie mógł liczyć na zwycięstwo na punkty.

Irena nie miała pojęcia, jak powinna się zachować. Michał wstrząsnął rękami, zrzucając napięcie, a napastnik ruszył na niego jak rozpędzony byk i pozorując cios pięścią, wszedł pod gardę jak zapaśnik, chcąc go powalić. Był większy i cięższy od komisarza, w parterze miałby przewagę. Michał zapał się nogami, nie dając się przewrócić i choć sunął kilka metrów po śliskiej kostce, to wykorzystując ciężar przeciwnika, przerzucił go przez siebie. Mężczyzna zachwiał się, tracąc równowagę, a Michał błyskawicznie wypuścił pięść do lotu, lecz napastnik w ostatnim momencie na oślep wysadził mu hakiem prosto w szczękę, aż Michałowi zadzwoniły zęby.

Obraz przed oczami komisarza zawirował i odpłynął. On sam padł na czworaki. Przeciwnik upadł z rozpędu na pośladki, ale prędko się podniósł.

– Ręce za głowę! Jesteś aresztowany! – krzyknęła po raz kolejny posterunkowa.

Rosły mężczyzna, nie zważając na jej komendę, zaczął uciekać, kierując się na wały rzeki Dunajec. Michał niezbornymi ruchami pijaka wyciągnął pistolet i wycelował w niego. W tej samej chwili dziewczyna kopnęła go w nadgarstek, przez co spluła rąbnęła na ścieżkę.

– Pojebało cię!? – wybełkotał, wracając do zmysłów. – Łap go!

– Stój, bo strzelam! – wrzasnęła, ale tamten się nie zatrzymał. Uniosła pistolet ponad głowę i oddała dwa strzały ostrzegawcze. Huk z broni nie przstraszył jednak uciekiniera. Chciała za nim pobiec, ale nogi zacemntowały jej strach. Tuż obok usłyszała kolejne wystrzały z pistoletu. Śnieg przed napastnikiem rozprysnął się w powietrzu od wbijającej się w ziemię kuli. Mężczyzna zatrzymał się, wiedział, że nim dobiegłby do zbrocza, Michał zdążyłby wystrzelić jeszcze kilka razy. Uniósł ręce do góry i czekał.

– Rusz się, a przestrelę ci ten jebany łeb! – zawołał niewyraźnie człowiek podszywający się pod komisarza Ptaka. W dłoni trzymał pistolet, z którego lufy wolno unosił się biały dym. W tonie jego głosu słychać było gotowość do spełnienia groźby. Irena widziała, jak przetaił oczy nadgarstkiem. Zastanawiała się, czy faktycznie zdołał w tym stanie trafić tak blisko uciekającego mężczyzny, czy po prostu chybił? Nie umiała sobie na to odpowiedzieć.

– Skąd masz broń? – spytała. – Na komendzie ci ją skonfiskowali.

Nawet nie zwrócił na nią uwagi. Ruszył biegiem do stojącego w dalszym ciągu w miejscu osiłka.

– Na brzuch! Ręce za głowę! – zawołał.

Mężczyzna z zakrwawioną brodą posłuchał poleceń komisarza, jednak robił wszystko w żółwym tempie. Jakby czekał na odpowiedni moment, by znów go zaatakować. Michał, widząc to, zaszedł zatrzymanego od tyłu.

– Kładź się, kurwa! – Kopnął go w plecy, aż ten runął na twarz.

– Mam swoje prawa! – odrzyknął napastnik.

– Gównno masz! – Michał wygiął mu ręce do tyłu i docisnął go kolanem, upewniając się, że się nie podniesie.

Posterunkowa dobiegła do nich z szeroko otwartymi oczami. Pierwszy raz w życiu znalazła się w takiej sytuacji. Michał wyciągnął do niej dłonie.

– Daj kajdanki – powiedział, sapiąc i mrugając oczami. Wciąż nie wrócił w pełni do siebie po tym uderzeniu napastnika.

Odruchowo zrobiła to, o co prosił i komisarz skuł mężczyznę, który wydawał chrapliwe dźwięki przez znaczny nacisk kolana Michała na jego plecy, który blokował możliwość wypełnienia powietrzem płuc.

– Kto to jest? – zapytała w końcu.

– To on zabił faceta na klatce.

– Co? Skąd to wiesz?

– Jako jedyny z obecnych w tłumie nie był zaskoczony sytuacją. Zaglądał za żywopłot, dziwnie się zachowywał, a gdy zauważył, że mu się przyglądam, zaczął uciekać. Był tam, żeby mieć pewność, że ofiara nie żyje, aby przekazać wieści zleceniodawcy. Ała! – Sapnął, gdy przejechał palcami po przeciętej

wardze. – Poza tym już z daleka wygląda jak jebany pies na posyłki! – Docisnął go, aż mężczyzna zastękał.

Posterunkowa wycelowała w komisarza z broni.

– Co robisz? – odparł, widząc jej reakcję. – Odlóż to, nie rób sobie jaj.

– I mam w to po prostu uwierzyć? Skąd wiedziałeś o zabójstwie? I dlaczego nie siedzisz teraz w autobusie?

– Wszystko ci powiem, ale nie tutaj. Policja na pewno słyszała strzały i zaraz tu będą. Gdy nas tak zobaczą, nie uda nam się już pogadać. – Wskazał palcem na miejsce zbrodni.

Posterunkowej nie spodobała się ta odpowiedź. Wyciągnęła kluczyk do kajdanek i rzuciła komisarzowi, by go złapał.

– Skuj się razem z nim przez nogę od ławki. Poczekamy na posiłki – rozkazała.

– Oboje wiemy, że to się nie wydarzy – odparł monotoniem jakby znudzony. – Nie pytaj mnie głupio o autobus, przecież wiesz. Pobiegłem przez park na Plantach, aż dotarłem na komendę. To nie było daleko. Widziałem, jak przyglądasz się autu, którym przyjechałem. W momencie, gdy miałem odjechać, wybiegliście z komendy i ruszyliście na sygnale, więc pojechałem za wami. Resztę opowiem później.

– Jak komendant się dowie, wrócisz za kratki. – Wciąż trzymała go na muszce.

– Niech spierdala – rzucił pewnie i zaczął podnosić silnego mężczyznę ze śniegu.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie ty go zabiłeś?

– Ustalimy to z nim – wskazał na skutego – ale nie tutaj.

– Nie tutaj. Na komendzie, jak analitycy pobiorą próbki – sprostowała go.

– Pomyśl. – Uniósł spokojnie rękę, choć zerkał nerwowo w kierunku miejsca zbrodni. – Mam propozycję. Zabiorę go do siebie, wyciągnę z niego informacje, później ty przekażesz je komendantowi, pomogę ci rozwiązać sprawę z braćmi Straszewskimi, w zamian ty będziesz informować mnie o postępach w sprawie zabójcy, z powodu którego tu przyjechałem. Nie pozbędziesz się mnie, dopóki tego skurwiela nie dorwę. Ja zrobię swoje, ty dostaniesz awans jako jedna z najmłodszych kobiet w branży. Jeżeli coś ci się nie spodoba, w każdej chwili możesz na mnie donieść i mnie zawinieć.

Wahała się, ale Michał trafił w jej słaby punkt. Dziewczyna miała wysokie aspiracje i marzyła jej się zawrotna kariera w policji. A tak się składało, że komisarz miał rację w jednym aspekcie – policja wciąż znajdowała się w martwym punkcie ze sprawą braci Straszewskich, a dzięki zatrzymanemu mogą dotrzeć do pewnych informacji, jednak tylko wtedy, gdy porozmawia z nim on sam. Bez prokuratora, bez adwokatów. Tylko on.

– Zegar tyka – pospieszała ją Michał, słysząc nadjeżdżający radiowóz. – Decyduję się.

Wiedziała, że w policji będzie musiała podejmować trudne decyzje. Mówili o tym w Szkole Policji w Pile, mówili jej o tym koledzy po fachu, a wielu z nich posiada nieoficjalne źródła informacji. Przed oczami przeleciało jej całe życie, nawet to, które ją dopiero czekało, w którym jest starsza i nic nie osiągnęła. Wiedziała, że w przyszłości będzie żałować, że nie podjęła tego ryzyka.

Posterunkowa spuściła wzrok, a za nim podążyła spluwa, którą schowała do kabury i zabezpieczyła. Michał uśmiechnął się, a następnie zdjął swój szalik i owinał go dookoła rąk skutego mężczyzny, by nikt nie widział kajdanek na jego przegubach.

– I co teraz? – spytała, a w jej głosie słychać było niepewność.

– Wyjdiesz do tych, którzy lada moment się tu zjawią i powiesz im, że goniłaś podejrzanego typa, ale ci uciekł. Ja wezmę go pod ten adres. – Podał jej zapisaną kartkę. – Przyjedź tam, jak już ogarniesz wszystko na komendzie. Jeżeli ktoś będzie o to pytał, to jestem już w Krakowie. Ja do tego czasu powyciągam z niego, ile się da. Potem zabierzesz go na posterunek i tam złożysz oficjalne zeznania na protokół. Przerzucając cię wtedy do zebranej grupy dochodzeniowo-śledczej powołanej właśnie do tej sprawy i przestaniesz zbierać pijaków z ławek. Zaczyniesz być prawdziwym gliną. Czy raczej: prawdziwą.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się.

- Bo dasz im więcej informacji, niż cała grupa dochodzeniowo-śledcza zebrała przez te lata.
- Gówno ci powiem – zachnął się wysoki mężczyzna z rozbitym nosem i splunął krwią na śnieg.
- Założymy się? – Michał pchnął go w kierunku wałów nad rzeką Dunajec, skąd chciał niezauważenie przedostać się wraz z zatrzymanym zabójcą do samochodu.

Irena rozejrzała się, czy nikt ich nie zauważył. Poprawiła okulary na nosie i patrząc na odchodzącego komisarza Michała Ptaka, nie mogła pozbyć się przeczucia, że mimo wszystko będzie tego żałować.



* * *

Komenda Miejska Policji w Nowym Sączu, godzina 15.42

– Pod samochodem? – zapytał zdziwiony podkomisarz Wojciech Gorzka, popijając kawę przy stoliku w kuchni. Miał długie, zawinięte jak podkowa wąsy, sięgające aż pod usta. Choć był niewiele po trzydziestce, to już zdążył stać się zmęczonym życiem marudą. Był dobrym pracownikiem, każdy w komendzie go za takiego uważał i nikt się na niego nie skarżył.

– Tam nie było samochodów, zgubiłam go przy ruinach zamku – powtórzyła zdenerwowana Irena. Frustrowało ją, że musi odpowiadać już któryś raz na to samo pytanie. – Może pod samochodem, może w krzakach, nie wiem. Szukałam, ale go nie znalazłam. Uciekł. Koniec.

– Po prostu to dość dziwne, ludzie się nie rozplywają. – Upił łyk czarnej, mocnej kawy z gęstym od fusów dnem, patrząc na nią obojętnie. Zauważył, że jego szklanka jest mokra na podstawce, wyciągnął więc rękę po szmatkę. Posterunkowa podała ją podkomisarzowi, choć sama ze szmatki leżącej w pomieszczeniu socjalnym by nie skorzystała.

– Szok – podsumowała, nie kryjąc swojego rozdrażnienia i poprawiła okulary, dociskając je palcem.

– Czemu tak się denerwujesz? Po prostu rozmawiamy.

– Denerwuję się, bo wypytujesz mnie, jakbym pozwoliła mu uciec. – Czajnik zagwizdał po zagotowaniu wody, Irena załała wrzątkiem kubek z saszetką herbaty i docisnęła ją łyżeczką do ścianki, by puściła esencję.

– A pozwoliłaś? – dopytał, siorbiąc.

– Wiesz co? Wał się. – Wzięła kubek i zamierzała wyjść, ale on uniósł rękę w geście przeprosin i wskazał dłonią, by została. Przyjęła przeprosiny i oparła się pośladkami o kuchenny blat.

– Nie atakuję cię. Po prostu jestem ciekawy. – Wyciągnął do niej szmatkę, oddając ją. – Dużo się ostatnio dzieje. Śmierć jednego z naszych. Ponoć wrócił zapomniany, seryjny morderca i mamy dwie wrogie grupy przestępcze, które potrafią się zabijać dla Bóg wie czego, i które na koniec roku zrobiły sobie chyba czystki. Każdy, kogo udało nam się namierzyć, jest powiązany z tymi cholernymi braćmi. Dalej nie potrafię pojąć, jak z prowadzenia sklepu spożywczego można przeskoczyć na haracze, narkotyki i zlecenia porwań oraz zabójstw. Tak, jak tego dzisiaj. – Znów się napił. – Trzeba poczekać, aż technicy pobierają próbki i wrócą z wynikami, ale nie ma co liczyć na przełom. Wiedzą, co robią, to profesjonaliści. Pomocnik z Krakowa po kilku godzinach jest zamieszany w morderstwo mojego kumpla. A komendant, jak gdyby nigdy nic, puszcza typa do domu. Na dodatek gość, którego goniłaś, znika za zakrętem i przepada, jakby odleciał albo zamienił się w śnieg. Po prostu mnie to wszystko wkurwia. Rozumiesz? – Rzucił jej szybkie spojrzenie i wrócił do kawy.

Irena czuła swoje przyspieszone tętno spowodowane stresem. Nienawidziła tego uczucia. Wątpiła też, że herbata z melisą coś tutaj pomoże, liczyła jednak na efekt placebo.

– To odbija się na nas wszystkich. Ty też wyglądasz, jakbyś miał gorszy dzień.

– To nic w porównaniu do twojego, ale przyznaję się z pełną odpowiedzialnością, do dobrych tego dnia przypisać nie mogę. Zresztą zobaczysz za kilka lat. Ta robota nigdy nie robi się łatwiejsza.

– No to wyrzuć to z siebie.

– Na pewno chcesz tego słuchać?

– Chętnie pomyślę o czymś innym – przytaknęła.

– No dobra. – Poprawił się na krześle. – Wpadła mi sprawa zebrania materiałów dowodowych dotyczących zawiadomienia o oszustwie z artykułu 286 paragraf 1 Kodeksu karnego. Młody chłopak budował firmę związaną z nowymi technologiami, komputery i te sprawy. Nie znam się. Szukał inwestora, który pomoże mu sfinansować projekt i zdołał szybko znaleźć jednego, który zaczął wyklądać na to kasę. Wtedy jednak pojawiło się dwóch innych, którzy również chcieli wejść do spółki, ale jako warunek postawili, że obecny inwestor ma z niej wyjść, a oni oddadzą mu środki, które zainwestował do tej pory. Ten się zgodził, oni przekazali pieniądze i w tym momencie w spółce było trzech ludzi, założyciel i dwóch nowych inwestorów. – Upił łyk kawy i mlasnął. – Interes nie wyszedł, więc ci wiedząc, że nie ma konkretnego dokumentu potwierdzającego wcześniejszego inwestora, zgłosili zawiadomienie

o tym, iż założyciel ich oszukał i te pieniądze na pewno wziął do kieszeni. Zawiadomienie miało służyć jako straszak i szantaż na założycielu, by wyciągnąć od niego jakieś pieniądze, ale ten się nie przestraszył.

– Sami chcieli spłacić inwestora i teraz się im odwidziało? – spytała, nie kryjąc zaskoczenia.

– Dokładnie tak, ale słuchaj dalej. Przesłuchałem ich wszystkich. Co ciekawe, inwestor, który był z założycielem na początku, wypiął się zupełnie, twierdząc, że wiedział, iż jego znajomy tworzy taki biznes, ale jedynie mu kibicował i nigdy nie chciał mieć z tym nic wspólnego ani nie przekazywał mu żadnych pieniędzy. A już na pewno założyciel mu niczego nie zwracał.

– Hmm. – Zmarszczyła czoło. – Ale założyciel miał na to jakieś dowody?

– Miał całe mnóstwo. – Znów upił łyk. – Wiadomości tekstowe, świadkowie, którzy widzieli ich razem na imprezach branżowych, gdzie pierwszy inwestor przedstawia się jako współwłaściciel firmy. A wisienką na torcie było nagranie audio, kiedy założyciel nagrał swoją rozmowę z tym inwestorem, na którym tamten potwierdza wszystko.

– Czyli niewinny. W czym zatem problem?

– A widzisz, przekazałem zebrany materiał do prokuratora prowadzącego. Ten, widząc te dowody, wezwał tego pierwszego inwestora na dosłuchanie, by odniósł się do tego nagrania i do jego sfałszowanych zeznań. Wiesz co powiedział, gdy przyszedł na przesłuchanie?

– No?

– Że był ostatnimi czasy ciężko chory i teraz jest głuchy, więc nie przyznaje się do nagrania, bo go nie słyszy. Zatem to na pewno nie on. I żeby głupoty było mało, prokurator prowadzący ze swego lenistwa złożył akt oskarżenia do sądu przeciwko założycielowi.

– Że co!? – Rozszerzyła oczy. – Chyba sobie jaja robisz.

– Jak to pan prokurator powiedział: „Teraz musiałbym wołać biegłego specjalistę, by dochodził do tego, czy na tym nagraniu to faktycznie był inwestor”. Mimo iż tam mówią do siebie po imieniu, wspominają swoje żony, rozmawiają o biznesie, sumach, wszystkim, no kurwa, jak na tacy. Po prostu wszystko. Zatem prokurator uznał, że to za dużo roboty, jemu się nie chce i niech to sobie sąd ustala. A założyciel, mimo iż niewinny, na co wskazują zebrane materiały dowodowe, przez następne kilka lat będzie się płątał po sądach. I takich właśnie mamy, kurwa, prokuratorów, droga pani posterunkowa, a to oni dostają większe pensje od nas. Nie chodzi o to, czy jesteś winna czy nie, tylko to, na jakiego prokuratora trafisz. Takie realia.

– Masakra – skomentowała, nie dowierzając.

Na moment oboje zamilkli, jakby potrzebowali przetrwać tę opowieść. Pokój socjalny, zwany przez niewielu jako kuchnia, ponieważ mieścił się w nim stolik, mikrofala i czajnik, miał swój jeden główny plus: było tam cicho. Można było uciec od zgiełku, szumu, zbieranych akt, telefonów i przekonujących do swojej racji adwokatów. Choć posterunkowa nawet tutaj nie umiała znaleźć spokoju, szarpana przez myśli o komisarzu Michale Ptaku i zatrzymanym, podobno, mordercy. Nie chciała nawet obrażać sobie tego, jak komisarz wydobywa z niego informacje.

– Poproszę o szybsze zakończenie służby, na dzisiaj mam dość. – Wyciągnęła torebkę herbaty i wycisnęła resztki, owijając ją wokół łyżeczki. Uniósł się przyjemny zapach ziół. – Idę zaraz do domu.

– Nie masz dzisiaj dyżuru wpisanego w grafik?

– Po tym, co dzisiaj widziałam, nie mogę zebrać myśli. Jaki byłby sens?

– Żadnego. Do jutra.

– Do jutra.

Wzięła kubek i ruszyła do drzwi, by wyjść z kuchni, gdy w progu złapał ją posterunkowy, równie młody, co ona.

– Irena, komendant cię prosi – zameldował.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Spojrzała na podkomisarza, który tylko uniósł lekko brwi.

– I tyle z wypoczynku – podsumował, nie unosząc wzroku znad czarnej jak noc kawy.

Chwilę później stała już przed drzwiami z dużym napisem: „Sekretariat komendanta”. Nie mogła jednak nacisnąć klamki, nie mogła znieść tego ciśnienia, że ukrywa coś tak ogromnego i ważnego dla komendy i wszystkich tu pracujących. Mijający ją na korytarzu funkcjonariusze policji, według jej postzegania, patrzyli na nią z osądem w oczach, jakby wiedzieli, że puściła komisarza Ptaka wolno. Czula, jak pęca jej się ze stresu dłoń, a skurcz strachu owija się wokół wnętrzości jak wąż i ciągle je zaciska. Nie mogła tak dłużej. Nie chciała, to było wbrew jej charakterowi.

Wzięła głęboki wdech i do sekretariatu weszła bez pukania. Pani Basia, wynurzając się spod biurka, kiwnęła jedynie głową, dając znać, by weszła do środka. Irena chwyciła za klamkę od drzwi do gabinetu komendanta i poczuła chłód wypełniający jej klatkę piersiową oraz lekki ucisk za mostkiem. Nigdy niczego nie ukrywała, a teraz wiedziała już dlaczego. Przelknęła ślinę i weszła, starając się, by nie było po niej widać zdenerwowania. Komendant szukał czegoś w szufladzie biurka. Był wyraźnie sfrustrowany, przerzucał nerwowo zawartość szafki, aż w końcu zamknął ją z hukiem. Ewidentnie nie znalazł tego, czego szukał.

Irena stała bez słowa i czekała z kubkiem herbaty w dłoni. Nie chciała mu przerywać. Komendant w końcu się wyprostował, poprawił idealnie wyprasowaną marynarkę od munduru, zaczesał włosy i zwrócił się do niej:

– Posłałem po ciebie, bo chciałem cię o coś zapytać osobiście. Z uwagi na to, że lubisz tu tak często przychodzić i zwracać mi głowę, zgaduję, że tobie również bardziej odpowiada taka forma komunikacji. – Złożył dłoń jak do modlitwy i przyłożył je do ust, po czym dodał: – Czy ja będę miał z tobą problemy?

Rozszerzyła oczy w zdziwieniu i poprawiła okulary. Stała w bezruchu jak wiekowy posąg, by dopiero po chwili przelknąć ślinę. Chciała coś odpowiedzieć, ale ją uprzedził.

– Nawet odpowiedzieć nie potrafisz? I czemu nie zaszutowałaś, kiedy weszłaś do gabinetu? To komenda, a nie klub nocny – warknął.

– Nie rozumiem...

– Widzę. Już tłumaczę. Mamy kolejnego trupa, ekipa dochodzeniowo-śledcza jest wzywana na miejsce zbrodni i z jakiegoś powodu ktoś wpada na pomysł, by zabrać ze sobą ciebie. Ciebie, która nie wie nawet, dokąd zanieść dokumenty. I co się dzieje dalej? Jedziesz na miejsce i robisz wszystko to, czego najbardziej doświadczeni od ciebie ci zabraniają. Zaczynając od zbliżania się do zwłok, czym ryzykowałeś zatarcie śladów! Włos mógł się przykleić do twojego buta, a wtedy nie dowiemy się, kto był zabójcą. Żeby tego było mało, bez wsparcia biegniesz za podejrzanym i go gubisz. Czego oni was, kurwa, uczą teraz w tych szkołach!? Popelniałaś błędy na każdym etapie! To są podstawy, pani posterunkowa, podstawy, które były dla ciebie czymś nie do udźwignięcia. Gdy następnym razem nie będziesz czegoś wiedziała, to się zapytaj i niech ktoś ci to wytłumaczy, a dopiero później rzucasz się do działania. Zostaw to profesjonalistom, jeżeli sama nie potrafisz połączyć kropek. Nie pomagasz, to chociaż nie utrudniaj innym pracy! – Odsunął skórzany fotel i usiadł w nim czerwony od złości. Zawsze był opanowany, pierwszy raz widziała, by tak wybuchnął. – Przez tę pogodę mamy dużo chorych i brakuje nam ludzi, kadra i tak jest już za mało. Jak widać powiedzenie, że głupi ma zawsze szczęście, się sprawdza, bo gdyby nie fakt, że posypała się nam na koniec roku kadra, szukałabyś właśnie roboty. – Głośno wypuścił powietrze nosem. – Teraz idź już i zrób mi przysługę: następnym razem pomysł, zanim coś zrobisz. Po to masz w głowie mózg, a nie kamienie, żeby go używać.

– Oczywiście – odparła ze spuszczoną głową. Czula się zmieszana z błotem. Odwróciła się, by wyjść.

– A, i jeszcze jedno.

Poczuła chłód w klatce piersiowej, słysząc głos komendanta.

– Pani Basia mówiła, że czegoś chciałaś. Podobno masz jakieś informacje na temat komisarza Ptaka. Mam nadzieję, że jest w Krakowie i chociaż tego nie spierdoliłaś. Bo zawieźć kogoś na autobus potrafię, mam nadzieję?

– Komisarz Michał Ptak odjechał autobusem do Krakowa, panie komendant. Tak jak pan komendant sobie zażyczył.

– Chociaż tyle. – Pokręcił głową i spojrzął na ekran monitora. – To wszystko.

Wyszła z pokoju komendanta i była tak wściekła, że miała ochotę krzyczeć. Rzuciła sekretarce spojrzenie pełne ognia, ale ta nie miała odwagi spojrzeć jej w oczy. Posterunkowa wyszła z gabinetu. Wróciła do swojego biura, które dzieliła z dwoma innymi posterunkowymi. Pisała notatkę urzędową z jej czynności tego dnia. Nie chciała by i za to dostać nagany, czuła w kościach, że jej praca wisi na włosku. Praca, która była jej marzeniem, a ambicja pchała ją na fotel komendanta. Skończyła wklepywać tekst w komputer i oparła się o fotel, który miał uszkodzone oparcie. Spojrzała na drzwi.

– Rafał? – zdziwiła się.

Znajomy policjant z pociągłą twarzą wszedł do jej pokoju, wybudzając ją z zamyślenia. Rozejrzał się po pustych biurkach.

– Posterunkowy Krzysztof Baniach?

– Chory – odparła bez wyrazu.

– To chodź ty.

– Nigdzie nie idę. Mam robotę.

– Mam wyzwanie i nie ma kto pojechać. Wszyscy zarobieni po uszy albo chorzy.

Wskazał ręką na puste biurka.

– A ja nie? Mam przesłuchać świadków, którzy zgłosili się po dzisiejszym morderstwie, a prokurator chce mieć wszystko na skrzynce do jutra do południa. Na mnie nie licz – podkreśliła.

– Ty mówisz poważnie? – Podniósł głos, oburzony jej postawą.

– Śmiertelnie. Dopiero dostałam reprimendę, że wpycham nos w nie swoje sprawy. Więc – kiwnęła na monitor – zajmuję się moimi.

Mężczyzna wszedł i trzasnął za sobą drzwiami. Za to Irena poczuła przyływ ciepła i satysfakcji, że się postawiła. Po słowach komendanta Rafała Starzaka postanowiła nie wychylać się, dopóki nie wykona wszystkich swoich zadań, rzetelnie i na czas. Musiała wykonać kilka dobrych uczynków, żeby nie narazić się na utratę roboty. Nie wyobrażała sobie siebie w innej roli.

O tej porze roku szybko robiło się ciemno. Podczas przesłuchiwania świadków spoglądała co chwilę na zegarek, czekając, aż będzie mogła już wyjść. Wszyscy mówili o tym samym: dobry obywatel, bo widziany był co niedzielę w kościele i mówił „dzień dobry” mijany w drzwiach. „Po prostu anioł nie człowiek” – myślała za każdym razem i kiwała głową w niedowierzaniu, zaskoczona naiwnością osób, których zeznania wklepywała w komputer. Nie dowiedziała się jednak niczego wartościowego. Nikt niczego nie widział, wszyscy słyszeli huk. Minęła dziewiętnasta, posterunkowa podziękowała ostatniemu świadkowi, wydrukowała protokół z przesłuchania, kazała mu podpisać i odprowadziła go do wyjścia. Wszystkie akta włożyła do jednej, grubej teczki z numerem sprawy i związała ją sznurkiem. Zaniósła je na biurko prowadzącemu śledztwo i nie zatrzymując się już nigdzie, wróciła do swojego stanowiska pracy. Założyła kurtkę i ruszyła do wyjścia, kiedy w drzwiach zatrzymał ją policjant, który rozmawiał z nią wcześniej.

– A ty dokąd? Mówiłem ci, że brakuje nam ludzi – rzucił z pretensją. – A skoro skończyłaś przesłuchi...

– Do domu – przerwała mu, podnosząc głos, zmęczona po całym dniu pracy. – Komendant kazał mi się nie wychylać i robić to, co do mnie należy i tylko to. Swoje zrobiłam, na dzisiaj koniec. Jak ci się nie podoba, to idź do komendanta i się mu poskarż.

Słyszała, jak policjant zwyzywał ją pod nosem, ale nawet jej to nie dotknęło. Idąc przez pustoszejące już o tej porze wysokie korytarze, rozłożyła karteczkę, którą podarował jej komisarz Ptak. Wyszła z komendy i skierowała się prosto pod adres, który był na niej wypisany. Nie miała pojęcia, czego może się na miejscu spodziewać.

Trzydzieści minut później była już na alei Batorego. Dostrzegła długi jak ulica stary blok i przeszła wymalowanym w barwy klubowe z napisem „Sandecja KKS” tunelem na środku budynku. Pekin nie był bezpiecznym miejscem do samotnych przechadzek po zmroku, jeżeli się tam nie mieszkało. A i to nie gwarantowało, że nie zostanie się zaczepionym. Odnazka powinna zapewniać, że żaden z osiedlowej bojówki nie odważy się do niej podejść z jakimś głupim pomysłem. „Powinna” – pomyślała, oglądając się za siebie dla pewności, kiedy była już wewnątrz osiedla przy ulicy Krasickiego.

Weszła klatką schodową na trzecie piętro, w bloku nie było windy. Światło szybko gasło w irytującym krótkim odstępie czasowym. Złapała za barierkę, ale guma, którą była pokryta, lepiała się do dłoni jak stopiona. Przetarła rękę o kurtkę. Stała pod drzwiami z numerem, który miała wypisany na karteczce otrzymanej od komisarza, i już chciała zapukać, ale zatrzymała rękę. Przyłożyła ostrożnie ucho, żeby usłyszeć, co się dzieje w środku. W tej samej chwili usłyszała ciche skrzypienie i odwróciła się w stronę korytarza, gdzie zauważyła uchylone drzwi od sąsiadów. W niewielkiej szparze dostrzegła osobę, która obserwowała ją podejrzliwie jednym okiem. Tętno jej przyspieszyło i starała się uspokoić myśli, trzepoczące teraz jak stado wron.

Przyglądający jej się człowiek zniknął w zupełnym mroku korytarza, gdy czas zapalonej żarówki się skończył. Irena zrobiła szybki krok w kierunku klatki schodowej i wcisnęła włącznik światła. Wzdrygnęła się, widząc mężczyznę, który stał pomiędzy schodami na półpiętrze i opierał się plecami o ścianę, patrząc na nią spod ciemnego kaptura. Szedł za nią? Nie zauważyła go wcześniej.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała, próbując zachować spokój, ale zarówno mężczyzna w kapturze, jak i ten ukryty za uchylonymi drzwiami, po prostu na nią patrzyli. Jak drapieżcy czekający na ruch ofiary. Wtedy usłyszała, jak coś ciężkiego przesuwają się za ścianą. Komisarz Michał Ptak otworzył na oścież drzwi.

– Dotarłeś – przywitał ją i zauważył, że Irena czujnie spogląda na klatkę. Wyszedł z mieszkania i stanął przed dziewczyną, odgradzając ją od typa na schodach.

– Czego? – warknął Michał.

– Po prostu stoję – odpowiedział zachrypniętym głosem mężczyzna w kapturze. – Wolno mi.

– Nie, nie wolno. Wypierdalaj.

Jednak facet się nie ruszył. Michał zrobił krok w jego stronę i stanął na górze schodów.

– Z policji jesteś? Będziesz podsłuchiwał? Może chcesz na nas donieść!?

Mężczyzna oburzył się i spojrzął ostatni raz na Irenę, która przyglądała się całej sytuacji w milczeniu. Drzwi do mieszkania sąsiadów się zamknęły, a typ na schodach zaczął schodzić piętro niżej. Komisarz wrócił do Ireny i kiwnął głową, by weszła do środka. Wsunęła się przez uchylone drzwi, a on wszedł za nią. Zamknął je, po czym dosunął szafę, tak by barykadować wejście.

– A po co to? – spytała zaskoczona, poprawiając okulary na nosie.

– Kiedy tu wchodziłem, to uszkodziłem zamek. Nie zamykają się teraz.

– Włamałeś się tu!? – Podniosła głos wyraźnie przejęta.

– Chyba nie myślałaś, że tu mieszkam?

– No nie, ale... – rozłożyła ręce – to jest włamanie. Powinno to zgłosić.

– To zgłoś – rzucił od niechcienia i wszedł w głąb ciemnego pomieszczenia, w którego mroku niemal całkowicie się zanurzył. W wilgotnym, nieprzyjemnym zapachu unosił się odór przypominający zapach starego sera. Grzyb panował w całym pomieszczeniu, wwiерcał się w nozdrza. Spojrzała w dół, bo stojąc na starym dywanie, czuła, że podeszwy jej butów zanurzają się w grubej warstwie kurzu, który

zbierał się tutaj od długiego czasu. Irena poszła za Michałem, ale bardzo ostrożnie. Jej oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności, jaka panowała w pomieszczeniu.

– Gdzie jest podejrzany? – zainteresowała się.

Miała wrażenie, że panujący w dusznym wnętrzu smród oblepia jej ubrania i włosy, przyłożyła więc dłoń do nosa, starając się choć trochę przed nim ochronić.

– Tutaj.

Usłyszała kliknięcie włączanej latarki w miejscu, skąd dochodził jego głos. Niewielka żarówka podświetliła męzczyzną przywiązanego do krzesła. Nogi i tułów miał skrepowane, a jego ręce sięgały za oparcie mebla. Podniósł głowę, widząc, że ktoś jeszcze znalazł się w mieszkaniu. Nos, usta i brodę miał we krwi, a jedno oko spuchło, podbite. Był w oplakany stan. Posterunkowa dopiero teraz zauważyła, że pięść komisarza owinięta była szmatką, by nie ranił swej skóry podczas uderzeń.

– Nie. Tak nie można – powiedziała. – To poszło za daleko.

– Dobra. Coś sobie wyjaśnijmy. – Spojrzył na nią zimnymi, pozbawionymi emocji oczami, jakby za pstryknięciem palca wstąpił w niego ktoś inny, ktoś zły. – Że niby co? Że napiję się z nim herbaty i wszystko mi opowie? Myślałaś, że co się stanie, gdy przekazałaś mi kajdanki? Nie udawaj głupiej.

– Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego. – Złapała się za czoło, wyraźnie przejęta.

– Szkoda ci go? O to chodzi? – parsknął Michał. – Posłuchaj, co ma do powiedzenia, to zmienisz zdanie.

– Ja pierdołę, co ja tu robię? Co ja tu robię? To nie jest tego warte... – Młoda policjantka sięgnęła po telefon, żeby to zgłosić. Miała tego dość. W jej ocenie należało to natychmiast zakończyć. Żałowała, że dała się ponieść emocjom i nawet jeżeli miałyby stracić pracę, będzie wiedziała, że postąpiła słusznie. Nacisnęła przycisk w swojej noki, a ekran telefonu zaświecił się na zielono. Komisarz Michał Ptak kopnął krzesło, na którym siedział podejrzany, a ten wzdrygnął i zastękał z bólu.

– Powiedz jej to, co mnie – rozkazał komisarz.

– Kim ona jest? Nie będę gadał z psami. – Splunął. – Nie jestem kapusiem.

– A my nie jesteśmy psami. – Michał kucnął przed nim. – Twój zleceniodawca zaczął z niewłaściwymi ludźmi. Wiedział, co robił. Ale ty nie, ty robiłeś tylko to, co ci kazano. Nie musisz umrzeć ani iść siedzieć. Nie chodzi mi o ciebie. – Wskazał na niego palcem, a potem wsadził go jego w rozcięty łuk brwiowy, aż męzczyzna uciekł głową. – Powtórz jej to, co mi powiedziałaś i cię puszcze. Nikt się nie dowie, co tu zaszło. Kumplom powiesz, że cię policjant wyszukał w tłumie i wpierdolił ci mu, gdy cię złapał, a wyglądasz, jak wyglądasz, bo umiał się bić. Będziesz bohaterem. – Wstał i odczekał niecierpliwie kilka sekund, po czym opuścił głowę i podszedł do czarnej torby. – Nie mam na to czasu – rzucił i wyciągnął z niej grubą nogę.

– Ej, kurwa, chłopie, poczekaj żesz! Dobra, już! Powiem! – Związany męzczyzna wiedział, że Michał nie blefuje. – Nie wiem dokładnie, kto złożył zlecenie. Otrzymałem je od pośrednika. Lepiej nie wiedzieć, kto zleca. Czysty, szybki strzał, bez gadania, bez bólu, efekt się liczył, nie emocje. Ofiara miała o niczym nie wiedzieć. Jak się okazało, tak nie było, bo spodziewał się ataku. Był uważny, rozglądał się. Gdy mnie zauważył, zaczął uciekać do klatki. Złapałem go przy drzwiach, ale huk zbudził ludzi, więc musiałem spierdalać. Nie zdążyłem sprawdzić, czy na pewno nie żyje. Wróciłem, by poczekać na lekarza policyjnego, który miał stwierdzić zgon. Chciałem zobaczyć, czy przykrywają zwłoki czarną folią. Jeżeli by żył, zawieźliby go do szpitala i tam musiałbym dokończyć, co zacząłem. Chociaż nie zdołałbym go zabrać.

– Strzał w tył głowy i musiałeś się upewnić? – powątpiewała Irena.

– Zdziwiłabyś się, co ludzie potrafią przeżyć.

– Dobra, ale poczekaj, powiedziałaś, że nie udało ci się go zabrać. Zabrać dokąd? – dopytywała, przejęta jego zeznaniem.

– Tam gdzie resztę. – Odchrząknął, czyszcząc gardło z krwi.

- Czyli gdzie? Ilu ich było? – Irena ciągnęła go za język.
- Ciężko zliczyć. Nie jestem jedynym, który dostaje zlecenia. – Splunął. – Chciałeś wiedzieć, czy to ja i czy było to zlecenie – zwrócił się do stojącego nad nim z nożem w ręku komisarza. – Już wiesz, teraz mnie, kurwa, wypuść.
- Komisarz i posterunkowa spojrzeli po sobie, po czym Michał spytał:
- Gdzie zabierałeś pozostałych?

* * *

Zakliczyn, godzina 22.40

Na most przecinający rzekę Dunajec wjechał tir, który kierował się drogą numer 980 prowadzącą w stronę Wojnicza. Mocne światła lamp killkutonowej maszyny oświetlały odśnieżoną jezdnię, lecz tego, co działo się pod mostem, na szerokiej linii brzegowej od strony Zakliczyna, kierowca tira nie był w stanie dostrzec. Księżyc przysłoniły chmury, zrobiło się ciemniej przy brzegu rzeki. Powietrze było jakby gęstsze. Posterunkowa czuła, jak przemakają jej buty, brudne i mokre od mułu zmieszanego z lepkiem śniegiem.

Odwróciła się, spoglądając na ciemny, splątany las z białymi od przykrywającego je puchu koronami drzew. Gdzieś wśród gałęzi pohukiwały sowy, słychać było przemykające nocne zwierzęta. Pachniało mokrymi kamieniami, a wydychane powietrze szybko zmieniało się w parę. Zimno kąsało stawy jak węże, mróz przenikał ciało na wskroś i Irena pomimo sytuacji myślała już tylko o cieplej wannie i dobrej książce.

– Kurwa. Chyba o coś zahaczyłem – wystękał Michał, silując się z mokrym sznurem ciągnącym się z rzeki.

Gdy Irena obserwowała most nad nimi, Michał ciągnął za sznur, który na swoim końcu miał przywiązany hak. Musiał zaczepić o coś ciężkiego, bo mężczyzna się nie lada wysilał, by go wyciągnąć. Po dwóch mocniejszych szarpnięciach opór ustał i sznur wracał teraz lekko na brzeg. Złapał go tuż przy końcu i przygotował się do kolejnego rzutu.

– Nie masz wrażenia, że tracimy tutaj czas? I zamarzamy przy okazji? – zwróciła się do niego, podchodząc bliżej. Stawiała ostrożne kroki między oblodzonymi kamieniami, by nie skrócić kostki.

– Nie wiem. Rzucę jeszcze kilka razy i zobaczymy. Zależy od... uważaj! – Skarcił ją, widząc, że podeszła za blisko, kiedy znów chciał zakręcić hakiem z trzema zębami. – Stań z boku i nie podchodź, nie chcę cię zaczepić.

Posterunkowa cofnęła się, a komisarz oddychając głośno, zaczął kręcić hakiem w powietrzu, by nadać mu rozpędu. W odpowiednim momencie wypuścił przyrząd, a ten dalekim lobem pofrunął na środek czarnego nurtu rzeki, która była zamarznięta przy brzegach.

– Zależy od czego? – dopytała.

– Jak długo te ciała tu leżą. Mamy środek zimy, więc będą rozkładały się dłużej. Ale nurt i tak robi swoje. Jeżeli ich dobrze nie zabezpieczyli, to mogły już się rozpaść, a tkanki poodklejać i popłynąć z prądem rzeki. Mogły zostać zjedzone przez ryby, a te ryby potem zjedzone przez tego, kto je wyłowil. Czyli, krótko rzecz ujmując, jakiś wędkarz mógł zjeść część...

– Fuj! – oburzyła się, przerywając mu.

– No, fuj – parsknął śmiechem i pociągnął linę, stękając. – Pewnie już nigdy nie zjesz ryby?

– I tak nie przepadam. Skąd ty wytrzasnąłeś taki hak? – zmieniła temat.

– Był na ścianie w piwnicy należącej do właścicieli tego mieszkania.

– I skąd wiedziałeś, że on tam był?

Michał nie odpowiedział, ciągnął dalej w milczeniu, aż poczuł opór. Nie było to jednak zatrzymanie haka w miejscu jak przedtem. Tym razem coś ciągnął, coś ciężkiego.

– Kurwa, jaka cholera... – wystękał i napiął mięśnie całego ciała, zapierając się mocno nogami, które zanurzały się w mroźnym mule, przeszywając lodowatym bólem kostki.

– Pomóc ci? – zapytała.

– Nie, stój i patrz – odparł sarkastycznie i rzucił jej spojrzenie pełne dezaprobaty. – No chodź tu!

– Nie musisz być chamski. – Złapała za linę, która była przesiąknięta zamarzającą wodą, i ciągnęła razem z Michałem. Po krótkiej chwili spod wody wyloniło się coś czarnego, pod ciężarem czego łamał się lód powstały przy brzegu rzeki.

– Zobacz, co to! – wystękał. – Ja będę trzymał.

Irena podeszła bliżej, tak by nie wejść do wody, i przyświeciła latarką.

– I co? – zawołał.

– Nie wiem. Coś czarnego.

– Możesz być bardziej konkretna? Mam wyciągać czy puścić?

– Wyciągaj!

Komisarz trzymał mocno i zaczął cofać się, aż worek dotarł do kamieni brzegowych.

– Ja pierdolę! Michał, to chyba... – Irena odwróciła się i odeszła kilka kroków, po czym zatrzymała się i skierowała światło latarki na worek obwiązany cienkim sznurkiem. Odpowiadał długości rosłego mężczyzny, na jego końcu doczepiony był betonowy pustak. Komisarz zbliżył się i kucnął obok wydobytego z rzeki pakunku, wyciągając nóż. Oddychał ciężko, zasapany i zmęczony. Irena ze stresu nie pamiętała już o wysiłku czy mrozie. Rozciął worek w miejscu, gdzie powinna być szyja i rękami rozerwał go szerzej.

– Kurwa – skomentował pod nosem. Wstał i spojrzał na Irenę.

Patrzyła na niego jak na ducha z oczami szerokimi jak pięćdziesiątówki.

– No, pani posterunkowa – trzepnął o siebie rękawiczkami – ma pani swój przełom w sprawie.

ROZDZIAŁ 6

Przesunięcie

Zakliczyn, godzina 11.32

Czarny jak smoła kruk załopotał skrzydłami, lądując na dachu malucha stojącego na poboczu drogi wiodącej przez osnieżony las. Rozejrzał się po okolicy, przeskakując z miejsca na miejsce, jakby liczył oznakowane radiowozy zebrane gęsto na niewielkiej przestrzeni. Zaskrzeczał i zaczął mocno walić dziobem o dach. Ciche odgłosy uderzeń w blachę zmusiły Irenę do wyjścia z samochodu.

– A poszła ty, cholero! – krzyknęła i sięgnęła ręką, ale nie zrobiło to na ptaszysku większego wrażenia. Spoglądała na nią, przekrzywając jedynie głowę. Wrzasnęła, zdenerwowana, a kruk w końcu odleciał. Posterunkowa wróciła do auta i zamknęła drzwi, by odciąć wpadające do środka lodowate powietrze.

Siedziała na rozłożonym do spania bocznym siedzeniu, które teraz stawiała do pionu kilkunastoma obrotami okrągłej rączki. Popijała ciepłą herbatę z termosu, który dostała od śledczych pracujących w tej chwili na miejscu przestępstwa. Nie wynurzając się spod koca, rozglądała się po pozbawionym życia, przejętym przez zimę terenie. Wiedziała, że nie mogła więcej odpalać silnika w celu ogrzania pojazdu, bo powoli docierała do rezerwy paliwa i nie starczyłoby go na powrót do Nowego Sącza, a z kasą stała cienko. Wychyliła się, by zerknąć na tarczę słońca, ale ta mieniła się jedynie za szarymi chmurami. Czuła się strasznie. Była głodna i wykończona, nie spała całą noc i to nawet nie z braku chęci. Nie mogła zasnąć. Po przyjeździe patrolu i interwencji komendanta do Państwowej Straży Pożarnej z Krakowa o jak najszybszy przyjazd nurków, ci dotarli dopiero dwie godziny temu.

W nocy się nie nurkuje, bo do wylawiania czegokolwiek potrzebna jest widoczność. Na całe szczęście przejrzystość wody była odpowiednia.

– Mogli pojawić się wcześniej, teraz byłoby już po wszystkim – marudziła sobie pod nosem i wzięła kolejny hęk coraz chłodniejszego płynu. Wiedziała, że to już pora, by wrócić do reszty. Wyszła z samochodu, zostawiając koc w środku siedzenia.

Na ruchliwym moście, pod którym zaparkowane były radiowozy wraz z wozem strażackim, rozniósł się dźwięk klaksonu. Minęła posterunkowego, który został, by pilnować pojazdów i nie wpuszczać nikogo do lasu. Irena, ze schowanymi pod grubą czapką blond włosami, minęła linię drzew, która w niewielkiej odległości dzieliła rzekę z boczna od głównej drogi jezdnią, służącą głównie do zawracania. Dookoła było białe i zimno, trzasnęła jedna z wielu gałęzi rozrzuconych pod grubą warstwą śniegu. Gdzieś w krzakach pokrzykiwały ptaki, lecz zaraz zaguszyły je inne, ludzkie głosy. Wyszła zza drzew na płaski teren brzegowy. Patrzyła na siedem czarnych, mokrych worków leżących na kamieniach jeden obok drugiego. Mocno różniły się od siebie rozmiarem. Zwłoki w nich zamknięte miały przywiązane do nóg betonowe pustaki, które zapobiegały wypłynięciu.

– Wczoraj wieczorem byłam początkującym gliną, a teraz... Ech... – powiedziała do siebie, obserwując ekipę dochodzeniowo-śledczą i techników kryminalistyki, z którymi miała styczność już dwa razy w ciągu jednej doby. Powoli zaczynała rozpoznawać ich twarze. Ale nurkowie oraz prokurator to już zupełnie inna bajka. Cała śmietanka była teraz zgromadzona w Zakliczynie pod mostem przerzuconym nad rzeką Dunajec. Wszyscy dzięki jej zawiadomieniu. Nurkowie co chwilę wylaniali się z wody i wykrzykiwali coś do tych na brzegu, po czym znów nurkowali, zostawiając po sobie kilka bulgoczących bąbelków.

Irena zauważyła prokuratora Janusza Perłę. Wiadome było, że nosi masywny sygnet na palcu, ale teraz, ukryty pod rękawiczkami, sprawiał wrażenie, jakby miał ten palec złamany z przemieszczeniem. Stał w długiej, niebieskiej, puchowej kurtce z miną, która jeszcze bardziej podkreślała i pogłębiała jego i tak liczne z powodu wieku zmarszczki. Nie odwracając oczywistego, skierowała się prosto w jego stronę. Zawiął wiatr, syjąc na nią drobinki śniegu z pobliskiej zasy, które szczypały w policzki i topniały od razu po zetknięciu ze skórą. W świetle dnia wyraźnie widziała, że rzeka była zamrznięta przy brzegach, a nurkowie mieli przywiązane do swoich ciał sznurki, na wypadek gdyby zabłądzili pod lodem lub wodą. Worki były zasłonięte. Krzątały się przy nich jedynie technicy, bezustannie strzelający migawkami aparatów. Naliczyła łącznie kilkanaście osób przeczesujących teren. „Dużo” – pomyślała i poczuła, jak robi jej się słabo. Odwróciła się prędko i zwymiotowała.

Wszyscy wyprostowali się, by na nią spojrzeć, po czym wrócili do swoich obowiązków. W tym czasie podszedł do niej prokurator z rękami w kieszeniach i w białej, naciągniętej głęboko czapce, która kończyła się na brwiach.

– Powiedziałbym ci, że w końcu się przyzwyczaisz. Ale życzę ci, byś nie miała okazji – powiedział, podając jej chusteczkę. – Wracaj do auta, tu jest cholernie zimno.

– Jest okej, potrzebuję chwili – odparła udającym pewność siebie głosem.

– Udało ci się zasnąć?

– A jak pan prokurator myśli? – Przetarła usta.

– Myślę, że nie. – Mężczyzna odwrócił się i spojrzął na leżące w jednej linii worki. – Równie dobrze możesz jechać do domu. Nic więcej się dzisiaj nie wydarzy, pozbierają, co się da. I tyle. Psy nam tu nie pomogą. Za dużo dzięki zwierzyny dookoła, przy tak mocnych zapachach zaczynają wariować. Pogadamy jeszcze z podkomisarzem Pawlikiem, który jest za nie odpowiedzialny. Nie liczę jednak na to, by powiedział mi cokolwiek innego.

– Czemu worki są zakryte?

– Zbyt długo leżały pod wodą, uwierz mi, nie chcesz tego oglądać. Normalnie po dwóch, trzech dniach ciało zaczyna się totalnie rozkładać, po pięciu mięso zaczyna odpadać od kości. W tym wypadku jest trochę inaczej. Temperatura wody była niska, więc na pewno spowolniła ten proces. Ale ci tutaj to czarna kupa mięsa, a nie ludzie. Na oko nie da się stwierdzić, czy w worku jest kobieta czy mężczyzna. Zostaje zabezpieczenie odzieży, ogłędziny, ale moim osobistym zdaniem nie wolno ich pokazać bliskim. Nic to nie da, a lepiej ludziom oszczędzić widoku, który będzie ich potem prześladował nocami. Zostają nam badania DNA i zęby – westchnął, drapiąc się po brodzie i zmarszczył twarz w namyśle. – Nie wiesz, czy została jeszcze jakaś kawa w termosie?

– Niezły pan prokurator zrobił przeskok. Z kupy mięsa na kawę... – odparła i splunęła, czyszcząc usta i próbując pozbyć się smaku wymiocin.

– Ja niestety miałem okazję się przyzwyczaić. Ale do trupów jeszcze nie gadam.

– Co?

– Mówię o patologach. Tych, którzy przeprowadzają sekcję zwłok i siedzą w pracy całymi dniami, po czym jadą do domu tylko na wieczór, rano znów wychodzą do zgonów i więcej czasu spędzają w towarzystwie trupów niż żywych. W którymś momencie zaczynają do nich mówić. A propos przyzwyczajenia, żeby nie użyć słowa nałogu, co z tą kawą?

Posterunkowa się wyprostowała i zauważyła dwóch techników w fartuchach, jak pobierali próbki z obrapanej wyraźnie kory z pnia pobliskiego drzewa.

– Nie wiem, czy jest jeszcze kawa. Można zapytać tych w wozie strażackim – powiedziała. – Ale trzeba będzie wracać przez las.

– Ech, aż tyle mi się nie chce iść. Zaraz kogoś poślę – westchnął, zawiedziony i rozejrzawszy się, jednak wszyscy wydawali się bardzo zajęci. – Szlag by to, mogłem zabrać od razu, jak tu szedłem.

Irena nie patrzyła już na zwłoki. Skupiała swój wzrok na rzece i na dowódcy, stojącym przy brzegu i koordynującym działania nurków. Technicy ubrani w białe fartuchy, miotłkami odgarniali świeżo

warstwę śniegu przy lesie. Mróz, jaki panował w tym miejscu, przesywał ją do kości. Szczękała zębami, myśląc o swoich odmrożonych już zapewne stopach, tkwiących w sztywnych od zimna, przemoczonych butach.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał prokurator, nie patrząc na nią. – O tych w wodzie. Nie mogłaś zgadnąć.

– Od informatora.

– Informatora – przytaknęła. – I nie powiesz mi, kim on jest?

– Chce być anonimowy, pan prokurator się nie obraża.

– Przecież mu nie powiem – parsknęła. – Chodzi mi raczej o ciebie. Ty uważaj na siebie. Ktoś, kto posiada informacje o miejscu składowania ciał, musi znać je dlatego, że sam je tu wrzucał. Albo przynajmniej przy tym był. A tacy nie mają skrupułów. Jednego z naszych już straciliśmy, więcej nie chcemy.

Posterunkowa patrzyła skupiona na wypływającego spod wody nurka w pełnym stroju z pianki i dużą butlą tlenową na plecach. Podpłynął do tych siedzących w pontonie.

– Kurwa. Za to polecą głowy. – Prokurator wyraźnie przeżywał znalezisko, ale martwił się też odpowiedzialnością gangu, gdy się o tym dowiedzą.

Dziewczyna spuściła wzrok. Komisarz Michał Ptak przygotował ją na taką okoliczność, powtarzał, że nie może zdradzić, kim jest osoba, od której ma informacje. Powody były dwa. Pierwszy z nich był taki, że jeżeli w prokuraturze dowiedzą się, że on jest w to zamieszany, to jego zamkną, a ona zostanie wydalona ze służby za współudział. A drugi, jak mówił jej Michał, to dopóki trzyma w tajemnicy tak ważną osobę, jest cennym atutem dla całej sprawy i prokurator będzie chciał ją mieć w tym śledztwie. W momencie gdy zdradzi nazwisko, przestanie się liczyć i wróci do przenoszenia akt z pokoju do pokoju. Kariera to gra w szachy i musi mieć strategię, jak ją rozgrywać, a potem trzymać się założeń, by wygrać.

– Ten twój informator wspominał coś o samych braciach Straszewskich?

– Nie, panie prokuratorze. Nic.

– Rozumiem – przytaknęła. – To otwiera nam możliwości na nowe działania. To, co mieliśmy wcześniej, to zeznania świadków pobicia, wymuszenia haraczy czy pogroźki. Wiedzieliśmy, że mordują, ale nie było ciał, tylko zgłoszenia o zaginionych i powiązania biznesowe. A teraz... – pokręcił głową – teraz to co innego. Może w końcu... – W jego oku błysnęła iskierka nadziei, która nagle zgasła jak dmuchnięta świeca. – Eee, kurwa. Nie ma co się podniecać. Potem człowiek chodzi jak struty.

– Myśli pan prokurator, że to ma związek z zabójcą odcinającym uszy?

– Mówisz o zabójcy sprzed piętnastu lat, co rzekomo wrócił?

Przytaknęła, a zuchwa podskoczyła jej niekontrolowanie.

– Zmyłka tych, którzy wrzucali te ciała do wody. Ostatnimi czasy zrobili kilka błędów. Tak jak z tym gościem na klatce. Musieli odwrócić naszą uwagę i to sobie wymyślili. Każdy o tym wie.

– Widzę, że w prokuraturze również przyjęto tę koncepcję. Myślałam, że tylko komenda idzie na łatwiznę. – Znowu zaczęła zębami i poruszyła ramionami, by się ogrzać.

– Jeżeli posiadasz szerszą wiedzę na ten temat, przekaż ją przełożonym. Być może zmienią punkt widzenia.

– Nie, nie mam. Po prostu nie lubię zakładać niczego na zaś. Nic nie jest pewne, dopóki się tego nie udowodni. A dowodu, że to wypucha braci Staszewskich, nie ma.

– Nie ma. I mam nadzieję, że się znajdzie – dodał prokurator, patrząc na jej czerwony nos i sine usta.

– Ostatnie, czego nam teraz brakuje, to kolejny świr, który morduje i odcina ludziom uszy. Mieszkańcy Nowego Sącza zdążyli już o nim zapomnieć, nikomu nie trzeba go przypominać.

Posterunkowa wyciągnęła telefon, żeby sprawdzić godzinę. Baterię miała już na wyczerpaniu. Nie umknęło to uwadze prokuratora.

– Jedź do domu. Zaraz się rozchorujesz. Analiza i tak potrwa kilka dni, a co najmniej dobrać trzeba dać tym ciałom, by odtajały. Nic tu po tobie.

– Nie, dziękuję. Chcę to zobaczyć do końca.

– Twoja decyzja. – Poprawił czapkę i rozejrzył się za kimś, kogo mógłby wysłać po kawę. Nadal nic. – Wracam do roboty. Ale gdybyś jednak zmieniła zdanie, to zabierz kawę ze sobą. – Prokurator poszedł do jednego z podwładnych i zaczął mu coś tłumaczyć, wskazując gestem w kierunku przemoczonych worków.

Irena niczego nie chciała tak bardzo, jak tego, by wrócić teraz do domu i wskoczyć do ciepłej kąpielii. Ogrzać kości i napić się gorącej herbaty z cytryną i miodem dla rozgrzania. No i łóżko, miała wrażenie, że nigdy tak bardzo za nim nie tęskniła.

Zmieniła zdanie. Odwróciła się na pięcie i po chwili była już w maluchu. Ten zawył, jakby go coś zabolalo i zabalugotał, po czym zatrząsał się cały na znak gotowości do jazdy. „Na szczęście odpalił” – pomyślała z ulgą. Pogoda nie zachęcała do spędzenia nocy w niesprawnym pojeździe. Pojechała do domu. Ostatecznie tak jak powiedział prokurator: „Nic więcej się dzisiaj nie wydarzy”.

* * *

Las o tej porze roku był piękny i straszny jednocześnie. Czarny i łysy. Powykręcane gałęzie krzaków wystawały jak kolce spod białego śniegu, nierównego od śladów zwierząt. Labirynt konarów z zamrzniętym, przyklejonym do nich śniegiem budził niepokój, a wyobrażenia sięgała po najgorsze myśli. Był wieczór. Rozległ się trzask i ciche furczenie wraz z ciężkimi chrupnięciami kroków, stawianych przez rosłego jelenia z piękną parą potężnego, niesymetrycznego poroża. Wychodząc zza powalonego drzewa, zauważył starą, drewnianą chatkę ze spiczastym dachem. Jeleń patrzył na nią swoimi czarnymi oczami i wypuścił parę z nozdrzy. Nie zbliżał się. Instykt ostrzegał go, pozwalając wyczuć złą energię, jaka biła od tego domku. Zmysły zwierzęcia alarmowały go, by trzymał się od tego miejsca z daleka.

Powietrze rozdarł nagły krzyk i nasycony bólem wrzask, dochodzący z wnętrza drewnianej chatki, stojącej w ciemnym i zapomnianym przez mapy punkcie. Spłoszone zwierzę uciekło, przeskakując długimi susami powalone pnie, by w końcu zniknąć w gąszczu łysych drzew.

Hałasy ustaly tak szybko, jak się pojawiły. Mężczyzna przywiązany do krzesła dławił się nadmiarem śliny i płynów, które wpływały mu teraz do gardła. Przywiązany do zuchwy starą szmatką język uniemożliwiał swobodne przełykanie. Unieruchomiony człowiek stękał, siedząc na starym, stalowym krześle ze skrupowanymi za oparciem rękami. Skołatunione włosy opadały mu na oczy, lepiąc się i klejąc do brudnej twarzy. Sińce i rany cięte oraz zalana wyschniętą już krwią lewa strona głowy sugerowały, że stracił sporo krwi. Przypalone rany i zwęglona skóra miały za zadanie tamować krwotoki. Był wykończony i słaby. Z powodu ograniczonego do minimum jedzenia był workiem ścięgien i kości, oblepionym suchą jak papier ścierny skórą. Nie pamiętał, jak długo był w tym miejscu. To wszystko, co go spotkało, odbierało mu możliwość logicznego rozumowania. Miał już dość, w myślach błagał o koniec, o dar łaski w postaci szybkiej śmierci.

Starszy mężczyzna, ubrany w sweter i założone na niego szelki od rybackich spodni, wrzucił coś do woreczka i skierował się do stołu z narzędziami. Po drodze otworzył drzwi od małej zamrażarki znajdującej się za zasłoną, do której co chwilę dorzucał lodu, i wyciągnął z niej nieduży pojemnik. Położył go obok kartonowego pudełka wypełnionego watą. Gdy wyciągnął rękę, by je otworzyć, usłyszał stukoczący dźwięk dochodzący zza drzwi małego pokoiku. Kolejny stukot. Starzec burknął pod nosem ze złości, naciągnął kucyk na czubku głowy, po czym wziął łopatę i udał się zgarbiony do pomieszczenia, z którego rozlegało się ciche postukiwanie. Przywiązany mężczyzna zdołał dostrzec w wąskiej szparze otwierających się starych drzwi ruch na podłodze i chude nogi kogoś, kto tam leżał. Dźwięk uderzenia łopatą rozbrzmiewał w głowie związanego człowieka, jakby sam przyjmował ciosy ciężkim narzędziem. Stękał przy każdym uderzeniu.

Starzec wyszedł z pokoiku i zamknął za sobą drzwi. Odstawił zachlapaną kroplami krwi łopatę, którą podświetlało ciepłe światło kominka. Mężczyzna na krześle trząsał się ze strachu i zamknął mocno oczy. Łzy popłynęły po jego brudnych policzkach. Starzec przysunął świąteczne pudełko i dorzucił do

niego więcej waty, tak by nie uszkodzić przesyłki. Otworzył plastikowy pojemnik i wyciągnął z niego prezent, a potem ułożył go starannie w środku zdobionego pudełka i przykrył kolejną warstwą waty. Odsunął krzesło od stołu, rysując podłogę, i usiadł. Wrócił do wycinania słów z gazet.

– Nie... nie... – wycharczał z trudem, przez szmatkę trzymającą język, uwięziony mężczyzna.

Starzec przerzucił spojrzenie na przywiązaną ofiarę, która zaczęła się szarpać mocniej niż zwykle. Pochwycił za długie i ostre nożyczki, po czym wstał i podszedł do krzesła, a ranny mężczyzna odchylił jak najdalej głowę, przestraszony, oddychając szybciej. Zwyrrodnialec oparł zimne nożyczki na policzku swojej ofiary i przytknął je ostrym końcem do skóry, dociskając głębiej. Następnie zabrał je, nie robiąc jej krzywdy i zsunął materiał z jej ust. Spoglądał przez chwilę, a potem wrócił przed stół.

– Mówiłeś coś? – dopytał, wycinając nożyczkami kolejne słowa.

– Nie wypuścisz mnie już... ja... ja tu umrę... – Z trudem wypowiadał słowa. Wysuszone gardło i szorstkie jak papier ścierny struny głosowe powodowały, że jego głos brzmiał jak szelest pchanych wiatrem liści.

Starzec nie przerywał swojej czynności, smarując litery klejem i przyklejając je starannie w linii.

– Wszyscy mamy swoją rolę do odegrania w tym dwulicowym świecie. – Uniósł list i zsunął okulary, by mu się lepiej przyjrzeć. – I ja. I ty. Bóg stawia nas tutaj w jakimś celu, a jemu nie wolno się sprzeciwić.

Przetrzymywany człowiek patrzył na niego ze strachem w oczach.

Skończył.

Zaczął składać kartkę, wsunął ją do koperty, a następnie włożył ją do pudełka, które zakleił i przewiązał sznurkiem jak prezent.

– Twoja rola dopiero przed tobą.

– Nie... błagam... błagam...

Starszy mężczyzna wstał i wcisnął mu materiał w usta. Zarzucił na siebie kurtkę i włożył czapkę, wziął pudełko i wyszedł ze starej chatki.

* * *

Nowy Sącz, osiedle Barskie, godzina 18.15

W sypialni przyciemnionej ciężkimi zasłonami zadzwonił telefon. Głośnie i irytujący dźwięk dzwonka zbudził atrakcyjną posterunkową, która odsypiała ponadtrzydziestosięgodzinną służbę. W końcu komórka ucichła, ale po paru sekundach rozdzwoniła się ponownie. Szczupła ręka dziewczyny wysunęła się spod pierzyny jak tańczący wąż i szukała telefonu na półce obok łóżka. Przysunęła go do siebie, ale wypadł jej z ręki na podłogę, szarpnięty przez kabel od ładowarki. Wychyliła się i sięgnęła po niego, po czym odebrała telefon.

– Halo? – zaczęła zachrypniętym głosem.

– Posterunkowa Irena Adamczuk, tutaj Basia z sekretariatu komendanta, jesteś wzywana na komendę.

– Teraz? Która jest? – Spojrzała na zegarek. – Spałam tylko cztery godziny, mogę...

– Decyzja komendanta. To pilne.

– Dobra. – Przetarła twarz dłonią. – Już się zbieram.

– Do zobaczenia.

– Czeka! – Zdażyła jeszcze zawołać i zapytała: – Coś się stało?

– Pani Basia się rozłączyła.

Posterunkowa jeszcze na sekundę zakryła się kołdrą, delektując się ciepłem, jakie ją tam tuliło. Po chwili wysunęła się spod pierzyny i półnaga powędrowała prosto do łazienki. Wskoczyła pod szybki

prysznic. Spłukała z siebie resztki snu, zawinęła w miękki szlafrok i poszła do kuchni, gdzie wycisnęła cytrynę do przegotowanej wody, by przez chwilę posiedzieć w spokoju. Uwielbiała swoją poranną rutynę. Nienawidziła zrywać się z łóżka i wybiegać z mieszkania. Spojrzała na lodówkę, wiedziała, że powinna coś zjeść, ale kurczak z ryżem przed pójściem spać wciąż jeszcze zalegał jej w brzuchu. Poza tym skurcz żołądka, dokuczający jej z powodu stresu, który jej nie odstępował od momentu, gdy poszła na układ z Michałem, i tak odbierał jej apetyt. „Z komisarzem Michałem Ptakiem” – poprawiła się w myślach. Człowiekiem, którego kompletnie nie znała i podejrzewała, że ma o wiele więcej wspólnego z tym, co się dzieje dookoła, niż tylko wsparcie w śledztwie. Jednak w tamtej jednej chwili, kiedy zaproponował jej pomoc w karierze, uległa jak osioł, któremu na patyku wyciąga się marchewkę przed łeb. Dokładnie tak się teraz czuła, siedząc przy szklance wody z cytryną. Jak osioł. Zawsze o poranku, jeszcze przed wyjściem z domu, robiła półgodzinny trening dla lepszej kondycji i sylwetki, ale dzisiaj nie miała ani siły, ani ochoty. Jej szary kot o imieniu Filemon, z dużymi, zielonymi oczami, wychylił się przez framugę i zerknął na nią, by zaraz potem odwrócić się i wyjść obojętnie do przedpokoju. „Wchodzę na komendę, rozmawiam i wracam do domu spać, choćby nie wiem co” – obiecała sobie, czując ciężar swoich powiek.

Godzinę później zeszła z płyty nowosądeckiego rynku i szła wzdłuż ulicy Dunajewskiego, widząc przed sobą komendę policji. Było zimno, ciężki zapach smogu wwiierał się w jej nos i płuca. Za tę jedną rzecz nienawidziła zimy w mieście. Ludzie palili czym popadnie i powietrze dosłownie śmierdziało. Otoczony górami Nowy Sącz okrywał się ciężką pierzyną trującej zawiesiny i nie tak prosto było go „przewietrzyć”.

Gdy tylko pojawiła się w komendzie, odniosła wrażenie, że wszyscy byli bardziej poruszeni niż zwykle. W murach starego budynku niesło się echo niespokojnych rozmów, ludzie chodzili w tę i z powrotem, o pół kroku szybciej niż normalnie. Spojrzała na pomocnika oficera dyżurnego, siedzącego w kankorku za szybą.

– Co się dzieje? – spytała, nachylając się do głośnika.

– Dokładnie to nie wiem, tylko plotki. Mi tu nic nie mówią.

Bramka zadziwiała po zwolnieniu blokującego ją magnesu. Posterunkowa weszła do środka i powędrowała prosto do komendanta. Wchodząc do sekretariatu, zauważyła, że naczelnicy wydziałów dochodzeniowego, kryminalnego i laboratorium kryminalistycznego wyszli właśnie z gabinetu. Takie narady wzywane były w momentach, gdy działa się naprawdę poważna sprawa, która nie mogła czekać. Komendant, odprawiając ich, zobaczył, że Irena jest już na miejscu.

– Chodź od razu. – Otworzył dla niej szerzej drzwi.

Zrobiła, jak kazał i zdjęła kurtkę puchową, a przyczepiona do koszuli blaszka z numerem błysnęła, odbijając sztuczne światło lamp. Komendant zamknął za nią drzwi i wskazał siedzenie przy stoliku, na którym stały nietknięte przez poprzednie osoby szklanki z wodą.

– Siadaj.

Usłuchała.

– Przepraszam cię za bałagan. Zaraz powiem Basi, by to sprzątnęła.

– Co się dzieje? Przez telefon brzmiało to jak coś bardzo ważnego. Ma to coś wspólnego z tym całym panującym na komendzie poruszeniem?

– I tak, i nie. – Nalał sobie mleka do nowej kawy. – Skąd wiedziałaś o tych ciałach? Tylko mów szczerze. Bez gierki, bo nie mam już dzisiaj na nie ochoty, ostatnie dni są wystarczającą udręką. Nie wstaję od telefonów z Komendy Głównej Policji w Warszawie, która pomija w ogóle komendę wojewódzką i dzwonią do mnie bezpośrednio. Muszę wysłuchiwać zastępcy komendanta zajmującego się pionem kryminalnym i dochodzeniowym. Suszy mi głowę, domagając się wyjaśnień i natychmiastowych, zdecydowanych działań. Oczekujemy efektów, pada co, kurwa, trzecie słowo.

Poczuła, jak stres wypełnia jej żyły przesywającym zimnem, jakby ktoś położył jej śnieg na klatce piersiowej.

– Mam informatora – powiedziała zgodnie ze wskazówkami komisarza Ptaka.

Komendant spojrział na nią podejrzliwie.

– Tak mi przekazano. Kto to jest i jak to się stało, że udzielił ci takiej informacji? Czego chciał w zamian?

– Nie znam imienia i nazwiska. Jedynie twarz. Nie zgłaszałam tego wcześniej, chciałam się sama upewnić, czy źródło tych informacji jest wiarygodne.

– Jest wiarygodny jak cholera. – Napił się. – Siedem trupów. Ja pierdołę. Na pewno tu jest podwójne dno, nawet jeżeli nie teraz, to za moment będzie chciał coś od ciebie w zamian. Jeżeli będą to informacje, nie możesz odmówić, bo stracisz kontakt. Podawaj mu je zatem, ale zbijaj go z tropu, trzymając się blisko prawdy, by nie nabrał podejrzeń, jednak szczerza z nim nie bądź. Jeżeli nie chcesz zdradzić, kto to jest, to pamiętaj, żeby go nie spłoszyć. Jest zbyt cenny. I nie idź z nim do łóżka.

– Że co proszę? – Skrzywiła się, urażona.

– To po to, żebyś została z nim na stopie profesjonalnej. Ostatnie, co nam tu potrzebne, to romans w stylu Adama i Ewy. Dowiedz się, gdzie trzymają sprzęt i gdzie znajdziemy osoby, które zabiły tych ludzi. Jeżeli analityka się popisie, będziemy mieli potwierdzone tożsamości ofiar z Dunajca do dwóch dni. Choć nie będzie to proste z uwagi na ich stan. Znaleźliśmy ofiary, ale nie mamy dowodów potwierdzających, kto ich zabił i na tym musisz się teraz skupić.

– Rozumiem. Zrobię, co w mojej mocy.

– Mam nadzieję. Dopisałem cię do grupy dochodzeniowo-śledczej zajmującej się sprawą braci Straszewskich. Poszerzysz ich kadre.

Oczy jej się zaświeciły, Michał miał rację.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj, zasłużyłaś. Skoro sami się podpieprzają, to znaczy, że w środku musi dochodzić do śpięć. To najlepszy moment, by ich dorwać, a potrzebujemy czegoś takiego na koniec roku.

– Tak jest – odparła z nową energią w głosie.

– Teraz idź do podinspektora Roberta Zalewskiego, dowodzi grupą, o której ci wspominałem. On już o wszystkim został poinformowany, czeka na ciebie w swoim biurze. Idź się przedstawić osobiście i zaczynajcie.

– Oczywiście. – Irena wstała, ale zapytała jeszcze: – O co chodzi z tym całym poruszeniem? Co się dzieje?

– Skup się na twojej sprawie. Reszta cię nie dotyczy.

Wyszła z gabinetu i obrała kierunek do podinspektora Roberta Zalewskiego. Idąc wysokimi korytarzami budynku komendy, walczyła z myślami w swojej głowie. Komendant nie odniósł się do tego, jak ją potraktował ostatnim razem ani jej nie przeprosił, zamiótł wszystko pod dywan. Wiedziała, że jego obawy były uzasadnione i była święcie przekonana, że komisarz Ptak rozgrywa tutaj swoją własną gierkę, i że to ona jest jego informatorem, a nie odwrotnie. Z drugiej jednak strony, w ciągu zaledwie dwóch dni awansowała do najważniejszej grupy dochodzeniowej w całej komendzie nowosądeckiej, rozpracowującej największą grupę przestępczą na tym terenie od lat. Była to dla niej życiowa szansa.

O podinspektorze Robercie Zalewskim słyszała sporo. Był znaną postacią w komendzie i poza nią. Sławę przyniosła mu sprawa zaginionego dziecka, które odszukał, zanim zdołano sprzedać je na handel ludźmi. Głośna sprawa, pisały o tym wszystkie media w Polsce. Facet stał się rozpoznawalny, co utrudniało mu pracę w terenie. Prywatnie już nie miał tak dobrej passy. Dwa rozwody, żadnych dzieci, pracoholik i perfekcjonista. Bardzo skuteczny, ale niewygodny w pracy.

„Zobaczymy, na ile plotki pokrywają się z prawdą” – pomyślała. Dotarła do pokoju podinspektora i zapukała.

– Proszę. – Usłyszała i weszła do środka.

Znajdowała się w małym pokoju z biurkiem postawionym wzdłuż jednej ze ścian tak, że podinspektor siedział prawym bokiem do niej. Drewniane biurko zasypane było dokumentami, były one były starannie ułożone. Szafa na kłódkę, która znajdowała się przed nim, była już stara, ale nic w tej komendzie nie było nowe. Sam budynek był zabytkiem. Mały wiatraczek na baterie pracował sobie cicho, dmuchając wprost na niego. Czowała, że w pokoju panował zaduch i nie mogła sobie wyobrazić, jak podinspektor radzi sobie tutaj w środku lata. Wklepał jeszcze coś na klawiaturze, po czym odwrócił się do niej.

Miał dłuższe włosy zaczesane na bok i duży nos, miał też wygoloną do skóry brodę i cienkie, niemal niewidoczne brwi. Był łatwy do zapamiętania. Marynarkę od munduru zawiesił na krześle, a sam siedział w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Rozsiadł się wygodnie, zarzucił nogę na nogę, a następnie wziął z biurka yerbę i wysiorbał ją przez rurkę.

– Weź sobie krzesło i siadaj – powiedział po chwili przyglądania się jej. Uważał ją za bardzo atrakcyjną, młodą kobietę z kuszącymi krągłościami.

Zrobiła, jak kazał i usiadła tuż przed drzwiami, gdy już je zamknęła. Pokój był na tyle nieduży, że dzieliła ich od siebie jedynie długość biurka, na które podinspektor odstawił naczynie. Wyciągnął tytoń i białą bibułkę, które zaczął wolno skręcać. Oczom Ireny ukazało się coś, czym jednak wyróżniał się bardziej niż wąskimi brwiami. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej dochodziła do wniosku, że dawało mu to uroku, niż go szpeciło. Tym, co go wyróżniało, były blizny na wewnętrznej stronie przedramienia. Pamiątki po mrocznym okresie, tak mrocznym, że targnęła się na własne życie. „Doszło do tego przez pierwszy, a może drugi rozwód? Nie, to nie mogło być wystarczającym powodem” – rozmyślała, zerkając ukradkiem na jego ręce.

– Co? Przypominam ci kogoś? – zapytał, widząc, że taksuje go z góry do dołu.

– Nie, nie. Przepraszam. – Spuściła wzrok.

– Młoda jesteś – zauważył. – To będzie dla mnie problem?

– Dlaczego wszyscy ostatnio mnie o to pytają? Nie. Nie mam zamiaru być problemem.

– Może mają ku temu powody? Jak sądzisz? – Przesunął plastikową maszynkę takim ruchem, jakby przeladowywał pistolet i tytoń wsunął się w zrolowany, biały papier. Gotową fajkę odłożył starannie, tak by się nie turlała z boku. Zaczął ponownie przesypywać tytoń na maszynkę. – Żebyśmy mieli jasność, zostałaś włączona do grupy z polecenia komendanta, nie mojego. Na ten moment jest nas siedemoro, głównie policjanci kryminalni, do tego rysownik, specjalista medyczny, psycholog i teraz ty. Jesteś osma i najmłodsza. Świeża krew. – Nabił kolejnego papierosa i dołączył do poprzedniego, leżącego już na półce. Mówił do niej, ale przez cały czas był skupiony na wykonywanej czynności. – Podzielmy się zatem tym, co mamy. Będziemy mogli ustalić równe fronty i może wpadnie nam do głowy, jak to dalej poprowadzić.

Na moment zapadła cisza. Posterunkowa przyglądała się temu, jak podinspektor sprawnie obsługuje maszynkę. Było to dla niej z jakiegoś powodu kojące.

– Teraz jest moment, w którym powinnaś zacząć mówić – powiedział zmęczonym głosem.

– Aaaa, tak – denerwowała się. – Wszystko, co wiedziałam, podałam już w swojej notatce służbowej. I tak jak tam napisałam, informator...

– Dobra, moment. – Rzucił jej szybkie spojrzenie i przerwał nabijanie fajek. – To, co wpisujemy w protokół i raport, to jedno, a to, co się dzieje naprawdę, to drugie. Od teraz, zanim zatwierdzisz swoją notatkę, złóż ją najpierw do mnie do akceptacji. Nie, żebym ci nie ufał, ale jak mówiłem: jesteś młoda. Wymieniamy się informacjami szczerze, tak żebyśmy wszyscy mieli ten sam obraz sprawy, natomiast nie wszystko musimy podawać na papierze. To nie zawsze jest rozsądne – pochylił się nad biurkiem i przeladował, kolejny nabyty – i bezpieczne. Raport czytałem. Ten i ten wcześniejszy. Stąd wiem, że z pisaniem tego, co trzeba, w twoich raportach nie będzie problemu. Bo najpierw piszesz, że podejrzany ci magicznie uciekł z miejsca zbrodni, a na drugi dzień masz informatora. Nie trudno połączyć kropki, i wpaść na to, że facet wcale ci nie uciekł, tylko teraz śpiesz, by nie iść siedzieć.

Zastygła na sekundę i czuła, jak zlewa się potem.

Podinspektor widząc, że reakcji nie będzie, jakby od niechcenia wysypał więcej tytoniu do maszynki.

– Właśnie dlatego nie pracuję z młodymi – dodał niewzruszony. – Zawoła cię gdzieś na spotkanie, przyjdiesz pewna, że dowiesz się czegoś więcej i wejdiesz do pokoju pełnego jego kumpli. Dostaniesz kulkę albo przywiążą cię w środku nocy nągą do drzewa, żebyś zamarzła. Tak powinnaś do tego podchodzić. Tak podchodziłby do tego doświadczony na służbie policjant. Nie mówię ci tego na przechwałki, tylko za przekory. Ostrożnie dobieraj miejsca spotkań, żebyś zawsze miała plan B. Nie chcę oglądać cię w prosektorium. Widzisz, to nie twój wiek, ale brak doświadczenia mnie odpycha. – Skręcił biały papier. – Skoro nie masz mi nic więcej do powiedzenia, możesz już iść. Niebawem poinformuję cię o spotkaniu grupy, by podsumować to, co mamy i ustalić kolejne kroki. Zapoznaj się z aktami do tego czasu. – Podinspektor otworzył plastikowe pudełeczko z gumką na środku, wsunął pod nią nabite papierosy, zamknął, po czym wrzucił do kieszeni kurtki. Wstał, założył kurtkę i minął dziewczynę z kwaśnym uśmiechem. Otworzył jej drzwi, wyprasząc ją z pokoju.

Siedziała jednak jak przyspawana.

– To ten gość, który zwiewał... – zaczęła cicho, niepewnie. – Złapałam go na placu Zamkowym, kiedy uciekał spod miejsca zbrodni. Zgodził się sypać, by nie iść siedzieć.

Podinspektor zamknął drzwi, położył kurtkę tam, gdzie wcześniej leżała, usiadł i założył nogę na nogę.

– Przecież tutaj też mogę palić. – Wyciągnął papierosa i odpałił. Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Wyglądał jak zawsze na znudzonego. Zaczynała rozumieć, że tak po prostu wygląda i to jego naturalna mina.

– Zobaczyłam, że w tłumie ludzi wszyscy patrzą na ofiarę, plotkują, wykrzywiają twarze. Nietrudno było się domyślić, że nigdy nie widzieli niczego takiego. Poza tym jednym typem, który stał za nimi. Rozglądał się, ale nie z ciekawości, szukał czegoś konkretnego. Gdy zauważył, że na niego patrzę, uciekł, a ja pobiegłam za nim. Oddałam strzał ostrzegawczy i on się zatrzymał. Powiedział mi o zwłokach, ale nie uwierzyłam. Wymieniliśmy się kontaktami i po zakończeniu służby pojechałam z nim do Zakliczyna. Tam pomógł mi wyciągnąć pierwsze ciało, potem puściłam go wolno. Tak jak się umówiliśmy. A ja zadzwoniłam do przełożonego, by zgłosić znalezienie ciała. Będę się z nim jeszcze widzieć. – Pochyliła się, patrząc na podinspektora poważnie. – I to jest poza protokołem.

Zaciągnął się papierosem, mrużąc oczy.

– Dochodziła do nas informacja, że topią ciała. Podejrzewaliśmy jezioro Rożnowskie, ale Zakliczyn? Kurwa mać, daleko. Ludzie zaczynają gadać, ale bez żadnych oficjalnych zeznań. I nie są powiązani z grupą. To po prostu ludzie, którzy widzieli za dużo i mieli szczęście, że ich nie zauważono. Część to osoby, które oddają im haracz. Widzieli, że zabierali gdzieś innych, którzy już nie wracali, ale nikt nie widział jednak dokąd. Teraz już wiemy. Kiedy się z nim widzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Jak się z tobą skontaktuje?

– Dałam mu swój numer.

Uniósł w zdziwieniu cienkie brwi, po czym skiepował do popielniczki.

– Okej. Więcej tak nie rób. Pod numerami telefonów u operatora są twoje prywatne dane, jeżeli mają dojścia, mogą wiedzieć, gdzie mieszkasz.

– Mam kartę.

– To już lepiej. Informuj mnie, jak tylko się do ciebie odezwie. Gdy skończycie współpracę, nie zapomnij, by zmienić numer, a kartę złamać i wyrzucić. – Docisnęła wewnętrzzną stronę dłoni do czoła i pomasażował skronie. – Dam znać, gdy przyjdą wyniki z autopsji tych, których wyłowiono. Witamy w zespole, pani posterunkowa Adamczuk.

– Dziękuję. – Irena wstała i złapała za klamkę, ale odwróciła się jeszcze. – Wie pan może, o co chodzi z tym poruszeniem na komendzie?

– Co? A, tak. – Zaciągnął się. – Do lokalnej gazety dotarło dzisiaj pudełko z prezentem i liściskiem. W liściku z powycinanych z gazet słów napisane było, że jeżeli nie opiszą tego na głównej stronie porannego numeru, będą otrzymywali kolejne prezenty. Nie od razu wiedzieli, o co chodzi, ale wtedy zauważyli, że w pudełku pomiędzy watą schowane było odcięte ucho.

– Że co!? – Uniosła się. – A kiedy mówiłam, że to on, to nikt mi nie wierzył.

– To niczego nie dowodzi. Najpierw muszą ustalić, czy to ucho należy do zabitego w Łososinie Dolnej, by wykluczyć więcej ofiar. A nawet jeśli, to wysłać paczkę mógł każdy.

– Nie każdy ma ludzkie ucho pod ręką.

– Wiesz, o kim mówię.

– I co mają zamiar zrobić?

– Nie wiem. A co ty uważasz? – Spojrzał na nią. – Wrzuciłabyś?

– Chętnie sprawdziłabym, czy to blef, ale jeżeli nie...

– To narażasz osobę, którą przetrzymuje, na utratę kolejnej części ciała – dokończył za nią. – Choć z drugiej strony, jeżeli to faktycznie ten morderca, to ktokolwiek został przez niego złapany, jest już pewnie martwy, a jeżeli nie, to nie zdążymy go znaleźć, zanim to się nie stanie. Takie są fakty. – Spojrzał na monitor, jakby coś sobie przypomniał. – Dobra, leć już. Najważniejsze, że mamy ustalone, co robić. Idź. Odeśpij. Widzimy się jutro.

– Proszę się nie martwić – powiedziała jeszcze przed wyjściem.

Gdy opuściła komendę, omal nie przewróciła się na lodzie przed schodami prowadzącymi do dyńku. Było ciemno, a złote lampki w kształcie płatków śniegu, rozwieszane wysoko na latarni, świeciły na tle nocnego nieba. Na parkingu obok ktoś ścierał śnieg z przedniej szyby rękawem kurtki, klnąc pod nosem. Nie chciało jej się spać, za dużo emocji. Poza tym wiedziała, że nie zasnąłaby teraz, mając do przekazania komisarzowi Ptakowi takie wieści. Skierowała się więc tylko w jedno miejsce.

Pół godziny później wchodziła już po zimnej klatce schodowej w starym bloku, gdzie nawet gumową osłonę poręczy ktoś ukradł, zostawiając ją zimną i lepką od kleju. Schody, starte od używania, wydawały odgłos syczenia, gdy stykały się z podeszwami jej butów. Nie lubiła tego miejsca, miała wrażenie, jakby szła w paszczę lwa. Podeszła do drzwi mieszkania, w którym komisarz Ptak trzymał zabójcę. Pchnęła je mocno, a te przesunęły się hałaśliwie, odsuwając ciężki mebel. Zapaliła latarkę i weszła ostrożnie do środka, zaglądając się za drzwi i w inne kąty, w których ktoś mógłby się ukryć. Czując się odrobinę bezpieczniej, skierowała tarczę światła na krzesło ze związanym mężczyzną, ale jego tam nie było.

Trzask zamykanych drzwi sprawił, że ze strachu omal nie wyzionęła ducha. Sięgnęła po pistolet i wycelowała w nie, odwracając się szybko. Światło, rzucane z latarki, drgało.

– Ej! Ej! Ej! – Michał wszedł z uniesionymi rękami. – Odlóż tę broń, zanim przypadkowo kogoś zastrzelisz.

– To po co się skradasz? Sam się prosisz. – Opuściła pistolet i uspokajała oddech.

– Byłem tylko po jedzenie.

– Jezu... – Odetchnęła i schowała broń do kabury. – Czemu go wypuściłeś? Powiedział coś jeszcze?

– O czym ty mówisz? – spytał, odkładając siatkę na podłogę.

Posterunkowa oświetliła puste krzesło, a komisarz wystartował do niego, spanikowany.

– Kurwa, jak!? – Kucnął, sprawdzając wiązania. – Szybko, może być niedaleko!

Ruszyli w kierunku drzwi, ale gdy posterunkowa złapała za klamkę, rozległ się śmiech Michała. Irena odwróciła się, skołowana.

– Bawi cię to? – powiedziała, nie kryjąc zdenerwowania.

– Szkoda, że nie widziałaś swojej miny. – Komisarz przetarł załzawione od śmiechu oczy. – Nie bój się, nie uciekł. Wypuściłem go. Nie mogłem go tu trzymać w nieskończoność. Jego zleceniodawca nabrałby podejrzeń, tak było najlepiej. Przyniesie nam więcej informacji. Albo go odstrzela. Tak czy inaczej, jego siedzenie tutaj na nic by się już nie zdało. Jesteśmy umówieni na konkretny dzień i godzinę.

– Kiedy? – dopytała.

Komisarz jedynie uśmiechnął się do niej kwaśno. Ta wywróciła oczami, widząc, że nie zdradzi jej, kiedy to spotkanie ma się odbyć. Zdjęła czapkę i rozpięła kurtkę. W końcu to on dał jej radę, że dopóki ma informacje, jakich nie ma nikt inny, jest użyteczna. Gdy odda wszystkie karty, wypada z gry. Teraz miała okazję na własnej skórze przekonać się, jak to działa. „Bardzo to skuteczne” – doszła do wniosku.

– To co tu robisz?

– Czekam na ciebie. Miałaś coś dla mnie mieć. – Komisarz wyciągnął bułkę i owiniętą w papier kielbasę, której zapach rozszedł się po całym mieszkaniu. Wyciągnął też piwo w butelce i postawił je obok nogi od krzesła. Skinął na nią głową, by zaczęła mówić.

– Siedem ciał – zaczęła. – Ale jak to określił prokurator, bardziej czarne kupy mięsa niż ludzie.

– Zbyt długo w wodzie – wyjaśnił. – Pożywka dla ryb.

– Już nigdy nie zjem ryby. Aaaa, no i... – Nie wiedziała, jak to powiedzieć. – Zostałam przydzielona do grupy dochodzeniowo-śledczej, która zajmuje się sprawą braci Straszewskich.

– Brawooooo! – zawołał, unosząc ręce do góry.

Uśmiechnęła się i poczuła, jak rumieńce wychodzą jej na policzki. Cieszyła się jak dziecko.

– Coś nowego w sprawie naszego zabójcy od uszu? – przeszedł do sedna.

– W zasadzie to nic. Cisza. – odparła.

Chciała zagrać tą samą niepewnością, którą on grał z nią. Widziała jednak, że nie przyjął tego równie dobrze. Szybko się denerwował, gdy wstrzymywała się od odpowiedzi. Zaczął stukać palcami w oparcie krzesła, jakby się gonili. Posterunkowa skrzyżowała ręce na piersi. Michał parsknął i wrzucił resztę bułki i kielbasy do siatki, po czym podniósł się i założył na siebie kurtkę.

– Powodzenia w śledztwie. – Zgrzytnął zębami, wyraźnie niezadowolony.

Zebrał się do wyjścia, omal nie uderzając jej barkiem.

– Jeżeli stąd wyjdiesz, będę zmuszona na ciebie donieść. Nie tak się umawialiśmy.

– Śmiało. – Odwrócił się z rozłożonymi szeroko rękami. – Dostaniesz kilka lat za współudział. W końcu równie dobrze mogłem typa zabić.

– Dobra, czekaj! – podniosła głos. – Jezu.

– Nie graj ze mną. – Popatrzył jej w oczy. W jego spojrzeniu czaiła się groźba, nie był to ten sam mężczyzna, który przed momentem gratulował jej awansu. – Nie przyjechałem na tę wieś, żebyś grała ze mną w gierki. Znalazłem dla ciebie te pieprzone ciała. Albo coś dla mnie masz, albo koniec naszej współpracy i radź sobie sama.

Złóż malowała na jego twarzy. Irena już drugi raz zauważyła, jak komisarz w ciągu zaledwie sekundy staje się inną osobą. W jej ocenie nie lepszą niż ten, którego wcześniej związał.

– Do gazety przyszła paczka – zaczęła spokojnym tonem. – Pudełko, dokładniej rzecz ujmując. W środku były dwie rzeczy, liścik i odcięte ucho. W liściku było napisane, że gazeta ma jutro na głównej stronie wrzucić informację o nadawcy i o tym właśnie uchu. Jeżeli nie, w odpowiedzi będzie podsyłał kolejne części ciała.

– I co z tym zrobisz? – zapytał, gdy wrócił do roli opanowanego komisarza.

– Nie wiem.

– To co ty tam, kurwa, robisz!? Zapytaj! Dowiedz się! Zainteresuj się! Irena, na litość boską!

Dziewczyna poczuła się teraz urażona, widząc jego złą, pełną pretensji minę.

– No? I co dalej? – naciskał.

Odwróciła się do niego, przetarła upstrzony kilkoma piegami nos, by odciąć się na moment od unoszącej się wilgotnej woni grzyba, który piął się po ścianach. Michał uniósł ręce i opuścił głowę, zamykając oczy. Zastygł tak na moment.

– No dobra, w zasadzie to jest już coś. Zastanówmy się. – Obrócił się. – Ta sytuacja dowodzi tego, jaki jest jego motyw, by wrócić po tylu latach. Seryjni mordercy wbrew pozorom chcą zostać złapani, może to jest jego problem? Że jego temat został porzucony, zostawiony w tyle? Sprawa braci Straszewskich nabiera tempa, stają się sławni w Małopolsce i nikt już nie pamięta gościa odcinającego uszy. Zabił znów, ale policja zamiotła to pod dywan. Czekał dwa dni i nic się w prasie nie ukazało, to sam wziął sprawy w swoje ręce. Chce zostać zapamiętany. – Stał spokojnie, ale oczy miał rozbiegane. Jedną ręką drapał się po coraz dłuższym zarostcie. – Dobra. Wyciągnij telefon, powiem ci, co masz przekazać komendantowi. Znowu zapunktujesz. – Pokręcił głową i podszedł do niej. – Komenda ma psychologów. Co powiedzieli na ten temat?

– Ale ja nie wiem, nie jestem przydzielona do...

– Ja pierd... – parsknął zdenerwowany, ale stłumił to w sobie. – Zadzwoń do komendanta, powiedz, że wpadłaś na pomysł, który może pomóc. Przekaż mu, iż twoim zdaniem najlepiej będzie zrobić zdjęcie pudełka i liściku w środku. Bez ucha. Niech napiszą na głównej stronie, że otrzymali taką przesyłkę od anonimowego adresata, który podaje się za dawnego zabójcę i niech się rozpiszą szeroko o tym, czego dokonał piętnaście lat temu. Tyle. Dostanie to, czego chciał, choć nie do końca. Kupicie sobie czas i w ten sposób sprowokujecie go do kolejnego ruchu, ale w formie przypomnienia, a nie straszenia odciętym uchem. – Widział, że posterunkowa czeka na ciąg dalszy. – No nie stój tak, tylko dzwoń! Co z tobą dzisiaj?

„To pytanie powinien zadać tobie” – odpowiedziała w myślach.

Irena sięgnęła po telefon i stanęła w rogu pokoju, dodzwoniła się do sekretariatu obsługiwanego przez panią Basię i przekazała wszystko bezpośrednio komendantowi. Rozmowa trwała kilka minut. Po zakończeniu połączenia wróciła do Michała.

– I co? – spytał zniecierpliwiony.

– Przekazałam wszystko. Przemyślą tę opcję.

– Przemyśl... jak to, przemyślą? Zrobią tak, czy nie?

– Nie wiem, nie powiedział mi.

– Nie upewniłaś się!?! Kurwa, Irena! Nie dziwi mnie, że do tej pory zbierałaś obszcymurów z ulicy, jak pieprzonego telefonu nie umiesz nawet wykonać...

– O co ci chodzi? Czepiasz się mnie od samego początku – oburzyła się. – To nie ja wydaję polecenia komendantowi, jakby trudno było ci to zauważyć.

– Namierzyl już, skąd zabójca wysłał paczkę? Z której poczty? – Zbliżył się do niej. Irena zrobiła krok w tył, zaczynała się go obawiać. – Muszę się tam zacząć. Gdzie to jest? Podaj mi adres.

– Nie wiem gdzie, nie powie...

Opuścił ramiona i pokręcił głową z sarkastycznym uśmiechem. Zrezygnował. Agresywnym ruchem zebrał siatkę z podłogi i usiadł na krześle tyłem do niej. Serce waliło jej jak młotem, nic z tego nie rozumiała. Otworzył piwo o oparcie krzesła i wziął długi łyk.

– Co ty robisz? – zapytała.

– Wracam do pracy w pojedynkę. Jesteś tylko kulą u nogi, nie ma z ciebie żadnego pożytku i tracę na ciebie czas i energię. Powodzenia w nowej grupie. Drzwi są tam.

– Ty mówisz poważnie? Przecież... – nie dokończyła, widziała, jak odgryzł kawałek kielbasy i zajął się jedzeniem. Nie zwracał na nią uwagi. Kiwnęła głową, akceptując sytuację i ruszyła do drzwi. Wychoząc z mieszkania, spojrzała na niego raz jeszcze, czuła się winna swojej niewiedzy i nieprzydatności, a jednocześnie była zła, że tak właśnie się czuje. Może to wykończenie organizmu już płatało jej figle

i źle przyjmowała to, co ją otacza? Sprawdziła, czy pistolet jest na swoim miejscu. Będąc już na klatce, rzuciła okiem na drzwi sąsiada, który ostatnim razem ją obserwował.

Nie umiała sobie tego poukładać w głowie. Jutro rano pojawi się w komendzie i będzie musiała porozmawiać o tym z prowadzącym śledztwo. Przedstawi Michała jako informatora, poradzi się, co robić dalej. Miała jeszcze jeden pomysł. Zaczęła schodzić, ale tupot kilku par butów zwrócił jej uwagę. Wychyliła się przez barierki i zobaczyła grupkę mężczyzn ubranych w czarne skórzane kurtki i kominiarki. Wbiegali właśnie po schodach. Ogarnęło ją skrajne przerażenie i całe życie przeleciało przed oczami, poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach.

Pobiegła z powrotem do mieszkania i zabarykadowała drzwi. Michał zerwał się z krzesła, nabierając głośno powietrza, by znów wygarnąć jej nieprzydatność i brak profesjonalizmu, ale gdy dostrzegł jej minę, zorientował się, że dzieje się coś złego.

– Mów! – krzyknął, patrząc na jej trupio bladą ze strachu twarz.

– Sprzedał nas – powiedziała przez zaciśnięte z nerwów usta. – Już tu są.

ROZDZIAŁ 7

Mieszkanie

Komisarz Ptak podbiegł do drzwi i się wychylił. Dostrzegł ciemne sylwetki, które pojawiły się właśnie na półpiętrze, strzelili do pierwszego, ale ten skoczył sprawnie w bok, unikając pocisku. To nie byli amatorzy, spodziewali się oporu. Wyciągnęli broń nad głowy i odpowiedzieli ogniem, huk wystrzałów na małej, zamkniętej klatce schodowej wwiercały się w uszy, powodując pisk. Komisarz rzucił się na podłogę, gdy seria kul przebiła się przez stare, porysowane drzwi mieszkania.

– Padnij! I zjedź z linii strzału! – rozkazał Irenie, po czym zamknął drzwi, kucając. Michał od razu zaczął przesuwac ciężką, starą szafę, która gubiła półki i to, co się na nich znajdowało.

– Trafieś któregoś? – spytała przestraszona.

– Nie. Ale teraz nie będą tak szybko wyskakiwać, mamy chwilę, żeby się przygotować. – Siłował się z ciężkim meblem, gdy Irena stała jak wiekowy posąg, przerażona i blada. – Nie stój tak! Dzwon po wsparcie!

– Ale... ale ty tu jesteś...

– Wolę być przesłuchiwany niż martwy. Dzwon!

Szafa osłoniła większą część drzwi, dosunął ją jeszcze mocniej. Podłożył krzesło, opierając je pod klamką, tak by pełniło funkcję blokady. Następnie stanął z boku z bronią w rękach i czekał. Jego klatka piersiowa unosiła się gwałtownie pod wpływem szybkiego oddechu, słyszał, jak wybiegają na piętro. Przyłożył ucho do drzwi, nasłuchiwał.

– I co? – odezwał się szeptem, widząc, jak posterunkowa właśnie odsunęła od ucha telefon. Wyraz jej twarzy nie wskazywał na nic pozytywnego.

– Jesteśmy sami – odparła załamana. – Patrole są poza miastem na interwencjach. Zbiorą, kogo mają pod ręką, ale...

– Jak to!?

– Są trzy patrole dwuosobowe. Jeden jest w Łososinie na interwencji, drugi...

– A co z trzecim!?

– Wywołuje go przez radio, ale nie odpowiada. Jak jej się to uda, to ich tu przyśle.

– Wywołuje!? Jedna z funkcjonariuszek jest wplątana w strzelaninę z gangsterką i oni pierdolą o patrolach!? Cała komenda powinna ruszyć tu dupę! Powiedziała, jaki czas!?

– Najszybciej jak się da. – Spuściła głowę, a dłonie jej się trzęsły z przerażenia. – Nie ma to znaczenia, nie zdążą. Umrzemy tu.

– Kurwa! – Michał oparł się plecami o szafę i zaczął zbierać myśli. Byli zdani na siebie. Nawet jeśli policja zorganizuje wsparcie, to zanim tu dotrą, będzie już po wszystkim. – Pomóż mi jeszcze coś dosunąć, musimy wytrzymać, zanim przyjadą – rozkazał. – Nie ma innego wyjścia. Strzelałaś już kiedyś do człowieka?

– A jak myślisz? Może dwie osoby w całej komendzie strzelały kiedyś do żywej osoby, większość przez całą karierę nie oddała nawet strzału ostrzegawczego.

– Daj mi swój pistolet – rzucił i wyciągnął rękę.

– Co? Po co?

– No dawaj!

Wtedy uniosła się seria wystrzałów. Napastnicy ostrzelali drzwi wejściowe, przebijając je i szafę, śląc kule na ślepo po całym mieszkaniu. Michał i Irena padli na podłogę, i podczas gdy drzazgi fruwały po pomieszczeniu jak szarańcza, komisarz doczołgał się do drzwi. W pozycji na brzuchu przyłożył łufę do jednej z dziur po pociskach i strzelił dwukrotnie. Zaraz potem przeturlał się na bok i dobiegł do posterunkowej. Podniósł ją z podłogi i zaciągnął do łazienki, przykrywając drzwi. Jedyne światło, jakie tam docierało, pochodziło z położonej na podłodze w salonie lampki.

– Dawaj ten pistolet! – polecił.

Irena posłusznie wyciągnęła do niego trzymaną w dłoni broń i przywarła do ściany pomiędzy wanną a umywalką.

– W wyposażeniu zawsze macie drugi magazynek.

Również mu go przekazała, a on oddał jej swój pistolet.

– Co robisz? – zaciekała się i popatrzyła na niego uważnie. Rozległ się huk, gdy napastnicy próbowali za wszelką cenę dostać się do środka, kopiąc natarczywie w drzwi wejściowe. Komisarz Ptak wiedział, że była to walka z czasem. Mężczyźni w kominiarkach mieli na celu wejść, zrobić swoje i wyjść. Szybko i bez opóźnień, zanim przyjedzie policja. Oni nie wiedzieli, że nie było patrolu, który można było wysłać, spieszyli się. Muszą ich przytrzymać wystarczająco długo, by w końcu sami zrezygnowali. To jedyna szansa.

– Jeżeli jakimś cudem uda nam się ich zastrzelić, to musimy to zrobić z twojego pistoletu. Nie chcesz się później tłumaczyć z tego, że zabiłaś ich z nielegalnej broni. Jesteś w stanie strzelać? Posterunkowa kiwnęła głową twierdząco, ale komisarz nie był przekonany, że tak faktycznie byłaby do tego zdolna.

Docierały do nich odgłosy kolejnych kopnięć w drzwi. Napastnicy walili jak opętani, jeden za drugim, a szafa trzęsła się, spadały z niej kolejne przedmioty i książki. Gęsty kurz unosił się teraz w powietrzu.

– Okna! – Irena wpadła na pomysł. – Spróbujmy uciec oknami! Jest dużo śniegu, zamortyzuje upadek.

Michał, słysząc jej propozycję, nie czekał ani sekundy. Wyskoczył z łazienki i biegnąc przykucnięty, zaczął otwierać każde okno po kolei i wychylał się, by sprawdzić grunt. Byli na trzecim piętrze, a pod nimi znajdował się chodnik z betonowych płyt, to samobójstwo. „W najlepszym scenariuszu złamiemy kręgosłup” – pomyślał. Gdy otworzył ostatnie okno, zauważył, że tuż pod nim rośnie drzewo i żywopłot, wszystko pokryte śniegiem. Pomysł głupi, ale bezpieczniejszy niż to, co dobijało się do drzwi. Irena widziała, jak tam zastygł, widziała, jak patrzy na drogę ucieczki. Czuli, jak jej ręce tracą siłę, bo o nogach zapomniała już wcześniej. Sama nie miała najmniejszych szans na przeżycie, wiedziała o tym, a komisarz rozważał w tym momencie, czy ją zostawić.

Wyciągnęła magazynek i zauważyła, że zostały jej dwa naboje. To za mało, by się bronić, a on zabrał jej wszystko, co miała. Wiedziała, że było mu to na rękę, jeżeli faktycznie to on zabił aspiranta Bartoszewskiego. Ona była kolejnym świadkiem. Zamordowanie przez gangsterów, byłoby dla niego idealnym pozbyciem się problemu. Nie mogła uciec od napływających jej do głowy złych scenariuszy.

Kolejny ostrzał, tym razem celowany w zamek u drzwi, zmusił komisarza do położenia się na brzuchu. W odpowiedzi oddał dwa strzały i sprintem przebiegł salon. Wtedy jeden z napastników kopnął miejsce, które ostrzelali, a jego noga przeszła na wylot i zablokowała się. Michał strzelił instynktownie, trafiając w łydkę, która trysnęła krwią, ochlapując stare drzwi i szafę.

Wrzask bólu poniósł się echem po klatce schodowej, a zaraz za nim popłynęła fala wyzwisk i wciśnięty w dużą dziurę kałazników. Michał rzucił się jak rugbista do łazienki, gdzie był skierowany cały ogień. Kule latały jak opętane wraz ze starymi kafelkami, które, odpadając, rozbijały się na ich ciałach. Ten ostrzał kosztował napastników cały magazynek, teraz szybko wyciągali broń z dziury, szarpiąc ją mocno. Jeden z nich wsunął rękę do środka i zdołał pozbyć się blokującego drzwi krzesła. Następni siłowali się z szafą, która wyglądała, jakby miała się lada moment przewrócić.

– Jesteś cały? – zapytała zmartwiona Irena, nie widząc dobrze w ciemności, jaka panowała w łazience.

– Chyba tak – odpowiedział, obmacując ciało i szukając krwi. Nic nie znalazł. Zajął swoje miejsce po drugiej stronie framugi, tak by mieć dobry kąt do oddania strzału. Oparł się o ścianę plecami i przywarł do niej głową. Irena słyszała jego ciężki oddech. Michał był równie przestraszony jak ona.

Poprawiła chwyt na pistolecie i podeszła do drzwi, podobnie jak Michał stając plecami do zimnej ściany. Była przerażona, ale nie chciała zginąć skulona w kącie jak zбитy pies.

– Co teraz? – rzuciła w jego stronę.

– Teraz ich zabijemy.

Rozległ się głośny trzask łamanej deski i szafa przewróciła się na podłogę z ogromnym hukiem, syjąc kurzem i syfem zebrany na niej przez lata niesprzątania. Mężczyźni w kominiarkach wbiegli do środka, śląc serię z karabinów wycelowaną prosto w uchylone drzwi łazienki. Posterunkowa i komisarz odskoczyli. Uszy bolały ich od huków pękających płytek oraz ostrzeliwanych drzwi, które sypały teraz drzazgami.

Michał wrzasnął przestraszony otaczającym ich chaosem. Chciał oddać kilka strzałów w kontrze, ale ogień był zbyt intensywny, czekał więc z nadzieją, by żaden z napastników nie pojawił się po prostu w drzwiach. Nagle wszystko ucichło. Posterunkowa spojrzała na komisarza, by ocenić powagę jego obrażeń. Ten stękał głośno, szurając pistoletem po płytkach, jednocześnie wyglądał ostrożnie przez dziurę w drzwiach. Gdy zobaczył pozycję jednego z mężczyzn, przyłożył pistolet do dziury i strzelił.

– Aaaaaaaa! – wrzasnął raniony mężczyzna i posypała się kolejna salwa z karabinów.

Oboje cofnęli się w głąb się pomieszczenia, czekając, aż ostrzał ustanie. Nie trwało długo, jak usłyszeli, że napastnicy przeladują broń.

– Policja jest już w drodze! – krzyknął komisarz. – Poddajcie się i złóżcie broń albo zostaniecie zatrzymani bądź zabici!

– Zamknij ryj! – odparł jeden z napastników. – Wiemy, kim jesteś!

– Skoro wiesz, kim jestem, to wiedziałbyś, że nie mam z wami żadnego zatargu! Przyjechałem po zabójcę, który odcina uszy! Nie musimy wchodzić sobie w drogę!

– Odetnę ci więcej niż uszy, skurwysynu! – stęknął ten, który oberwał od niego z zaskoczenia. – Zajebie...

– Dwóch z was już oberwało! Nie musicie tutaj ginąć!

– Nie masz z nami zatargu? To trzeba było nie podrzucać psom informacji, gdzie wrzucamy ciała. Trzeba było się domyślić, jaka będzie odpowiedź!

– Pojebało cię!? Niczego im nie podałem! – odkrzyknął komisarz.

– Ty może nie, ale ta suka, którą masz tam obok siebie, już tak!

– Chcesz się dogadać!? To mamy propozycję! – warknął drugi – Oddaj dziewczynę, a ciebie puścimy wolno! To będzie dowód twoich słów, że nie szukasz z nami problemu!

Michał zagryzł wargi i oparł głowę o ścianę.

Irena patrzyła na niego przestraszona. Czuliła, że ta sytuacja ją przerasta.

Cieszyła się, że Michał ją wspierał.

– Dobra! Zgoda! Ale ja pierwszy nie wyjdę! Niech jeden tu po nią przyjdzie! Tylko bez szybkich ruchów! – zawołał, a ona spojrzała na niego dużymi oczami, czując, jak miękła jej kolana, a żółć podchodzi do gardła.

– Tylko nie pogrywaj z nami!

– Powoli!

Irena patrzyła na niego jak bezbronne dziecko. Komisarz Ptak podniósł się i wyciągnął rękę, by pchnąć przedziurawione drzwi, które zaskrzypiały ciężko. Wziął wdech i zatrzymał powietrze w płucach, po czym wychylił się nagle i strzelił w klatkę temu, który wyszedł przed fotel. Kule przeszły na wyłot, a ciepła, parująca krew chlusnęła na oparcie i zaczęła spływać wężykami. Napastnik w kominiarce padł na plecy pod wpływem siły, z jaką uderzyły go kule. Gdy runął głucho na podłogę, z ust wypłynęła mu krew. Charknął, mięśnie spięły się w skurczu, a gdy puściły, wydał ostatni dech. Był martwy.

– Skurwysynu!

Trzasnęły przeladowane bronie i spadł na nich kolejny grad kul. Skończyły się negocjacje. Dwóch zamaskowanych napastników zaczęło podchodzić do łazienki, kiedy trzeci ostrzeliwał pomieszczenie. Michał nie był w stanie się wychylić, a napastnicy byli już dwa kroki od miejsca, z którego mogli w niego wycelować. Wiedział, że w takiej sytuacji nie miał już szans. Irena również nie miała pojęcia, co robić, dociśnięta ze strachu do ściany, sparaliżowana z bezsilności. Przyjdzie jej umrzeć dokładnie w taki sposób, w jaki umierać nie chciała. I wtedy ryk karabinów ustał. Do uszu wszystkich dotarł odgłos syreny policyjnej, który z każdą sekundą stawał się głośniejszy. Wsparcie zmierzało w ich kierunku.

Michał, wykorzystując moment, wychylił się. Dwóm napastnikom, stojącym trzy kroki od niego i parującym na otwarte okna, strzelił w głowy. Trysnęła krew. Poczul lepkie, gorące krople na twarzy, a kawałki mózgow spadły z młasnieniem na podłogę. Obaj runęli bezwładnie, a trzeci ruszył do ucieczki. Michał strzelił do niego, ale pistolet się zablokował; zabrakło naboji. Ruszył w pościg za ostatnim napastnikiem, wysuwając pusty magazynek, który upadł przy martwym najemniku leżącym za fotelem. Komisarz wyskoczył na korytarz, wsuwając drugi magazynek, i na półpiętrze pomiędzy schodami zastrzelił ostatniego człowieka w kominiarce, posyłając mu cztery kulki w korpus. Mężczyzna oparł się o dwukolorową ścianę klatki schodowej i zsunął na podłogę, zostawiając czerwoną, ciągnącą się za nim plamę czerwieni. Komisarz dyszał nabuzowany adrenaliną, jednak szybko uspokoił oddech, bo wiedział, że dla niego to jeszcze nie był koniec.

Wrócił prędko do mieszkania i wyjrzał przez okno. Dwa oznakowane radiowozy skrzyły w lewo za hotelem Orbis Beskid. Już tu byli. Wpadł do łazienki, a posterunkowa w niego wycelowała z oczami pełnymi łez, z czego nawet nie zdawała sobie sprawy.

– Spokojnie, to ja.

Opuściła pistolet, a on kucnął przed nią.

– Daj mi to. – Zabrał jej swój pistolet, następnie przetaił jej broń o swoją bluzę, pozbywając się z niej odcisków palców i jej oddał. – Podotykał go w miejscach, gdzie ja mogłem zostawić odciski, dla pewności. Słuchaj uważnie. Muszę się związać, jeżeli nas razem złapią, to oboje pójdziemy siedzieć. Powiesz, że ich wszystkich zabiłaś w samoobronie i że informator cię wystawił. Jest jakieś miejsce, gdzie możemy się spotkać? Gdzieś, gdzie wiesz, że będziemy mogli spokojnie pogadać?

Dziewczyna nie odpowiadała.

– Irena, skup się. Adres. – Pstryknął palcami przed jej twarzą, po czym wyciągnął notes i zapisał miejsce, które mu podała.

– Dobra, ogarnij wszystko, co musisz. Wystrzel jeszcze raz z broni, gdy już wyjdę, tak byś miała ślady prochu na dłoni. Inaczej nie uwierzą, że to ty strzelałaś. Do później. – Wstał i chciał już wyjść, ale widział, że dziewczyna nadal siedziała w łazience. Znow przed nią ukucał, po czym pomógł jej się podnieść, wkładając rękę pod jej pachę, tak by nie zostawiać odcisków na jej ubraniu. – Irena spójrz na mnie.

Zrobiła, jak kazał.

– Nikogo nie zabiłaś, rozumiesz? To byłem ja, to nie spoczywa na twoim sumieniu, tylko na moim. Spisałaś się, dzięki tobie żyjemy.

– Spisałam? Nic nie zrobiłam...

– Nie przeszkadzałaś i słuchałaś moich poleceń. To więcej, niż myślisz. Nie każdy potrafi skupić się na poleceniach pod taką presją. Poza tym to ty wpadłaś na pomysł z oknami. Gdybyśmy ich nie otworzyli, nie usłyszeliśmy syreny i teraz to my leżelibyśmy tu martwi. Dobra robota. – Wstał. – Będę na ciebie czekał na miejscu. – Wybiegł z mieszkania, zostawiając posterunkową samą.

Irena nasłuchiwała, jak zbiega po schodach. Przeskakiwał po kilka stopni, a stara klatka schodowa niosła ten dźwięk po całym bloku. Usłyszała jeszcze trzask zamykanych drzwi i... cisza. Doszukiwała się w niej krzyczących policjantów, klótni, walki może. Jednak niczego tam nie było. Wzięła kilka głębokich wdechów, ale dłonie nadal jej się trzęsły. Łazienka była w ruinie, gdy się podnosiła, potłuczone kawałki płytek chrupały pod jej butami. Weszła do salonu, gdzie dostrzegła cztery trupy, podświetlone ciepłym światłem małej lampki. Wycelowała obok trupa z przestrzeloną łydką i pociągnęła za spust.

Nie wytrzymała. Wyszła z bloku.

Oparła ręce o kolana i oddychała głęboko. Zimne, śmierdzące smogiem powietrze przynosiło jej teraz dużą ulgę, wychodząc naprzeciw duszności, kurzowi i pyłowi, które owinęły się wokół niej po strzelaniu w mieszkaniu i którymi czuła się przesiąknięta. Wszystkie ubrania, włącznie z włosami i rękami, były teraz w szarym kurzu, który zaczynała z siebie strzepywać. Pomimo swoich ogromnych ambicji i marzeń, by budować karierę w policji, zaczynała mieć wątpliwości, czy na pewno się do tego daje.

– Posterunkowa Adamczuk! – usłyszała znajomy głos należący do posterunkowego Rafała. Nazwiska nie pamiętała. – Jesteś cała?

Spojrzała na pięciu funkcjonariuszy, którzy podbiegali do niej, trzymając pistolety skierowane do dołu. Rozglądali się po okolicy, kręcąc szybko głowami.

– Jesteś ranna? Potrzebujesz pomocy? – pytał.

– Nie. – Wyprostowała się i włożyła broń do kabury. Wiedziała, że musi stwarzać pozory opanowanej, inaczej nikt nie uwierzy, że była gotowa dokonać tej rzezi. – Jestem cała. Nie dzięki wam, dłużej się nie dało?

– Pędziliśmy, jak szybko się dało! Gdzie napastnicy?

– W mieszkaniu na trzecim piętrze. Nie ominiecie.

– Są uzbrojeni?

– Już nie. Wszyscy są martwi.

Spojrzał na nią zdziwiony, a ona kontrolowała oddech.

– Prowadź – rozkazał, a Irena przytaknęła.

Przeszli przez klatkę, po schodach której aż na sam parter spływała i skraplała się mała stróżka krwi. Minęli drugie piętro. Posterunkowa szła wyprostowana, lecz pozostali byli pochyleni i trzymali pistolety skierowane w dół, gotowi do walki, zestresowani spływającą posoką. Gdy wchodzili na piętra, sąsiedzi przerażeni kolejnym po ostatnich wystrzałach hałasem wychylali się z mieszkań, by sprawdzić, co się dzieje. Zamykali jednak szybko drzwi na klucz, jak tylko zobaczyli policję.

– Tu jest pierwszy.

– O kurwa – skomentował Rafał, widząc siedzącego na środku schodów martwego mężczyznę, który opierał się bezwładnie o ścianę obok. To z jego ciała wypływała krew plamiąca dolną część klatki schodowej. Zwolnili, musieli być ostrożni, gdy mijali go wydłużonym krokiem, by nie nadepnąć ani na niego, ani na krew.

– Co się stało?

– Gdy wychodziłam z mieszkania, stali już na klatce i celowali we mnie. To była moja reakcja.

Policjanci byli równie zdenerwowani, jak ona, gdy wszystko się zaczęło. Widziała ich blade, pełne napięcia twarze. Rozumiała, że teraz pewnie uwierzą we wszystko, co im powie.

– Przyjechaliście tylko wy? – dopytała.

– Jedzie karetka. Pozostałe patroli są już w drodze. Nas ściągnęli z komendy, rzuciliśmy wszystko i przyjechaliśmy.

– To ich odwołaj, już jest po wszystkim. Niech przyjadą technicy i grupa dochodzeniowo-śledcza. To jest już miejsce zbrodni, nie strzelanina.

– Widzę – powiedział Rafał, sięgając do gruszki. – Centrala, przyslijcie karetkę i ekipę dochodzeniową. Już po wszystkim. Mamy tu trupę. Już po całej akcji.

– Posterunkowa Adamczuk? – dopytał głos z radia.

– Jest tutaj z nami. Załatwiła ich wszystkich. Powtarzam, posterunkowa zastrzeliła czterech napastników.

– Jasna cholera. Ekipa jest już w drodze.

Szli dalej. Już na klatce widać było rozsypane drzazgi i kawałki drzwi wymieszane z łuskami z karabinów, których używali napastnicy. Nie sposób było wejść do środka, by ich nie trącać. Jedna łuska poturlała się i spadła ze schodów z metalicznymi stuknięciami, słychać było, jak pokonuje drogę na sam dół klatki schodowej.

– A tu co? – zapytał jeden z policjantów, nie mogąc otworzyć szerzej drzwi.

– Zabarykadowałam się w środku. To ich nie zdemotyowało. W końcu im się udało wejść. Ostrzegłam ich, ale nie słuchali.

Wsuwali się do środka jeden po drugim. Posterunkowa czekała na korytarzu, odwrócona tyłem do zabitego na schodach mężczyzny. Nie chciała na niego patrzeć. Usłyszała trzask nadeptywanych odłamków starej szafy, które rozsypane były po mieszkaniu, jakby w jego środku coś wybuchło.

– Ja pierdołę... – skomentował jeden z policjantów. Szli powoli i ostrożnie, jakby teren miał być zaminiowany. Trzej mężczyźni w kominiarkach leżeli na podłodze, dwóch z dziurami w czaszce, z których sączyła się czarna krew. Bordowe kałuże wciąż powiększały swoje rozmiary. Policjanci schowali pistolety do kabur, uznając, że jest bezpiecznie. Zamiast broni trzymali teraz w dłoniach latarki. Przewietrzone mieszkanie osiągnęło temperaturę podobną do tej na zewnątrz. Nie wyczuwało się już smrodu grzyba czy stęchlizny.

– A tutaj? – Chciał wiedzieć Rafał.

– Schowałam się w łazience, bo to było jedyne miejsce, gdzie mogłam mieć szansę na przeżycie. Nie mogli do mnie podejść, a ja miałam ich wszystkich na muszce. Ten tutaj – wskazała na leżącego za fotelom człowieka, któremu Michał przestrzelił wcześniej nogę – był drugi w kolejności. Tamci otworzyli ciągnęły ogień i kiedy podchodzili, myślałam, że już po mnie, ale usłyszeli wasze syreny. To odwróciło ich uwagę i spojrzeli na okna. A ja, wykorzystując ich rozproszenie, wychyliłam się i dokończyłam sprawę.

– Mówiłem ci, żeby włączyć koguta... – rzucił jeden do drugiego, dumny z siebie, wiedząc, że pomógł.

– Jezu, Irena, ładnie ich rozegrałaś.

– Miałam szczęście – odparła bez emocji, z twarzą nie przedstawiającą żadnego wyrazu, choć czuła, jak drżą jej dłonie, ukryte w kieszeniach kurtki.

– To na pewno. Ale to? To jest... masz talent...

– Staszek, przestań już przeżywać. – Upomniął go starszy posterunkowy, któremu nie podobał się nacisk na młodą blondynkę.

– Co przestań? Patrz na to.

Rozległ się sygnał kolejnej syreny, nadjeżdżali następni. Spojrzeli na okna i wtedy Irena zauważyła torbę komisarza Ptaka, której w pośpiechu zapomniał. Były tam jego ubrania i domyślała się, że również dokumenty. Nie wspominając już o odciskach palców. Serce znów jej przyspieszyło, nie mogła dopuścić, by to znaleźli. Człowiek, którego miała zawieźć na przystanek i dopilnować, by wrócił do Krakowa, nagle pojawia się w miejscu strzelaniny, z której tylko ona wychodzi żywa. W dodatku takiej, w której walka w pojedynkę wydawała się nie do wygrania. Z tego się nie wytłumaczy. Będą wiedzieć,

że działała razem z nim, i czekać ją będzie wszczęcie postępowania dyscyplinarnego, które może skończyć się nawet wydaleniem ze służby.

– Została wam jeszcze łazienka. – Kiwnęła głową zachęcająco.

Funkcjonariusze zaczęli wolno przemieszczać się do toalety. Irena w tym czasie niewzruszenie poszła do torby i nie spuszczać oczu z policjantów, wolno kucnęła i chwyciła za jej rączki. Cofnęła się do okna. Policjanci zagłądali już do łazienki, świecąc latarkami, ale nie wiedzieli, czego mają tam szukać. Odwróciła się i wyrzuciła torbę za okno, która lecąc w dół, złamała kilka gałęzi z pobliskiego drzewa i zrzuciła z niego śnieg.

– Co to było!? – krzyknął jeden z policjantów i odwracając się, zaświecił latarką w jej twarz.

– Nic, śnieg spadł z gałęzi – powiedziała, marszcząc brwi i zasłaniając się dłonią przed rażącym światłem.

– Gdzie ci pozostali, mieli być lada moment? – dopytał drugi funkcjonariusz, zniecierpliwiony.

– Już tu są. Widziałam, jak parkują – odparła, patrząc przez okno. – Wiedziała, że będzie musiała zabrać torbę, zanim wróci do komendy. Technicy obejdą blok i zbadają dokładnie teren, a wtedy ją znajdą. – Nie chcę tu być – powiedziała, kierując się ku wyjściu. – Ogarniecie to beze mnie?

– Idź. My zostaniemy i zabezpieczymy teren. Nie potrzeba nam sąsiadów, którzy będą tu wchodzić, by podziwiać widoki.

Wyszła na klatkę. Schodząc po schodach, znów musiała pokonać przeszkodę w postaci leżącego trupa. Gdy przechodziła nad nim, jego ręka się poruszyła, a ona spięła się cała i omal nie wyzionęła ducha ze strachu. Dłoń nieboszczyka zsunęła się z jego biodra w czerwoną kałużę, lądując w niej z głuchym chlupnięciem. Irena myślała, że się rozplacze. Była na skraju wyczerpania psychicznego. Zeszła szybko na dół i wyszła znów przed blok, natrafiając na kolejnych funkcjonariuszy. Wytłumaczyła im, dokąd mają iść.

– Krzysiek, odwieź posterunkową Adamczuk do domu – rzucił najstarszy z grupy.

– Dziękuję, ale wolałabym się przejść. Muszę pooddychać – powiedziała.

– Na pewno? – dopytał starszy.

– Tak. Dzięki.

Gdy wszyscy weszli do klatki, ona obeszła blok dookoła, idąc plecami do ściany. Odgradzona od reszty osiedla wysokim, białym żywopłotem, wychylała się w górę, sprawdzając, czy nikt nie patrzy na nią z okna. Sięgnęła po torbę i szybko wróciła na chodnik. Pomimo późnej pory i wielu nieprzespanych godzin, wiedziała, że zaśnieć będzie graniczyło teraz z cudem.

Udała się zatem prosto do budynku komendy.

Dwie godziny później kończyła spisywać notatkę służbową z tego, co się wydarzyło. W pewnej chwili jej palce jakby skamieniały, spoczywając w bezruchu na kremowej klawiaturze. Irena nie mogła przestać myśleć o jednej rzeczy, która najmocniej zapadła jej w pamięć podczas zasadzki. Był to moment, w którym napastnicy proponowali komisarzowi Ptakowi wydanie jej w ich ręce. Skąd wiedzieli, że to ona doniosła o ciałach w rzece? Informator na pewno nie przyznał się do tego, że spytał. Liczył się z tym, że wtedy byłby ósmym workiem. Komendant nie wydał jeszcze oficjalnego oświadczenia w tej sprawie, czyli żadna informacja nie opuściła do tej pory murów komendy. A to sprawdzało się do jednego wniosku – gang braci Straszewskich miał kreta w policji. Ktoś donosił im ze środka. Pytanie brzmiało – kto?

Wtedy do pokoju wszedł jej przełożony, podinspektor Robert Zalewski, który prowadził grupę dochodzeniowo-śledczą przeciwko braciom Straszewskim.

– Mogę? – odezwał się, wychylając się zza drzwi.

– Jasne, proszę, już kończę.

Wszedł do środka z kubkiem yerby. Irena dzieliła pokój z trzema innymi posterunkowymi, ale w tej chwili nie było ich na miejscu. Dawno niepoprawiane włosy spadały mu teraz na prawą stronę czoła,

odslaniając duży nos pod cienkimi brwiami, a podkasane rękawy ukazywały blizny po cięciach. „Widzę go drugi raz w życiu, a nawet pijana poznałabym go w zatłoczonym miejscu” – pomyślała.

– W czym mogę pomóc? – spytała przeciągle, wychylając się zza ekranu komputera.

– Dokończ sobie, nie ma pośpiechu. – Machnął ręką, dosuwając krzesło spod szafki i upił łyk napoju.

– Okej. – odparła. Wklepała jeszcze kilka słów, po czym znów na niego spojrzała. Nie wyglądał przyjaźnie. Patrzył na nią podejrzliwie, nawet jak na jego zwykle znudzony wyraz twarzy. Nie mogła się przez to skupić. Wzięła głęboki wdech i odsunęła się od klawiatury. – Pamiętam, by wysłać panu podinspektorowi notatkę służbową do zatwierdzenia, zanim złożę ją oficjalnie. Jeżeli właśnie tego przyszedł pan dopilnować.

– Słyszałem o tym, co się stało. Zasadzka, cztery trupy, ty sama, niedoświadczona. To duży wyczyn. To jakby twoje szczęście miało szczęście. – Siorbnął głośno.

– Sugeruje pan coś?

– To, że w naszym zawodzie nie istnieje coś takiego jak szczęście czy zbieg okoliczności. Jest tylko ciąg decyzji i czynów, który sprowadza się do pewnego konsensusu. Jest motyw i zbrodnia. Działanie i skutek.

– W takim razie podjęłam dzisiaj kilka dobrych decyzji – powiedziała stanowczo. Nie miała ochoty na przyjemną pogawędkę.

– Najwyraźniej... – podsumował. – Tak dla pewności. Twój informator zdołał wyjść z tego cało czy leży wśród tamtych trzech?

– Miał być, ale zamiast niego przyszli ci, którzy mieli mnie zabić. Jest pan zawiedziony, że im się to nie udało?

Szachował ją wzrokiem, ale po dzisiejszej akcji było jej wszystko jedno.

– Jeżeli leży panu coś na wątrobie, to proszę to zrzucić – powiedziała wprost. – Nic mnie już dzisiaj nie zdziwi.

Uniósł cienkie brwi i spojrzał na sąsiednie, puste biurka, upewniając się, że są sami, po czym pokręcił głową.

– Gdy dotarła do mnie informacja o tym, co cię spotkało, byłem zaskoczony. Jednak bardziej zaskoczyło mnie, kiedy usłyszałem, że tuż przed strzelaniną dzwoniłaś do komendanta z radą związaną ze sprawą ucha, które ktoś przysłał do gazety. Ciekawe, że nie wpadłaś na to wcześniej w komendzie, tylko akurat wtedy, gdy czekałaś na informatora, który się spóźnił, i znalazłaś czas, by zadzwonić do komendanta, mimo że informator miał się pojawić lada moment. – Pochylił się, a jego twarz przybrała poważny wyraz. – Rozumiem też, że jak tylko dowiedziałaś się ode mnie o pudełku z uchem i od razu pojechałaś na spotkanie z informatorem, to też przypadek? Bo jak dobrze pamiętam, nie byłaś z nim umówiona w czasie, gdy rozmawialiśmy. Chyba że nie byłaś ze mną szczerą, a to jest jak dla mnie poważniejszy problem.

„Kurwa, dobry jest” – przeszło jej przez myśl.

– Zadzwonił do mnie, kiedy wyszłam z komendy. Co miałam powiedzieć? Nie spotkam się z tobą, bo właśnie wyszłam z roboty i powiedziałam przełożonemu, że jest inaczej?

– Jasne, że nie. – Znów się napił. – Ale potem sprawdziłem adres, pod którym doszło do strzelaniny, a który, jak zakładam, był miejscem spotkania. Wiesz, do kogo należy to mieszkanie? Albo przynajmniej, do kogo kiedyś należało?

Pokręciła głową przecząco i poprawiła okulary w czerwonej oprawce.

– A widzisz – uśmiechnął się drwiąco i założył nogę na nogę. – Mieszkanie, w którym spotkałaś się z informatorem, należało i wciąż należy do matki podejrzanego piętnaście lat temu o odcinanie ludziom uszu. Rozumiesz, jak to wygląda?

Posterunkowa siedziała spokojnie, ale po tych słowach jej myśli szarpały się jak obłąkany ze strachu, konający byk. Podinspektor dopił herbę i odstawiając naczynie na biurko Ireny, uderzył nim z hukiem

o blat, aż mrugnęła.

– Zadam ci teraz pytanie i lepiej zastanów się, zanim odpowiesz. – Wykrzywił wargi.

Irena oparła się o krzesło, wszystkimi siłami starając się zachować spokój.

– Co łączy cię z zabójcą odcinającym uszy?

ROZDZIAŁ 8

Trop

– Potraktuję to jako słaby żart i objaw zmęczenia, panie podinspektorze. Nie mam dziś ochoty na żarty, tam są drzwi – syknęła groźnym tonem Irena i poprawiła okulary na nosie, po czym wróciła przed monitor. Miała dość obrzucania jej błotem. Najpierw komendant, potem komisarz Ptak, a teraz podinspektor. Gdyby nie ryzykowała utratą pracy, najchętniej powiedziałaby mu, by pocałował ją w dupę.

Podinspektor jednak siedział w bezruchu i czekał cierpliwie.

– Muszę dokończyć notatkę służbową i dać ją panu do sprawdzenia, potem zanieść trzy egzemplarze do akt sprawy z postępowania z użycia amunicji i oczywiście, jak się dowiedziałam, przeciwko mnie zostało otwarte postępowanie wyjaśniające z podstawy do użycia broni. W końcu gdy wpadło czterech chłopa z karabinami, to powinnam uklęknąć i czekać, aż łaskawie sobie pójda – rzuciła mu karcące spojrzenie. – A, no i oczywiście nie zapominajmy o psycholog, która czeka na mnie od momentu powrotu do komendy. Podobno przyjechała specjalnie dla mnie o tej porze. I nie będę kłamać, że chętnie z nią porozmawiam...

– Rozumiem – odparł już łagodniejszym tonem. – Czyli jesteś tak zajęta i zmęczona, że nie dasz rady odpowiedzieć na ostatnie dwa pytania?

– Proszę pytać. – Nie spuszczała wzroku z ekranu monitora i klikając coś na klawiaturze, zachowywała się jak typowa urzędniczka w okienku w ZUS-ie.

– Komendant osobiście zlecił ci eskortowanie komisarza Michała Ptaka z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie na przystanek autobusowy i dopilnowanie, by wrócił do domu. Możesz mi coś o tym powiedzieć?

– A co tu jest do powiedzenia? Odwiozłam go, wsiadł do autobusu i odjechał. Otrzymałam polecenie, by zawieźć go na przystanek i przypilnować, by wsiadł do autokaru. I to zrobiłam. Dopilnowanie, żeby wrócił do domu, nie leżało w moim obowiązku.

– Wiedziałaś, że on przyjechał tutaj samochodem?

– Nikt mnie nie uświa...

Rozległ się dźwięk komórki, który przerwał jej odpowiedź. Obydwoje spojrzeli na telefon, podejrzewając, od kogo pochodzi połączenie. Poczuli, jak zalewa ją pot ze strachu z obawy, że może to być komisarz Ptak.

– Nie odbierzesz? – Zastukał palcami o biurko. – Śmiało, mamy czas.

Dziewczyna nachyliła się nad komórką i parsknęła.

– To mój były. Może pan odebrać, jeżeli ma pan taką ochotę. Ja nie mam mu nic do powiedzenia.

– Nie trzeba. – Sięgnął po jej telefon i wcisnął czerwoną słuchawkę. – Wracając do mojego pytania...

– Komendant kazał zawieźć go na dworzec, to go zawiozłam na dworzec. Skoro wszyscy tak bardzo ballście się o to, że może wysiąść z autobusu, to trzeba było dać rozkaz, by zawieźć go do Krakowa radiowozem. To zawiozłabym go pod sam Wawel. Ale takiego rozkazu nie było.

– Rozumiem. Drugie pytanie, czy informator się w ogóle odezwał po całej akcji? Sprawdzał, czy żyjesz? Jeżeli się spóźniał, musiał widzieć na miejscu policję i karetkę. Jeżeli sam cię sprzedał, martwi nas panstwnicy nie potwierdzili mu, czy uszłaś z życiem.

– Nie. Nie odzywał się.

– Czyli możemy założyć, że więcej już nic od niego nie wyciągniemy.

– Nie wiem, co możemy teraz założyć i mówiąc szczerze, mam to głęboko w dupie. – Nie mogła się powstrzymać. – Omal nie zostałam zabita albo gorzej: mogli mnie zabrać żywcem Bóg wie gdzie i Bóg wie co by mi teraz robili. A siedzę tutaj i pan podinspektor zamiast powiedzieć choćby: „cieszę się, że żyjesz” albo „fajnie, że jesteś dalej z nami”, bo nie musi pan oglądać mnie z kulą we łbie w prosekto-rium, to zadaje mi pan pytania, które sugerują, że to może, kurwa, ja odcinam te uszy? Albo może sama na siebie nasłałam tych gości? O to panu chodzi? Uważa pan, że to ja zabijam? A może, kurwa, że ten z Krakowa to mój mąż!? O to chce mnie pan zapytać!? To pytaj! – krzyknęła na całe gardło, gdy puściły jej nerwy, i odsunęła się od biurka, po czym zakryła twarz dłońmi. Odłożyła okulary w czerwonej oprawce i wzięła głębokie wdechy, ale ciężko jej było uspokoić oddech. Po krótkiej chwili przeszła do ćwiczenia oddechowego redukującego stres i wyrównującego rytm serca. Gdy wróciła do siebie, przysunęła się z powrotem do biurka, okulary wróciły na nos i zaczęła wystukiwać coś na klawiaturze. – Nie przeproszę – oznajmiła. – Miał pan swoje pytania. Jeżeli chce mnie pan podinspektor wyrzucić z zespołu, proszę to powiedzieć i wyjść.

Podinspektor Robert Zalewski poczekał jeszcze chwilę z typową dnia niego obojętną, wręcz znu-żoną miną, po czym zabrał puste naczynie po yerbie i podszedł do drzwi wyjściowych. Zdawał się nie robić sobie nic z jej wybuchów.

– Jesteś dalej częścią grupy dochodzeniowo-śledczej i nie miałem zamiaru z ciebie rezygnować. Po- mimo twojego młodego wieku, wyszłaś z tej strzelaniny lepiej niż niejeden profesjonalista. Cieszę się, że jesteś tu dalej z nami. Porozmawiaj z panią psycholog, poinformuję cię o zebraniu grupy.

Podinspektor Zalewski wyszedł z gabinetu, zostawiając Irenę samą. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, odwróciła się plecami do wejścia i oparła łokcie o kolana. Rozplakała się, a ręce trzęsły jej się jak galareta. Jakby dopiero do niej docierało, że mogła już nigdy nie usiąść przed tym biurkiem. Zda- wała sobie sprawę, jak mało brakowało, by to jej zinnemu ciału robiono teraz zdjęcia, pobierano próbki i liczono trajektorie lotu kul, która ją zabiła. Po chwili przetarła oczy i twarz, dokończyła no- tatkę i wydrukowała trzy egzemplarze.

Zaniosła je podinspektorowi na biurko i wyszła, nie wymieniając się z nim nawet spojrzeniem. Na- stępnie skierowała się prosto do pokoju psychologa, który znajdował się na pierwszym piętrze obok kadr niedaleko gabinetu komendanta. Zapukała i weszła do środka. Za drewnianym, długim biurkiem siedziała pani psycholog Renata Kruszyńska i wyciągała rzeczy ze swojej torby. Pomieszczenie było małe, mieściło biurko, skórzany fotel, lampkę, regały, krzesło i fotel dla pacjentów oraz ławę. Na pierw- szy rzut oka przypominało gabinet lekarski, ale sprawiający wrażenie bardziej przytulnego. Irena czuła się tu dobrze.

Posterunkowa spojrzała na siedzącą za biurkiem kobietę, która dopiero zdejmowała płaszcz. Pani psycholog przywitała się z nią. Miała na sobie ciemnofioletową koszulę, wciśniętą w ciasną, skórzaną spódnicę, a ciemna apaszka zasłaniała jej szyję. Włosy koloru starej cegły zaplecione były w warkocz, dodatkowo nad czołem odcinały się trzy czarne spinki pilnujące, by nic nie spadało jej na twarz. Była umalowana do przesady, z mocną kreską dookoła czerwonych ust. Irena rozumiała, że gruby makijaż miał za zadanie ukryć niedoskonałości, lecz sama była innego zdania. Nie przepadała za makijażem, a jeżeli już musiała nałożyć na twarz kolorowe kosmetyki, ograniczała je do minimum.

– Dobry wieczór – zaczęła posterunkowa. – Przepraszam, że musiała pani przyjeżdżać o tej godzinie.

– Dobry wieczór – odparła psycholog. Miała przyjemny, kojący głos, niepasujący do mocnego maki- jażu. – To już jest wpisane w charakter naszej pracy, jesteśmy zawsze tam, gdzie nas potrzebują. Proszę usiąść tam, gdzie pani wygodnie. Czy przy biurku, czy na fotelu, proszę sobie wybrać, gdzie się pani będzie czuła najlepiej.

Posterunkowa usłuchała i poczuła mocny, kwiatowy zapach wyszukanych perfum, jaki się unosił od starszej, choć bardziej pasowało do niej określenie – dojrzałej kobiety. Irena usiadła przed biurkiem.

– Gdy przełożony zasugerował wizytę u psychologa – powiedziała – odmówiłam.

– Dlaczego naszła cię taka refleksja?

– Poczułam się, jakbym wracała do podstawówki i wysłano mnie na dywanik do dyrektorki.
– Nic nie szkodzi, to normalne, że czujesz taką niechęć. Ale wiesz też o tym, że w sytuacjach nadzwyczajnych, jak ta, która miała dziś miejsce, kontakt z psychologiem jest nie tylko zalecany, ale też niezbędny. – Uśmiechnęła się ciepło. – Nie martw się, proszę, nie będę przeciągać, jeżeli nie będziesz miała ochoty rozmawiać.

Posterunkowa czuła się z tym dziwnie. Mimo panującej w pomieszczeniu przyjemnej atmosfery, i tak odbierała to, jakby pokazywała słabość, przychodząc do psychologa, żeby się wygadać. Nogi miała złączone w kolanach, a oparte na nich dłonie ugniatały palce do granicy bólu. Głowę miała spuszczoną, a oczy opuchnięte i czerwone po wcześniejszym płaczu.

– Czy twoja niechęć do takich wizyt jest czymś spowodowana? Miałś wcześniej przykre doświadczenia z psychologiem?

Irena pokiwała głową przecząco, nadal patrząc na dłonie.

– Moja opinia w takim przypadku jest niepotrzebna, to był błąd, nic mi nie jest. Ogarnę to sama. – Zaczynała się podnosić.

– Przepraszam bardzo. – Psycholog zatrzymała ją delikatnie ręką. – Co takiego musisz ogarnąć sama? Właśnie jesteśmy tutaj po to, by spróbować rozwiązać to razem. Moim zadaniem jest ci w tym pomóc.

– To nic takiego, muszę się po prostu przespać...

– Zgadzam się, sen jest jak najbardziej potrzebny. Niemniej istotne są też wszystkie inne problemy, jeżeli takie wystąpiły. W zasadzie najlepszą radą, jaką mogę ci dać, jest sen. Podczas snu wszystkie nasze problemy płynące z głowy same się stabilizują. Natomiast chciałabym zamienić z tobą kilka zdań, nic więcej. Czy możemy?

Irena wróciła na krzesło i usiadła w tej samej pozycji.

– Dziękuję. – Psycholog obdarowała ją ciepłym uśmiechem. – Czy możesz mi opowiedzieć, co się stało? Chciałabym usłyszeć to od ciebie. Proszę cię też, byś mówiła własnymi słowami, nie jak w notatce służbowej. Kiedy to wszystko widziałaś, na ile to było dla ciebie trudne?

– Sama nie wiem. – Irena mocniej ugniatała palce, wyginając je na boki.

– Nie spiesz się. Zbierz myśli, zacznij, gdy będziesz gotowa. Mamy czas.

– No bo... miało to być zwykłym spotkaniem, pięć minut gadania i się rozchodzimy – poprawiła okulary na nosie – liczyłam na informacje, tylko tyle. Już sama praca z informatorem jest dla mnie czymś nowym i stresującym. Ta cała zasadzka. Byli bardzo zdeterminowani, by mnie zabić i nie liczyło się dla nich nic innego. To było strasne... – zdusiła słowa. – Miałam dużo szczęścia, sygnał policyjny odwrócił ich uwagę i dzięki temu wyszłam z tego cało. Strzelałam, gdy nie patrzyli, ale ja... ja... – Oczy jej zaszklily, a po policzkach popłynęła łza, którą szybko otarła palcami. – Bardzo się bałam, ale już mi lepiej. Mimo tego, że nie jestem z siebie dumna, cieszę się, że to oni tam leżą, a nie ja. Nie wiem, czy to czyni mnie złą osobą. Wiem, że chcę pracować w policji i muszę umieć sobie radzić z takimi sytuacjami, bo one mogą się jeszcze zdarzyć. – Pociągnęła nosem i kiwnęła głową, ściągając ramiona do środka. – I będę sobie radzić. Bo wie pani – podjęła po krótkiej przerwie – z jednej strony jestem zła na siebie, że do tego doszło. Mam wrażenie, że gdybym była silniejsza, nie doprowadziłabym do takiej sytuacji. Że gdyby tak mi nie zależało na pracy, podjęłabym lepszą decyzję i nie poszłabym tam bez wsparcia...

– Rozumiem, dziękuję, że się tym ze mną dzielisz. Proszę, powiedz mi w takim razie, co teraz uważasz, że było dla ciebie najtrudniejsze w tamtym momencie? Najbardziej przykre?

Posterunkowa nie odpowiedziała, ugniatała palce.

– Widzę, że ta decyzja o pójściu tam samej i ogromna obawa i lęk przed utratą pracy są w tej chwili dla ciebie bardzo obciążające. Jak w ogóle się czujesz? Tak ogólnie? Jakbyś określiła swoje samopoczucie?

– Dobrze się czuję – powiedziała, unikając kontaktu wzrokowego. – Możemy już kończyć?

Psycholog przyglądała jej się uważnie, analizując. Swoim doświadczonym okiem widziała niespójność pomiędzy tym, co mówiła posterunkowa, a tym, w jaki sposób o tym opowiadała. Domyślała się, że dziewczyna jest nieszczerą i być może coś ukrywa. Jednak kłamstwo jej nie wychodziło, ponieważ nie przejawiała cech socjopatycznych. Socjopatom kłamstwo przychodziło o wiele łatwiej.

– Tak. Jeżeli czujesz się zmęczona rozmową, możemy skończyć na dzisiaj. Z uwagi na zdarzenia nadzwyczajne i okoliczności zaistniałej sytuacji, będę wnioskować, byś nie miała dostępu do broni i została wycofana z wszelkich działań w terenie na dwa tygodnie. Innymi słowy, nie chcę, byś była narażona na żadne działanie stresujące. Tylko praca przed biurkiem. Prowadzenie przesłuchań, tworzenie dokumentacji, łatwa praca. Od poniedziałku do piątku, od siódmej do piętnastej. Czy widzisz się w takiej roli? Czy brzmi ona kojąco po tym, co zaszło?

– Ja... – Szukała oczami czegoś, na czym mogłaby zawiesić wzrok. – Rozumiem. Postaram się.

– Na dzisiaj proszę cię tylko o to. Przyjdź do mnie za tydzień. – Zapisała spotkanie na karteczkę i przekazała posterunkowej. – W najbliższym czasie spotkamy się kilkakrotnie i będziemy się spotykać cyklicznie. Jeżeli będziesz potrzebowała kontaktu, w każdej chwili możesz się do mnie zgłosić.

– Kiedy będę mogła wrócić w teren?

– By przywrócić cię do pełnej zdolności pełnienia służby, będę musiała ocenić twój poziom zrównoważenia psychicznego, racjonalnego podejmowania decyzji, a do tego potrzebne jest wstrzymanie cię od bezpośrednich działań na co najmniej tydzień. To, co cię spotkało, jest sytuacją szczególną i tak musimy do niej podejść, byś mogła spokojnie dalej działać.

Irena przytaknęła, nie do końca zadowolona z decyzji pani psycholog, i wstała.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Kobieta uśmiechnęła się. – Odpocznij. Cieszę się, że dalej jesteś z nami.

Irena odpowiedziała równie ciepłym uśmiechem i wyszła z gabinetu.

Złożyła broń w depozycie u kancelarza wydziału, zgodnie z zaleceniami psycholog. Wychodząc z komendy, rzuciła okiem na puste miejsce parkingowe, przy którym wcześniej stał Opel Kadett należący do komisarza Ptaka. Zaskoczeniem był dla niej fakt, że było jej to obojętne. Nie mogła się na niczym skupić. Wracła do domu pieszo, chciała się przejść. Odgarnięty w kierunku ulicy śnieg zwęzłał i tak wąskie już chodniki, śliskie momentami od zamarznętej chłapy.

Zimą szybko robiło się ciemno. Choinka na Rynku rozświetlona była lampkami, którymi obwieszony był również Ratusz. Ludzie spacerowali z dziećmi, rzucając się ze śmiechem śnieżkami. Nigdy nie widziała się w roli matki, bycie odpowiedzialną za siebie samą było dla niej okej, ale branie odpowiedzialności za wychowanie i życie innej osoby przerastało jej wyobraźnię. Świąteczne neony na sklepowych wystawach raziły w oczy i miała wrazenie, że dawały więcej światła niż latarnie. Zobaczyła sklep monopolowy i weszła do środka. Kupiła czerwone wino i skierowała się prosto na osiedle Barskie, gdzie mieszkała w jednym z bloków od strony ulicy.

Przekreśliła klucz w drzwiach swojego mieszkania znajdującego się na drugim piętrze. Otworzyła je i pchnęła wolno, by nie zaskrzypiały. Był środek nocy, a dźwięk niósł się po klatce schodowej głośniejszy niż za dnia. Nie chciała afer z sąsiadami. Zamknęła drzwi na wszystkie możliwe zamki i łańcuszek, jakby ktoś ją śledził, i wyrzała przez wizjer. Pomyślała przez chwilę, by zastawić je krzesłem, ale szybko zrozumiała, że byłaby to przesada. Zakryła wizjer tak, by z zewnątrz nie było widać światła padającego z przedpokojku.

Mieszkanie było duże i należało do rodziców Ireny, choć ci przeprowadzili się do Niemiec, jak tylko stała się pełnoletnia. Siostra jej matki mieszkała za granicą od piętnastu lat i dawno zdążyła ułożyć sobie tam życie, namawiała jej rodziców, by i oni tam przyjechali. Irena widziała się jednak w policji w Nowym Sączu. Marzyła, by skończyć policyjną karierę na wysokim stanowisku w komendzie głównej w stolicy.

Odetchnęła z ulgą, czując kojący zapach kwiatów, których w osiemdziesięciometrowym mieszkaniu było aż nadto. Po lewej stronie korytarza znajdował się mały pokój, niegdyś jej własny, w którym stały teraz biurko, szafa i wszystko, czego w tej chwili posterunkowa nie chciała mieć na środku mieszkania, typowy schowek. Naprzeciwko dwoje drzwi, kuchnia i łazienka. Po prawej znajdowały się jeszcze dwa pokoje. W jednym stały meblóścianka z telewizorem, ława i dwa głębokie fotele. Jedno z okien udawało drzwi balkonowe, za którymi nie było balkonu. Znajdowała się tam jedynie krata do wysokości pasa dorosłego człowieka, zabezpieczająca mieszkańców przed wypadnięciem. Drugi pokój miał wersalkę oraz biurko i szafy na ubrania. Spory przedpokój wyłożony był boazerią. Na ścianach całego mieszkania w donicach wisiały rośliny, przetykane zdjęciami papieża Jana Pawła II, którego jej rodzice stawiali gdzie popadnie.

– No co? Ty też jesteś na mnie zły? – odezwała się do kota Filemona, który siedział na środku przedpokoju obok swojej kuwety. Użył jej raz, od kiedy mu ją kupiła, i teraz bardziej służyła jako ozdoba. Obrócił łeb w jej stronę, pytająco. Zawsze wital się z nią, łaszcząc się do jej tyłek, tym razem jednak wrócił na fotel, jakby był obrażony.

Irena włączyła komórkę i położyła ją na stole w kuchni, następnie wyciągnęła kabel telefoniczny z aparatu stacjonarnego. Ciężką torbę komisarza rzuciła pod ścianę, na której na wieszaku wisiały kurtki.

– Nie ma mnie dla nikogo – powiedziała do siebie.

Sprawdziła zamki w drzwiach. Chciała odłożyć broń, ale przypomniała sobie, że zdała ją w komendzie. Ściągnęła z siebie mundur i dżinsy, sięgnęła dłońmi za plecy i uwolniła piersi ze stanika. Zniosła do łazienki kilka świec, które już odpaliła, i zaczęła nalewać do wanny gorącą wodę z pianą. Wzięła kieliszek wraz z butelką wina, przygotowała swoją ulubioną książkę i weszła do wody, która na początku szczypała jej wychłodzoną skórę, ale szybko zaczęła otulać ją błogim ciepłem. Od razu wyszorowała ciało i umyła włosy, byle jak najszybciej pozbyć się kurzu i pyłu, które osiadły na niej po strzelaninie.

Pierwszy kieliszek wypila na jeden raz, po czym oparła głowę o wannę. Miała przed oczami te wszystkie martwe ciała i nie potrafiła pozbyć się obrazu latających wokół niej kul i potraskanych płytek. Słyszała wrzaski postrzelonych napastników i nienawiść w ich głosie, kiedy mówili do Michała: „Wiemy, kim jesteś”.

– Wiemy, kim jesteś... – powiedziała do siebie, powtarzając słowa martwego napastnika. – Czy tylko ja nie wiem, kim jest ten facet? Ech... w co ja się wplątałam? – Zastanawiała się, czy wszyscy ci, którzy postanowili kiedyś iść po cienkim lodzie, też czuli wewnętrznie taki żal do samych siebie.

Napiła się znowu i sięgnęła po książkę, ułożyła się wygodnie i odpłynęła w historii czytanej w powieści. Kartka gonila kartkę, wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, pozwalając dziewczynie odciąć się od ostatnich problemów. Po ponad pięćdziesięciu stronach i kilkakrotnym dolewaniu ciepłej wody, Irena miała już dość. Wyszła z łazienki z ręcznikiem zawiniętym na głowie i drugim wokół tułowia. Była wykończona, ale przynajmniej czuła się świeżo. Przyjemne uczucie.

Założyła spodenki odsłaniające wysportowane nogi oraz luźniejszy podkoszulek, przez który prześwitywały jej sutki. Lubiła ten zestaw. Zdjęła ręcznik z głowy i zaczęła szczotkować włosy, czytając dalej opartą o blat książkę. W planie miała jeszcze umycie zębów. Potem chciała poczytać chwilę przy lampce w łóżku i w końcu spokojnie zasnąć.

Ciszę przerwał dźwięk dzwonka do drzwi, w ślad za którym rozlało się po jej klatce piersiowej nieprzyjemne uczucie chłodu. Dochodziła pierwsza w nocy, tylko jedna osoba mogła się tu pojawić o tej porze. Pamiętała, że wbrew własnemu zakazowi podała komisarzowi Ptakowi swój adres domowy. Nie miała pojęcia, po co to zrobiła. Zapewne była to kwestia paniki i stresu, jakie jej wtedy towarzyszyły. Odłożyła szczotkę i pomyślała o broni, która spoczywała teraz w komendzie. Idąc do przedpokoju, zabrała po drodze nóż kuchenny. Wzięła głęboki wdech i podeszła do drzwi, wyjrzała przez wizjer, ale na korytarzu było ciemno. Zaczęła cicho otwierać zamki i nie zdejmując łańcuszka, uchyliła drzwi. Ku jej zdziwieniu nie stał przed nią komisarz, tylko Piotr Szafraniec. Średniego wzrostu barczysty mężczy-

zna z włosami postawionymi na żel i skrzywionym nosem, złamanym podczas meczu piłkarskiego. Jeden z zawodników Klubu Sportowego Sandecja Nowy Sącz. Jej były chłopak.

– Co ty tu... – Jej słowa przerwał uścisk, jakim obdarował ją Piotr. Irena uniosła rękę i wygrzebała się z jego ramion, a on zrobił krok w tył, przytakując ruchem głowy, i unosząc dłonie na znak poszanowania jej decyzji. Sięgając za drzwi, położyła nóż na pobliskiej półce na buty.

– Mogę wejść? – zapytał i chciał ją minąć.

– Lepiej nie – odparła i zaszła mu drogę, a on zmarszczył zdziwiony brwi, nie kryjąc niezadowolenia. – Co tu robisz? – spytała.

– Miałas wyłączony telefon, a wszyscy gadają o tym zastrzelonym typie na klatce w pobliżu Rynku. Zacząłem się martwić. Wiesz, że nie chciałem, byś podejmowała pracę w policji, bo to niebezpieczne. A teraz nie odbierasz telefonu, myślałem, że zwariuję. Serce bo mi pękło, gdyby coś...

– Czy to kwiaty? – zdziwiła się, zauważając, że chowa coś za plecami.

– Wiem, że lubisz polne, ale teraz nigdzie takich nie kupię. – Wyciągnął do niej bukiet róż. – Proszę. To dla ciebie.

Irena wyczuła od niego zapach alkoholu.

– Znowu piłeś? – oburzyła się i skrzyżowała ręce na piersi.

– Ej, mam teraz przerwę zimową. Treningi zaczynamy po nowym roku. Mogę.

– Nie chcę od ciebie kwiatów. – Pokręciła głową. – One niczego nie naprawią. A nie odbieram od ciebie telefonów, bo mnie zdradziłeś, Piotrek, i jakbyś zapomniał, nie jesteśmy już razem. Zanieś kwiaty nowej dziewczynie.

– Kurwa, mówiłem ci, że to było raz i byłem pijany. Rafał miał kawalerski, ty głupia jesteś czy co... – Uniósł rękę. – Nieważne. Nie przyszedłem się tu kłócić. Chciałem tylko się upewnić, że nic ci nie jest. Miałas wyłączony telefon...

– Moje zdrowie nie jest już twoją sprawą – rzuciła zimno i twardo. – Do widzenia. – Zaczęła zamykać drzwi, ale Piotr oparł na nich rękę, uniemożliwiając jej to.

– Co robisz? Zabierz rękę. – Pchnęła drzwi raz jeszcze, ale mężczyzna nie odpuszczał.

– Po prostu poczekaj. – Cofnął się, ale wychylił się ponad nią, zauważając lampkę wina na blacie w kuchni. – Ty nigdy nie pijesz sama. Kto jest u ciebie? Masz faceta!? – zdenerwował się. – Jest tam teraz!? Dlatego nie chcesz mnie wpuścić!?! Zajebię skurwysyna...

– Jestem sama, uspokój się.

– Miesiąc temu mówiliśmy sobie, że się kochamy, a teraz...

– Szkoda, że o tym nie myślałeś, kiedy wkładałeś kutasa w tamtą sukę! – Teraz ona uniosła głos, ale od razu się uspokoiła. Nie chciała robić scen u siebie na klatce. – Piotrek, dużo wypięs. Chciałeś sprawdzić, czy u mnie wszystko okej? Jak widzisz, żyję i mam się dobrze – mówiła półszepem. – Możesz wracać do domu.

– Czego się wstydzisz!? Że jesteś chujowa w łóżku!? Że nie potrafisz się nawet dobrze wypięs!? Wiem, że nie ma tam żadnego faceta! Kto by chciał taką cipę jak ty! Zostaniesz sama albo skończysz z jakimś patusem, bo tylko taki by cię chciał, żebyś mu prała i...

– Co to za krzyki?

Oboje spojrzeli na schody, skąd doszedł męski głos komisarza Michała Ptaka, który pojawił się znikąd jak duch, a w ślad zanim zapaliło się światło. Był inaczej ubrany, nie miał już na sobie ciuchów podarowanych mu na komendzie. Rozpiął czarny płaszcz, odsłaniając równie ciemny sweter oraz dzinsy, wokół szyi miał przewieszony długi, czarny szalik. Zauważyła, że w ręce trzymał czekoladki i wino.

– Jakiś problem? – dopytał, wchodząc na piętro.

– Żadnego – powiedziała Irena. – Tylko rozmawiamy. – Skrzyżowała przed sobą ręce i spuściła wzrok.

– A ty kim jesteś? – spytał piłkarz wyraźnie oburzony. Spoglądał to na Irenę, to na Michała, jakby domagał się wyjaśnień.

– To zależy. – Komisarz stanął pomiędzy nimi, patrząc na byłego chłopaka Ireny z góry, ponieważ był wyższy od niego głowę. Spoglądał na niego wrogo. – Dziękujemy za wizytę, ale niczego nie kupujemy.

– Nie jestem sprzedawcą, tylko jej chłopakiem! – odparł piłkarz, udając odwážnego i rozkładając szerzej ręce, jakby niósł pod pachami niewidzialne arbuzy.

– Byłym chłopakiem – prostowała Irena.

– Byłym chłopakiem... – Michał celowo przeciągnął słowa, uśmiechając się przy tym szeroko. Odwrócił się do Ireny i pocałował ją w policzek, chwytając ją za biodro i dociskając do siebie w przywitaniu. – Kończ to już. Szkoda wieczoru – powiedział jej do ucha, ale tak, by Piotr to usłyszał, po czym wchodząc do mieszkania, klepnął ją siarczyście w pośladek.

Irena czuła, jak ze złości rozpala się w niej ogień piekielny, ale postanowiła odgrywać swoją rolę dalej. Oparła się o framugę z satysfakcjonującym uśmiechem.

– Jeszcze będziesz za mną płakać. Nie dzwoń do mnie, jak już będę grał w Hiszpani! – wypalił Piotr i zaczął schodzić po schodach, zazdrosny i wściekły jak nigdy.

Irena odczuwała prawdziwą satysfakcję po tych wszystkich przykrościach, które zaserwował jej były partner. Czekwała w drzwiach, aż uśmiech zejdzie jej z twarzy, a gdy już się opanowała, zamknęła je na wszystkie zamki. Weszła do kuchni, gdzie Michał zachowywał się, jakby był u siebie i właśnie kończył przeszukiwać szafkę, z której wyciągnął drugi kieliszek do wina.

– Klepnij mnie jeszcze raz, a przysięgam, że odetnę ci rękę – warknęła brzydko, nieskora do żartów.

– Po to ci był ten nóż przy drzwiach? – Komisarz, nic sobie nie robiąc z jej groźby, otworzył wino i naleł do kieliszka.

Irena rzuciła okiem na ostrze leżące na półce, na której ułożone były buty.

– Według mojej profesjonalnej opinii, to klepnięcie było warte ryzyka – uśmiechnęła się do niej, widząc, jak drga kącik jej ust. – Wino otworzyłem to, które przyniosłem. Jest oczywiście dla ciebie, ale skoro pijesz inne, to nie chciałem ci wypić tego, które akurat lubisz. Widzisz, jaki ze mnie dżentelmen? – Rozłożył ręce zadowolony z siebie.

– Gdzie byłeś? – spytała.

– Niedaleko twojego mieszkania. Obserwowałem miejsce z daleka. Udało mi się nawet kupić nowe ciuchy na „ruskim targu”. Byłaś tam kiedyś? Tam wszystko jest! – Michał widząc, że posturkowała nie ma ochoty na żarty, spoważniał. – Ubieraj się. Jest sprawa, którą musimy załatwić natychmiast. Musisz wrócić na miejsce zbrodni i zabrać moją torbę. Została przy oknie.

– Ta? – Wskazała na czarną torbę, która leżała pod ścianą. Dostrzegła ulgę na jego twarzy.

– O Jezu. Dziękuję – odparł i kucnął przy niej, zaglądając do środka.

– Co tu robisz?

– Skoro moja kryjówka jest pełna śledczych i techników, a przy takiej liczbie trupów zajmie im to co najmniej kilka dni, pomyślałem, że będę, kurwa mać! – Komisarz odskoczył, przestraszony nagłym pojawieniem się szarego kota, który zeskokczył z szafy, lądując tuż obok niego. Filemon podszedł do Ireny, a ona wzięła go na ręce. Michał wypuścił powietrze z pełnymi policzkami i dokończył: – Że będę mógł się tu przespać.

– Idź do hotelu.

– Nie mogę. W hotelu mnie spiszą z dokumentu, a to już jest dowód. Komenda dostaje cynki od hotelarzy odnośnie do podejrzaných gości, a komendant, o ile jeszcze nie wie, to lada moment się dowie, że jednak do Krakowa nie wróciłem. Będzie wiedział, iż kręcę się gdzieś po Sączu. A przy minus czterem nastu nie jestem w stanie spać na polu. – Podsunął jej czekoladki. – To jak będzie?

– Kupiłeś mi czekoladki, żebym pozwoliła ci spać w swoim mieszkaniu? – Zmarszczyła czoło.

– Działa?

– Nie.

Parsknął i spuścił głowę. Na chwilę zapadła cisza. Irena poczuła ponowny przypływ przygnębiających ją emocji związanych ze strzelaniną. Przed oczami ukazały się obrazy martwych, zamaskowanych napastników, wypływającej spod ich ciał krwi i powróciło uczucie spadających na nią odłamków lazienkowych płytek.

– Zabijałeś wcześniej? – spytała.

– Tak. – Przytaknął głową przed odpowiedzią. – Tak, zabijałem.

– Dużo? – Teraz ona spuściła wzrok i oparła się pośladkami o blat, głaszcząc dalej kota pomiędzy uszami.

– W Krakowie ludzie są bardziej skłonni do walk z policją niż w Sączu. A że mam w naturze pakowanie się w środek kłopotów, nawet jeżeli tego nie chcę, to mam za sobą kilka strzelanin i ofiar. Choć nie zawsze byłem w stanie określić, czy zginęli od mojej kuli. – Wziął głęboki wdech. – Ale tak, mam na koncie więcej trupów niż ta czwórka z dzisiaj. Taka robota.

– Jak sobie z tym radzisz? Z tym... no wiesz...

– Cóż – napił się – to pomaga na chwilę. – Wskazał na kieliszek. – Kwestia akceptacji tego, co jest, a nie tego, na co się liczy. Jeżeli masz zamiar być tak wysoko i zrobić dużą karierę w policji, a widzę, że masz do tego ambicję, to musisz nauczyć się nie odczuwać współczucia względem tych, którzy w ciebie celują. Nie ma przypadku w takich chwilach. Gość po drugiej stronie pokoju, gdy wyciąga pistolet i celuje w ciebie, podjął już decyzję o odebraniu ci życia. Ta decyzja powinna być dla ciebie jasnym sygnałem, że to on stawia warunki, a nie ty. Że to on pisze się na ryzyko, w którym może stracić życie. To, co ty w tym momencie robisz, to świadomie przyjmujesz te warunki. Ten stan rzeczy musisz zaakceptować. Nie jesteśmy mordercami. Staramy się zrobić wszystko, by oni przeżyli, zostali złapani i doprowadzeni przed sąd. Jeżeli jednak dojdzie do najgorszego, to była to jego decyzja, nie twoja. Ty tylko odpowiedziałaś. Ciężar poczucia winy nie obciąża twojego sumienia, tylko jego. Bądź kilku osób, jak w przypadku dzisiejszej sytuacji. Gdybyśmy odpowiedzieli współczuciem i kierowali się empatią czy sumieniem, to nasze ciała leżałyby na podłodze tego mieszkania, a oni piliby teraz lampkę wina, nie czując żalu, a jedynie śmiejąc się z ciebie. – Spotkali się spojrzeniem. – Jeżeli chcesz sobie z tym radzić, musisz to rozumieć i zaakceptować jako fakt. Zero-jedynkowo. Trochę jak chirurg, który czasem popełni błąd podczas operacji. Taka robota.

– Oni stawiają warunki. My odpowiadamy? – doprecyzowała.

– Tak jest.

Oboje napili się wina i znów stali przez chwilę w ciszy naprzeciwko siebie.

– Czy mogę się wykąpać? – zapytał. – Nawet jeśli nie miałbym tu spać? Nie brałem prysznicą od trzech dni, sam czuję, że śmierdzę.

– Jasne. Tam jest łazienka, ręczniki są pod umywalką.

Michał dopił wino i odstawił kieliszek na stole.

Irena zauważyła, że jego paznokcie są czarne, jakby grzebał w ziemi.

Poszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Wiedziała, że nie mógł kopać w ziemi, o tej porze roku jest zbyt twarda.

Po mieszkaniu poniósł się szum napuszczanej do wanny wody.

Irena weszła do sypialni, założyła spodnie dresowe i wskoczyła w za duży bluzę z kapturem. Lubiła ubierać się swobodnie, gdy była u siebie. Wzięła nóż leżący na półce z butami i wróciła do kuchni.

Michał zdążył wyjść już z łazienki i sięgał właśnie po banana i jabłko, owinięty w pasie jedynie ręcznikiem. Nie dało się nie zauważyć, jak dobrze był zbudowany. Mięśnie rysowały pod skórą wyrzeźbionego brzucha, pleców i barków. Irena dostrzegła wyraźne żyły biegnące wzdłuż umięśnionych przedramion.

Miał dużo widocznych blizn po cięciach i dwie, które uznała, że były pozostałościami po postrzałach. Co wydawało jej się dziwne, pomijając kompletnie inną budowę ciała niż ta opisywana w aktach, komisarz Michał Ptak miał być starszym, niedbającym o wygląd mężczyzną, a ten tutaj... to jego całkowite przeciwieństwo. Teraz mogła również przyjrzeć się jego szyi, na której nie zauważyła wyszczególnionej w dokumentach blizny.

– Kim ty jesteś? – zapytała – Tak naprawdę.

– Może odłóż najpierw nóż, zanim ci odpowiem? – Zawiesił wzrok na ostrzu w jej dłoni.

Posterunkowa wsunęła narzędzie w drewniany stojak na noże, ale została tuż przy nim.

– Musisz rozwinąć to pytanie. – Mężczyzna był śmiertelnie poważny.

– Michał, o ile tak masz na imię, czytałam twoje akta. Jedyne, co się zgadza, to czarne włosy i zarost. Najemnicy zdawali się ciebie znać. Więc pytam. Kim ty jesteś?

Odłożył owoce i również oparł się tyłkiem o blat. Skrzyżował ręce na piersi.

– Niewiele mogę ci powiedzieć, by samemu nie narobić sobie i tobie problemów. Wszystko jest tajne i udostępnione niewielu osobom. W tym komendantowi Rafałowi Starzakowi. Jestem tym, za kogo się podaję, choć mój wygląd w aktach został celowo błędnie wpisany. Kraków ma podejrzenia, że nie radzicie sobie z braćmi Straszewskimi, bo macie kreta w komendzie, który uprzedza ich o wszystkim. Liczyliśmy na to, że podając im, jak wygląda ten, który tu przyjedzie, nie będą w stanie poznać mnie na ulicy. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, a to, co usłyszałaś, to i tak za dużo. Skoro jednak mnie poznali, to widać plan nie zadziałał – kłamał, patrząc jej głęboko w oczy. Nie był to jego pierwszy raz. Wiedział, że dziewczyna jest młoda i po tym, co ją spotkało przez ostatnią dobę, uwierzy we wszystko.

– Przecież ty nie przyjechałaś tu w sprawie braci ze Starego Sącza – podsumowała.

– Nie. Ale nie ma dowodu, że to nie oni odcinają uszy, tak jak uważa zresztą cała wasza komenda.

Posterunkowa nie wiedziała, czy takie działania są możliwe, choć z drugiej strony podrzucanie sfaloszowanych dokumentów do akt byłoby piekielnie prostą rzeczą dla kogoś takiego jak komendant wojewódzki z Krakowa. Miała wrażenie, że mózg jej puchnie. Za mało snu, za dużo bodźców. Przyłożyła dłoń do czoła.

– Masz suszarkę? – zmienił temat, widząc, że połknęła przynętę.

– Za lustrem w łazience.

Kiwnął głową i zabrał owoce ze stołu, wgrzyzając się w jabłko. Zgarnął z podłogi czarną torbę i zamknął za sobą białe drzwi do łazienki z małym rozmazany okienkiem. Niedługo potem, ubrany już w podkoszulek i spodnie, zaczął rozstawiać świeczki w salonie i odpalać je. Irena zmarszczyła czoło, wchodząc do pokoju z kapturem naciągniętym na wilgotne jeszcze włosy i poprawiła okulary.

– Co ty robisz? – spytała. – Myślałam, że chcesz iść spać.

– Myślałem, że będziesz chciała pogadać. – Odpalił ostatnią świecę.

– Pytam o świeczki.

– Jest ich tutaj bardzo dużo, sądziłem, że je lubisz. Ale mogę zgasić i włączyć światło.

– Nie, nie... – Uniosła rękę i usiadła w fotelu po drugiej stronie stolika, podciągając kolana do klatki piersiowej. – Świeczki są okej.

Nalał jej oraz sobie wina i patrzyli na siebie przez chwilę.

– Wiem, że chcesz mnie o coś zapytać. Pytaj – zaczął.

– Gdzie byłeś? Czemu masz ziemię pod paznokciami?

– Pod blokiem na Pekinie, próbowałem się dostać niezauważony do mieszkania, ale policji było zbyt dużo. Musiałem się przegrzebać przez chaszczę, i tam się pewnie ubrudziłem. – Spojrzał na czyste już dłonie.

– Jak trafiłeś na to mieszkanie? Czemu zabrałeś tego gościa akurat tam?

– Adres był w aktach sprawy. Mieszkanie należało do matki faceta, który piętnaście lat temu był głównym podejrzanym o zabijanie i odcinanie ofiarom uszu.

Irena odwróciła wzrok, słysząc, że mówi prawdę. Zgadzało się to z informacjami, jakie otrzymała od podinspektora Zalewskiego.

– Nie wiesz, jak to jest? – ciągnął komisarz. – Młody chłopak z biednej rodziny, niemal patologicznej, bez wyróżniającego się talentu, bez układów, znajomości, bez pieniędzy, które mogłyby wyciągnąć go z tej biedy. Kto za takim stanie, jeśli go oszkrzą o morderstwo? Przecież nie będzie nawet miał na adwokata. A policja potrzebowała winnego. To mieszkanie wydawało mi się dobrym miejscem, by zacząć, ale okazało się opuszczone.

– Nie skazali go, nie było dowodów.

– Dowodów, tak? – parsknął. – Jesteś młoda, ale w prokuraturze to tak nie działa. Nie jest to kwestia prawdy i dowodów, tylko podania ich w odpowiedni sposób. Każdy może być winny lub niewinny, jeżeli potrafisz dobrze wyłożyć to prokuratorowi, z akcentem na kwestie, które są istotne z racji paragrafu, wokół którego się poruszasz. Ciągłe naciski i dorzucanie kolejnych dowodów, istotnych czy nie, o ile wzmacniają to, co ważne i bum, nagle coś, co na początku wydawało się bez sensu, teraz jest oczywiste. Nawet jeżeli nie ma to większego znaczenia w tym, co się faktycznie stało, przez swoje działanie i nacisk adwokata na prokuratora możesz wyolbrzymić daną rzecz, wyciągnąć ją z kontekstu i w ten sposób otrzymać skazanie. Potem zostaje ci tylko sąd. „Kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą” – napił się – taki system.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci na tej sprawie?

– Jest to dla mnie... – Nie dało się nie zauważyć chwili przerwy, w której się namyślił. – Zadanie, którym mam zamiar odbudować swoje życie. Spieprzyłem sporo, naprawdę sporo i nie było mi przez to lekko. Rozwiązanie tej sprawy to naprawienie błędów z przeszłości. Mamy podobne motywacje, pani posterunkowa. Pomóżmy sobie, a oboje na tym zyskamy. A ty? – Zmienił nagłe temat.

– Co ja? – zapytała, biorąc łyk wina.

– Jak pierwsze wrażenia z pracy w policji? Jest tak, jak sobie to wyobrażałaś?

– Jest w porządku.

– Nie o to pytałem.

Dopiła i nachyliła się, żeby sobie dolać, ale Michał ją uprzedził i zrobił to za nią. Rozsiedli się wygodnie.

– Policja jest okej. Robię, co mogę, żeby pomóc ludziom w tym mieście żyć w spokoju. Mogą zadzwonić w każdej chwili i przyjedziemy z pomocą. Bite żony, natarczywi sąsiedzi, agresywni kierowcy, zamykamy złodziei, by więcej nie kradli bądź łapiemy morderców, by więcej nie zabijali...

– Ale... – ciągnął, rzucając jej pytające spojrzenie.

– Ale nie do końca tak to odczuwam. – Spuściła wzrok, patrząc na mrugające w ciemnym salonie płomyki świec. Kot wskoczył jej na kolana i zaczęła go głaskać. – Komendzie brakuje pieniędzy, inflacja, mamy gospodarkę w kiepskim stanie po zmianie ustroju. Oszczędzamy na druku, na papierze. Jeszcze teraz ten system zmianowy, a mimo to mamy za mało komputerów. Na jeden pokój, gdzie pracują trzy osoby, jest jeden komputer, musimy się zmieniać i ustalać, kto w jakich godzinach na nim pracuje, a kto robi dalej po staremu. Wciąż są pokoje, gdzie jest gorzej, i nie ma żadnego komputera, a pisanie na maszynie to koszmar. Zwłaszcza na tych, które mamy, bo nie wszystkie mają komplet liter. Jeden z posterunkowych szukał liter po gabinecie, bo nie mógł dokończyć notatki. Jedna wielka partyzantka. Ale problemy są nie tylko w samej komendzie. – Napiła się. – Zaraz po rozpoczęciu pracy weszło rozporządzenie z Warszawy, że można robić jedynie dwadzieścia kilometrów patrolu na samochod z uwagi na brak pieniędzy na paliwo. Gdy dwóch funkcjonariuszy wyjeżdża na służbę, jednego zostawia się w Rynku, by chodził, a drugi jeździ. Kazali nam to robić dlatego, że skoro nie ma kasy, by wszyscy jeździli, to w ten sposób mieliśmy zwiększać świadomość mieszkańców o obecności policji. W razie interwencji kierowca najpierw musiał podjechać po tego, co chodził, zabierał go i dopiero wtedy jechali ra-

zem na zgłoszenie. Teraz jestem członkiem grupy dochodzeniowo-śledczej rozpracowującej największy gang na tym terenie, więc powinno być lepiej. Ale kilka dni temu byłam jeszcze w służbie mundurowej, gdzie moim zadaniem było zawożenie pijaków na izbę i pałowanie przyjezdnych, wyzelowanych typków ubranych w podrobione włoskie ciuchy, którzy po dwóch piwach stawali się zbyt agresywni przed lokalem. Nazwani wieśniakami przez miastowych, z pięściami rzucają się na innych, bez różnicy czy masz mundur, czy nie ani czy jesteś kobietą, bo skoro jesteś w policji, to przecież jesteś psem, tak? Nie zapominajmy o interwencjach domowych, które ktoś zgłasza, żeby dopiec sąsiadowi. Albo awantury, bo sąsiad wjechał kołem samochodu na czyjeś pole i teraz nie chce go przestawić, a z jakiegoś powodu oczekuje, by cała wieś wiedziała, że jego działka ciągnie się od słupa do drzewa. No nie – znów upiła łyk – nie jest to szczyt marzeń.

– Dlatego pytn...

– I te pieprzone sprawozdania – ciągnęła, rozpędzając się. Dawno nie miała komu się wygadać. – Ni komu do niczego niepotrzebne. Każdy z komendy musi spisywać, ile mieli interwencji oraz opisywać dokładnie, jak przebiegały tylko po to, by potem wysłać je do komendy wojewódzkiej, a komenda wojewódzka z kolei przesyła je do komendy głównej. Tona straconego przy tym czasie. Gdyby każdy miał komputer, na pewno byłoby lepiej, ale teraz to jest koszmar. Ty wiesz, że ci, co pracują z psami, muszą pisać, ile czasu pies był na spoczynku, ile na szkoleniu, ile na zwolnieniu lekarskim i tak dalej? Wariacstwo.

Michał uśmiechnął się i napił ze swojego kieliszka.

– Co? – spytała.

– Nic. W Krakowie jest to samo, tyle, że jest tego więcej.

– No nie wiem. Zobaczmy teraz. Chociaż podinspektor, który jest prowadzącym całej grupy, mnie w tej grupie nie chce, czego nawet nie ukrywa. Ale ma nosa, to muszę mu przyznać. Mimo iż nie potrafi tego udowodnić, rozgryzł wszystko, co się działo. Od informatora po strzelaninę. Dobry jest, naprawdę dobry.

Spojrzała na niego, po czym wróciła do głaskania kota, który mruzczał z zadowoleniem.

– Czyli pozwalasz mi tu spać? – Upewnił się i wziął kolejny łyk wina.

– Śpij. Przecież nie wyrzucę cię na pole przy takiej pogodzie.

Ten nachylił się do swojej czarnej torby i wyciągnął z niej coś małego.

– Najbardziej cieszę się z tego, że ją odzyskałaś, ponieważ jest w niej coś, co znalazłem zaraz po przyjeździe tutaj. Morderca odcinający ludziom uszy miał w zwyczaju obserwować wcześniej swoje ofiary. Wcześniej, czyli piętnaście lat temu. Widząc, że dom ostatniej ofiary leży tuż przed linią drzew, poszedłem do lasu, do miejsca, skąd dobrze widać budynek. I znalazłem tam to – uniósł woreczek ze starą, wypaloną firką – oraz niewielkie miejsce, które wyglądało, jakby ktoś tam koczował przez długi czas. Śnieg trochę go przykrył, ale dało się to wszystko zobaczyć.

– To jest zabójca!? – Poruszyła się, wyciągając rękę, ale Michał szybko schował woreczek. Ten ruch zbudził kota, który zeskoczył z jej kolan.

– Uważam, że tak. Jednak jeszcze nie chcę oddawać tego policji.

– Dlaczego!?

– Zrobię to, gdy będzie do tego najlepsza chwila. Na ten moment nie wierzą w tę sprawę, więc zamiotą to pod dywan. – Kolejny łyk. – Ale co ważniejsze, wydaje mi się, że znalazłem dwa miejsca, gdzie takie fiki sprzedają dzięki rozmowie z jednym z taksówkarzy. Warto złożyć tam wizytę.

– A to znaczy, że... – Rozszerzyła oczy w zdziwieniu.

Michał uśmiechnął się i wyciągnął do niej kieliszek. Stuknęli się.

– Mamy trop – dokończył.

– Ale czekaj, przecież po interwencji, gdzie zabiłeś aspiranta Bartoszewskiego, zwinęli cię na dołek. Nie zabrali ci wszystkiego? Skąd to masz?

– Zostawiłem w radiowozie przed interwencją, bo bałem się, że gdyby doszło do akcji, stłukłaby mi się w kieszeni. Potem włamałem się do auta pod komendą i ją zabrałem. Ej, chwila jak to zabiłem tego policjanta?

– Wszyscy tak mówią.

– I ty w to wierzysz?

– Nie ma żadnych dowodów na twoją winę.

Oblicze Michała zachmurzyło się, a jego wzrok znów stał się inny, daleki od spojrzenia osoby, która była tu z Ireną przez cały wieczór. Jego oddech przyspieszył, gdy uświadomił sobie coś ważnego. Fakt, że dziewczyna jest jedynym świadkiem jego wszystkich działań, odkąd opuścił komendę, i że mogłaby go pogrążyć jednym donosem.

Irena sięgnęła po butelkę, by sobie dolać, ale ta była już pusta.

– Koniec – powiedziała. – Idziemy spać czy pijemy jeszcze po lampce?

– Nie jestem śpiący – powiedział zimnym, ciężkim głosem.

– Przyniosę następną.

Wstała i poszła do kuchni, wyciągnęła butelkę z szafki i zaczęła wkręcać w nią korkociąg. Gdy to robiła, Michał stał już w drzwiach i przyglądał jej się ponurym, niebezpiecznym wzrokiem. W dłoni trzymał pistolet. Widział w niej zagrożenie o wiele większe, niż myślał. Serce mu waliło, a adrenalina znów buzowała w żyłach. Korkociąg wyskoczył z butelki z charakterystycznym odgłosem.

Michał wszedł do kuchni i wycelował w jej głowę.

ROZDZIAŁ 9

Wnioski

Od strzelaniny, w której udział brała posterunkowa Adamczuk, minęły cztery dni. Cztery dni spokoju, można by rzec, biorąc pod uwagę ostatni gorący czas na komendzie mimo mroźnej pory roku. Praca policjantów skupiała się na robocie papierkowej, przesłuchiowaniu zwołanych świadków i patrolowaniu miasta. Podinspektor Robert Zalewski, kierownik zespołu grupy dochodzeniowo-śledczej zajmującej się sprawą gangu braci Straszewskich, zwołał specjalne spotkanie, mające na celu podsumowanie dotychczasowych postępów. W pomieszczeniu znajdowało się już sześć osób wraz z podinspektorem. Podkomisarz Marzena Skrzynecka, ekspert kryminalistyki Paweł Kałuża, patolog sądowy Igor Kubota i prokurator Janusz Perła. Brakowało psychologa policyjnego Jurka Weinerta, który dzisiaj z powodów osobistych nie mógł brać udziału w zebraniu grupy.

Podinspektor przed spotkaniem rozesłał wszystkim pełen raport opowiadający o aktualnej sytuacji w jakiej znajdują się z danym śledztwem, więc powinni być już z nim zapoznani. Zalewski westchnął, widząc wlepione w niego zniciertliwione twarze członków grupy, i spojrzął na zegarek, eksponując swe blizny po cięciach na przedramieniu lewej ręki, co jeszcze wciąż peszyło niektórych. Zegarek wskazywał równo godzinę jedenastą.

Ekspert kryminalistyki Paweł Kałuża, wyróżniający się kozią bródką, stuknął w tarczę swojego zegarka, dając znać, że powinni zaczynać.

– Ma jeszcze minutę, byśmy mogli stwierdzić, że się spóźniła – skomentował podinspektor.

Drewniane, stare drzwi otworzyły się z jękiem nienaoliwionych zawiasów. Posterunkowa Irena Adamczuk zjawiła się w ostatnim momencie. Weszła do dużej na kilkadziesiąt osób sali, prawie pustej w tej chwili, poza zebraną na przodzie grupą dochodzeniowo-śledczą. Szła obok krzesłek, a podeszwy jej butów uderzały rytmicznie o zażytkowy parkiet. Miała na sobie dopasowane, czarne dżinsy, podkreślające jej kołyszące się teraz z lewej na prawo wdzięki, które były częstym tematem dyskusji wielu panów z komendy. Blond włosy jak zwykle spięła w kucyk, a na białą koszulę zarzuciła marynarkę od munduru. W dłoni trzymała niebieski notes z włożonym między kartki długopisem.

– Nie, nie powiększamy grupy – rzucił podinspektor od niechcenia.

– Proszę? – spytała, docierając do pierwszego rzędu.

– Myślałem, że rzucisz tym samym żartem, co każdy pojawiający się w sali.

– Czyli? – dopytała, patrząc na zebranych.

– Czy czekamy, aż wszyscy przyjdą. – Podkomisarz Skrzynecka dokończyła z uśmiechem, wskazując na pustą salę. Irena sporo o niej słyszała. Była kobietą o silnym charakterze, bardzo skuteczną w terenie i nie pozwalającą wchodzić sobie na głowę. Prywatnie bardzo miła, lecz miała sztywno postawione granice, których nie pozwalała nikomu przekraczać, a gdy ktoś próbował, kończyło się to dla niego obrażeniami cielesnymi. Była niewysoka, miała niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ciemne włosy ścięte na języka, co zresztą pasowało do jej chłopcęj urody. Zawsze w pełnym umundurowaniu z zapiętymi wszystkimi guzikami.

– Sala u naczelnika wydziału jest teraz zajęta, a w żadnym z naszych pokoi byśmy się nie zmieścili. Ale dość już o tym. Skoro jesteśmy w komplecie, możemy zaczynać.

Irena spojrzała na wszystkich. Było to jej pierwsze spotkanie grupy, czuła treść, której nie chciała zdradzić mową ciała.

– Poznajcie komisarza Przemka Kurowskiego. Przemek działa pod przykrywką, będąc blisko grupy braci Straszewskich. Handluje z nimi, dostarczając owoce do ich sklepów w Starym Sączu. Dzięki niemu będzie nam łatwo rozpoznać, kto jest kim.

Irena wychyliła się zza siedzących w rzędzie członków grupy dochodzeniowej, by przyjrzeć się mężczyźnie. Jako jedyny ubrany był po cywilnemu w szerokie dżinsy i zielony sweter, na kolanach położył niebieską, puchową kurtkę. Miał długą brodę sięgającą pod szyję i lysiejącą głowę z widocznymi, głębokimi zakolami. Zerknął na nią niespodziewanie, a ona oparła się speszona o krzesło i otworzyła notes.

– Czy mamy już wyniki sekcji zwłok ofiar wyłowionych z Dunajca? – Podinspektor wywołał do tablicy patologa sądowego Igora Kubota. – Badania coś wykazały?

– Mamy jedynie częściowo zachowane resztki zwłok niemal każdej z ofiar, poza dwoma, które zabrał nurt rzeki. To i tak cud. Trzeba pamiętać, że Dunajec ma niebezpieczne i silne prądy.

Podinspektor Zalewski wyciągnął dwa zestawy zdjęć z sekcji, które wręczył grupie, a oni przekazywali je sobie z rąk do rąk. Osobom, którym zdołano ustalić tożsamość, dołączono fotografie z czasu, gdy żyli.

– Czworo z nich to członkowie małego gangu, który jakiś czas temu zaczął tworzyć się w Sączu – wyjaśnił patolog sądowy. – Nie pamiętam, jak się nazwali. Ale to kilku młodych koleś, którzy ściągali narkotyki z Krakowa i potem rozcieńczali je w taniej chemii, żeby zwiększyć ich objętość. Następnie sprzedawali to po tanioci młodzieży na imprezach. Nie akceptowali dominacji braci Straszewskich na tym terenie. Jak to się skończyło, wszyscy widzimy. Choć za to akurat możemy braciom podziękować. Osobiście jestem za tym, że jak już ktoś ma brać, to niech bierze sprawdzone substancje, a nie te zmieszane z czymś, co potem topi mózgi.

– Czy posiadamy jakieś bezpośrednie dowody na to, że zostali zamordowani? – zapytał prokurator Janusz Perła, drapiąc swój nieogolony policzek palcem, na którym widniał duży sygnet.

– Jak cholera! – Patolog sądowy przyłożył palec do czoła. – Każdy z nich miał otwór wlotowy w kości czołowej i roztrzaskane kości sklepienia i podstawy czaszki. Egzekucja z bliskiej odległości.

Irena pochyliła głowę i zaczęła zapisywać wszystko w notesie.

– A pozostałe trzy ofiary? – dopytała podkomisarz.

– Nie wiemy. Nie znaleźliśmy ich w bazie danych. Przestępcami zatem nie były...

– Cywile – stwierdził Przemek, przekładając kurtkę z prawego uda na lewe.

– Najprawdopodobniej tak. Może ktoś z nich nie chciał zapłacić haraczowi albo nie spodobały mu się podwyżki. Nie dowiemy się raczej. W każdym razie poprosiłem o pomoc znajomego stomatologa, może jemu uda się coś ustalić, bo jedna z ofiar miała w uzębieniu implant, a wielu takich dentystów, którzy robią tego typu zabiegi, nie mamy. To mocno zawęża grono osób, których szukamy, ale jest to raczej łapanie się brzytwy – dokończył Igor.

– Wątpię, nie słyszałem, by ktoś z oddających haracz, zniknął. Takie rzeczy nigdy nie przechodzą bez echa – dodał Przemek.

– Bez dziur w czaszkach? – dopytał prokurator.

– Bez i przyczyny zgonu też wam nie podam, bo zostało po nich trochę kości i tkanek wymieszanych z mulem. Nic przydatnego. Najprawdopodobniej ich utopili, ale cholera ich tam wie. Laboratorium się pali od roboty, nie mamy czasu, żeby zjeść, ten koniec roku jest bardzo intensywny. Nie pamiętam drugiego takiego, a trochę już tu pracuję. Oczywiście każdy traktuje swoje zlecenia jako te najbardziej priorytetowe ze wszystkich spraw. Ale do jutra postaram się mieć więcej danych. Część ciał musiała tańczyć dłużej, niż zakładałem. Kilka rzeczy chcę sobie potwierdzić, zanim zdam pełen raport.

– Rzeczy? – ciągnął go za język prokurator.

– No tak, płyny, materiał spod paznokci, kawałek mięsa między zębami ofiary. Może to z ostatniej wicherzy, a może ugryzł napastnika, gdy się bronił. Wyselekcjonuję, co zdołam. Kto wie, może materiał genetyczny potwierdzi się z jakimś, który już mamy, i będziemy mieli naszego zabójcę.

– Ja pierdolę! Potrzebujecie czterech dni na wyciągnięcie kawałka mięsa spomiędzy zębów? Igor, na Boga! – oburzył się prokurator i poprawił się na krześle. Przejechał dłonią po koszuli w kratę, by wytrzeć z niej pot.

– Panie prokuratorze, przywołuję pana do porządku oraz do panowania nad słownictwem. To nie bar. – Podinspektor Zalewski rzucił karcące spojrzenie prokuratorowi. Nie lubił go, bo odpuszczając wiele spraw, ponieważ nie chciało mu się doszukiwać prawdy, a gdy sprawa wymagała od niego czegoś więcej, nigdy się na to nie pokusił. Zawsze szedł na łatwiznę, a podinspektor tego nie tolerował.

– O tej porze roku mam ograniczone zasoby – tłumaczył się Igor, który jako jedyny nie zdjął puchowej kurtki. – Święta, Nowy Rok, dużo osób na urlopie lub na L4. Robię, co mogę.

– Wiemy, Igor – powiedział Zalewski ze zrozumieniem. – A czy udało ci się zrobić sekcję tym, którzy zaatakowali posterunkową Adamczuk?

– Z tymi było łatwiej, bo spasowali z danymi w systemie idealnie jak klocki. – Poprawił się i upił łyk kawy. – Czwórka mężczyzn, która została nasłana na Irenę, była z Poznania. Każdy z nich miał swoją bibliotekę wyroczeń i przestępstw w przeszłości, od pobić, wymuszeń, kradzieży i szantażu począwszy. Nieprzyjemne typy. Wiele razy karani, od odsiadki do odsiadki. Nie ma co ich żałować.

– Dowodzi to tego, że grupa do swojej brudnej roboty zatrudnia osoby z zewnątrz. Nie czują się już tak pewnie i starają się oddalać od tego, co może być powiązane bezpośrednio z nimi. To utrudni robotę – zauważył podinspektor i przetarł usta dłonią, zbierając myśli.

– Głupi nie są – wtrącił swoje pięć groszy prokurator. – Bo dokładnie tak się dzieje. Tych czterech nie można powiązać z naszą grupą, bo nic ich nie łączy. Zatrzymani i tak by powiedzieli, że nie słyszeli nigdy o braciach Straszewskich, bo nie są stąd. Bracia wiedzą, jak się obchodzić z prawem i znają system, w którym się poruszamy. Dzięki temu jest im łatwiej oddalać nas od zebrania dowodów potrzebnych do aresztowania, nie mówiąc już o skazaniu. Czyli dalej jesteśmy w kropce. – Prokurator cmoknął głośno.

– Adamczuk, czy twój informator się odezwał? – zwrócił się do Ireny Zalewski.

– Nie. – Nie podniosła głowy znad notesu.

– Rozumiem. Jeżeli to robi, nie spłosz go. Może właśnie przez to, co się stało, będzie bardziej chętny do gadania.

– Albo wręcz przeciwnie – dodał Kałuża, ekspert kryminalistyki. – Będzie się bał choćby wychylić. O ile nie leży już w worku gdzieś na dnie Dunajca.

– Dlatego nie pójdziesz więcej na takie spotkanie bez wsparcia – powiedział podinspektor. – Będziemy cię ubezpieczać.

Przytaknęła i zaczęła zapisywać coś w notatniku.

– Wśród sklepikarzy oddających haracz mówi się, że jeden z przeciwnej grupy gangsterskiej, gdy próbowali go przekupić i przeciągnąć na swoją stronę, w celu udowodnienia swojej lojalności miał wziąć udział w jednej z akcji, którą będą przeprowadzali w Krakowie. Facet przyjechał na miejsce, zaczął się z nimi przygotowywać do skoku i wtedy pojawił się jeden z braci Straszewskich. Jak się okazało, żadnej akcji miało nie być, było to zrobione celowo, żeby odciągnąć tamtego od grupy w ciszy. Potem go zabili i zakopali w lesie, pozbywając się w ten sposób pionka. Ale głównie chodziło im o przykład dla swoich, by wiedzieli, co czeka zdrajców.

– Nigdy o tym nie słyszałem – wtrącił prokurator. – To na pewno nie bajki?

– Dopóki go nie wykopiemy, nie będziemy wiedzieć – podsumował Przemek i oparł się o krzesło.

– Zapytajmy tego, co go wczoraj zawinęliśmy – zaproponowała podkomisarz Skrzynecka.

– Złapaliśmy kogoś? – spytała zdziwiona Irena.

– Tak – potwierdziła Skrzynecka z miną pełną satysfakcji. – Jednak większego znaczenia to nie ma, bo facet nic nie mówi. Ktoś zadzwonił ze zgłoszeniem, kiedy zaczął niszczyć sklep. Dostanie kilka miesięcy za zniszczenie mienia. Jechaliśmy za nim, żeby pozwolić mu dotrzeć do siedziby gangu, ale zo-

rientował się po drodze, że jest śledzony, i zaczął uciekać. Zatrzymaliśmy go i przywieźliśmy na komendę. Może nie powie nam niczego więcej, ale jest to dla nas bardzo dobra okazja, by zmusić właścicieli sklepów do gadania. Może gdy zobaczyli, że zaczynamy ich zamykać, to rozwiążą się im języki.

– I to jest nasze następne zadanie – wszedł jej w słowo podinspektor. – Będę chciał, żebyście od jutra jeździli po sklepach i namawiali właścicieli do zeznań przeciwko grupie braci Straszewskich. Mówcie im, że zatrzymaliśmy już kilku z nich i oni zaczynają zeznawać przeciwko szefom, by ratować swoje dupy, że szykujemy się na nich i że to będzie ich koniec.

– Nikt się nie zgodzi – ocenił Przemek, ponuro i pewnie. – Dajcie mi z nimi porozmawiać. Spokojnie, bez nacisku. Zobaczę, co uda mi się ustalić.

Na chwilę zapadła cisza. Zalewski widział, że Irena zagryzła wargi i zerknęła na kolegów z zespołu. Wyraźnie miała coś do powiedzenia.

– Posterunkowa? – zwrócił się do niej, a dziewczyna poprawiła się na krześle, zestresowana nagłym zainteresowaniem pozostałych. Chrząknęła, czyszcząc gardło.

– Wydaje mi się, że nie powinniśmy czekać, tylko naciskać do przesady. To, że nic nam nie powiedzą, to już wiemy, ale dzięki naciskom dotrzemy do tych, którzy donoszą im o tym, do czego namawia ich policja. Ci, którzy się podlizują braciom Straszewskim, chcąc zaplusować, doniosą im, że u nich byliśmy, i przekażą im dokładnie to, co im powiemy. Normalnie coś takiego by nie zadziało, ale skoro bracia wiedzą, że jeden z ich ludzi już wyśpiewał, gdzie wyrzucali ciała, innego zatrzymaliśmy, a czterech zamówionych morderców leży właśnie trupem w naszej kostnicy, to wiedzą też, że my wiemy, że to oni, nawet jeżeli nie możemy tego teraz udowodnić. – Zerknęła na zespół, zadowolona, że słuchali jej z uwagą. – Zaczną się denerwować i dzięki temu będą popełniać błędy. A my będziemy mogli przycisnąć pracujących z nimi cywili, grożąc im odsiadką za współudział i działanie w zorganizowanej grupie przestępczej. Przekonamy się, czy faktycznie są tak lojalni.

– Albo narazisz przestraszoną osobę i jej rodzinę na niebezpieczeństwo. – Przemek uniósł głos i zdjął kurtkę z kolan. – Wiecie, co się stało ostatnim razem, kiedy zostali przygwożdżeni do ściany? Dwa lata temu? To tylko wam przypomnę. Ich reakcją były trupy w hurtowni pod Starym Sączem. Gdy wchodził do magazynu, to najpierw strzelali, a dopiero później zadawali pytania. Kilka rodzin zostało bez ojców tego wieczoru, a powodem była właśnie podobna sytuacja, z jaką mierzymy się teraz. Rozumiem wpływ pewności siebie i wiatr w skrzydłach po strzelaninie jak z filmów, pani posterunkowa, ale radzę zejść na ziemię. Powinniśmy czekać i obserwować, żebyśmy to my nie okazali się tymi, którzy popełniają błędy, jadąc na zastrzyku adrenaliny. Dajcie mi dwa tygodnie, zbiorę wywiad i podejmiemy decyzję, co dalej.

Podinspektor Zalewski wysłuchał obu stron, włożył rękę do kieszeni i zaczął się zastanawiać. Następnie stanął przed Ireną.

– Co o tym myślisz? – spytał.

– Uważam, że powinniśmy działać. W końcu coś nie idzie po ich myśli, a to dobra okazja, by to wykozystać. – Mówiąc to, czuła presję wwiercającego się w nią spojrzenia Przemka.

– Dobra. Czekamy na dane z laboratorium. Zobaczymy, czy dostarczą nam nowych informacji. Jutro jedźcie do sklepów i zaczniacie naciskać właścicieli.

– Panie podinspektorze, z całym szacunkiem, ale chyba nie zamierza pan tak po prostu jej posłuchać? – oburzył się Przemek i wstał z krzesła. – Dziewczyna dopiero zaczęła pracę w policji. Ja rozprawuję braci Straszewskich od ponad roku.

– Posterunkowa Adamczuk – stanął przed Przemkiem z typową dla niego miną wypraną z emocji – w ciągu zaledwie tygodnia odnalazła ciała w Dunajcu, wybroniła się w pojedynkę z pułapką i miała przeczucie, jak zareagować w związku z seryjnym zabójcą, który odcina ludziom uszy, kupując komendzie czas na reakcję. Albo ma zajebistą passę, albo fart, tak czy inaczej uważam, że należy tę passę utrzymać, jeżeli mamy taką możliwość. Jeżeli się pomyli, zaczniemy podchodzić do jej pomysłów ostrożniej.

– Tak jest – odparł Przemek, opierając się o krzesło.
– Wszyscy wiemy, co robić. Zbierzmy się o tej samej porze za tydzień, zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć.

Zgromadzeni zaczęli zamykać swoje notesy i wychodzić z sali. Obrażony Przemek wyprzeżył pozostałych członków grupy, a tempo jego kroków wyraźnie dawało do zrozumienia, jak oburzony jest tą sytuacją. Posterunkowa siedziała cierpliwie na swoim miejscu, czekając i patrząc, jak podinspektor ściąga zdjęcia podejrzanych z tablicy i wkłada je do teczek. Drzwi się zamknęły.

– Jeżeli coś do mnie masz, to mów szybko – rzucił Zalewski, nie przerywając wykonywanych czynności.

– Mam delikatną sprawę, którą chciałabym się z panem podzielić. Tylko nie wiem, czy...

– Adamczuk, mów. – Podinspektor klasnął zamykanymi w teczkach dokumentami, które zaczął starrannie zawiązywać tasiemką.

– Ci najemnicy ze strzelaniny, oni wiedzieli o odnalezionych ciałach. Dobra, kapuś mógł się przyznać, i choć w to wątpię, to jest to jednak możliwe. Jednak wiedzieli, że to byłem ja, że to ja przekazałam informację o miejscu wyrzucania zwłok. Skąd? Obawiam się, że możemy mieć w komendzie kogoś, kto donosi braciom Straszewskim o poczynaniach i ruchach policji.

– I myślisz, że to Przemek – stwierdził bez zastanowienia. – Zabójcy mogli wiedzieć tyle, że osoba, która będzie w tym mieszkaniu, jest tą, która przekazała informacje policji. A że spotkali tam ciebie, to założyli, że to ty. Niczego nie można jednak wykluczać. Ale dobra. Ty możesz już działać w terenie?

– Nie. Jeszcze trzy dni do spotkania z panią psycholog. Ona zdecyduje, co potem.

– A czujesz się na siłach, żeby iść w teren? Czy wolisz jeszcze posiedzieć przed biurkiem?

– Jestem gotowa – odpowiedziała bez wahania, choć wcale nie czuła się tak pewnie, jak chciała, by myślał podinspektor.

– Napiszę wniosek o szybsze przywrócenie cię do pełnej służby.

– Dziękuję.

– Będziesz patrolować z Przemkiem.

– Co!? Panie podinspektorze! – uniosła się.

– To twój trop, sprawdzisz, czy właściwy. Nie lubi cię. Łatwiej się wygada, gdy puszczą mu nerwy. Bez dyskusji. – Podinspektor wskazał na drzwi, zebrał akta na kupę i zaczął się zbierać.

Posterunkowa nadal czekała.

– Czy mamy jakieś nowe wieści w sprawie seryjnego zabójcy odcinającego uszy?

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Zwłaszcza że gdy ostatnim razem ci powiedziałam, to omal nie zginęłaś – westchnął i odwrócił się jeszcze. – Ale tak jak sądziliśmy, nie ma żadnego zabójcy. – Wcisnął grube akta pod pachę i ruszył do wyjścia, dodając: – Po tym, jak opublikowali w gazecie to zdjęcie, nikt już więcej nic nie przesyłał. Ani części ciała, ani liścików, nic. Bracia Straszewscy robią dokładnie to samo, co my chcemy zrobić teraz. Próbujać zbić nas z tropu. Zabójstwa się skończyły, gdy znaleźliśmy ciała i zastrzeliłaś tych gości, przypadek?

– Rozumiem. – Poszła za nim. – Kto badał pudełko?

– Laboratorium kryminalistyczne, ale nie jestem pewien, czy u nas.

– A kto przyjmował papiery?

– Nie wiem, zgaduję, że Marek Baran. Taki rudy z wąsem.

Posterunkowa zamilkła, zatapiając się w myślach, co nie uszło uwadze podinspektora.

– Irena. – Zatrzymał się i odwrócił do niej przodem. – Zostaw to – wskazała na nią palcem – to nie jest twoja działka. Jak się dowiem, że zajmujesz się inną sprawą, wyrzucę cię z zespołu. Mówię poważnie.

Czuję, że jesteśmy tutaj blisko, nie chcę tego zaprzepaścić tym, że byliśmy rozkojarzeni. Skup się na naciskaniu miejscowych i tylko na tym.

Przytaknęła, a on wyszedł na korytarz. Opuściła salę niedługo po nim i przyjrzała się chodzącym po korytarzach starej kamienicy pracownikom komendy. Słyszała kroki, szuranie butów i szmer, gdy ktoś z nich przerzucił akta z ręki do ręki, by dać im odpocząć od ciężaru dokumentów. Założyła na siebie kurtkę i bez zastanowienia skierowała się do laboratorium kryminalistycznego, które znajdowało się w osobnym budynku z tyłu od strony Wojskowej Komendy Uzuppełnień. Przeszła przez podwórze, drepzcząc szybko i kryjąc się w kapturze kurtki, by jak najszybciej uciec przed ostrym zimnem. Nie sy-pało od kilku dni, a stary, ubity śnieg zdążył już zszarzeć i stwardnieć. Kruki zakrakały i odleciały spło-szone, łopocząc skrzydłami. Szła ciemnymi, betonowymi płytami do budynku stojącego pomiędzy ob-drapanymi kamienicami, z parapetów których zwisały długie sople lodu. „Ktoś powinien to ściągnąć. Gdyby tak się jeden urwał, może zabić” – pomyślała.

Weszła po wąskich schodkach i zatrzymała się przed solidnymi drzwiami, przy których znajdował się biały przycisk. Nacisnęła go i rozległ się dźwięk dzwonka. Posterunkowa rozejrzała się jeszcze, jej uwagę zwróciły lyse, szare i ostre gałęzie drzew, które nie napawały optymizmem. Lubiła zimę tylko wtedy, gdy wszystko przykrywał świeży puch, cała reszta związana z tą porą roku była dla niej męczar-nią. Drzwi otworzyła kobieta po trzydziestce. Sekretarka ubrana była w biały fartuch, który przytrzy-mywała dłonią na piersi, łącząc jego poły, by chronić się przed zimnym powietrzem.

– Słucham? – odezwała się zachrypniętym głosem.

– Ja do Marka Barana.

– Byłaś umówiona?

– Nie, to nagła sprawa.

– Ale to trzeba się umawiać, to nie stołówka, żeby sobie wpadać, kiedy się chce. – Sekretarka pokrę-ciła głową z czarnymi lokami.

– Nie wiedziałam, a tak jak mówię, sprawa jest nagła i pilna – tłumaczyła Irena.

– Przykro mi, ale nie ma wizyt. Proszę zwrócić się do naczelnika wydziału z prośbą o audiencję lub konsultację z analitykiem poza laboratorium. Do widzenia.

Sekretarka zaczęła zamykać drzwi, gdy Irena zsunęła kaptur, by poprawić okulary. Kobieta o czar-nych lokach się zatrzymała i przyjrzała się jej dokładniej.

– Czy ty nie jesteś tą początkującą posterunkową, która przeżyła strzelaninę cztery dni temu?

Irena przytaknęła, a sekretarka się rozejrzała, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi. Twarz jej złagod-niała.

– Jezu, dziecko. Legitymację masz?

Posterunkowa wyciągnęła z kieszeni kurtki legitymację policyjną i pokazała ją sekretarce. Ta odczy-tała wszystko, poruszając bezgłośnie ustami, i oddała jej dokumenty. Kiwnęła na nią głową, by weszła do środka. Prowadziła ją przez długi, przeszło trzydziestometrowy, pomalowany na biało korytarz, w którym unosił się nieprzyjemny zapach chemii. Czula się jak w zakładzie psychiatrycznym. Po dro-dze minęła około sześciu gabinetów, gdzie ubrani w białe fartuchy mężczyźni przeprowadzali badania i analizowali próbki DNA tkanek, płynów, włosów, odcisków palców i wszystkiego, co było potrzebne, by udowodnić komuś winę lub go uniewinnić. Ku jej zdziwieniu, wszystkie gabinety były otwarte na oścież. Nie zabrakło również sekretariatu naczelnika i oczywiście pokoju sekretarki, ten jednak był z samego przodu przy drzwiach wejściowych.

– Marek, masz gościa – powiedziała sekretarka do mężczyzny w fartuchu. Ten odwrócił się do niej i popatrzył zza grubych okularów. – Jak skończycie, to wyjdź już sama – zwróciła się do Ireny.

– Okej, dzięki.

Kobieta zostawiła Irenę z technikiem i wróciła do swojego gabinetu. Posterunkowa weszła do środka. Rudy mężczyzna z wąsem pracował w skupieniu i traktował ją jak powietrze. Irena była zasko-

czona tym, co zobaczyła, pomieszczenie nie różniło się zbytnio od jej własnego gabinetu. Dostrzegła zwykle biurko i metalowe szafy, w których starannie ułożone były pisma z załącznikami, karty daktyloskopijne i akta ze śladami z miejsca zdarzenia do porównania. W kącie na drugim biurku, z dwoma lampkami dla lepszego oświetlenia, znajdował się mikroskop, urządzenia powiększające i odcięty fragment palca. Technik siedział na fotelu z kółkami i pochylał się nad leżącą przed nim częścią ciała.

– Przyszła pani podziwiać? – odezwał się rudy mężczyzna, odrywając się od pracy. Oprócz białego jak w sanepidzie fartucha i grubych okularów z lupką powiększającą miał jeszcze latarkę na czole. Trzymał w ręku jakieś dokumenty. – Jestem zajęty. I od razu uprzedzam: niczego pilnego oraz na wczoraj nie przyjmuję.

– Ja tylko na chwilę.

Starszy facet wyprostował się, odkładając okulary na biurko. Patrzył na nią, widząc, że nadal wlepia wzrok w odcięty palec.

– W ten sposób mamy spędzić tę chwilę? – zapytał. – Bo jeżeli tak, to poprosiłbym cię o wyjście. Nie wiem, dlaczego cię tu w ogóle wpuścili. – Wyjrzał niezadowolony za sekretarką.

– Podobno przyszły wyniki badań dotyczące sprawy zabójcy odcinającego ludziom uszy.

– Nie mogę ci udzielić żadnej informacji, chyba że masz zgodę przełożonego, to wtedy mogę ci przekazać jakieś szcztkowe dane. – Sięgnął po odłożone przed chwilą okulary. – Inaczej: przykro mi. – Założył je na nos i nachylił się nad palcem.

Gdy Irena wzięła wdech, by coś powiedzieć, zadzwoniła jej komórka. Wyciągnęła telefon i odebrała.

– Halo? Tak, jestem. Teraz? A nie możemy... Jasne. Tak, tak. Już idę. – Rozłączyła się i westchnęła, chowając telefon do kieszeni. – Czyli nie mam na co liczyć? – dopytała.

– Bez zgody przełożonego uprawniającej cię do wglądu w opinię, nie mogę ci jej dać ani udzielić żadnych informacji odnośnie do prowadzonych badań. – Facet zagryzł wargi, po czym oparł się w fotelu z kółkami i odjechał, patrząc na dokumenty w szafie. Odwrócił się do niej, jakby zdziwiony, że dalej tu stoi.

Zawiedziona posterunkowa wyszła z pomieszczenia. Skierowała się korytarzem ku wyjściu, gdzie czekała już na nią sekretarka.

– Dowiedziałaś się czegoś? – zapytała i zaczęła ją odprowadzać do drzwi.

– Nic. Nie mam zgody przełożonego, więc nic mi nie powie.

– Chodź. – Kobieta w czarnych łokach złapała ją za rękę i pociągnęła.

– Teraz nie mogę, mam pilne wezwanie do komendanta.

– Idź do niego. Załatw, co masz załatwić, i wróć. Ja pogadam z Markiem.

– Dziękuję.

Uśmiechnęły się do siebie, a następnie sekretarka wypuściła ją z budynku. Po kilku minutach Irena była już przed drzwiami do gabinetu komendanta. Pani Basia z sekretariatu widząc ją, wskazała jedynie palcem na drzwi.

– Lepiej idź od razu – burknęła.

– Coś się stało? – spytała zmartwiona posterunkowa.

– Po prostu idź.

Irena zapukała i weszła do środka. Komendant stał przy oknie oparty plecami o ścianę i popijając kawę, patrzył na ulicę. Jak zawsze w idealnie wyprasowanym mundurze i błyszczących, wypastowanych butach. Irena zamknęła za sobą drzwi i stanęła na baczność, ręce opuściła wzdłuż ciała, głowę z lekkim ukłonem pochyliła w przód.

– Panie komendancie, starsza posterunkowa Irena Adamczuk melduje się na wezwanie – zakomunikowała.

– Wiesz, od kogo otrzymałem właśnie telefon? Nie zgadniesz – parsknął i uniósł ramiona. – Zadzwoił do mnie komendant z komendy wojewódzkiej w Krakowie, pytając, jak idzie jego podopiecznemu, bo nie ma z nim żadnego kontaktu. Nie pojawił się w komendzie ani w domu, więc uznał, że musielismy dojechać do porozumienia i nadal pracuje przy śledztwie. Był niezmiernie zdziwiony, gdy dowiedział się prawdy. Dziwne, nie? Przecież odwoziłaś go na autobus.

– Nie wiem, czego pan ode mnie chce. Widziałam, jak wsiada do auto...

– Kurwa, Irena! – wrzasnął zdenerwowany i odwrócił się do niej przodem, patrząc jej głęboko w oczy. – Powiedz mi teraz, bo później, jak się okaże, że z nim działał, będę cię traktował gorzej niż jego. Czy na pewno zrobiłaś to, co powiedziałaś? Widziałas, jak wsiada do autobusu? Mów prawdę.

– Tak. Widziałam – odparła opanowanym tonem. Nabierała wprawy.

– I odjeżdża?

– I odjeżdża. Nie widziałam, jak wysiada w Krakowie, ale nie miałam polecenia, by jechać za nim. Później skierowano mnie prosto na miejsce zbrodni, gdzie zastrzelono mężczyznę na klatce schodowej.

Mierzył ją przez chwilę wzrokiem. Następnie zaczął kiwać potakująco głową, jakby sam siebie przekonywał.

– Wybacz – rozluźnił się. – Po prostu ten gość jest dla nas jak jakiś zły omen. Od jego pojawienia się wszystko nabrało takiego tempa, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Jeżeli go zobaczysz albo się do ciebie odezwie, choćbyś tylko widziała kogoś, kto ci go przypomina, od razu go tu przywieź. Będzie wyjaśniał, kim jest, na miejscu.

– Dlaczego miałby się ze mną kontaktować? Nie znam go.

– Nie wiem, co może mu przyjść do głowy.

– Dobrze. Tak zrobię.

– To wszystko. Musiałem to usłyszeć od ciebie osobiście. Wracaj do pracy.

Irena wyszła z gabinetu. Powróciła myślami do nocy sprzed czterech dni, kiedy komisarz Ptak u niej spał. Przypomniała sobie moment, gdy poszła do kuchni, by otworzyć drugie wino, a gdy się odwróciła, on stał tuż za nią z rękami za plecami. Twierdził, że przyszedł jej pomóc z butelką. Następną godziną upłynęła normalnie, pogadali, poszli spać, każde osobno. Nad ranem nie zjadł nawet śniadania, wyszedł i nie odzywał się od tamtego czasu.

Jednak ten moment w kuchni, gdy przez zmęczenie i alkohol szumiący jej w głowie niczego nie dostrzegła, dziwnie ją niepokoił. Teraz, gdy o tym myślała, wiedziała, że sytuacja nie była normalna. Co robił w kuchni, stojąc tuż za nią, jakby chciał ją zaatakować? Po co w ogóle za nią poszedł i co chował za plecami? Pamiętała, że znów był inny, jak wtedy przed strzelaniną, gdy wybuchnął ze złości. Jakby miała przed sobą mordercę, a nie pracownika komendy.

Nie miała teraz czasu, by się nad tym zastanawiać. Wróciła do laboratorium, gdzie czekała na nią sekretarka, która zaprowadziła ją prosto do eksperta Marka Barana. Ten stał już z wynikami sekcji zwłok oraz analizy. Posterunkowa od razu zaczęła je kartkować.

– Ale to są sekcje tych z jeziora – zauważyła.

– No tak.

– A ja przyszedłam po wyniki badań ofiary z odciętym uchem oraz tego pudełka, które przyszło do gazy.

– To też tam jest, tylko pod tymi z jeziora.

– Połączyli te sprawy!? – zdziwiła się.

– Nie. Po prostu tak przygotowałem dokumentację. Spokojnie.

Irena przejrzała wszystko, dogrzebując się do materiałów, których szukała, i zaczęła je dokładnie czytać. Sekcja zwłok i wyniki zebranego materiału z zabójstwa, które podburzyło całą komendę, nie przyniosły niczego satysfakcjonującego poza włosiem nienależącym do ofiary. Jednak DNA tego włosa

nie znalazło pokrycia w miejscowej bazie danych policji, czyli dalej byli w kropce. Zwłaszcza że nie było dowodu na to, że ten włos należał do zabójcy. Może to być włos należący do kogokolwiek, z kim ofiara widziała się tego samego dnia.

Otworzyła akta z wynikami analitycznymi dotyczącymi pudełka, które dotarło do redakcji lokalnej gazety.

– Żartujesz? – wtrąciła. – Nic? Ani odcisków palców, ani żadnego włosa? Tylko ucho, które należy do kogoś, kogo również nie mamy w bazie? Przecież to bez sensu.

– Spodziewałaś się czegoś innego? – zachnął się analityk. – Ten, kto to robi, musiałby być idiotą, żeby pakować przesyłkę gołymi rękami. Przecież to oczywiste. Wiedziałem to już, zanim zabrałem się za badanie.

– Ale udało się chociaż ustalić, skąd została nadana ta paczka?

– Tak, niedaleko Łącka.

– I co powiedzieli na poczcie? – Irena odłożyła papiery i skrzyżowała ręce, czekając na odpowiedź.

– Tego nie wiem. Jednak jeśli mam zgadywać, to nikt nie został tam posłany.

– Bo?

– Bo jest koniec roku, a komenda nie może przekroczyć pewnego budżetu, inaczej zostaną jej obcięte środki na przyszły rok. Z góry wiadomo, że babinka, która przyjmuje dziesiątki klientów dziennie, nie jest w stanie wszystkich zapamiętać. A facet mógł jedynie zostawić pudełko i wyjść. Dzisiaj wszyscy są w szalikach i w czapkach, i tym bardziej ktoś zakrywający twarz nie jest podejrzany. Strata czasu.

– To niech ktoś tam się czai przez kilka dni, szuka kogoś, kto przychodzi z podobnym pudełkiem. Skoro facet zabijał już piętnaście lat temu, to znaczy, że musi być grubo po czterdziestce. To już coś. Lepsze to niż siedzenie i czekanie, aż odetnie komuś kolejną część ciała, by ją do nas wysłać. I oni uznają to za stratę czasu? Co za bzdura!

– Udało mi się jedynie potwierdzić, że ucho jest świeże i zostało odcięte niedługo przed tym, jak paczka została wysłana – powiedział. – Nie możemy zatem wykluczyć, że ktoś jest właśnie przetrzymywany i torturowany, natomiast nie wiemy kto, bo nikt w ostatnim czasie nie zgłosił zaginięcia, jak zrobiłaby to każda normalna rodzina czy znajomi. Nie jest to na pewno nikt z tych znalezionych w Dunajcu, tamci leżeli w wodzie za długo.

– Ale skoro nikt nie zgłosił w tym czasie zaginięcia, to nasi uznali to za porachunki gangów.

– Tak więc teoria, że zabójca odcinający uszy jest tylko przykrywką dla braci Straszewskich, by zbić policję z tropu, ma się bardzo dobrze. Nikt nie wierzy w zabójcę. A jeżeli ten faktycznie istnieje i zostanie olany, tak jak teraz... Pozostało mi jedynie współczuć temu, który jest przez niego przetrzymywany. Bo nie dość, że zabójca się wkurwi, to jeszcze nikt jego ofiary nawet nie szuka. Ha! Powiniennem być śledczym. – Mężczyzna uniósł głowę dumny z siebie.

– Masz adres tej poczty? – zapytała posterunkowa. – Możesz mi go podać?

– Jasne. – Analityk zapisał adres na kartce i przekazał ją Irenie. – Proszę. Skoro tak ci zależy, to czemu nie zajmujesz się tą sprawą?

– Przydzielili mnie do grupy dochodzeniowo-śledczej pod butem podinspektora Zalewskiego, ale ta sprawa nie daje mi spokoju. Chyba przez to, jak wszyscy nonszalancko do niej podchodzą. Gość sobie łązi i morduje, a cała komenda macha na niego ręką. No nic, zobaczymy. Dzięki. – Irena poszła w kierunku drzwi. – A, i jeszcze jedno, mogę cię prosić, żeby to zostało między nami? Wolałabym, żeby nikt nie wiedział, że wzięłam ten adres.

– Nie ma sprawy. I tak tu nikt nie przychodzi.

– Dzięki.

Wieczorem, już po pracy, posterunkowa wchodziła po schodach klatki w swoim bloku w towarzystwie jedenastoletniego chłopca, niosącego w rękach sanki, które co chwilę uderzały drewnianymi pło-

zami o metalowe barierki wprawiając je w drgania. Maciek był synem sąsiadki z naprzeciwna jej mieszkania. Opowiadał właśnie, jaką nową górkę do zjazdu na sankach znaleźli z kumplami i jaką na końcu ma świetną skocznię. Gdy weszli na piętro, Irena zauważyła komisarza Ptaka opartego o ścianę. Czekał na nią, a ona czuła, jak serce delikatnie jej przyspieszyło.

– Pozdrów mamę – pożegnała chłopca.

– Jasne – odpowiedział Maciek i oparł sanki o ścianę, a z ciasnych szpar sypaną się uzbierany śnieg. Chłopiec zapukał do drzwi.

– W samą porę, masz jakieś wieści w naszej sprawie? – zaczął od razu Michał.

– Nie tutaj – odparła, kiwając głową na chłopca. – Zdejmę-czapkę z pomponem i zaczęła wyciągać kluźce z kieszeni kurtki. Komisarz złapał kontakt wzrokowy z chłopcem, czekającym, aż matka wpuści go do środka.

– Jest pan detektywem? – spytał Maciek spod swoich drzwi.

– Coś w tym rodzaju – wyjaśnił, rozpinając czarny płaszcz.

– Rozwiązuje pan zagadki?

Michał zrobił podkowę z ust i przytaknął, nie chciano mu się tłumaczyć.

– Super! To ja mam dla pana zagadkę.

– Dawaj. – Komisarz uniósł brwi, zaciekawiony.

– Co to jest? – zaczął chłopiec stając przodem do niego, jakby zaczynali pojedynek. – Gdy go trzy mamy i patrzymy na niego z góry, to jest długi. Może być miękki lub twardy.

Komisarz zmarszczył czoło, nie zrywając kontaktu wzrokowego z czekającym na odpowiedź podeksytowanym chłopcem, któremu wyszedł już na usta banan. Michał przełknął ślinę, po czym nabrał powietrza, by odpowiedzieć.

– Czy to...

– Makaron! – krzyknęła Irena, uprzedzając odpowiedź komisarza. – Makaron. Jezu. Wchodzi już. – Otworzyła drzwi zapraszająco, a Michał puścił chłopcu oczko, po czym z uśmiechem zniknął za drzwiami.

Maciek również wszedł do domu, chichocząc pod nosem.

– To nie była poprawna odpowiedź – skomentował, zdejmując szalik.

– Kurwa, to jest dziecko – odparła.

– Tylko mówię.

Wręczyła mu karteczkę, nie czekając na dalszy rozwój tego dialogu.

– Co to? – zapytał.

– Adres poczty, skąd zabójca wysłał paczkę. Na komendzie nikt z tym nic nie robi. Dalej uważają, że odcięte uszy to przykrywka gangu.

Michał nachylił się nad kawałkiem papieru, po czym rozszerzył oczy w zdziwieniu.

– O kurwa – skomentował.

– Co?

– To niedaleko sklepu, w którym można kupić taką fikę, jaką znalazłem pod lasem! – Spojrzał na posterunkową i oboje lekko się uśmiechnęli. – Wiemy, gdzie go szukać...

ROZDZIAŁ 10

Potwierdzona tożsamość

Za oknem wciąż wisiała mgła. Mimo iż było już jasno, w mieszkaniu wciąż panował półmrok, który niwelowało zapalone w kuchni światło. Irena włożyła ostatnie naczynie do zlewu i przecierała ścierką kubek po porannej herbacie. W pomieszczeniu wciąż unosił się zapach omletów, kiełbasy i fasolki przygotowanych przez komisarza Ptaka, który siedział teraz przy stole pod ścianą, dopijając prawie zimną już kawę. Patrzył spod byka na posterunkową, gotową już do wyjścia, która pachniała mocnymi perfumami. Jak dla niego zbyt słodkimi. W tle słychać było płynące z radia przyjemne dla ucha damskie i męskie głosy, prezenterzy witali właśnie słuchaczy. Było kilka minut przed siódmą rano.

Komisarz podrapał się po zarośniętej już brodzie, nie golił się od przyjazdu. Tej nocy spał w mieszkaniu posterunkowej pod pretekstem zawartego wieczorem kompromisu, który Irena zaproponowała, by powstrzymać go przed przeczesaniem Łącka o tak późnej porze. Obiecała, że pojedzie razem z nim, ale rano, gdyż miała już dość kilkudniowych maratonów bez snu. Gdy się obudziła, komisarz czekał już na nią w kuchni. Uszykował dla nich śniadanie, choć ona zjadła jedynie kanapki. Od chwili obudzenia, żadne z nich nie odezwało się do siebie nawet słowem. Byli jak tykające bomby, i nie było wiadomo, które z nich pierwsze włączy zapalnik.

Michał patrzył, jak Irena wyciera mokre naczynia w lśniącej już kuchni, te same, które przecierała minutę temu.

– Kurwa, wiedziałem! – Odsunął od siebie kubek i uderzył ręką o stół. Było jasne, że grała na czas. Podszedł do wyjścia i klęknął na jedno kolano, sznurując buty.

– Cała policja wie, że jesteś w Sączu! Komendant nakazał zatrzymać nawet podobnych do ciebie! Jak masz zamiar poruszać się po mieście? Musisz przesiedzieć w ukryciu przez kilka dni, aż sytuacja się ustabilizuje, tutaj jesteś bezpieczny. Nikt cię nie będzie u mnie szukał!

– Czulem, że grasz ze mną w swoje gierki. Zaufałem ci jak głupi. – Przeciągnął złowrogo słowa, a następnie zarzucił na siebie płaszcz i szalik, by wyjść. – Żegnaj.

Irena go wyprzedziła i stanęła przed nim, oddzielając mu drogę do drzwi.

– Nie zygaj! – krzyknęła.

Michał zatrzymał się na sekundę, wyraźnie zdziwiony, nim zapytał:

– Czego mam nie robić?

– Nie denerwuj mnie! – rzuciła, przekrzywiając głowę w bok. – To, co chcesz zrobić, jest nierozsądne. Zabójca, jeżeli tam dalej jest, nigdzie się nie wybiera. Nie ruszył dupy przez piętnaście lat, to nie zrobi tego i teraz. Tobie z kolei grozi odsiadka.

– Irena, odsuń się. – Nie miał zamiaru dyskutować. Chciał ją obejść, ale ona wygięła mu rękę i odepchnęła go. – Kurwa, ty na poważnie!?! – oburzył się, masując bark. – Nie chcę zrobić ci krzywdy. Wiem, po co tu przyjechałem i teraz, kiedy w końcu mamy coś konkretnego, chcesz, żebym tu siedział i czekał?

– Nie. Chcę, żebyś wrócił do Krakowa na jeden dzień. Możesz wziąć mojego malucha.

– I po co!? – pokręcił głową.

– Pokaż się na komendzie, przyjmij opierdół od komendanta z pokorą, a on przekaże informację mojemu o tym, że się stawiliś. W Sączu przestaniesz być poszukiwany. Wróć za dzień czy dwa i poszukamy zabójcy razem.

– Nigdzie nie jadę – odpowiedział, nie wahając się nawet sekundy. – Wychodzę za twoją zgodą albo bez niej. – W jego słowach czaiła się groźba. Zaciął pięść i zrobił krok, a posterunkowa wyciągnęła rękę.

– Poczekaj chociaż do wieczora. Pojadę z tobą, jak tylko skończę pracę – poprosiła. – Tylko o to cię pr...

Przewrócił oczami i pomasaował skronie, wyraźnie starając się nie wybuchnąć. Wyrównał oddech i wrócił do rozmowy ze spokojniejszym już tonem.

– Czy możemy tam jechać razem? – uprzedziła go.

– Tak. Tak jak ustaliliśmy wczoraj wieczorem, że zajmujemy się tym rano. Już jest rano. Więc zakładaj kurtkę – wskazał na drzwi – i zapraszam.

– Wieczorem.

– Nie wieczorem, przesun się! – Kopnął w deski boazerii, które pękły i wygięły się.

Posterunkowa, widząc to, uniosła rękę lekko przestraszona i zesłała mu z drogi. Michał zaczął ją omijać, ale oparła dłoń na jego piersi, zatrzymując go.

– Tylko obiecaj, że nie zrobisz niczego głupiego.

Przytaknął, patrząc jej w oczy, a ona wykorzystała moment jego nieuwagi. Usłyszał metaliczny dźwięk zębarki, Irena chwyciła jego lewą rękę, pociągając ją w dół, i przykuła go kajdankami do kaloryfera w przedpokoju. Ten szarpnął dwa razy i spojrzał na nią czerwonymi ze złości oczami.

– Ściągaj to! – krzyknął wściekły.

– Wrócę za osiem godzin, zostawię ci wodę i jedz...

– Irena! – Wyciągnął rękę w jej stronę, a kajdanki zadzwoniły i zatrzymały go. – To mnie nie zatrzyma!

– Czyli będziesz musiał dać sobie radę bez jedzenia i picia – skomentowała, widząc jego agresywne zachowanie. Ostrożnie zdjęła kurtkę z wieszaka, nie zbliżając się do przykutego komisarza.

– Tak nie można!

– A co? Zadzwońisz na policję?

Oparł się nogą o ścianę i zaczął się szarpać jak dziki zwierzę złapany na przynętę.

– Facet zabijał nie takich jak ty, w tym również pracowników policji. To nieracjonalne, by porywać się na niego bez wsparcia. Skończę służbę i wrócę po ciebie, wtedy pojedziemy go szukać razem. Zaufaj mi, mam przecucie, że w ten sposób ratuję ci życie.

– A co ci do mojego życia – skomentował. W jego oczach pojawił się paskudny błysk.

– Pracuję w policji po to, by ratować innym życie. Taka jest idea, zapomniałeś?

– Tylko początkujący może nadal tak myśleć. – Pokręcił głową z kwaśnym uśmiechem. Zsunął się po ścianie i usiadł na podłodze, z ręką zawieszoną nad głową. Zaakceptował swój los, oparł głowę o ścianę i nie mówił już nic więcej.

– Pójdźmy razem – dodała. – Jak wrócę. Dobra?

Nie odpowiedział.

– Michał?

Nadal nic.

Siedział już teraz z pustym spojrzeniem skierowanym na stary parkiet. Irena, widząc go takiego, czuła się źle, ale czuła podskórnie, że jeżeli pójdzie tam sam, to zginie. Albo zostanie zatrzymany i wtedy oboje wylądują za kratami. Zasunęła zamek kurtki i wyszła na klatkę schodową. Spojrzała na niego ostatni raz.

„To tylko dla jego dobra” – tłumaczyła sobie w myślach, patrząc na przykutego kajdankami do kaloryfera mężczyznę. Zamknęła drzwi.

Irena szła deptakiem ulicy Jagiellońskiej, która o tej porze roku prezentowała się wyjątkowo ładnie ze świątecznymi dekoracjami. Łód na chodnikach powoli odpuszczał pod warstwą wysypanej soli i piasku. Na środku deptaku zauważyła bałwana, który zamiast rąk z gałęzi miał dwie białe butelki po piwie. Przy ulicy mieściło się kilka miejscowych imprezowni i pubów, w jej opinii zatem dwie butelki zamiast rąk były najmniejszym wymiarem kary dla małego, białego ludka. Irena zapisywała coś w notesie, choć zmarznięte i czerwone od zimna palce zeszywniały pod wpływem niskiej temperatury. Rękawiczki zostawiła w pokoju, do którego drogę tarasował jej przykuty komisarz. Schowała notes i spojrzała na zegarek, dochodziła godzina trzynasta. Chuchnęła w dłonie, które zapiekły rozgrzane ciepłym powietrzem, po czym włożyła je do kieszeni kurtki.

Jagiellońska pomimo zimnej pogody tętniła dzisiaj życiem przez przedświąteczną gorączkę zakupów. Od ścian kamienic odbijały się odgłosy rozmów, szurania butów i pęknięcia zamarzniętych kałuż rozdeptywanych przez skaczące na nie dzieci. Jakieś dziecko krzyknęło w uliczkę obok, obrywając śnieżką, a druga dziewczynka zawtórowała piskliwym altem, przyjmując białą kulkę na plecy i zasłaniając się matką, dźwigającą siatki z zakupami, jak tarczą. Posterunkowa dotarła do skrzyżowania ulicy Kościuszki z deptakiem, gdzie stał czarny zegar przypominający słup sygnalizacji świetlnej. Odwróciła się do swojego partnera z patrolu, którego przydzielił jej podinspektor Zalewski. Nie wiedziała, dlaczego jednak nie pracowała z Przemkiem. Jednak posterunkowego starszym stopniem już przy niej nie było.

Mężczyzna miał dwadzieścia dziewięć lat. Jego lewy łuk brwiowy znaczyła wyraźna blizna, przyciągając wzrok do głęboko osadzonych, brązowych oczu. Irena pracowała w policji dopiero kilka miesięcy i nie kojarzyła zbyt wielu osób. Tak jak Zbyszka Piotrowskiego, z którym przyszło jej dzisiaj patrolować.

Posterunkowy Piotrowski szedł w stronę komendy, od której dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów.

– A ty dokąd? – spytała, dobiegając do niego.

– Przed biurko, a gdzie – odparł starszy posterunkowy, chowając twarz w szalik i czapkę.

– Został nam jeszcze jeden sklep. – Wskazała palcem w wybranym kierunku. – To niedaleko.

– Nie idę, zimno mi. – Machnęła ręką i obszedł ją, ponieważ stanęła przed nim, blokując mu przejście.

– I tak się chuja dowiemy. Pięć sklepów i nic, tu nie będzie różnicy. Szkoda czasu.

– Stop. – Kolejny raz zaszła mu drogę. – Odwracaj się i idziemy.

– Po co? Nikt z nami nie chce rozmawiać. I nie ma im się co dziwić, jeżeli podinspektor Zalewski uważa, że to jest dobry moment, żeby naciskać, to niech sam chodzi i odmraża sobie dupę. Ja uważam, że to strata mojego czasu i więcej go zmarnować dzisiaj nie zamierzam. Mam świadków do przesłuchania i tonę notatek służbowych do nadrobienia. Kiedy dużo się dzieje, ci, co się boją, boją się jeszcze bardziej. Nie odwrotnie. Gdyby było spokojnie, a ci ze sklepów non stop by płacili i to byłoby ich jedyny zmartwienie, ktoś mógłby stracić cierpliwość. Ale teraz, kiedy dni liczymy od trupa do trupa, to wybacz, ale to bez sensu. – Chciał ją minąć, ale zatrzymała go ręką.

– W dupę sobie wsadź swoje przemyślenia, otrzymaliśmy polecenie służbowe, mieliśmy przejść wszystkie sklepy, które wiemy, że placą haracze, więc przejdziemy wszystkie sklepy, które zostały nam przydzielone. Komentarze możesz sobie zachować do swoich notatek.

– To idź sama. – Szarpnął ramieniem, by zrzucić z siebie jej rękę. – Możesz na mnie strzelić, jak chcesz, jakby ci było mało lizania dupy przełożonym.

– Że co!? – oburzyła się, unosząc głos.

– No co? Co zrobisz? Doniesiesz na mnie? – Podszedł do niej zdenerwowany. – Myślisz, że to mądre? Potrzebujesz wrogów jeszcze na komendzie? Wracam do pracy, a ty rób, co chcesz.

– Myślę, że skoro przyjąłeś robotę w policji, to ją teraz wykonuj. Czego marudzisz? Nie wiedziałeś, na co się piszesz? Nie wiedziałeś, że takie zadania będziesz otrzymywał? Dostaliśmy wytyczne i wiemy, co mamy robić, więc to zrobimy, do końca. To takie trudne?

– Donieś na mnie, a kurwa pożałujesz. – Pchnął ją lekko i wskazał na nią palcem, grożąc, po czym ruszył w stronę komendy.

– Wal się – rzuciła pod nosem i odwróciła się na pięcie, zauważając niewielkie płatki śniegu w powietrzu. Spojrzała na szare niebo, zaczęła prószyć. Poszła w kierunku ostatniego na liście sklepu z odzieżą używaną, znajdującego się w bocznej uliczce od Jagiellońskiej. Przebijając się przez tłum pieszych, myślała o tym, co powiedział starszy posterunkowy. O jakim lizaniu dupy on mówił? Czy naprawdę takie zdanie mieli o niej inni pracownicy komendy? Parę minut później dotarła do bocznej uliczki. Dostrzegła szyld z napisem: „Tania odzież”. Na witrynie sklepowej ubrania wywieszane były na wieszakach w trzech kondygnacjach, a każde miało przymocowaną karteczkę z informującą o procencie przeceny. Weszła do środka. Dzwonek wiszący nad drzwiami zadzwieczał, informując właścicieli o przyjsciu potencjalnego klienta. Posterunkowa nie rozglądała się, nie przeglądała ciuchów zawieszonych gęsto na stojakach tworzących trzy alejki.

Na blatach szafek stały tułowie manekinów – bez rąk, nóg czy choćby głowy – prezentując swetry i bluzy, a obok nich leżały torby i plecaki. W sklepie panował półmrok, poza ostrym, zimowym blaskiem słońca w środku nie paliła się nawet jedna lampa. Irena czuła charakterystyczny w takich sklepach zapach czyszczonych chemicznie starych ubrań i plastiku. W środku nie było nikogo poza nią. „Dobrze” – pomyślała. „Zadam tylko kilka pytań i mogę wracać na komendę”. Skierowała się prosto do kasy. Kiedy skracala dystans, widziała, jak oczy starszej pani stojącej za ladą rozszerzały się ze strachu.

Kobieta miała na sobie zielono-beżowy sweter i chustkę owiniętą wokół szyi. Nawet w sklepie było dziś zimno. Starsza kobieta, której życie rysowało się na twarzy zmarszczkami, miała włosy koloru piasku, z wyraźnymi ciemnymi odrostami przy głowie.

– Dzień dobry – zaczęła Irena. – Posterunkowa...

– Proszę się rozejrzeć, mamy świetne promocje na swetry i czapki z najnowszych kolekcji. Wszystkie przecenione o trzydzieści procent – uprzedziła ją, zanim funkcjonariuszka zdążyła wyciągnąć legitymację policyjną.

– Ja do pani. Posterunkowa Irena Adamczuk.

Kobieta zbladła i rozejrzała się po sklepie, upewniając się, że są same.

– Proszę stąd wyjść – powiedziała drżącym głosem, który deformował jej słowa. – Jeżeli pani nie kupuje, to proszę wyjść. Ja nic nie wiem.

– Czemu pani mówi, że pani nic nie wie? Jeszcze nie zadałam pani pytania.

– Jestem o coś podejrzana? Chcesz mnie zamknąć? To zamykaj. Ale ja nic nie powiem. Bo nie wiem.

– Ależ skąd. Nie chcę pani zamy...

– To bardzo proszę – wskazała ręką na drzwi – iść stąd – iść stąd i dać mi w spokoju pracować. Klientów mam, muszą obsłużyć, inne rozmiary podać, a co pani myśli.

Posterunkowa rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Ale tu nie ma nikogo poza nami. – Irena zirytowała się zachowaniem ekspedientki i wyciągnęła swoją wizytówkę. Położyła ją na blacie pod szybą, zza której prześwitywały portmonetki i paski do spodni. – Jak będzie pani miała dość bycia okradaną i znajdzie pani jaja, żeby się postawić, to pani do mnie zadzwoni. Ja ich dorwę nawet bez pani pomocy. Zresztą trzech już mamy i sypią, żeby tylko nie dostać dożywocia. Szukamy świadków, którzy potwierdzą ich zeznania. Dzięki temu pozamykamy ich wszystkich i nikt nie będzie już pani przesładował.

– To ja nie chcę. – Poruszyła się wyraźnie starsza kobieta, a na jej twarzy widać było smutek. – Nic nie mówię, niech siedzą całe życie skurwysyny. Diabły. – Pokiwała głową. – I proszę im nie mówić, że tak ich nazwałam.

Posterunkowa odwróciła się i ruszyła do wyjścia, dzwonek nad jej głową pobrzękiwał, uderzony drzwiami. Stała przed sklepem i znów spojrzała na szare niebo syjące leniwie małymi płatkami śniegu. Westchnęła, zawiedziona. Posłali grupie przestępczej wieści przez wyznaczone im sklepy, ale gdzieś wewnątrz odnosiła wrażenie, że to nie zadziała. Choć nie umiała uargumentować dlaczego.

Usłyszała zatrzymujący się z szumem opon samochód na jednokierunkowej ulicy po prawej. Zauważyła czarne audi z przyciemnianymi szybami, z którego nawet tutaj słyszała stłumione basy głośno puszczanej muzyki. Tylne drzwi się otworzyły i zastygły tak na moment, hiphopowa piosenka grała teraz głośniej. Irena patrzyła na pojazd, nie widząc ani kierowcy, ani tych, którzy siedzieli z tyłu. Zaczęła iść w jego kierunku, wtedy jednak drzwi się zamknęły, a samochód ruszył, piszcząc głośno ślizgającymi się kołami i wyjąc silnikiem. Wybiegła na ulicę, ale auto już skręciło w Lwowską i pojechało w dół na most. Nie zdążyła zapisać rejestracji. Wtedy poczuła piekące uczucie zimna wokół kostki i zauważyła, że wdepnęła butem w brązową chlapę, jaka zebrała się we wgłębieniu asfaltu po stopniałym, brudnym śniegu.

– Kurwa, nooooo... – sapnęła pod nosem. Nadjeżdżało kolejne auto, więc wróciła na chodnik. Zdenierwowana, machała nogą w powietrzu, by pozbyć się wypełniającej but wody. Nie miała wątpliwości, że to byli ludzie braci Straszewskich, którzy przyjechali po pieniądze do sklepu, z którego wyszła. Dlatego właścicielka ją przeganiała. Posterunkowa odwróciła się, widząc, jak starsza kobieta spogląda zza witryny sklepowej w jej stronę, by za chwilę zniknąć za wiszącymi ubraniami.

Dzwonek zakolysał się dźwięcznie, poruszony drzwiami, gdy wściekła Irena wchodziła do sklepu z tanią odzieżą. Przemoczona nogawka młaskała głośno z każdym krokiem.

– Tak chcesz żyć!? – Zazgrzytała ze złością zębami. – Od przyjazdu do przyjazdu typów spod ciemnej gwiazdy, okradających cię z pieniędzy?! Jak długo zamierzasz się na to godzić!?

– Proszę przestać, pani nie wie, co pani zrobiła – odparła starsza kobieta, której pomarszczone dłonie całe się trzęsły.

– Przegoniłam ich. Nie musi pani dziękować – odpowiedziała dumnie posterunkowa.

– Nie. Oni wrócą, źli na mnie. – Oczy starszej kobiety napłynęły łzami ze strachu. – Na mnie, za to, że z panią rozmawiam. Pani nie wie, jacy oni są, gdy są źli. Proszę już stąd iść. Niech pani tu więcej nie przychodzi, jeżeli chce pani pomóc.

– I będzie się pani na to godzić? – burknęła z wyrzutem posterunkowa.

– Będę. Dopóki dzięki temu moje wnuki są bezpieczne, to będę. Nawet gdybym nie miała przez to na utrzymanie. W życiu pieniądze nie są najważniejsze.

Irena rozszerzyła oczy, niemal czując jej ból. Trafiło ją. Westchnęła głośno, ale nie powiedziała nic więcej. Położyła raz jeszcze swoją wizytówkę na blacie.

– Jeżeli masz wnuki – dosunęła ją do przerażonej kobiety – to je chroń.

Posterunkowa wyszła ze sklepu, zostawiając po sobie mokre placki na podłodze.

Wróciła na komendę, zamykając za sobą z hukiem ciężkie drewniane drzwi. Stojąc w przejściu, tułała nogą, żeby pozbyć się nadmiaru wody z przemoczonego buta. Ludzie czekający w kolejce do okienka uciszyli się od razu, nie wiedząc, jak się zachować. Patrzyli na nią w zdziwieniu. Wyprostowała się w końcu, spoglądając na nich wyzywająco, i weszła do środka przez bramkę w kratkach, uwolnioną teraz od blokującego ją magnesu. Poszła prosto do starszego posterunkowego Zbyszka Piotrowskiego, który zostawił ją samą na patrolu, i weszła do jego gabinetu. Zauważyła, że miał gości na czynnościach.

– Wyjdź! – rozkazała, mając gdzieś, czy był to świadek na przesłuchaniu, czy funkcjonariusz w cywilu.

Piotrowski przewrócił oczami i unióśł brwi, ukazując bliźnię na łuku brwiowym. Mężczyzna z brzuchem rozciągniętym kremowy sweter z wydzierganymi biegnącymi jeleniami na wysokości jego klatki piersiowej – wstał. Zebrał się zaskakująco szybko jak na swoją tuszę. Mijając posterunkową, obszedł ją, bo tkwiła na środku jak kamienny posąg, nie mając zamiaru cofnąć nawet ręki. Mężczyzna wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Byłaś już na mnie donieść? – zapytał Zbyszek i strzelił długopisem, chowając obsadkę.

– Nie donoszę na swoich. Ale wydymaj mnie jeszcze raz, to ci przypierdole – zagroziła i zaczęła wchodzić.

– Ciekawy dobór słów, ale podziękuję, nie jesteś aż tak ładna. – Znów strzelił długopisem. – Co ci się stało w nogę?

– Ty mi się stałeś – zawarczała, odwracając się. – Byłam w ostatnim sklepie i zgadnij, kto się zjawił. Goście na posyłki od Straszewskich podjechali samochodem i chcieli wysiadać, ale gdy mnie zobaczyli, to uciekli. Nie zdążyłam spisać rejestracji. Gdybyś tam był, teraz mielibyśmy te numery.

– Następnym razem biegnij szybciej. – Nachylił się, a na jego usta wypełził paskudny grymas. – Nie jesteś moim przełożonym, żeby wydawać mi rozkazy. Ale kto wie, może jak zdecydujesz się raz jeszcze na to, co przyniosło ci awans do grupy dochodzeniowej, to wskoczysz wyżej? – Jego słowa przesiąknięte były zawiścią i zazdrością.

Irena kopnęła mokrym butem w fotel, trafiając między nogi starszego posterunkowego. Piotrowski spał się, kiedy but wylądował raptem kilka milimetrów od miejsca, którego trafienie bolałoby go najbardziej. Posterunkowa, nie zabierając stopy sprzed jego krocza, nachyliła się i mierząc go wściekłym spojrzaniem, zapytała przez zaciśnięte zęby:

– O co ci, człowieku, chodzi!?

– O co mi chodzi? O to, że człowiek zapierdala całe życie, ryzykując swoje zdrowie, poświęcając swoje małżeństwo, aż żona go w końcu zostawia, bo tak oddaje się pracy w policji, i dopiero po dziewięciu latach łaskawie dostaje wyróżnienie, by pomóc w czynnościach grupie dochodzeniowo-śledczej, gdzie jedynce, czego od niego chcą, to by laził po sklepach jak frajer. Po czym zjawia się małolata, która zrobiła gangsterowi loda dla informacji, i nagle staje się główną dowodzącą najważniejszej sprawy w ostatnim dziesięcioleciu. Bo daruj mi bajki o tym, jak to tak twarżo grałaś, że przycisnęłaś typa, który wrzucił zwłoki do jeziora, i pewnie sam tych ludzi tam wcześniej zabijał, żeby wyjawiał ci, gdzie dokładnie są wyrzucane. Bo gdyby tak było, byłabyś teraz kolejnym workiem. – Pokręcił głową i zaśmiał się szyderczo. – Ale może nie powinienem tak mówić, bo jeszcze kilka razy zedrzesz kolana i będę ci mówił pani komendant. Chociaż wtedy to już bym sam zrezygnował.

Irena czuła, jak wali jej serce. Miała ochotę się wyrzucić na niego i rozplakać jednocześnie. Czuła, jak te słowa uderzały w samo centrum jej ambicji i w jej ego. Jednak nie dała mu tej satysfakcji, i zachowała kamienną twarz, stojąc wyprostowana z zaciśniętymi pięściami.

– Zostaw mnie na patrolu jeszcze raz, a stracisz nie tylko żonę. I wmawiaj sobie dalej, że to praca stoi za tym, że cię zostawiła. – Po jego minie widziała, że trafiła w czuły punkt. Odwróciła głowę i zabrała nogę z fotela.

Wyszła prosto na oczekującego przed drzwiami otyłego mężczyznę i minęła go z taką miną, że ten od razu zszedł jej z drogi. Była wkurzona. Jak on śmiał obwiniać ją za to, że nie zbudował sobie kariery w policji? Co ona miała z tym wspólnego? Pytania wypełniały jej myśli, karmiąc jej wściekłość. Wróciła przed swoje biurko, ale za chwilę wyciągnęła farelkę elektryczną, którą trzymali schowaną w jednej z szaf. Ustawiła ją tuż obok własnego biurka i podpięła do gniazdzka. Czerwona lampka się zaświeciła, a ciepłe powietrze dmuchnęło przyjemnie na jej nogi. Zdjęła buta i oparła go wnętrzem w stronę farelki, a skarpetkę położyła na grzejniku. Usiadła i dopiero teraz dostrzegła, że miała na biurku raport z zeznań zatrzymanego gangstera, o który poprosiła dziś rano. Otwierając akta, wybaluszyła oczy w zdziwieniu, czując, jak rosnące ciśnienie dudni jej w skroniach. Zwolniono go z aresztu. „Tak szybko!?” – pomyślała.

Rzuciła akta na biurko i opadła na fotel. Przetarła zimnymi dłońmi twarz i wróciła myślami do komisarza Ptaka. Oczami wyobraźni widziała, jak zdenerwowany siedzi na podłodze z ręką przykutą nad głową. Źle się z tym czuła. Wiedziała, że nie jest taką osobą. Tak samo jak nie jest osobą, która donosi na kolegów z pracy. To co między nimi woli załatwiać między nimi. Podinspektor nie musi wiedzieć o jej zgrzytce ze starszym posterunkowym.

Wtedy usłyszała poruszenie na korytarzu. Wstała i klapnęła bosą stopą o podłogę, wsunęła na nią nadal mokrą skarpetkę, mając wrażenie, że nigdy nie czuła niczego bardziej nieprzyjemnego. Założyła

but, który mlasnął nieprzyjemną wilgocią, gdy docisnęła go swoim ciężarem. Wyszła, by dowiedzieć się, co się dzieje na zewnątrz.

– Co jest? – spytała przypadkowego funkcjonariusza przechodzącego obok jej pokoju.

– Pamiętasz tego lajkonika, który przyjechał nam pomagać w sprawie? Tego, co zabił Bartoszewskiego?

– Nie mamy dowodów na to, że to był on. Ale tak, co z nim?

– Ktoś go zabił – powiedział. – Ciało znaleziono około dziewiątej, może dziesiątej rano.

– Co!? Skąd wiesz!?

– Ciało jest już w drodze do prosektorium.

– Skąd pewność, że to on?

– Miał dowód osobisty w kieszeni. To on. Jeszcze dzisiaj będą go wydawać Zakładowi Medycyny Sądowej na Grzegórzeckiej w Krakowie. Na razie nie wyznaczyli nikogo, kto będzie jechał w asyście, dlatego idę za biurko. Nie mam zamiaru pilnować chuja, który zabił naszego. Postawiłbym piwo temu, kto go odpalil – podsumował mundurowy i zaczął odchodzić.

– Czekaj – zawołała za nim posterunkowa. – Komisarz Michał Ptak z Wojewódzkiej Komendy Policji w Krakowie. O nim mówimy? Jego ktoś znalazł martwego?

– No tak. Potwierdzona informacja.

Posterunkowa poczuła, jak ogarniają ją mdłości, a nogi stają się jak z waty. Odruchowo poprawiła czerwone okulary na upstrzonym kilkoma piegami nosie.

– Można tam jechać i go zobaczyć? – spytała.

– A po co?

– Dla pewności, widziałam go jako ostatnia.

– Tak po prostu to chyba nie. Ale stary Józek w prosektorium jest napity od rana i jak mu kupisz wódkę, to cię pewnie wpuści. Tylko nie mów nikomu, że ci powiedziałem.

Irena porwała kurtkę i wybiegła z komendy.

Wsiadła do przemarzniętego radiowozu i dłonią przeskrobała szybę, by widzieć drogę. Odpaliła samochód, a wycieraczki zrzuciły z przedniej szyby warstwę śniegu, lecz spora część nadal na niej została. Posterunkowa ruszyła spod komendy w pośpiechu, żyłując silnik. Dojechała pod swój blok, stając na zakazie. Dwie minuty później była już na klatce schodowej przed swoimi drzwiami, trzymając pęk kluczy, które brzęczały w drżącej ze stresu dłoni. Wzięła dwa głębokie wdechy i przekręciła klucz w zamku swojego mieszkania. Weszła do środka, a mroźne, ostre powietrze uderzyło w nią poruszone przeciągiem. Komisarza Ptaka nie było, a na kołyszających się w delikatnym podmuchu kajdankach dostrzegła krew.

Uciekl.

Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku, po czym schowała pęk do kieszeni kurtki. Wolnym krokiem weszła do przedpokoju i zaglądała do każdego zakamarka w mieszkaniu, sprawdzając wszystkie miejsca, w których komisarz mógłby się skryć. Na koniec skierowała się do otwartego na oścież balkonu, przy którym firanka tańczyła w podmuchach zimnego wiatru razem z usypaną na dywanie kupką białego puchu.

Wyrzała przez okno balkonowe ogrodzone kratą.

Zauważyła czerwone ślady krwi na barierce, które zdążyły już zamarznąć, i wychyliła się, by spojrzeć w dół. Komisarz Ptak zszedł po barierkach umocowanych przed drzwiami balkonowymi każdego z mieszkań. Piętro po piętrze. Śnieg pod blokiem był rozkopany i nadal widoczne były ślady po jego krokach, prowadzące w stronę ulicy Lwowskiej. Reszta białego placu pomiędzy blokami, z kilkoma łysymi drzewami i pojedynczymi fragmentami żywopłotu, otaczała sterczący samotnie trzepak.

Uciekl. Nie było co do tego wątpliwości, ale krew? Musiał uszkodzić sobie dłoń, wybijając kciuk ze stawu, by wysunąć ją z kajdanek. Nie spodziewała się po nim takiej desperacji, i nawet jak na tak duży

przerost ambicji, samookaleczenie wydawało się przesadą. Co gorsza, skoro zwiął, biorąc pod uwagę ilość nasypanego w mieszkaniu śniegu, musiał to zrobić zaraz po tym, jak zostawiła go tutaj samego. Zaczynało do niej docierać, że osobą leżącą teraz w prosektorium rzeczywiście mógł być Michał Ptak. Tylko kto go zabił? Zabójca odcinający uszy? Czy może dorwali go ludzie od braci Straszewskich w ramach zemsty? Jeżeli tak, to ona była następną w kolejce do odstrzelenia.

Oparła ręce o lodowatą barierkę i luźno pochyliła głowę. „Dość domysłów! Muszę zacząć działać” – upomniała się w myślach i zamknęła drzwi balkonowe. Wyczyściła kajdanki z krwi, przebrała się w suche spodnie i buty, zabrała rękawiczki i wyszła z mieszkania.

Pojechała prosto do szpitala, mijając stadion Klubu Sportowego Sandecja. Po drodze zatrzymała się na stacji benzynowej, gdzie kupiła pół litra czystej wódki. Wjechała na teren szpitala, znajdującego się obok lotniska dla helikopterów. Czuliła podbicia i nierówności starych betonowych płyt oraz ich sporadyczny brak, przez który miała wrażenie, że odpadnie jej zawieszenie.

Zaparkowała pod drzewem, gdzie było mniej śniegu. To będzie jej pierwsza wizyta w prosektorium poza tymi na szkoleniu, gdzie kursanci brali udział w sekcji zwłok. Musiała wejść głównym wejściem od ulicy Młyńskiej. Dotarła pod ciężkie aluminiowe drzwi z dużą szybą, przed którymi na specjalnym zadaszonym podjeździe zaparkowany był karawan do przewozu zwłok. Weszła do środka. Wewnątrz przywitało ją zimne i sterylne pomieszczenie wyłożone płytkami. Do ścian przytwierdzone były krzeselka, na których siedzieli pacjenci oczekujący na przyjęcie. Przy rejestracji stał bezdomny w asyście dwóch pielęgniarek, miał zalaną krwią głowę, a jego długie włosy kleiły się do prawego policzka. Zapewne to jego właśnie przywieźli. W poczekalni siedziała grupa ludzi w przeróżnym wieku i o różnych dolegliwościach: złamane nosy, rozcięte dłonie, bóle żołądka czy osłabienia. „Typowi pacjenci SOR-u” – pomyślała. „Ludzie, którzy potrzebują natychmiastowej pomocy, a i tak spędzą tu kilka godzin, siedząc na plastikowym krzeselku i czekając, aż któryś z lekarzy wyciągnie najkrótszą słomkę i łaskawie do nich zejdzie”. Szpital nie miał najlepszej reputacji wśród mieszkańców. Cieszyła się, że nigdy nie była zmuszona sprawdzić na własnej skórze, czy plotki na jego temat są faktem.

Przyjrzała się znakom informacyjnym i znalazła tablicę wiszącą na ścianie z napisem „Prosektorium” z narysowaną strzałką w dół. Miała nadzieję, że skryta pod kurtką flaszka nie była zbyt widoczna. Zeszła schodami na wskazany poziom i dotarła do ciężkich drzwi. Nacisnęła przycisk dzwonka i czekała. Serce waliło jej jak młotem. Uczucie, jakby piłka tenisowa utknęła jej w gardle, przeszkadzało w przełykaniu śliny. Nie wiedziała nawet, po co tu przyszła. Co jej to da? Chciała zobaczyć jego zwłoki, musiała być pewna, że on nie żyje. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło, że zupełnie obcy jej facet, który wymusił na niej łamanie prawa zagrażające całej jej karierze i opinii o samej sobie, spowodował, że teraz trzęsie się na myśl, że mógł umrzeć.

Drzwi otworzyły się z głośnym dźwiękiem uderzenia dłonią o kłamkę i stanął w nich starszy mężczyzna w wieku jej ojca, kierownik prosektorium i patomorfolog. Miał lekką nadwagę, podwójny podbródek, suchą, pomarszczoną skórę, podkrążone oczy i dużą dolną wargę, która przyciągała wzrok. Ubrany był w białe fartuch, a dłonie zabezpieczył lateksowymi rękawiczkami.

– Dzień dobry. – Irena wyciągnęła legitymację policyjną. – Przyszedłem potwierdzić tożsamość zmarłego komisarza Michała Ptaka.

– Zmarłego czy zabitego? – zapytał przepitym głosem. Twarz miał czerwoną od popękanych krwinek i nadmiaru alkoholu w swoim życiu.

Posterunkowa nie odpowiedziała, poczuła się zaskoczona tym pytaniem.

– Nie spodziewałem się nikogo z komendy. Będę musiał zadzwonić do...

Wysunęła flaszkę spod kurtki na tyle, by mógł ją zobaczyć. Ten na nią spojrział, po czym zabrał butelkę i zszedł jej z drogi, uśmiechając się do siebie.

– Czym chata bogata – powiedział.

Irena nie mogła uwierzyć, że było to takie proste. Słyszała, że patomorfolog był wybitnie utalentowany w swoim fachu i umiał znaleźć przyczynę zgonu nawet wtedy, gdy nikomu innemu się to nie

udało. Był szybki i konkretny. Jeżeli pojawiała się trudna sprawa, każdy w komendzie prosił, by sekcję przeprowadzał właśnie on. Niestety do flaszki również miał talent. Weszła do środka i poczuła, jak uderzył w nią ziąb wychłodzonego, wyłożonego płytkami pomieszczenia o wymiarach siedem na siedem, gdzie pod jedną ze ścian stały cztery wózki na kółkach. Na dwóch z nich leżały zwłoki. Obłoczek pary wydobywały się z jej ust. Były jeszcze dwa dodatkowe pomieszczenia, do których prowadziły zamknięte drzwi. Domyślała się, że tam pewnie lodówki pracowały mocniej, bo pomimo chłodu wcale tak zimno tutaj nie było. W tamtych pomieszczeniach dokonywało się sekcji zwłok, a miejsce, w którym się właśnie znajdowali, służyło do przyjmowania bądź wydawania ciał. Patomorfolog włączył białe światło, które zatrzeszczało przed odpaleniem podłużnych żarówek na suficie. Przynal stojak z lampą punktową. Posterunkowa przyłożyła dłoń do ust, gdy zauważyła pierwsze zwłoki. Leżały skurczone, czarne jak węgiel i śmierdziały spalenizną.

– O Jezu. – Odwróciła wzrok, po czym spojrzała ponownie. Poczuła, że nadmierne produkowany przez ślinianki płyn wypełnia jej usta. Przelknęła ślinę.

– Mały, co nie? – rzucił doktor, który stał już przy stoliku i zaczął otwierać wódkę. Nalał ją sobie do plastikowego kubka. – Przywieźli go dzisiaj w nocy, przed Krakusem. Znałem go. Dlatego teraz piję. – Spotkali się wzrokiem i żadne z nich nie uwierzyło w te słowa. – Chłop miał dwa metry, a teraz zobacz go. Dłonie i stopy spaliły się i odpadły, leżą pewnie gdzieś pod zwęglonym domem. Żeby powiedzieć, czy to mężczyzna czy kobieta, trzeba będzie patrzeć głęboko między nogi, bo tak nic nie poznasz. Węgiel, nie człowiek. Nawet nie chcę myśleć, co czuł. Aaaaaa, kurwa... – Uniósł kubek, przepijając do trupa i dając znać, że pije jego zdrowie. Trzymając wódkę w ustach, przelknął ją powoli, jakby ją smakował. Machnął kubkiem trzymany w ręce i wytrzeźwał z niego ostatnie krople.

– Czy to komisarz Ptak? – Wskazała na drugie zwłoki zakryte materiałem.

– Ta – odparł Józek. Nalał następnego, ale zostawił kubek na stoliku i podszedł do wózka. Złapał za materiał i odsunął bez ostrzeżenia. Irena odwróciła głowę na ułamek sekundy, po czym spojrzała na sine, blade ciało nagiego mężczyzny. Zmarszczyła czoło i nie zabierając dłoni z ust, nachyliła się nad ciałem, czując ulgę. Mężczyzna, na którego patrzyła, nie był komisarzem Michałem Ptakiem.

– To nie ten – oceniła.

– Ten – odpowiedział patomorfolog, patrząc jeszcze raz w dokumentację.

– Odwiozłam go na przystanek. Wiem, jak wygląda.

– Nie wiem, kogo odwiozłaś na przystanek, ale ten tutaj to pracownik komendy wojewódzkiej z Krakowa, który został wysłany w ramach wsparcia. Potwierdzono już jego tożsamość, widzisz? – Odwrócił jego głowę, pokazując bliznę na szyi. – Wiek, odciski palców, znaki szczególne również się zgadzają. To on. Nigdy nie dojechał na komendę, znaleźli go tuż przed Sączem na wałach Dunajca. Facet, który wydaje karty wędkarskie, zauważył ślady opon przed swoją chatką, ale nie poszedł tam od razu. Nurtoowało go to jednak dość mocno, więc się w końcu zebrał i poszedł sprawdzić. Znalazł tam tego tutaj rozebranego do połowy. Miał już odmarzniete dłonie i stopy, twarz była zdeformowana, a ciało było pocięte od ostrych gałęzi i krzaków, w jakie wpadł, jak widzisz. Dopiero jak odmarznie, to jakoś będzie siebie przypominał. Ale to jest komisarz Michał Ptak z Krakowa. Więc nie wiem, kogo odwiozłaś, ale to na pewno nie był ten gość.

– Ale to niemożliwe... Znamy przybliżony czas zgonu?

– Kilka dni, może tydzień. Ciało jest zamrożone i dopiero puszcza, bez badań laboratoryjnych ciężko określić, ale gęstość, kolor, spoistość skóry sugerują, tak jak wspominałem wcześniej, kilka dni. Jak mam zgadywać – zakrył go materiałem i wrócił do stolika, przy którym strzelił sobie łyk wódki – gość, który pojawił się na komendzie, jest tym, który tnie te uszy. Inaczej po co by to robił? Tuszuje własną sprawę i pozbywa się dowodów, które go pogrążą? Tylko skąd wiedział, że ten gość tu jedzie i kiedy jedzie? Cholera go wie. – Zaczął znów nalewać do kubka. – Za to raźnął go solidnie, roztrzaskana potylicą była uderzona tępym narzędziem, dostał więcej niż raz. Tyle mogę powiedzieć na szybko, nie ja będąc robił sekcję. Coś jeszcze chcesz? Bo muszę go przygotować, zaraz mają przyjechać z Zakładu Me-

dycyny Sądowej w Krakowie, ponad godzinę temu dzwonili, że wyjechali, więc za drugie tyle się tu zjawia. I lepiej, żeby cię tu nie zastali, zwłaszcza skoro widziałaś tamtego jako ostatnia.

– Dzięki. – Posterunkowa poszła do wyjścia, ale zatrzymała się jeszcze w drzwiach. – Nie pij więcej, żeby nie pomyśleli, że coś jest nie tak. I na przyszłość nie wpuszczaj tu ludzi za flaszkę, nie chcę być niemila, ale...

– Udzieliłem ci informacji dlatego, że cię znam. Ty jesteś tą posterunkową, co przeżyła zasadzkę czterech gangsterów od Straszewskich. Zrobiłaś się popularna, a okulary w czerwonej oprawce na nosie z kilkoma piegami sprawiają, że nie sposób cię pomylić. Bez butelki też bym cię wpuścił. – Uśmiechnęli się do siebie. – A poza tym, gdyby mnie spotkali trzeźwego, to wtedy by podejrzewali, że coś jest nie tak. – Machnął ręką, wyganiając ją.

Irena wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Wsiadła do radiowozu i wykrzyczała z siebie wszystkie przepełniające ją emocje. Ciężko oddychając, oparła głowę na kierownicy poloneza. Co to znaczy? Kim jest Michał Ptak, którego zna? Cieszyła się, że nie zginął, ale jakie to ma teraz znaczenie? Skoro podszywa się za policjanta, to już za to groziło mu do pięciu lat odsiadki. Czy to znaczy, że kobieta z domu w Łososinie Dolnej mówiła prawdę? Mężczyzna podszywający się pod Michała Ptaka zabił Czesława Bartoszewskiego i jej męża? Aspirant zorientował się, kim jest i dlatego go zabił? Jeżeli tak, to znaczyło, że wpadła w bagno po same uszy i nie będzie z tej sytuacji dobrego wyjścia. Nie dla niej, nie za to, co zrobiła. Musi go odnaleźć, zanim zrobi to policja.

Odpaliła samochód i odjechała spod szpitala, kierując się do komendy. Wchodząc do swojego pokoju, poczuła zaduch i gorąc, jaki tam panował. Wszystko przez niewyłączoną farelkę elektryczną, którą od razu odpięła od prądu. Zanim pojedzie go szukać, musi odzyskać broń. Nie może skonfrontować się z Michałem, o ile tak miał na imię, nieuzbrojona. Wychodząc z gabinetu, wpadła na Rafała, posterunkowego z pociągłą twarzą, który na nią czekał przed drzwiami.

– O, jesteś – powiedział, nie kryjąc zadowolenia.

– Wychodzę. – Minęła go.

– Dobrze, ale nie planuj niczego dzisiaj późnym wieczorem.

– Co? Czemu? – Zatrzymała się, marszcząc czoło.

– Pojedziesz ze mną przewieźć księdza z Bazyliki Świętej Małgorzaty do Przydonicy w Gródku nad Dunajcem. Będzie miał przy sobie dużo gotówki, którą ma przeznaczyć na remont dachu kościoła. Poprosił o eskortę, bo boi się, że ktoś go napadnie, dlatego zabieram cię ze sobą.

– Żartujesz? Nie ma mowy, niech ktoś inny się tym zajmie. Mi nie wolno pracować w terenie.

– Otrzymałem informację od twojego przełożonego, że zostałaś przywrócona do pełnej służby. Kadra jest mała, dlatego podinspektor zgodził się na twój udział.

– Zalewski ci tak powiedział?

– Tak. Będę po ciebie o osiemnastej. – Funkcjonariusz odwrócił się i odszedł długim, wysokim korytarzem. Irena miała ochotę coś rozwalić. Czuliła się sfrustrowana i przygnieciona całą tą sytuacją, jakby wszystko zaczęło jej się teraz walić na głowę, a ona nie mogła nic z tym zrobić. Do tego jej szef każe jej eskortować księdza. „Co to, kurwa, ma być?” – zastanawiała się, wściekła. Wzięła głęboki wdech, a po nim kilka kolejnych. Serce zwolniło, a myśli przestały przelatywać przez jej głowę jak szarańcza. Ruszyła wprost do pokoju podinspektora i weszła do środka bez pukania, zastając tam starszego posterunkowego Piotrowskiego z patrolu, z którym się pokłóciła.

– Zapomniałaś zapukać? – spytał Zalewski z typową dla niego miną znudzonego człowieka.

– Ma pan sekunde? – zaczęła.

– Nawet dwie, zostaw nas – rzucił do Piotrowskiego, który wychodząc, spojrział na nią z zawziętością i cwaniackim uśmiechem. Zamknął za sobą drzwi. – Słucham, posterunkowa. – Podinspektor sięgnął po yerbę stojącą na biurku i przekrzywił głowę na lewy bok, czekając cierpliwie.

– Tydzień temu przypisujecie mnie do grupy dochodzeniowo-śledczej, która ma zajmować się jedynie sprawą braci Straszewskich, a teraz mam eskortować księży? Myślałam, że mam się oszczędzać po ostatniej akcji.

– Z tym że od tamtego czasu zajmujesz się wszystkim, tylko nie tym, czym powinnaś. I wychodzi na to, że uprzedzasz sam gang. Mówiłem ci, żebyś uważała z tym informatorem.

– O czym pan podinspektor mówi?

– Starszy posterunkowy Piotrowski opowiadał mi, jak chciałas skończyć obchód szybciej, a gdy jednak poszłście do ostatniego sklepu, pojawiła się ekipa po haracz. Obserwowali was i jak tylko wymieniliście się spojrzeniami, to odjechali. Skąd wiedzieli, że tam będziecie, posterunkowa? Bo dla mnie wyglądało na to, że przyjechali potwierdzić wiarygodność informacji, którą był nasz obchód po sklepach. A nikt poza tobą nie ma bezpośredniego kontaktu z tą grupą przestępczą.

– Że co!?! – krzyknęła – Przecież to on... – Uspokoiała się od razu, żeby nie pogarszać sytuacji. – Wierzy mu pan?

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę i wtedy podinspektor upił z kubka łyk herbaty, i odstawił go na biurko z hukiem.

– Piotrowski, wejź! – zawołał tego, który ją sprzedał, a on z satysfakcjonującym uśmiechem wszedł do środka. Zatrzymał się dumnie wyprostowany obok czerwonej ze złości posterunkowej. – Zostanie przeciwko tobie wszczęte postępowanie dyscyplinarne, zdej legitymację i broń służbową. Idź do domu, będziemy cię informowali o dalszych losach twojej sprawy.

– Proszę?! – Wybałuszył oczy w zdziwieniu, zająkał się dwukrotnie, nim udało mu się powiedzieć: – Bo ona tak powiedziała!? To są jakieś jaja, spodziewaj się skargi! – Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Irena patrzyła jeszcze bardziej zdziwiona, choć wewnętrznie poczuła się lepiej.

– Nie chciałam tego – skomentowała, przerywając niezręczną ciszę.

– Mam to w dupie. – Sięgnął po maszynkę do robienia papierosów. – Nie chcę mieć w zespole typa, który donosi na kolegów ze służby dla swoich prywatnych korzyści czy karmienia swojej niechęci do kogoś. Nie jesteśmy w przedszkolu, a jego osobiste wycieczki z nawiązaniem do jego rozwodu mnie ani nikogo tutaj nie dotyczą. Jeżeli miał dowody na to, że współpracujesz z drugą stroną, powinien je przedstawić, a nie insynuować teorie, bazując na jego osobistej niechęci do ciebie. Nie będę tolerował takiego zachowania.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. To nie znaczy, że ci wierzę i że on nie ma racji. – Na jego obojętnym dotychczas obliczu po raz pierwszy zauważyła powagę. – Jeżeli dowiem się, że cokolwiek im powiedziałaś, znajdziesz się w o wiele trudniejszej sytuacji niż on. Chcę, żeby to było jasne.

Przytaknęła.

– Księżda będziesz eskortować, bo dostaliśmy taką prośbę od komendanta. Mam przydzielić jedną osobę, brakuje nam kadry. Jesteś w zespole najmłodsza, więc padło na ciebie. To jedyny powód. Nie doszukuj się niczego więcej. Teraz idź, już wystarczająco mi dzisiaj podnieśliście ciśnienie.

– Mam jeszcze jedną prośbę – powiedziała szybko.

Podinspektor westchnął i uniósł wzrok.

– Chcę odzyskać broń – rzekła. – Dużo się dzieje i czuję, że nadchodzi coś dużego. Chcę być gotowa na wszystko. Komisarz Michał Ptak został odnaleziony martwy, a to znaczy, że nie pozwolili mu opuścić miasta, a ja chodzę z kajdankami. Zwłaszcza jeżeli tamci postanowią dokończyć to, co im się ostatnio ze mną nie udało, chcę mieć choć szansę do obrony.

– Rozmawiałem z twoją psycholog policyjną, zostałaś przywrócona do pełnej służby po mojej prośbie. Co znaczy, że możesz odebrać broń z depozytu u naczelnika wydziału, jednak nadal masz pojawiać się na sesjach.

Gdy wyszła z jego gabinetu, na korytarzu czekał na nią starszy posterunkowy Piotrowski. Minęła go jak powietrze.

– Zadowolona jesteś z siebie? Czujesz się teraz lepiej, że dobry policjant stracił robotę!? Jaką suką trzeba być, żeby... – Położył dłoń na jej ramieniu, by ją zatrzymać, i wbił palec aż do bólu. Posterunkowa złapała go za dłoń i wykręciła ją, łamiąc mu palec wskazujący. Starszy posterunkowy krzyknął krótko, po czym Irena docisnęła go do ściany, przykładając łokieć do jego krtani. Każdy, kto był teraz na korytarzu, zatrzymał się i obserwował w zdziwieniu całą sytuację.

– Ty nie jesteś dobrym policjantem. Jesteś jebanym leniem i to cud, że udało ci się tak długo wytrzymać. Ale twój fart się właśnie skończył.

– Ej, co tu się dzieje!?! – Wtrącił inny funkcjonariusz z korytarza.

– A ode mnie się odpiardol – dodała na koniec, puściła go i odeszła.

– Wszystkich możesz oszukiwać, ale ja wiem, że pracujesz dla tamtych... – chrząknął na koniec, nie robiąc sobie nic z jej komentarza.

Posterunkowa poszła odzyskać pistolet i stamtąd miała zamiar ruszyć śladem podszywającego się pod komisarza Ptaka mężczyzny.

* * *

Wieczorem, tego samego dnia

Powiał wiatr, świszcząc pomiędzy łysymi koronami drzew porastającymi gęsto las. Szarpane konary plakały odpadającymi płatami śniegu, który lądował ciężko na ziemi. Było ciemno, choć widoczność poprawiał leżący grubo, jasny śnieg. Mijane krzaki trzeszczały od mrozu. W tle słyszał kroki zwierzęcia, choć po dźwiękach nie mógł ocenić jakiego. Podający się za komisarza Ptaka mężczyzna przedzierał się teraz przez las z czarną torbą przewieszoną przez ramię. Zawsze bał się wilków. Oglądał się co chwilę za siebie, upewniając się, że żaden z nich go właśnie nie osacza. Wiedział, że wataha poluje zbiorowo, a część osobników ma za zadanie przegonić zwierzynę, będącą ofiarą, na inne wilki ukryte w zasadzce za wzniesieniem albo przyczajone w kępie niskich drzew. Świadomość bycia rozszarpanyym przez stado wygłodniałych wilków była dla niego przerażającą wizją. Tym razem jednak sam siebie uważał za łowcę polującego na ofiarę. Podążał właśnie za odbitymi na śniegu odciskami butów. Szedł tak już od dobrych dwudziestu minut, zbaczając z ubitej drogi, którą leśnicy zazwyczaj przemierzali samochodem.

Poprawił ciężką torbę, czując ból wybitego ze stawu kciuka, i ruszył, przebijając się przez las i śnieg. Mróz wydawał się bardziej upierdliwy niż normalnie, przedostawał się przez wszystkie warstwy ubrania i wcierał się w każdą tkankę jego ciała. Przed nim pojawiło się powalone drzewo, obok którego rósł wysoki, łysy krzak. W oddali zauważył starą chatkę ze spiczastym dachem. Przywarł do jednego z drzew z otulonym drobinkami lodu pniem. W środku domku świeciła się lampka, ktoś tam był. Odłożył ostrożnie torbę i sprawdził, czy w magazynku są naboje. Przetestował możliwości ruchowe w rękawiczonej bandażem pod rękawiczką dłoni, ale stwierdził, że nie będzie w stanie z niej korzystać. Ruszył w prawo, chowając się za drzewami i krzakami, które wykorzystywał jako kamuflaż. Zaszedł chatkę od boku, ze strony, gdzie nie było okien. Las jakby nagle zamilkł. Był zimny i cichy, jakby wstrzymał w napięciu oddech.

Michał zbliżył się bezdźwięcznie, ostrożnie wbijając nogi w grubą warstwę śniegu. Widział udeptaną ścieżkę łączącą chatkę z powalonym drzewem. Wszedł na drewniany podest, który zaskrzypiał pod jego ciężarem. Oparł się plecami o ścianę domu i zerknął przez okno z bezpiecznego kąta, niestety niczego z tego miejsca nie mógł zobaczyć. Zanurkował pod parapetem i podkrał się dalej. Serce pompowo krew szybkocej, rozgrzewając ciało, które ze stresu i tak nie odczuwało już chłodu.

Zatrzymał się przy drzwiach. Zauważył, że stalowe kółko z miejscem na kłódkę było puste. Drzwi były otwarte. Wziął wdech i przelknął ślinę. Pociągnął delikatnie za klamkę, trzymając pistolet gotowy

do wystrzału. Drzwi, ku jego zdziwieniu, nie zaskrzypiały, jedynie przeciąg zagwizdał i zawył cicho, a Michał zaczął wolno wchodzić do środka. Pachniało wilgocią i mokrym drzewem. Rozglądał się na boki, by mieć pewność, że nikt go nie zaatakuje zza pleców. Stara chatka, sprawiająca wrażenie, jakby miała się zaraz rozsypać, oświetlona była żarzącym się lekko drewnem w kominku. Usłyszał stęknienie i stukanie o sosnową podłogę. Całą swoją uwagę skupił na czarnym punkcie we wnętrzu chatki, schowanym za materiałem kotary, zza której dochodził dźwięk. Coś zamigotało w ciemności. Położył palec na spuście, by przygotować broń do wystrzału, i ujrzał zgaszoną lampkę na stoliku pełnym starych narzędzi stojącym przy oknie. Mógłby przysiąc, że była zapalona, gdy przypatrywał się domkowi zza powalonego drzewa.

Podszedł do niej i pociągnął za sznureczek ranną dłonią, która zaboląła pod wpływem tego ruchu. Światło lampki rozjaśniło izbę. Wtedy zobaczył, że do krzesła przywiązany był mężczyzna, cały we krwi, ze zwisającą z wycieńczenia głową. Usłyszał trzask i poczuł szarpnięcie. Palące ciepło rozlało się po tyle jego głowy, a świat przykryła czarna kurtyna. Zanotował jeszcze, że mięknie mu ciało i że traci równowagę, ale upadku już nie odczuł.

Starzec stojący za nim z kijem w ręce sięgnął wolną dłonią do tyłu i pociągnął za swój cienki kucyk w dwóch kierunkach, poprawiając gumkę zbierającą jego rzadkie włosy. Klęknął przed powalonym mężczyzną. Zdjął mu czapkę i zaczął odchyłać głowę na boki, przyglądając się uważnie jego uszom. Przetrzymany, zalany krwią mężczyzna zastękał, widząc kolejną ofiarę, i pokręcił głową, dając do zrozumienia, że ma już dość.

– Masz kolegę – wychrypiął porywacz i podniósł się. Następnie zamknął drzwi od chatki i wrócił ciężkim krokiem do lampki.

Pociągnął za sznurek, gasząc ją.

ROZDZIAŁ 11

Mały świadek koronny

– Kurwa! – zakląła Irena i zrzuciła książki z meblościanki, które rozsypały się po całym salonie.

Była wściekła. Michał mógł współpracować z braćmi Straszewskimi i trzymać policję z dala od spraw gangu. Mógł nawet być samym zabójcą, który odcina swoim ofiarom uszy. W jej oczach był teraz podejrzany o tak wiele, a ona gościła go w swoim domu jak starego kumpla ze szkoły. Wszystkie jej ostatnie zasługi dla komendy pochodziły ze współpracy właśnie z nim. A teraz, gdy go zabrakło, czuła się bezsilna. Miała wewnętrzne poczucie, że była od niego zależna i nienawidziła tego przekonania. To właśnie od niego starała się uwolnić przez całe życie. Walczyła o to, by być panią swojego losu. Niestety, gdy miała Michała przy sobie i korzystała z jego podpowiedzi, czuła się pewnie niezależnie od tego, co mogłoby ją spotkać. A gdy została sama, zaczęła wątpić w to, czy w ogóle zasługuje na bycie w grupie dochodzeniowo-śledczej, do której ją powołano. Dzięki niemu, a nie jej umiejętnościom.

Wzięła kota na ręce. Ulżyło jej, że nie uciekł, mimo że przez cały ten czas drzwi balkonowe były otwarte. Weszła z nim do kuchni, postawiła na podłodze obok miski i oparła się łokciami o blat, zakrywając twarz. Nalała sobie szklankę wody, a jemu uzupełniła miskę z jedzeniem. Gdy sięgnęła po szklankę, zauważyła kartkę leżącą przy owocach. Wzięła ją i otworzyła. Wypadła z niej lufka zawinięta w folię, a na kartce widniał napis: „Użyj tego, jeżeli nie wrócę do rana”. To była ta sama fifka, którą Michał pokazywał jej pierwszej nocy, kiedy u niej spał. Mogła doprowadzić ich do zabójcy. Oraz zawierać jego DNA. Spojrzała na kajdanki, krew wydawała się już zaschnięta. Jeżeli miała wyciągnąć jakąś lekcję z pracy z fałszywym komisarzem, to tę, że wszystko, co się dzieje dookoła nas, zależy od nas i jeżeli chcemy coś zmienić, powinniśmy zacząć od siebie. A ona miała zamiar skończyć z czekaniem, aż wszystko pojawi się samo.

Wiedziała, że było jedno miejsce, w którym mogła go odnaleźć. Wzięła kurtkę, kluczyki do samochodu i wyszła z mieszkania. Pół godziny później wchodziła po schodach ciemnej klatki schodowej na osiedlu Pekin obok dworca PKP. Było pusto i cicho, inaczej niż ostatnim razem, gdy tu była. Ludzie w tej części miasta nie bali się policji, wręcz przeciwnie, często robili funkcjonariuszom na przekór, byleby się odgryźć. Ale strzelanina i cztery martwe osoby to inny kaliber. Nikt nie chciał być powiązany z czymś takim, nie obawiano się jednak zatargu ze służbami prawa, a zgrzytu z tymi, którzy strzelali. Posterunkowa minęła niewystarczająco dobrze umyte ślady krwi na schodach. Zapach dymu i prochu po wystrzałach z pistoletów wciąż unosił się w powietrzu, mimo iż wiedziała, że to tylko jej wyobrażenia.

Drzwi do mieszkania, w którym doszło do strzelaniny, były uchylone, a wejście zaklejone żółtą taśmą policyjną. Nikt nie miał tam wstępu. Irena przeszła pod taśmami w nadziei, że właśnie tam odnajdzie Michała. Że może się ukrywa, może jest ranny, może zostawił dla niej kolejną wiadomość. Zerknęła przez dziury od kul w drzwiach, które chyba tylko cudem jeszcze się nie rozleciały. Weszła do środka, przyzwyczajając wzrok do panującej tam ciemności. Nie włączyła latarki. Nie chciała, by z zewnątrz było widać, że ktoś jest w mieszkaniu. Rozglądała się po pomieszczeniach, a sam pobyt w tym miejscu przywołał stres i powodował gęsią skórę. Jej oddech stał się szybki i płytki, nie chciała tu być. Salon pokonywała bokiem, starając się nie stawać w miejscach, gdzie wcześniej leżały trupy.

– To byłoby takie łatwe.

Usłyszała niski, męski głos i odwróciła się przestraszona. Widziała, że ktoś celował do niej z pistoletu, chowając się w czerni panującej w łazience. Role się odwróciły. Tym razem to ona stała na środku

pokoju. Była łatwym celem do odstrzelenia, a napastnik miał przewagę, schowany za ścianą sąsiedniego pomieszczenia.

– Twoi kumple mówili tak samo. – Irena wyciągnęła pistolet i wycelowała w niego, poznając, że głos nie należał do Michała. – Odlóż broń, bo do nich dołączysz.

Jednak pistolet napastnika się nie obniżył, a ona zbierała w sobie siły, by stawić mu czoła. Tym razem nie będzie nikogo, kto by ją obronił. Była zdana na siebie.

– Najpierw musiałabyś mnie zabić, a oboje wiemy, że to się nie wydarzy – rzucił z brudną barwą w głosie. – Nie masz do tego jaj.

Irena stała w bezruchu, skupiona, kontrolując oddech. Miała go na muszce, lecz w myślach ogarniała ją skrajne przerażenie i czuła, jak krew zastyga w jej żyłach. Nie miała zamiaru dać po sobie tego poznać, pomimo wlepionego w nią paskudnego spojrzenia bydlaka, który czaił się na nią w ciemności jak dziki zwierz, czekający na idealny moment do ataku. Facet parsknął cynicznie i opuścił rękę, a pistolet wsunął sobie za pasek z tyłu spodni. Ruszył w jej stronę po potłuczonych kafelkach, które odpadły od ścian podczas strzelaniny. Wszedł do salonu, a liche światło docierające tutaj z ulicznych latarni pozwoliło Irenie mu się przyjrzeć.

Posterunkowa poznała, że mężczyzna był informatorem, którego schwytał Michał. Miał na sobie tę samą czarną, puchową kurtkę, spod której wystawał szary kaptur naciągnięty na czarną czapkę. Facet był wielki jak szafa, zajmował całą przestrzeń w otwartych drzwiach, a i tak musiał lekko pochylić głowę. Mimo panującej ciemności widziała jego przesunięty w wyniku uderzenia nos i siniaki pod podbitymi nadal oczami. Aż trudno było jej uwierzyć, że to Michał tak go urządził. Szeroka szczeka wydawała się teraz jeszcze masywniejsza pod gęstym zarostem. Patrzył na nią wrednie. Widząc, że posterunkowa nadal w niego celuje, kiwnął jedynie do niej głową, a ona spoczęła. Mężczyzna wskazał palcem w kierunku drzwi.

– Cwaniaczek jest za drzwiami? – spytał niskim, basowym głosem.

– Nie ma go tu – odpowiedziała, ale nie odłożyła broni do kabury, co nie uszło uwadze mężczyzny. – Co ty tu robisz? Masz nowe informacje?

– Gdzie on jest? – dopytał, wychylając się przez okno.

– Nie tu.

– Przyszłaś sama? – zdziwił się i skupił całą uwagę na niej. – Nie boisz się?

– Nie – odparła twardo. Widziała, że był zaskoczony taką odpowiedzią.

– Zabiliście czterech doświadczonych ludzi. Wyszkolonych. Zabijali wcześniej.

– Przyszedłeś po historyjki? Czego tu szukasz? – zmieniła temat, nie pozwalając mu dokończyć. – Jeżeli masz coś do przekazania, to mów.

– Szukam was. Rzecz jasna. Ale nie będę rozmawiał z tobą, zadzwoni po tego drugiego. Mam propozycję.

– Będziesz rozmawiał ze mną albo z nikim.

Przeszył ją spojrzeniem i pokręcił głową. Posterunkowa stała i ruszała palcami na pistolecie, odklejąc je od rączki, dawała im wyschnąć od potu. Zaczął do niej podchodzić.

– Wyludzenia i pobicia były spoko. Na początku to była adrenalina, coś, czego nie robi się każdego dnia, łatwa kasa. Ludzie się ciebie boją. W takich chwilach wiem, jak to jest być bogiem. Bo widzisz, jeżeli jesteś w stanie doprowadzić drugą osobę do stanu, kiedy naprawdę się ciebie boi, będzie gotowa przyjąć od ciebie każdy scenariusz bez piśnięcia, byle nie bolało. Potem pobicia, wywóz do lasu, zastraszanie, grubsza robota, ale dalej zabawa. Gdy zaczęły się zabójstwa, szybko przestało być śmiesznie. Kilka lat za tamte akcje, a dożywocie za morderstwo to nie to samo. – Zobaczył, że Irena położyła palec na spuście, więc się zatrzymał. – Będę twoim świadkiem koronnym. Pomogę posadzić braci Straszewskich i doprowadzić was do dowodów, które ich pogrążą, ale w zamian chcę być uniewinniony ze wszystkiego, czego się dopuściłem. Moje nazwisko, zdjęcie, odcisk palca, wszystko ma być poza proto-

kołem. Mam być czysty jak łaźnia. I nie chcę być oficjalnie podany w aktach sprawy, nie z imienia i nazwiska.

– Poza protokołem to możesz mnie w dupę pocałować. Albo masz coś konkretnego, albo możesz wracać do braci, którzy i tak cię zaraz zajebią, bo głupi nie są. Zorientują się, kto doprowadził nas do ciał w jeziorze, a możliwe, że już wiedzą i dlatego tu jesteś. – Była pewna, że przesadziła.

– Nie będę kapusiem – warknął, patrząc jej prosto w oczy.

– To właśnie proponujesz. – Nie odwróciła wzroku.

– Ratuje swoją dupę, nic więcej. – Pociągnął nosem.

– Twoje informacje będą kluczowe, ale muszą być konkretne. Z datami, nazwiskami, żadnych: „tak sądzię”, „wydaje mi się”, „tak pamiętam”. Musisz mieć coś więcej niż to, co już do tej pory nam dałeś.

– To było mało? – parsknęła.

– Niewystarczająco, by oczyścić się ze wszystkich zarzutów.

– A czy to jest legalne? – uśmiechnął się szyderczo. – Przetrzymania i znęcanie się nad kimś dla informacji jest przestępstwem, którego ty i twój kumpel się dopuściliście. Może o tym też warto wspomnieć?

– To idź z tym na policję. Na pewno masz sporo świadków, którzy to potwierdzą. – Pokręciła głową i podeszła do okna, by wyrzucić na zewnątrz. – W zamian za twoje zeznania na pewno zostaniesz potraktowany ulgowo, jednak na ten moment nie mogę zagwarantować niczego.

– Nie, kurwa, żadne ulgowo. – Teraz on pokręcił głową i zaczął chodzić po mieszkaniu. – Mam być uniewinniony ze wszystkich przestępstw, które popełniłem. To jest mój warunek. Nowy, świeży start. Inaczej gówno powiem.

Irena oparła się pośladkami o parapet i skrzyżowała ręce na piersiach. Czekwała, zastanawiała się.

– Porozmawiam z prokuratorem, zobaczymy, co da się zrobić. Ale musisz przemyśleć kwestię, czy kilka lat w zamian za dożywocie ci odpowiada, bo pewnie taki będzie wyrok, biorąc pod uwagę twoją pomoc.

– To ja to pierdolę.

– Zobaczymy, czy będziesz to pierdolił za rok, jak do końca swoich dni będziesz żałować więzienne żarcie. A dupę to zobaczysz, ale swojego kumpla z celi. Wtedy sobie przypomnisz naszą rozmowę i będziesz żałował, że grałeś takiego twardziela. – Posterunkowa wyprostowała się i skierowała w stronę wyjścia.

– Nie zapominaj, kurwa, z kim rozmawiasz. – Wyciągnął pistolet zza spodni. – Masz pewność, że cię teraz nie zajebią i nie spierdolę za granicę?

– Śmiało, kolejny genialny pomysł. Dorzuc sobie do wszystkiego, co na ciebie znajdują, zabójstwo policjanta po to, żeby cię Interpol tu ściągnął. Wtedy nie tylko u swoich za donosy będziesz miał ciężko, ale nawet u klawiszy będziesz mieć przejebane. Nie mam czasu cię pocieszać i gadać o teorii, nie mam zamiaru ci tu recytować kodeksu karnego. Jesteś gotowy zeznawać czy nie?

– Daj mi warunki, jakie chce, to tak, inaczej jesteście sami.

Irena uniosła ramiona i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się jednak i spojrzała na łazienkę, po czym weszła do środka i rozejrzała się dokładnie, świecąc latarką. Upewniła się, że olbrzym nie trzyma tu zamkniętego Michała i teraz udaje głupka. Wyciągnęła z kieszeni kartkę i długopis, zapisała swój numer telefonu i wręczyła ją mężczyźnie.

– Masz. Jeżeli zmienisz zdanie, to do mnie zadzwoń.

Wziął ją od niej, a Irena ponownie skierowała się do wyjścia.

– Na co mi to? Chcę rozmawiać z tym gościem, który mnie tu przyprowadził. Widzę, że z nim więcej załatwię.

– Jest zajęty pilnowaniem księdza, który ma przewieźć dużą kwotę, jaką kościół otrzymał na remont dachu. Przez was nawet księża boją się chodzić w pojedynkę po zmroku. Do tego czasu rozmawiasz ze

mną.

– Widzę, że wcale się tak dużo nie różnimy. Też jesteście chłopcami na posylki – zaśmiał się.

– My działamy, by ludziom żyło się lepiej, żeby byli bezpieczni na własnym podwórku. Wy robicie tylko to, co służy interesom twojego szefa.

– Tak sobie wmawiasz? Nigdy nie zastanawiałaś się, co służy twojemu szefowi?

Rzuciła mu pytające spojrzenie, po czym wyszła ostrożnie pod taśmami. Z każdym pokonanym piętrem zerkala do góry, sprawdzając, czy za nią nie idzie. Trzymała się blisko ścian, tak by nie mógł jej zastrzelić z góry. Trauma ostatnich wydarzeń szarpała jej nerwami. Sama obecność w tym miejscu rozstrajała jej nerwy, a w myślach modliła się, by nie była to kolejna zasadzka. Wyszła na zewnątrz. Uderzenie chłodu tym razem było dla niej ulgą. Spotkanie z człowiekiem, który nasłał na nią zabójców, sprawiło, że miała wrażenie, iż ze stresu się roztopi. Wróciła do radiowozu, z którego korzystała już jak ze swojego prywatnego auta. Zaparkowała go pomiędzy wyglądającymi jak bałwany autami. Odpaliła silnik. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do swojego przełożonego, podinspektora Zalewskiego.

Wrzuciła bieg i ruszyła.

– Zalewski, słucham? – Usłyszała głos podinspektora.

– Dzwonię z nowiną.

– Tak? – odparł znudzonym tonem, jakby już nic nigdy nie miało go zaskoczyć.

– Spotkałam się z informatorem. Chce zeznawać jako świadek koronny przeciwko braciom Straszewskim, ale tylko wtedy, kiedy zagwarantujemy mu zwolnienie ze wszystkich zbrodni, których się dopuścił.

– Mówiłaś mu, że to niemożliwe? – odparł pewnie i słychać było, że coś przelknął. – Ochrona świadków koronnych obowiązuje tylko te osoby, które nie biorą udziału w przestępstwach. Z tego, czego się domyślamy, to facet zabił co najmniej kilkoro ludzi. Można śmiało zakładać, że wszyscy ci z jeziora to jego ofiary. Więc zostaje nam opcja małego świadka koronnego, ale tylko jeżeli przyzna się do swoich przestępstw i jego zeznania oraz dostarczone dowody będą kluczowe. To, że mi powie, że bracia zabili kogoś i nie poprze tego dowodami, to nic mi nie daje. Muszą być odciski palców, włos, cokolwiek, co potwierdzi stan faktyczny. I wtedy to sąd będzie decydował o tym, czy jego zeznania rzeczywiście były na tyle pomocne, by zastosować wobec niego ulgę.

– Tak mu przekazałam.

– Zdenerwował się?

– Bardzo się oburzył, ale chce konkretnej informacji, co możemy mu zaoferować. Wtedy to przemysł. Chce też odpowiedzi bardzo szybko – zatrzymała się na czerwonym świetle, dojeżdżając do zderzaka nowiutkiego audi jednego z miejscowych przedsiębiorców.

– Porozmawiam z komendantem, zobaczymy, co on na to powie. Jeżeli na to pójdzie, dopiero wtedy napiszę pismo do sądu i się dowiemy, co możemy mu zaoferować. Przy jego działaniach to będzie najniższy wymiar kary, czyli jakieś kilkanaście lat. Później dobre sprawowanie, zasypywanie sądu pismami o tym, jak to się przyczynił do zamknięcia grupy przestępczej, po dziesięciu może wyjdzie. Tylko tego już mu lepiej nie mów. Przynajmniej nie od razu, bo go spłoszysz. Kiedy się z nim znowu widzisz?

– Być może szybciej, niż nam się zdaje – powiedziała, nie do końca przekonana.

– Co to znaczy?

– Musimy ściągnąć więcej ludzi na eskortowanie księdza z pieniędzmi. Powiedziałam mu, że będzie dzisiaj taka akcja.

– Co zrobiłaś!? – Po jego głosie Irena stwierdziła, że jednak da się podinspektora czymś zaskoczyć.

– Oni zawsze są o krok przed nami, zawsze przyjeżdżamy na miejsce, kiedy jest już po wszystkim. Teraz mamy okazję złapać ich na gorącym uczynku! Zrobiłam to impulsywnie, ale wydawało się to dobrą okazją. Zresztą i tak już za późno, bo już wiedzą.

– Ja pierdolę, posterunkowa, takie rzeczy się ustala wcześniej. Właśnie dlatego nie lubię pracować z młodymi. Co za... – Ugryzł się w język. – Wracaj na komendę, przegadamy sytuację.

– Teraz nie mogę – odparła twardo. – Będę później. Przygotujcie wszystko, zwołajcie więcej osób, w dupie mam, że idą święta, mają być. To duża rzecz. Ja będę na czas, ale teraz nie mogę przyjechać.

– Jeżeli coś pójdzie nie tak, jeżeli coś stanie się temu księdzu... – Nie dokończył, westchnął jedynie i opowiadał emocje. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Oddech jej przyspieszył. Miała wrażenie, że takie słowa są zbędne. Sądziła, że po tym wszystkim, co się wydarzyło przez ostatni tydzień, to i tak był już jej koniec. Chciała za szybko i za dużo, podjęła decyzję, teraz zostało jej tylko dokończenie tego, co zaczęła. Musi ich złapać na gorącym uczynku i uratować Michała, o ile tak miał na imię. Podejrzewała, że jest przetrzymywany przez seryjnego mordercę, który odcina uszy. Dlatego że teorii o tym, że to on jest zabójcą, po prostu do siebie nie dopuszczała. Była jednak z siebie dumna, z tego, jak poradziła sobie z informatorem w tak stresującej dla sytuacji. Że nie stchórzyła jak ostatnio. Bała się, ale nie pozwoliła, by to ją sparaliżowało.

– Brawo, pani posterunkowa – powiedziała sama do siebie pocieszająco.

– Co? – dopytał szef i wyrwał ją z zamyślenia.

– Nic, nic! Do widzenia! – Irena rozłączyła rozmowę i przyłożyła telefon do czoła, zawstydzona. Zapomniała wcisnąć czerwoną słuchawkę. Zjechała na drogę prowadzącą do Starego Sącza, potem skręciła na Jazowsko i dalej w kierunku Łącka. Fifka, którą zostawił jej Michał, pochodziła ze sklepu z wyrobami ręcznymi w Łącku. Jak się okazuje, nie robią tam tylko śliwownicy. Śnieżycą była nie do zniesienia, Irena ledwo widziała przez nią drogę. Jasne od świecących świateł samochodu płatki śniegu błyskały przed oczami jak małe pociski, kiedy opadały na przednią szybę. Za nimi nie było niemal nic. Jedynie czerni, która przychodziła wcześniej o tej porze roku i kawałek białobrózowej od chlapy drogi. Ciszę zakłócał ryk diesla, szum rozchlapującego się śniegu oraz trzeszcząca przez luźne sprzęgło skrzynia biegów. Prawie pół godziny później Irena dojechała do Łącka, pod sklep w piwnicy prywatnego domu, który przystrojony był żółtymi, świątecznymi lampkami.

Otworzyła drzwi, chcąc wyjść z radiowozu, ale zatrzymała stopę nad kałużą z pływającymi w niej kawkami lodu. Wydłużyła krok, wysiadła i zamknęła drzwi z trzaskiem. Uniosła ramiona, by osłonić szyję i włożyła ręce do kieszeni kurtki. Śnieg smagał i siekł, wiatr dał, kołysząc skrzypiącym, wiszącym na łańcuchach szyldem sklepu. Posterunkowa obeszła radiowóz, chrupiąc butami w gniecionym pod podszwami śniegu i spojrzała jeszcze na czarną i mokrą jezdnię. Była pusta.

Weszła otwartą bramką, na której zebrał się lepki, mokry śnieg. Zeszła trzema małymi, betonowymi schodkami, odgarniętymi dokładnie i posypanymi piaskiem z solą. Gdy weszła do środka, zastała tam mężczyznę, który siedział schowany za drewnianą ladą. Nikotynowy niebieski dym unosił się w powietrzu jak letnie, lekkie chmury, osiadając na regałach z wyłożonym towarem. Ciupagi, kamizelki z baranej skóry, koraliki, pocztówki, alkohol, zioła, oscypki, sery kozie: i te miękkie, i te smażone. Sklepek oferował dosłownie wszystko, co turysta mógł sobie wymarzyć, a zapewne nawet więcej. Właściciel nie robił sobie jednak nic z obecności młodej dziewczyny. Wyciągnęła buty o stalową drankę tuż za drzwiami, by nie brudzić podłogi sklepu, która w jej ocenie do zadbanych i tak nie należała.

Podeszła do lady, na której wyłożono różne rodzaje fitek oraz drewniane podobizny górali. Irena przyglądała się im uważnie, a mężczyzna, widząc ją, jedynie przełączył kanał w telewizorze umieszczonym w kącie sufitu i przechylnym w dół. Puszczane były powtórki z ostatnich skoków narciarskich. Odczekał moment, po czym odwrócił się do blondynki i zapytał zmęczonym głosem:

– Pani kupuje czy ogląda? – Spojrzał na nią oczami czerwonymi od nadmiaru alkoholu osadzonymi w twarzy o tej samej barwie. Miał opuchnięte policzki, obsiane dziurami po młodzieńczym trądziku i nieumiejętnie wyciskanych wągrach, co tylko pogorszyło stan jego skóry. Włosy miał krótkie, z wyraźnymi zakolami i gniazdem na czubku głowy. Spod ciemnej, zapinanej na zamek bluzy wystawał kołnierz niebieskiej koszuli.

Posterunkowa poprawiła okulary w czerwonej oprawce, ale nie zdjęła czapki.

– Dzień dobry, potrzebuję się poradzić, bo za bardzo się na tym nie znam, a chcę kupić prezent dla znajomego. Jaki rodzaj fifek jest najlepszy? Jak się tak przyglądam, to ta wygląda ciekawie. – Wskazała palcem na taką samą, jaką przyniósł Michał. – Często ludzie się na nią decydują?

– Panienska pomyliła mnie z informacją, jo tutaj sprzedaje, a klienci są anonimowi. Kupuje pani?

– Pan mnie nie zrozumiał, byłam ciekawa, która jest najbardziej popularna. – Irena machnęła ręką, odganiając dym sprzed jej twarzy. – Chciałam zapytać o tą dokładnie.

Wstał niechętnie, a stare krzesło skrzypnęło jakby z bólu. Nachylił się, by zobaczyć, o którą lufkę jej chodzi.

– To dla weteranów i miłośników palenia mocnych rzeczy. Nie wygląda pani na taką, której to się dzie.

– Pozory myślą. No i to nie dla mnie.

Wzruszył ramionami i zaciągnął się.

– Mogę? – spytała.

– Pani bierze.

Posterunkowa sięgnęła po firkę i zaczęła szukać na niej wyźłobienia, takiego samego jak na tej, którą miała ze sobą. Zgadzały się idealnie, zabójca musiał kupować w tym sklepie. Serce zabiło jej mocniej.

– Dwadzieścia pięć złotych – rzucił nagle sprzedawca.

– Proszę. – Wyłożyła mu gotówkę. – Cieszę się, że istnieją takie sklepy jak ten, gdzie można kupić dobrej jakości sprzęt. W Sączu nie mogłam znaleźć.

– Mamy najlepsze rzeczy w całej Polsce. – Zgasił peta, gniotąc go w popielniczce.

– To widać od razu, że jak pan nawet o nich mówi, to przemawia przez pana profesjonalizm i pasja. To się bardzo ceni. – Irena kokietowała, chciała zmiękczyć atmosferę. – Mam kilku znajomych w okolicy, dam im znać o tym miejscu.

– Na pewno znajdą tu wszystko, czego szukają. – Puszyl się jak paw. – Som to wszystko robię.

– A co do najlepszych rzeczy w Polsce, tak się okazało, że zgubiłam nie tylko firkę, ale też to, co w niej było. Czy nie wie pan, gdzie mogę znaleźć jakieś lecznicze zioła? – uśmiechnęła się zadziornie i poprawiła okulary.

– Takich rzeczy nie wolno sprzedawać, droga pani. Za to się do pierdła idzie.

– Rozumiem – posmutniała.

– Ale tak się akurat składa, że na zapleczu mam jeszcze trochę. Akurat dzisiaj. Bo żem znalazł, jak komuś z kieszeni wyleciało. – Puścił jej oczko.

Mrugnęła do niego z uśmiechem, a on poszedł do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz. Następnie wszedł na zaplecze i zaraz wrócił z woreczkami marihuany, przygotowanymi na porcje. Rozłożył je na blacie.

– Ile sobie panienska życzy? – Uśmiechnął się, zadowolony. – Do tej firkę rekomenduję tę drogą, ale nie będzie panienska żałować.

– A czy na tę kartę przysługuje zniżka? – Położyła odznakę obok woreczków z marihuaną. Mężczyzna ściągnął je wszystkie jednym ruchem ręki i zaczął w panice chować do pudełka, które ukrył szybko pod ladą.

– Bez, kurwa, takich żartów, gówniaro! Kupiłaś na straganie sfalszowaną odznakę i będziesz mi tu teraz przed nosem machać?! Kupiłaś, co chciałaś, i teraz won, bo po policję zadzwonię! – Zdenerwowanym krokiem przeszedł cały sklep i otworzył drzwi, wpuszczając do środka mroźne powietrze, które zakolysało wisiorami. – No już!

– Nie zauważył pan radiowozu przed sklepem? – zapytała spokojnym tonem.

Sprzedawca wychylił się i zawiesił na nim wzrok.

– Dalej nieprzekonany? – ciągnęła niewzruszenie i schowała odznakę.

– To wszystko jest lecznicze, dostępne w każdej aptece – powiedział i pobladł. Wracał wolno za blat, a krople potu pojawiły się na jego dziobatym czole.

– Masz dzisiaj szczęśliwy dzień. – Kiwnęła, ruchem głowy wskazując na ladę. – Przymknę na to oko, jeżeli powiesz mi, gdzie znajdę mężczyznę, który kupił u ciebie tę fikfę w ciągu ostatniego tygodnia.

– Dużo ludzi to kupuje...

– Musi być miejscowy, co najmniej po czterdziestce, ale celowałabym dużo wyżej, takich nie możesz mieć dużo. Przypomnij sobie, jeżeli chcesz mieć mnie z głowy.

– To jest szantaż. – Uniósł się i podciągnął suwak bluzy pod szyję.

– To jest okazja.

Facet wykrzywił twarz i wskazał raz jeszcze na lufkę.

– To ma zostać między nami.

Przytaknęła.

– Która?

Wskazała palcem.

– Jest jeden facet, leśniczy. Stały bywalec. Kupuje ode mnie prawie każdego tygodnia. Ostatnio przyszedł zdenerwowany, bo zgubił swoją fikfę. Pasuje do twojego rysopisu, choć jest grubo po pięćdziesiątce. Ale nie wiem, czy to jego akurat szukasz. Zdziwiłabyś się, ile osób w tym wieku się wspomaga.

– To ten – odparła stanowczo.

– Jurek – dodał. – Większość czasu spędza w lesie, mieszka zaraz przy nim. Musisz jechać wzdłuż ulicy Kościelnej i przy znaku „teren zabudowany” od razu w prawo jest tabliczka ze strzałką i napisem: „Piechówka”. Tam skręć, potem jedź pod sam las. Nie wiem, który numer domu. Ale poznasz go po starym ogrodzeniu i tonie ułupanych gałęzi, które zwozi z lasu, pewnie, żeby ogrzać chałupę.

– Dzięki. – Odwróciła się, zmierzając do drzwi, ale zatrzymała się, jakby o czymś sobie przypomniała. – Jeszcze jedno – powiedziała. – Czy był tutaj mężczyzna około trzydziestki? Mógł mieć ranną dłoń i pytać o to samo, co ja?

– Jesteś pirsza – burknął. – Jak ktoś się dowie, żem ci o tym powiedział... – zaczął zmartwiony.

– To wyłącznie dla moich uszu. I tylko, jeżeli adres się potwierdzi! – rzuciła. – Masz też przestać wiskać to dzieciakom. – Zamknęła za sobą drzwi i powędrowała prosto do auta, by schować się przed mrozem. Samochód kaszlnął i odpalił. Pojechała od razu do domu wskazanego przez sprzedawcę sklepu.

Kilkanaście minut później zjeżdżała z głównej drogi, podążając nieodśnieżoną ulicą. Długie światła nie robiły większej różnicy, wszystko było pokryte białym puchem, a ciemne niebo słało go więcej grubymi płatami. Mijając puste, płaskie pola po lewej, służące w lecie rolnikom, zauważyła wylaniające się z czerni nocy żółte punkty światła z pobliskich domów. Po prawej, oświetlane lampami samochodu, coraz gęściej ukazywały się sosny. Irena wiedziała, że zbliżała się do celu i miała nadzieję, że buksujące i szumiące na śniegu koła nie zatrzymają się po drodze.



Minęła gospodarstwo, dom i trzy stodoły, a w oknie od strony ulicy widać było rodzinę przygotowującą kolację. Ojciec rodziny podszedł do okna zainteresowany tym, kto się tu zapuszcza o tej porze i to w taką pogodę. Domyślała się, że nie był to częsty widok. Tuż przy linii lasu znajdowały się cztery posiadłości, z których jedna nie miała ogrodzenia i to akurat przy niej stał zaparkowany biały od śniegu samochód. Oznakowany radiowóz policyjny zatrzymał się na zjeździe z głównej drogi i tam Irena wysiadła.

Idąc ubitą od kół drogą, przyglądała się każdemu z gospodarstw i tylko w dwóch nie świeciły się światła. Psy szczekały głośno, wyczuwając obcą osobę. Wszystkie przypięte były do bud łańcuchami, ich miniaturowe domki wyłożone były w środku kocami i słomą. W taki ziąb właściciele powinni pozwolić zwierzętom spać w garażu, gdzie byłoby im cieplej. Jej uwagę przykuł budynek, w którym

wszystkie okna były czarne, trzeci w kolejności. Irena wzdrygnęła się z zimna, gdy wiatr zagwizdał, rozpedzony, sypiąc na nią lodowate drobinki mroźnego puchu. Czuła, jak palce u stóp zaczynają ją piec.

Dom różnił się od reszty. Był zaniedbany, a na podwórku wyrósł ogromny stos konarów przytarganych tutaj z lasu przez właściciela budynku. Góra drwa schowana była pod starą płachtą. Nawet pod śniegiem widać było nierówności od porozrzucanych po ogrodzie rzeczy. Położonej od ciężaru śniegu wysokiej, butwiejącej trawy, która rozkładała się dziko na wszystkie strony, nie koszone od miesięcy.

Irena sprawdziła pistolet, by się upewnić, że jest gotowy do oddania strzału, i podeszła do płotu. Nigdzie nie widziała dzwonka. Włączyła latarkę. Dom nie był duży, miał może ze sto metrów. Typowy, parterowy budynek ze strychem, za nim dostrzegła szarą stodołę, z dużymi naciekami po spływającym deszczu. Między płotem a domem biegł wąski przejazd dla samochodu, który ciągnął się na tyły chaty. Widoczne były na nim w miarę świeże ślady po kołach i odsuwanej bramie. Irena pociągnęła za klamkę u furtki, ale ta się nie otworzyła, zadzwoniła tylko uderzone zamki. Podeszła do bramy, wyciągnęła rękę za kratkę i podniosła wajchę, która trzymała ją zamkniętą. Posterunkowa zmoczyła sobie rękawiczkę, gdy zanurzyła ją w mokrym śniegu.

Brama otworzyła się do środka, zbierając zimowy opad jak pług. Irena weszła i zamknęła ją za sobą. Pistolet trzymała wzdłuż kurtki, szła dalej, starając się być blisko ścian domu. Czuła, jak serce jej przyspiesza, a wrażenie zimna znikało wraz z przyplływem adrenaliny. Liczyła na to, że znajdzie tutaj Michała, i że nic mu nie będzie. Podświadomie chciała, by nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Kolana unosiła wysoko, nie chcąc się przewrócić w grubym, sklejonym i ubitym śniegu. Wychyliła się zza ściany domu, zauważyła małą, drewnianą budkę oraz toaletę stojącą obok. Nad drzwiami wejściowymi włączone było światło obejmujące werandę i wiszące na łańcuszkach stare donice z martwymi resztkami kwiatów.

Irena podeszła najpierw do drewnianej budki, przyświeciła latarką pomiędzy deskami, starając się coś dostrzec.

– Michał? Słyszysz mnie? – szeptała. – Jesteś tam? Tupnij albo wydadź jakiś dźwięk. – Niczego nie słyszała, pociągnęła za drzwiczki, ale były zamknięte na kłódkę. Skierowała się do domu. Przez brudne szyby nie było nic widać, stanęła więc przed głównymi drzwiami. Popychając je, zorientowała się, że te trzymały się jedynie na jednym zawiasie, tuż przy klamce. Bez nakazu nie wolno jej było wejść do środka. – I tak mnie zwolnią. – Skomentowała pod nosem i z całej siły kopnęła w drzwi na wysokości klamki. Powtórzyła tę czynność kilkakrotnie, aż w końcu wyważyla je i gruchnęły z hukiem.

Weszła szybko i pewnie, trzymając pistolet przed sobą. Przeskakiwała od ściany do ściany, zmieniając pozycję i uważając na każdy pokój, każde drzwi, jakie przyszło jej minąć. Przebiegła przez większość miejsc, ale nigdzie nie widziała Michała ani nawet śladu wskazującego, by ktoś tu mieszkał. Uspokoila oddech i obniżyła broń, budynek był pusty. Niepokoila ją jedna rzecz, która jej tutaj nie pasowała. W kuchni leżały umyte naczynia, ułożone starannie. Poświeciła latarką, nie było na nich nawet grama kurzu w przeciwieństwie do reszty domu. Nawet jeżeli zabójca tu nie spał, to musiał się tu pojawiać. Ale skoro nie spał tu, to gdzie?

Spojrzała na leżący na stole brudny nóż. Wyciągnęła foliową torbę, którą miała w swojej kieszeni. Przez szmatkę złapała za czubek ostrza i cały nóż włożyła do folijki w nadziei, że analitycy znajdą tam odciski palców, a te będą pasowały do tych, które znajdują się na fífce. Wysza z domu i rozejrzała się dla pewności. W domu naprzeciwko ktoś jej się przyglądał z okna, ale gdy tylko zauważył, że Irena podniosła wzrok, zasłonił się firanką. Wiedziała, że nie ma sensu iść do sąsiadów, nic nie powiedzą. Zwłaszcza jeżeli się domyślają, do czego tu dochodzi.

Droga, przy której zatrzymała radiowóz, ciągnęła się w górę aż do lasu. Wracając do auta, spojrzała w lewo. Wszystko było zasypane śniegiem, a pod nim leżał lód. Polonezem nie chciała ryzykować jeżdżenia tam bez łańcuchów na kołach. I tak graniczyłoby to z cudem. Włożyła ręce do kieszeni i poszła w górę drogi. Doszła do linii lasu, który zapraszał swoją czarną bramą pomiędzy białymi od śniegu

sosnami i dębami. Stała i patrzyła. Co innego miała robić? Rozglądała się, nie wiedząc, czego szukać. Westchnęła i odwróciła się, by wrócić do radiowozu, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Duży, z łańcuchami na kołach, które pozwalały mu na swobodną jazdę nawet w takich warunkach. Pojazd wylaniał się z leśnej drogi i mijał ją właśnie, gdy Irena unosiła rękę, machając, by się zatrzymał. Mężczyzna za kierownicą rzucił jej nieprzyjazne spojrzenie i wolno pojechał dalej. Obserwowała oddalającą się maszynę, która w końcu zatrzymała się z piskiem zużytych hamulców, rury kopcily jak nozdrza wściekłego smoka, mającego zamiar ziać ogniem.

Irena wbiła wzrok w auto. Widziała, jak szyba zaczęła się opuszczać. Czekał na nią. Przelknęła ślinę i zaczęła podchodzić. Gdy była za samochodem, przyglądała mu się uważnie. Stary i zardzewiały, z pękniętą tylną lampą, mimo to działającą poprawnie. Na tylnych siedzeniach było sporo rzeczy przykrytych kocem, zrobiła krok w tył, by odsunąć się od auta i nie być na wyciągnięcie ręki. Większą część twarzy kierowca miał ukrytą pod czapką i grubym szalem.

– Co tu robisz o tej porze? – spytał ciężkim, suchym głosem. – Głupiasz czy co? Wilki są w tych lasach, a teraz chodzą głodne.

– Pan się nie boi?

– Nie. Znają mnie – odparł i splunął za okno, naciągając szalik. Irena cofnęła nogę, by nie oberwać flegmą. Nie skomentowała. – Po coś mnie wołała?

– Chciałam pana zapytać, czy nie widział pan może mężczyzny w czarnym płaszczu, około trzydziestki? Ciemne włosy, krótki zarost, mógł mieć ranną dłoń. Mógł się tu pojawić. Przypomina sobie pan kogoś takiego?

– Skoro ci mąż ucik, to trzeba było go lepiej zabawiać. – Znów splunął. – Szukaj w barze, nie w lesie. – Spojrzał przed siebie, kończąc wypowiedź. Silnik ryknął, śląc tumany dymu z trzęsących się rur wydechowych.

– To nie jest mój mąż – przekrzyzczała hałas. – A szukam go zawodowo. – Wyciągnęła szyję, zerkając na tylną szybę. Facet uderzył ręką o drzwi, dając znać, że mu się to nie podoba.

– Jak zawodowo? – spytał, ale nie wychylił się. Trzymał głowę skrytą w ciemności kabiny.

– Jestem z policji. – Posterunkowa zaczęła sięgać po odznakę.

– Co!? – oburzył się. – Trza było mówić od razu! Z psami nie gadam! Bym wiedział, to bym cię puścił w las! By cię wilki zżarły, jednego sprzedawczyka mniej!

– Że co proszę!? – oburzyła się. – Za obrazę funkcjonariusza mogę pana zatrzymać!

– Już nawet po lasach łazicie i ludziom życie utrudniacie!? Lasy też chcecie ludziom zabrać!?

– A co pan ma takiego w tym lesie, że się pan boi!?

– Gównu mom! Zima przyszła, noce zimne, jadę drzewa naciąć, żeby nie zamarzł w chałupie! Za to mnie aresztujesz!? Że człowiek chce przeżyć jakoś!?! Kraj mo w dupie takich jak jo, ludziom się nie pomaga!

– Niech się pan uspokoi, nic panu nie zrobię. Po prostu szukam kogoś...

– I tak bym ci nic nie powiedział! Żegnam i oby cię wilki zżarły! – Ruszył w dół zaśnieżonej drogi, prędko, syjąc śniegiem spod kół, a stare amortyzatory krzyczały głośno na nierównościach, na jakie natrafiał.

Irena wyciągnęła notes i zmarzniętymi palcami zapisała sobie numer rejestracyjny pojazdu, który wymijał właśnie jej zaparkowany radiowóz. Wtedy usłyszała dźwięk telefonu w kieszeni. Odebrała.

– Posterunkowa, słyszysz? – ryknął do jej ucha podinspektor Zalewski. – Czemu masz wyłączony telefon?

– Słaby zasięg, ale niech pan mówi.

– Za ile będziesz? Jesteś potrzebna natychmiast...

– Co się stało?

– Przyjedź jak najszybciej.

– Dobra, potrzebuję trzydziestu minut. Może czterdziestu w tę pogodę.

– Bądź w dwadzieścia.

Rozłączył się, a ona rzuciła ostatnie spojrzenie na ciemny las i wróciła do samochodu. Odpaliła silnik i ruszyła do nowosądeckiej komendy.

Auto skrzypiące na amortyzatorach jechało wzdłuż drogi, aż zatrzymało się przy głównej ulicy prowadzącej przez Łącko. Starszy mężczyzna spojrział we wsteczne lusterko, obserwując jadący w oddali radiowóz. Wychylił się następnie na tylną kanapę, by się upewnić, że to, co na niej ułożył, nadal było schowane pod brudnym kocem.

ROZDZIAŁ 12

Nieporozumienie

Przydonica, godzina 21.30

Wparafii należącej do kościoła pw. Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy panowały błoga cisza i spokój. Drewniana, zabytkowa świątynia znajdowała się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko cmentarza, przez co ludziom nie przychodziło do głowy, by tu hałasować. Ksiądz, który zapadał właśnie w głęboki sen, położył się dziś wcześniej z uwagi na swój ciężki dzień i długą podróż z Nowego Sącza. Coś stuknęło gdzieś w korytarzu. Podejrzany dźwięk poniósł się wewnątrz parafii, która powinna być teraz pusta, i sprawił, że jego powieki uniosły się prędko.

Zimną dłonią, która wystawała poza koldrę, zaniepokojony ksiądz przetarł oczy i uniosł głowę, by zerknąć na drzwi od pokoju. Były zamknięte. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, ale niczego już nie usłyszał. Przeszło mu przez myśl, czy nie powinien tego skontrolować, ale przypomniał sobie, że przed położeniem się w łóżku sprawdzał wszystkie drzwi i okna. Do tego w ciemnym pokoju było zimno, a posłanie tuliło go ciepłem i wygodą. Spojrzał na zegarek, wskazywał godzinę dwudziestą pierwszą trzydzieści, a jutro o szóstej miał umówione spotkanie z sołtysem, na którym chciał być wypoczęty. Poczekał krótką chwilę dla pewności, po czym założył, że to musiał być wiatr lub zwierzę, które wspięło się na parapet.

Wsunął zatem zimną dłoń pod pierzynę, czując przyjemną zmianę temperatury i zamknął oczy, by wrócić do krainy snu. Jednak nie mógł już zasnąć. Nie opuszczało go przeczcucie, że nadciąga coś złego, mimo to oczy wciąż miał zamknięte. Dłoń zdążyła się już ogrzać, gdy usłyszał kolejne stuknięcie, a za chwilę następne. Otworzył oczy i w skupieniu obserwował drzwi. Oddech mu przyspieszył, krople potu spłynęły spod pach na prześcieradło. Coś było nie tak. Kątem oka zauważył, że w rogu pokoju mrok jakby zgęstniał i poruszył się. Gdy odwrócił głowę, postać zamierzyła się na niego i w ułamku sekundy docisnęła dłonią jego usta, by nie mógł krzyczeć, a palce objęły jego twarz niczym szpony. Kolano napastnika powędrowało na brzuch księdza, przynosząc mu dużo bólu i utrudniając ruch i oddychanie. Napastników było trzech. Ich ciosy docierały z każdej strony i ksiądz wiedział, że miały na celu wyrządzić mu krzywdę. Chciał krzyczeć, ale docięnięta do ust ręka mu to uniemożliwiała.

– Dawaj taśmę! – zawołał jeden z nich. Zabrał dłoń, a drugi zakleił księdzu usta, zanim ten zdążył nabrać tlenu w płuca. Złapali go za przydługie włosy i siłą zrzucili z łóżka. Ksiądz walczył i szarpał się, jak umiał, mimo to jeden z napastników złapał go za nogi, dwóch trzymało pod pachy, i tak wyciągnęli go z pokoju i posadzili na krześle wysuniętym na środek pomieszczenia z biurkiem i faxem. Duchowny miał na sobie jedynie podkoszulek i majtki. Związali mu ręce i nogi. Pod wpływem stresu i strachu nie czuł zimna, jakie panowało teraz na plebani. Gdy włamywacze go kneblowali, patrzył na wiszącą na ścianie rzeźbę ukrzyżowanego Chrystusa, który, miał wrażenie, spoglądał mu teraz w oczy, jakby łączył się z nim w bólu.

– Jebany jest ciężki – skomentował zasapany najmłodszy z bandytów i rozpiął puchową kurtkę, by ochłoniąć.

Napastnicy mieli zaledwie po dwadzieścia lat. Ich twarze zastaniały kominiarki, na które wcisnęli czapki. Ubrani byli w dżinsy i puchowe kurtki, przez co duchowny nie umiał ich rozróżnić.

– Dobra, pytaj go – rozkazał drugi, wyrzucając dokumenty z szuflad biurka.

Chłopak kucnął przed księdzem, który spojrzał na niego przerażony. Poczul, jak lewe oko nachodzi mu opuchlizną.

– Słuchaj uważnie, ściągnę teraz tę taśmę, a ty powiesz mi, gdzie są pieniądze na remont dachu. Weźmiemy je i sobie pójdziemy, nie stanie ci się żadna krzywda. Kivnij głową, jeżeli rozumiesz.

Ksiądz przytaknął. Chłopak ściągnął taśmę, tylko na tyle, by uwolnić mu usta, a jej reszta zwiślała przyklejona do policzka.

– Jeszcze nie jest za późno, możecie się nawrócić, jeżeli pomodlicie się teraz ze mną i poproście o rozgrzeszenie. Bóg was...

Chłopak zakleił mu usta z powrotem i uderzył go pięścią w twarz, aż huknęło. Powtórzył tę czynność kilkakrotnie. Dwóch pozostałych przewracało pomieszczenie do góry nogami. W powietrzu tańczyły upadające, kołyszące się kartki, sutanny leżały deptane na podłodze. Niecierpliwili się, a z każdą sekundą i z każdą nieudaną próbą, ich złość podsyciała się jak dmuchnięty kominek.

– Kurwa, nie ma ich nigdzie! – krzyknął jeden z nich, kopiąc w stary, zabytkowy mebel i robiąc dziurę w jego drzewczkach.

– Widzieliśmy, jak je tu niesie. Muszą tu być, szukajcie dalej! – odparł ten, który bił księdza.

Po chwili jeden z nich pochwycił oparty o ścianę duży krzyż jak kij bejsbolowy i podszedł do duchownego, biorąc zamach.

– Ej, ej, ej! – Drogę zaszedł mu drugi kumpel i stanął pomiędzy nim a księdzem. – Krzyżem!? Zgłupiałeś? To ksiądz. Uszanuj.

– No dobra. – Odstawił krzyż i spojrzeli po sobie, przytakując. Następnie znów ściągnęli księdzu taśmę. Tym razem już nic nie mówił, jedynie twarz miał wykrzywioną z bólu, a oczy zamknięte.

– Powiedz, gdzie są pieniądze, inaczej będziemy cię bić do skutku, a jak to nie pomoże, będę zmuszony pozwolić mu użyć tego krzyża. – Chłopak klepnął księdza z otwartej ręki w policzek. – No dalej, potem się z tego wypowiedasz.

Duchowny podniósł głowę, stękając z bólu i oddychając ciężko, gdy pozostali parsknęli głupim śmiechem.

– No i? Gdzie kasa?

Ksiądz spojrział mu w oczy, po czym zerknął na wiszącą na ścianie rzeźbę Chrystusa.

* * *

Nowy Sącz, godzina 21.30

Na parkingu wyłożonym szarą kostką brukową przy bazylice kolegiackiej św. Małgorzaty, znajdującej się niedaleko Ratusza, stał patrol policji. Trzy oznakowane radiowozy rozmieszczone były dookoła kościoła. Irena wraz z Rafałem zaparkowali na placu Kolegiackim, po lewej widząc budynek parafii św. Małgorzaty. Szarą, dużą budowlę z balkonem tuż nad wejściem i okienkami wystającymi ze skośnego dachu.

Po prawej stronie mieli ogromny, zbudowany z kamienia i cegieł kościół, do środka którego wchodziło się przez stalowe, kute, czarne drzwi, gdzie trzeba było się wysilić, by je otworzyć. Świątynię cechowały elementy gotyckiej i barokowej architektury. Nie sposób było nie zauważyć barokowej fasady z dwiema wieżami, które łączyła kruchta. Jednonawowy budynek z długim ołtarzem i zachwycającymi, wielobarwnymi witrażami z kolorowego szkła wprawionego w ołowiane ramy robił ogromne wrażenie nie tylko na turystach.

Irena poprawiła okulary na zgrabnym nosie, gdy patrzyła przez okno radiowozu. Podziwiała każdy detal najładniejszego, jej zdaniem, kościoła, w jakim kiedykolwiek była. Szyba zaparowała od jej oddechu, zamazując widok za oknem. Oparła głowę o fotel i zsunęła się w nim niżej. Skrzyżowała ręce na klatce piersiowej, by utrzymać choć trochę ciepła. Zerknęła na zegarek, dochodziła dwudziesta pierwsza czterdzieści.

– Siedzimy tu już od ponad godziny, on wyjdzie wreszcie? Ileż można przekazywać sobie pieniądze? – oburzyła się posterunkowa, patrząc na parafię, w której świeciło się światło.

– Pewnie piją. – Rafał spojrział na nią. – Co innego mają tam do roboty?

– No dobra, ale my nie jesteśmy taksówką. Co mam zrobić, taryfę nocną włączyć? Ludzie, no szanujmy się.

– Co ty taka poddenerwowana jesteś? – Popatrzył na nią pytająco, ale odwróciła jedynie głowę. – Trzeba czekać, nie ma innego wyjścia. Wygląda na to, że ci twoi też dali sobie spokój i nie będą się cziąć na kasę. Przyjęta nie złapała. W końcu oni głupi też nie są, wiedzą, że ich podejrzewamy, że się tu pojawiają. I właśnie dlatego tego nie robią. Wielu rzeczy się dopuścili, ale iść na ostrzał z policją dwie minuty drogi od komendy, to musieliby być już naprawdę niemądrzy.

– Może i lepiej – przyznała, wydychając parę z ust. – Trochę mi wystarczy emocji jak na jeden tydzień.

– Nie dziwię się.

– Odpal auto na chwilę. Zimno mi. – Wskazała na dmuchawy.

– Siedz i czekaj. Rozliczają nas z każdego kilometra, co powiem? Że traCIłem paliwo, bo mi było zimno?

– A co, zdrowie policjanta jest mniej ważne od benzyny?

Spojrzał na nią jak na naiwne dziecko, a ona tylko odwróciła głowę, rozejrzała się po ośnieżonej okolicy i zatrzymała się na długich soplach lodu zwisających z daszków kościoła. Złapała za gruszkę.

– Chłopaki, jak tam u was? – spytała.

– Cisza – odpowiedział głos w radiu.

– Tu to samo.

Trzy radiowozy były wysłane do pilnowania księdza, który miał przewieźć pieniądze. Normalnie miał być jeden, ale po tym, jak posterunkowa podzieliła się tą wiadomością z informatorem, komendant przeznaczył dwa kolejne auta w formie wsparcia.

– Wiesz coś o tym zabójcy, który odcina ludziom uszy? – zapytała. – Dlaczego sprawę umorzono? Poprosiłam o wgląd do akt, ale mi jej odmówiono.

Wstrzymali się na moment od rozmowy, czekając, aż dwóch cywili przejdzie obok radiowozu. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, Rafał powiedział:

– Bo trafili w martwy punkt. Mało kto z tych, co dzisiaj pracują, był w ogóle przy tym obecny. Ale kilka plotek słyszałem. Jak o tym, że nie mieli pojęcia, kto to może być i podejrzenia padły na leśniczego, przyjacielu pierwszej ofiary, ale ostatecznie nie złożono do sądu aktu oskarżenia. Zresztą tak samo jak teraz, jedna ofiara i odcięte ucho w paczce, nie ma nic, ani odcisków palców, ani motywu. Jedyne, co wiemy, to to, że ucho nie należy do pierwszej ofiary, ale nie mamy też pewności, czy ten, do kogo należy, nie jest martwy. Co łączyło poprzednie ofiary sprzed piętnastu lat? Nic. Poza tym, że są z okolic Nowego Sącza, ale praktycznie z każdej strony, więc nawet nie można przypisać ich do pewnego regionu.

– Świadkowie? Rodzina ofiar? Sąsiedzi? Nikt się nawet nie domyślał, kto by to mógł być?

– Sugerujesz, że to ktoś z podejrzanych albo przesłuchanych przypuszczał wtedy, kto jest zabójcą? Myślę, że na pewno. Tylko dla nas nie jest dowodem to, że ktoś wskaże kogoś palcem. Nie pobiegniemy od razu chłopca aresztować. Życie nie jest czarne i białe, czasami najgorsi z najgorszych to ci, którzy codziennie kłaniają nam się nisko na klatce schodowej i pomagają wnieść zakupy. W domu tłucze taki swoje dziecko do nieprzytomności, a w niedzielę pod krawatem przyjmuje komunię. A tak naprawdę sprzedałby cię za paczkę fajek, tylko dlatego, że kupiłaś nowy samochód, na który ciężko pracowałaś przez całe życie. – Uniósł brwi. – Dlatego nie można zakładać, trzeba wiedzieć. Jedyne, co mamy, to fakt, że nienawidził policji. Podobno nie mógł znieść ich obecności. A wszyscy przesłuchiwanie byli

grzeczni i mili podczas przesłuchań. Poza podejrzanym, ale jemu to akurat nie ma co się dziwić. Każdy by tak zareagował na jego miejscu.

– Kto go wskazał? – spytała.

– Podobno żona pierwszej ofiary. Twierdziła, że to kumpel jej męża go zabił. On był wtedy leśniczym, chodzili razem na polowania, wisiał mu pieniądze...

– Leśniczy!? – przerwała mu – Może z Łącka!?

– Nie wiem.

– Czemu nikt mi wcześniej o tym nie powiedział!?

– Nie prowadzisz tej sprawy, plus mało kto o tym wie. Sam nie jestem pewien. To, co ci teraz przekazuję, to plotki osób na komendzie. Opowiadanka w przerwie na fajkę. Kiedy pojawiła się pierwsza ofiara tygodnie temu, było to tematem numer jeden.

Irena zaczęła łączyć kropki. Przypomniała sobie podejrzanego faceta w samochodzie. Jego reakcja, gdy dowiedziała się, że jest policjantką, mówiła sama za siebie. Jechał z lasu, twierdząc, że łupał drzewo, ale kto normalny tnie drewno po nocy? Miała przeczucie, że to on, że to ten leśniczy, że rozmawiała z zabójcą. Bała się tylko, by tym, co zwróciło jej uwagę na tylnej kanapie, nie był Michał.

– Kurwa! – krzyknęła, uderzając dłonią o tapicerkę poloneza.

– Co?

Złapała za gruszkę, ignorując zapytanie Rafała.

– Zero-zero, mam pilną prośbę. Możecie mi sprawdzić adres zamieszkania leśniczego z Łącka?

– Teraz? – odpowiedział głos w radiu.

– Tak, teraz! To pilne!

– Daj mi chwilę.

Irena oparła łokieć o szybę i położyła głowę na dłoni. Była wyraźnie przejęta.

– Co ci jest? – zapytał posterunkowy, marszcząc czoło.

– Mam dziwne przeczucie, że wiem, gdzie jest zabójca. – Złapała za gruszkę. – I co?

– Sekundę.

Oparła się ponownie i czekała. Patrzyła na radio jak zwierzę na ofiarę, a kolano zaczęło jej podskakiwać z nerwów. Dało się słyszeć zgrzyty oraz potrzaskiwania na linii i kobiecy głos zabrzmiał:

– Jednostki czy ksiądz jest z wami? Powtarzam, czy widzicie księdza?

– Nie ma go – odpowiedział inny radiowóz. – Czekamy, aż wyjdzie.

– Ale odwieźliście go już? Wracajcie tam natychmiast! – Głos z radia odezwał się z wyraźnym niepokojem.

– Nie, czekamy wciąż przed kościołem. Ksiądz jeszcze do nas nie wyszedł – powtórzył policjant z radiowozu po drugiej stronie parkingu.

– Otrzymaliśmy telefon od księdza, jest w swojej parafii w Przydonicach. Jest ciężko pobity. Napastnicy zabrali pieniądze i odjechali w kierunku Gródka nad Dunajcem. Związali go, ale zdołał się uwolnić i zadzwonić. To było jakieś dziesięć minut temu, macie rozkaz obstawić wszystkie drogi prowadzące z Gródka do Nowego Sącza. Jadą samochodem, zielonym fiatem na numerach rejestracyjnych KNS1745W. Jedźcie tam natychmiast!

Przed kościołem rozległ się dźwięk odpalanych silników radiowozów, a w ślad za nimi szły syreny i szum buksujących opon zimowych.

Irena otworzyła drzwi.

– Co robisz!? Wsiadaj! – krzyknął Rafał.

– To mi śmierdzi! Muszę się upewnić, że to nie tamci dzwoniли, żeby się nas stąd pozbyć. – Wybiegła z samochodu i wpadła do parafii. Dwóch księży omal nie podskoczyło ze strachu, siedząc przed biurkiem i rozmawiając. Patrzyli na nią ze zdziwieniem.

– Czy był tu ksiądz Zawada z Przydonic!? Widzieliście go!? – zapytała.

– Ksiądz był w południe. Uznał, że nie będzie czekał do wieczora, bo wieczorami robi się senny o tej porze roku. Zabrał, co Pan Bóg uzbierał, i wrócił do siebie. Mówił, że ma podwózkę.

– Kogo!?

– Nie wspominał.

Dziewczyna wybiegła na zewnątrz i wsiadła do czekającego na nią radiowozu.

– Postanowił sobie, że wpadnie wcześniej. Rozumiesz to!?

– Jedźmy!

Samochód ruszył spod kościoła na sygnale i skierował się w stronę drogi prowadzącej do Gródka nad Dunajcem. Dwadzieścia minut później podjechali na jedną z dróg wyjazdowych. Radiowóz zatrzymał się przy drodze 975 na wysokości Zbyszyc i Wilkonoszy, na małym parkingu na środku dużego łuku. Miejsce było wręcz idealne. Jeżeli złodzieje będą się tędy kierować, wpadną prosto na nich, bez szans na jakąkolwiek reakcję. Droga główna była odśnieżona, a białe góry ledwo widoczne w mroku bezksiężycowej nocy. Nie przyjechali tu jednak dla ładnych widoków, musiała się skupić. Posterunkowa patrzyła na jezdnię przed sobą.

Zgasili silnik, wyłączyli światła i czekali.

– Zero-zero, jesteśmy na miejscu. – Irena potwierdziła przez gruszkę, wyglądając na drogę prowadzącą do Gródka.

– My również.

– My też.

Wszyscy byli na stanowiskach, zatem wszystkie drogi były już obstawione. Czekali więc i patrzyli na samochody, które jechały w kierunku Nowego Sącza, doszukując się fiata, który odjechał spod parafii.

– Przynajmniej nagrzałiliśmy trochę auto – powiedział posterunkowy z uśmiechem, przerywając ciszę.

– Chociaż to – odparła. – Rafał, nie jest to dla ciebie dziwne?

– Co?

– No to. – Machnęła ręką. – Skąd wiedzieli, że ksiądz pojechał wcześniej? Skąd wiedzieli, gdzie będzie trzymał pieniądze? Skoro nawet my tego nie wiedzieliśmy. W kościele też mają kogoś? Przecież to absurd. Wychodzi na to, że ich wywiad jest lepszy od naszego. Skoro tak jest, to jak złapać kogoś, kto zawsze jest o krok przed nami?

– Na ten moment nie ma większego znaczenia, skąd wiedzieli – odparł kierowca. – Tylko to, że mieli rację.

– Skoro są tacy cwani, to domyślą się, że możemy zablokować drogi i pewnie prześlą się gdzieś w motelu, i wyjadą sobie z samego rana. Albo zmienią auto czy rejestrację. Doprowadza mnie to do szału.

– Irena, weź kilka głębokich wdechów. Nie wiem, co się dzieje, ale wydajesz się dzisiaj bardzo spięta i impulsywna. Spokojnie. – Oparł łokieć o drzwi i położył głowę na dłoni. – Wydaje mi się, że mamy tutaj szansę.

– Czemu?

– Bo ksiądz powiedział, że go związali i się uwolnił. Jeżeli to prawda, to jadąc teraz do domu, myślą, że ksiądz siedzi przywiązany i będzie tak siedział, aż policja przyjdzie go szukać. Nie spodziewają się, że spieprzyli robotę i ten zdołał zawiadomić policję. Zapewne są przekonani, że wszystko idzie według ich planu.

– Zobaczymy – odparła, krzyżując ręce na piersi.

Patrząc na białe, ledwo widoczne góry, martwiła się o Michała. Martwiła się o to, czy jeszcze żyje i czy w ogóle zdoła go odnaleźć. W komendzie nikt nie traktował tej sprawy poważnie, a miała za mało konkretów, żeby przyjść z nimi do komendanta. Kazałby jej zająć się sprawą, do której została przydzielona. I bardzo chętnie by to zrobiła, gdyby nie fakt, że Michał jest tak mocno w tę sprawę zaangażowany. Noga nie przestawała jej podskakiwać, a sama zaczynała zagryzać wargi i spoglądać nerwowo na zegarek. Martwiła się, że to może potrwać całą noc.

* * *

Błągą nieświadomość jako pierwszy przebił chłód. Potem doszedł ból głowy i pieczenie nadgarstków. Spał mięśnie w pierwszym ruchu i poczuł dym w płucach. Mężczyzna podający się za komisarza Michała Ptaka otworzył oczy, które wolno łapały ostrość. Gdy przypomniał sobie, co zaszło, uspokoił ciało. Nie wykonywał niepotrzebnych ruchów, dopóki nie będzie pewny, że jest sam. Może napastnik nie zauważy, że się obudził. Otworzył oczy szerzej, ściany drewnianej chatki, na których wisiały głowy zwierząt i stare narzędzia, oblewał pomarańczowy blask ognia z kominka, teraz już nieco przygaszony. Za oknami było czarno, nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Zapach dymu wwiercał się w nozdrza i wypełniał płuca. Było cicho, poza potrząskiwaniem i szumem z kominka nie słyszał nic.

Otworzył oczy i rozejrzał się. Widział plamę krwi, która pobrudziła starą skórę po jakimś zwierzęciu, którego z brudu i starości nie umiał już rozpoznać. Głowa bolała go coraz bardziej, a ciśnienie w oczach dawało wrażenie, jakby gałki oczne miały mu eksplodować. Piekący punkt na potylicy wskazywał, że była to pewnie jego krew. Nogi i ręce przywiązane miał sznurem do krzesła wzdłuż oparcia. Mocno, więzy trzymały aż do łokcia, ledwo mógł ruszać nadgarstkami.

Był sam. Trząsł się cały z zimna, zęby uderzały o siebie, a wraz z oddechem wypuszczał gęstą parę z ust. Przelknął ślinę. Czuł, jak nawilża mu przełyk. Szarpnął ręką, pociągnął nogą, wszystko na nic. Więzy były zbyt mocne. Miały na celu utrzymać coś o wiele silniejszego. Uniósł wzrok, widząc łeb niedźwiedzia wiszący na ścianie, zabójca był myśliwym. „Wszystko się zgadza” – myślał. Poza tym, że na stoliku leżały ciała małych zwierząt, wiewiórek, bobrów z usuniętymi oczami, które znajdowały się obok ciał. Wtedy odwrócił wzrok za siebie, i zauważył mężczyznę siedzącego w mrocznym punkcie chatki za odsłoniętą teraz kotarą. Głowa zwisała mu bezwładnie, był zalany krwią, bez butów, bez podkoszulka, i miał odcięte uszy. Nie wiedział, czy jeszcze żył.

– Psssst... hej... – odezwał się szeptem. – Słyszysz mnie?

Człowiek poruszył się i zastękał.

Fałszywy komisarz szarpał się i zarzucił ciałem mocno w lewo, odwracając się odrobinę w stronę ofiary. Mężczyzna bez uszu wydawał się młody, młodszy od niego, mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia lat.

– Możesz mówić? – spytał, jednocześnie sam miał trudności z powodu trzęsącej się z zimna szczęki.

– Gdzie on jest? Dawno wyszedł?

Młodzieniec wziął większy wdech i kaszlnął, potem zastękał. Podszrywający się pod komisarza zauważył wiszącą na jego szyi szmatkę, która służyła do kneblowania mu ust. Z młodego chłopaka nie zostało wiele, był błydy i siny. Miał wyraźne oznaki niedożywienia, a pod wysuszoną, odwodnioną skórą rysowały się kości.

– Po... po... – charknął chłopak. – Poszedł... nie ma... go...

– Potrafisz określić, za ile może wrócić? Ile mamy czasu? – Chciał wiedzieć komisarz.

Próbował podskoczyć i zbliżyć się do niego, ale poczuł szarpnięcie. Krzesło było przywiązane do sznura. Nie mógł się poruszać swobodnie po chatce. Przez skrepowane ręce i nogi nie mógł również nabrać impetu, by starać się je zerwać. Dodatkowo uszkodzony kciuk, który wybił sobie, by wydostać się z kajdanek przypiętych do kaloryfera w mieszkaniu Ireny, nie był teraz w najlepszej kondycji.

Ciałem młodego mężczyzny wstrząsnęły dreszcze, a jego mięśnie spięły się w skurczach, jakby miał zwymiotować, ale uspokoił się zaraz i znów zwiesił głowę, gdy oddech mu zwolnił i osłabł.

– Ej, ej, nie zasypiaj – zagadywał go fałszywy komisarz. – Jak ci na imię?

– Damian – wystękał resztką tchu.

– Ja jestem Artur. Jak się tu znalazłeś? Co się stało?

– Wracalem z pracy i po... posz... edlem skrótem... ale on... wtedy on... on... nie pamiętam... – Chłopak zacisnął mocno powieki i wykrzywił usta, zbierało mu się na płacz.

– Wiesz, czemu cię tu trzyma?

– Nie. – Pociągnął nosem. – On nic... nie mówi...

– Jak długo tu jesteś?

Damian chciał odpowiedzieć, ale jego słowa zaczynały gasnąć jak ściszone radio. Powieki opadały ciężko, a głowa szła w ich ślady. Padał z wycieńczenia.

– Masz kogoś, kto na ciebie czeka w domu? Damian?

– Żonę. – Ocknął się lekko. – Tylko żonę... – wystękał i chrząknął, po czym wypluł zalegającą flegmę.

– Tylko? Ja o żonie mogę tylko pomarzyć. – Artur rozglądał się, czuł, jak wracają mu siły, pomimo piszczenia w uszach i ogromnego bólu głowy. – Posłuchaj, wyciągnę nas stąd, ale będziesz musiał ze mną współpracować. Nie zasypiaj, to ważne.

Młody mężczyzna przytaknął, ale Artur nie był przekonany, czy zrozumiał, na co się godzi.

– Damian!

Zawołanemu podskoczyła lekko głowa, ale wiele to nie zmieniło.

– Wiem, że ci ciężko, ale dasz radę mi powiedzieć, czy dawno temu wyszedł?

– Niedawno.

– Brawo – pochwalili go i zaczął się rozglądać, ale nie mógł spojrzeć głową za siebie. – Widzisz, do czego jest przywiązana moja lina? Ta, która trzyma krzesło?

Mężczyzna lekko uniósł głowę, ale ta chwiała się jak na urwanym zawiasie.

– Widzisz? – ponaślał Artur. – Jest solidnie przywiązana?

Młodzieniec zaprzeczył.

– Nie? Ale co nie? Nie jest solidnie przywiązana?

Znów pokręcił głową.

– Dobra, walić to. – Artur, który podszywał się pod komisarza Michała Ptaka, zdołał się przesunąć do tyłu o pół metra, tak by lina złapała odrobinę luzu. – Damian, będę się starał uwolnić, ale ty musisz patrzeć na linę i dawać mi znać, czy ona puszcza. – Wziął kilka oddechów. – Kurwa – skomentował pod nosem.

Artur rozhuścił krzesło, przeskakując z przednich na jego tylne nogi, aż z całej siły rzucił się do przodu, poczuł szarpnięcie i trzask liny, która go zatrzymała. Ponowił próbę: przód, tył i z całej siły do przodu jakby, rzucał się na zwierzynę. Kolejne szarpnięcie i trzask, potem kolejny.

– Puszcza!? – pytał, widząc, że Damian się przebudził, obserwując to, co robi.

Przytaknął.

– Dobrze, jeszcze trochę!

Kilka kolejnych prób, kilka szarpnięć i ból od ciasno założonych więzów. Szarpnęło i puściło z trzaskiem, a Artur runął na podłogę z impetem. Spiął się cały i ze wszystkich sił starał się nie przewrócić się na bok, bo wiedział, że wtedy nie będzie w stanie się poruszać. Po kilkusekundowej walce zdołał utrzymać równowagę oparty na kolanach i głowie.

Dyszał, zmęczony, i zerknął w bok. Zauważył, że sznur przywiązany był do metalowego kolucha przybitego do drewnianej podłogi. Stare drewno sosnowe, z którego zbudowana była chatka, nie wy-

trzymało nacisku. Głowa mu pękała, wszystko piszczalo, ale adrenalina płynąca w żyłach pozwalała na więcej.

– Damian, idę – wysapał, wypuszczając parę z ust. Gardło piekło go od lodowatego powietrza, o którym nagle sobie przypomniał. – Trzymaj się. Ty jesteś związany lżej niż ja, spróbuję stanąć się za tobą i cię uwolnić. Potem ty rozetniesz moje liny. Wrócisz do żony. Tylko nie odpływaj!

Damian kiwnął twierdząco zwisającą głową i coś powiedział, stękając, albo po prostu stękał. Artur nie umiał rozpoznać. Widział, że młodemu chłopakowi adrenalina również zaczęła buzować, zrobił się żywszy. „Nadzieja musiała do niego wrócić, to dobrze” – myślał Artur. Uniósł plecy, na ile zdołał, ale stracił równowagę i uderzył czołem o drewnianą podłogę, a przez jego ciało przeszedł impuls paraliżującego bólu. Instynkt przetrwania brał teraz górę, choć ból głowy nie pozwalał mu zebrać myśli. Wziął wdech, dosunął kolana i znów sięgnął czołem nieco dalej przed siebie, pełził do drugiego uwięzionego mężczyzny jak dżdżownica, niezdarnie i wolno, ale pokonywał dystans i to się liczyło. Stare deski wyły i skrzypiały, a trzask uderzeń czołem wygrywał jak refren swoją melodię. Wiedział, że dopóki nie leży na boku, ma szansę. Jeszcze metr i sięgnie do Damiana.

Wtedy jego uwagę przykuł dziwny dźwięk. Zatrzymał się, nasłuchiwał. Dźwięk przypominał lejącą się wodę, ale skąd? „Przy takiej temperaturze wszystko jest zamrożnięte” – rozmyślał. Sięgnął wzorkiem jak mógł najdalej, ale nic nie widział.

– Damian, widzisz coś? – szepnął – Skąd ta woda? – Odwrócił głowę, by spojrzeć na chłopaka i zorientował się, że odgłos nie dochodził z rury, tylko z poranionej stopy Damiana, po której spływał na deski mocz. – Kurwa! Co ty rob...

Artur poczuł chłód, który uderzył go w plecy. Zrozumiał prawdziwy powód, dla którego Damian pościł. Nie było to spowodowane potrzebą, a przerażeniem. Odwrócił głowę w kierunku drzwi wejściowych, które były teraz uchylone. A w drzwiach, zza których z przeciągiem wpadały do środka drobinki śniegu, stała postać, czarna i niewyraźna z tej pozycji.

W dłoni trzymała małe pudełeczko.

* * *

Czterdzieści minut czekania za nimi. Poza kilkoma przejeżdżającymi samochodami, nie było śladu po złodziejach. Irena wyjrzała przez okno na pochmurne niebo, za którym chował się księżyc.

– To oni! – rzucił Rafał, widząc wjeżdżającego na luk fiata.

Irena podniosła się na fotelu i wyteżyła wzrok. Szybko zerknęła na rejestrację, zgadzała się. Jednak ich kryjówka nie okazała się aż tak skuteczna, jak sądzili, ponieważ członkowie gangu braci Straszewskich również zauważyli oznakowany radiowóz czający się na poboczu. Wszyscy patrzyli teraz sobie w oczy, podczas gdy auta się mijają i mieli te same, zdziwione miny.

– Za nimi! – krzyknęła Irena, włączając koguta. Posterunkowy odpalił auto i ruszył w pościg.

Tamci wyraźnie przyspieszyli, zostawiając za sobą chmurę dymu z rury wydechowej. Skręcili od razu w prawo w boczną drogę i zjechali z głównej szosy, sypiąc w powietrze uderzonym przez koła śniegiem.

Irena złapała za gruszkę.

– Do wszystkich jednostek! Ruszyliśmy w pościg za podejrzanymi! Zjechali z dziewięćset siedemdziesiątki piątki na równoległą, boczną drogę. Jesteśmy tuż za nimi. Potrzebne wsparcie!

– Nie zgubcie ich, wsparcie już jest w drodze! – odparł głos z radia.

Posterunkowo zredukował bieg, gdy uciekinierzy syпали śniegiem w przednią szybę radiowozu, przez co widoczność była ograniczona. Rafał zwolnił, nabierając dystansu, dzięki czemu nie tylko lepiej widzieli, ale mogli manewrować pomiędzy dziurami, nie ryzykując uszkodzeniem nadwozia. Wtedy ujrzeli, że jeden z napastników wyciągnął rękę zza tylnej szyby, po czym strzelił do nich z pistoletu.

– Kurwa mać! – ryknął funkcjonariusz i przyhamował, wpadając w poślizg, jednak zdołał opanować samochód.

– Zero-zero! Strzelają do nas! Utrzymujemy kontakt wzrokowy! – wykrzyczała do gruszki Irena. – Nie jedź tak blisko! – doradzała. – W końcu będą musieli się zatrzymać. Z tej odległości łatwo nas trafić.

– Dobra!

Jednak tamci jechali jak szaleni, nie zważając na dziury i nierówności. Przemierzając drogę ciągnącą się przez puste pole, za każdym razem, gdy widzieli usypaną kupkę śniegu, celowo zjeżdżali z ubitej trasy, by w nią uderzyć i posłać białą ścianę puchu, by rozbiła się o radiowóz.

Policjanci usłyszeli kolejne wystrzały, ale żaden z pocisków ich nie trafił. Przy takiej jeździe i nierównościach wycelowanie w coś graniczyło z cudem.

– Strzelaj do nich! – zawołał Rafał.

– Pojebało cię!? Tu są domy! – Posterunkowa wskazała na kilka posiadłości niedaleko przed nimi.

Łodzieje dojechali do ostatniego domostwa, które minęli rozpędzeni. Wtedy ich podrzuciło z trzaskiem wyginanej blachy i runęli twardo na tylne koła.

– Uważaj! – Krzyk opuścił gardło Ireny, ale wciśnięty hamulec nic już nie dał.

Wpadli w poślizg i uderzyli w to, co ich podbiło. Łupnęli twardo i zatrzymali się pomiędzy domem a stodołą.

– Kurwa, jedź! Jedź! – ponagliła go.

Posterunkowy wcisnął pedał gazu, a koła zabuksowały i ruszyły ciężką maszyną. Wrócili do pościgu, choć tamci zniknęli już z pola widzenia po wjechaniu do lasu. Po chwili rozległ się trzask, a jedna z koron drzew zatrzęsała się, zrzucając z siebie ciężki śnieg.

Napastnicy wjechali w krzaki, zbaczając totalnie z drogi, te łamały się, hamując coraz wolniej przemieszczającego się fiata, aż w końcu zupełnie się zatrzymał, uderzając lekko o sosnę. Maskę pojazdu pokrył spadający z drzewa śnieg.

Radiowóz stanął na leśnej drodze. Rafał wyciągnął pistolet i latarkę, po czym wybiegł z auta. Irena sięgnęła po kluczyki ze stacyjki i zostawiła włączone światła policyjne na dachu. Otworzyła drzwi i ruszyła za partnerem. Bała się zostawić kluczyki, tamci mogliby ich obejść i uciec radiowozem. Wskoczyła w głęboki śnieg, pod którym chrupały łamane, cienkie gałęzie. Dotarli do wciąż odpalonego fiata, który oświetlał las reflektorami. Dym z rur unosił się gęsto, zasłaniając to, co było za tylną szybą.

Przykucnęli, kryjąc się za konarami drzew i nie spuszczać wzroku z samochodu. Drzwi były pozamykane, okna również, oświetlał latarkami pojazd uciekinierów, próbując zobaczyć cokolwiek.

– Policja! Opuśćcie broń i wyjdźcie z rękami uniesionymi ku górze, powoli i ostrożnie! Bez gwałtownych ruchów! Nie chcemy wam zrobić krzywdy!

Jednak reakcji nie było, nikt nie odpowiedział. Kiwnęli głowami, spoglądając na siebie. Z przestraszonymi i bladymi twarzami zbliżali się do rozbitego wozu. Mróz dochodzący z jeziora szczypał w skórę, a przemakające od śniegu buty zaczynały odmrażać stopy. Serca im waliły, a stres sięgał zenitu. Skupieni na pojeździe, przygotowani na każdy ruch, stawiali ostrożnie krok za krokiem, jakby pokonywali pole minowe. Irena, trzymając głowę nisko, oparła się o zderzak auta plecami, a Rafał osłaniał ją trzy metry dalej, skryty za sosną. Próbowła uspokoić oddech, przypomnieć sobie jakąkolwiek radę Michała, jak powinna się zachować w takiej sytuacji, ale przy buzującej w jej żyłach adrenalinie nie była w stanie skupić myśli. Nie miała zamiaru kulić się sparaliżowana strachem jak wtedy w mieszkaniu.

Wypuściła wolno powietrze ustami, które na chwilę zawisło przed nią kłębkim pary, i przeszła obok tylnej opony. Zauważyła wgniecenie na karoserii od uderzenia w drzewo. Serce jej przyspieszyło, nie czuła teraz zimna. Chwyliła za klamkę tylnych drzwi fiata, pociągnęła mocno, otwierając je, i wychyliła się, celując do środka. Wsunęła głowę, po czym wstała i spojrzała ponad dachem pojazdu na posterunkowca, który ją osłaniał.

– Nie ma ich! – rozłożyła ręce.

– Jak to ich nie ma!?

– No normalnie! – zakomunikowała.

W pośpiechu poszła na przód zaszypanego auta, rozglądając się za uciekinierami po wysokich zaroślach. Na pewno nie pobiegli tam, gdzie znajdowała się ściana światła, ani w kierunku radiowożu, za-uważyliby ich. Gdy tarczę światła latarki skierowała na odbite w śniegu ślady butów prowadzące w kierunku jeziora, uniósł się huk wystrzałów, a kilka kul trafiło w samochód obok niej i sypnęło śniegiem tuż przy nodze Ireny. Wskoczyła na maskę i padła za autem, następnie zebrała się i odpowiedziała ogniem. Dwa strzały na osłep, tak jak jej instynkt podpowiadał. Posterunkowy plecami przywierał do drzewa, spięty, z zamkniętymi oczami.

– Za nimi! – krzyknęła do Rafała.

Funkcjonariusz pobiegł za nią. Przemieszczali się od drzewa do drzewa, świecąc latarkami po całym lesie i łamiąc drapiące ich, wystające spod puchu kikuty zamarzniętych gałęzi.

– Już macie przejebane! Jeżeli nie chcecie tego pogarszać, to poddajcie się natychmiast! – poinformowała ich głośno posterunkowa, ale ci nie odpowiedzieli.

Policjanci słyszeli, jak ścigani wołali coś do siebie, jak trzaskały przed nimi łamane gałęzie. Zbliżali się. Irena modliła się w myślach o to, by udało się jej jej przeżyć ten wieczór. Nie wiedziała, jaką przewagę mieli złodzieje, ale po śladach na śniegu potrafiła stwierdzić, że było ich co najmniej trzech. Nie miała zamiaru odpuścić, nawet gdyby było ich jeszcze raz tyle. Kolejne wystrzelwane kule wbijały się w drzewa, śląc w powietrze odłamki kory i lodu. Posterunkowi padli na kolana i szybko skryli się za najbliższymi pniami. Jedna kula trafiła w drzewo, za którym chował się Rafał, a on krzyknął głośno i padł na tyłek, przywierając do niego plecami.

– Skurwy... – warknął, urywając przekleństwo, by złapać oddech.

Irena wyciągnęła pistolet i wystrzelała wszystko, co miała w magazynku, co zmusiło tamtych do przerwania ognia. Dobiegła do posterunkowego i kucnęła przy nim. Poświeciła latarką na jego nogę, spodnie były rozdarte i splamione krwią, ale rana nie była głęboka. Nie krwawił obficie. Na skórze było co prawda widoczne zadrapanie, ale bardziej odłamkiem drzewa niż kulą.

– Jesteś cały, chodź – powiedziała.

– Nie idę, nie dam rady!

– To tylko zadrapanie.

– Nieprawda! Jest gorzej, niż widać, potrzebna mi karetka!

Wiedziała, że rana nie jest tak poważna, że symuluje, by mieć wymówkę do przerwania strzelaniny. Spojrzała mu w oczy, ale w jej spojrzeniu nie było pretensji, a zrozumienie. Był przerażony, tak jak ona podczas strzelaniny w mieszkaniu. Kiwnęła głową i wychyliła się, oceniając sytuację. On może tu zostać, ale ona nie miała zamiaru odpuścić. Zmieniła magazynek, przeladowała broń i wychyliła się ponownie. Wtedy dotarł do niej plusk wody, zaraz drugi i trzeci.

– Kurwa, nie wierzę... – rzuciła wściekła pod nosem i wyskoczyła zza sosny w pełnym biegu, zmierzając prosto w kierunku jeziora i nie chowając się już za drzewami.

Pędziła ile sił w nogach, rozkopując ubity śnieg. Dobiegła do linii brzegowej jeziora Rożnowskiego. Rozglądała się, ale nigdzie nie było widać uciekinierów, tafla wody była czarna jak otchłań, a księżyc skrył się za ciężkimi chmurami, nie dając żadnego światła. Jakby patrzyła w dno studni. Latarką oświetliła brzeg, widać było na nim ślady, rozrzucone po wystrzałach łuski, i kierunek, w którym pobiegli, wszystko. Nie mogła wyjść z podziwu, że zdecydowali się wbiec do jeziora i popłynąć. Rzuciła światło latarki na czarną taflę wody. Gdzie mogli popłynąć? W lewo? W prawo? Na drugą stronę nie daliby rady, jezioro było ogromne, o ile nie zamarzną wcześniej, bo temperatura sięgała minus siedmiu stopni Celsjusza.

Gdy uspokajała oddech, wpadła jeszcze na ostatni pomysł.

– Widzę was! – krzyknęła najgłośniejszym głosem, i unosząc pistolet nad głowę, posłała dwa strzały ostrzegawcze.

Nasłuchiwała.

Nic.

Ani chluśnięć wody, ani łamiących się krzaków, ani głosu. Przepadli. Rozłożyła ręce i cofnęła się do partnera, którego nie było tam, gdzie go zostawiła. Wracając, zakopując się w głębokim śniegu, aż dotarła do samochodu uciekinierów. W oddali słychać było nadjeżdżające posiłki, a niebieskie światła przesłizgiwały się po pobliskich drzewach i zaroślach. Łapała oddech, wydmuchując kłęбки ciepłej pary z ust.

Posterunkowy z pociągłą twarzą stał obok samochodu i opierał się o bagażnik, utrzymując ciężar ciała na zdrowej nodze. Unikał kontaktu wzrokowego, a na jego twarzy dostrzegła wstyd.

– Uciekli, wskoczyli do jeziora – powiedziała, wkładając pistolet do kabury.

– Jest jakieś minus siedem stopni – zdziwił się. – Przeżyją to w ogóle?

Rozłożyła ręce, po czym poprawiła okulary w czerwonych oprawkach i spojrzała na porzucone auto.

– Patrzyłeś już?

– Nie. Czekam na innych. Irena – odwrócił wzrok, szukał słów – chyba nie masz mi...

– Daj spokój. – Poklepała go po ramieniu. – Spisałeś się.

– Dzięki.

Posterunkowa otworzyła drzwi od strony kierowcy i sięgnęła po klucze ze stacyjki. Przeszukała schowki, ale w środku nie było niczego szczególnego, poza dwoma butelkami wódki i sokiem w kartonie. Zaszała samochód od tyłu i otworzyła bagażnik. Wtedy źrenice jej się rozszerzyły. W środku były pałki, kominiarki, sznury, taśmy i góra innego materiału dowodowego z włosami, odciskami palców i wszystkim, co było im potrzebne, by udowodnić przestępstwa, które do teraz im umykały. Widziała nawet pieniądze zwinięte w foliową sklepową siatkę.

– A to pewnie naszego księdza – podsumowała z uśmiechem.

Usłyszeli, jak dwa radiowozy zatrzymały się za ich autem, parkując po obu stronach leśnej drogi. Policjanci wybiegli i zbliżyli się do nich.

Irena patrzyła na rozbitego fiata, czując, że to będzie dla nich przełom, który może doprowadzić do wsadzenia braci Straszewskich za kratki.

– Jesteście! Nic wam nie jest? Gdzie tamci? – dopytywał pierwszy z grupki policjantów.

– Uciekli do jeziora i popłynęli – odparła posterunkowa, wskazując palcem w kierunku dużego zbiornika wodnego.

– Co zrobili!? W taką pogodę!?

– Nie pytaj. Zgubiłam ich.

– To wszystko jest... – Kolejny zawiesił wzrok na zawartości bagażnika.

– Tak – dokończyła za niego.

– Jasny chuj. Całe szczęście, że zostawiliście koguta, bo nigdy byśmy was nie znaleźli... – rzucił jeden z ostatnich, rozglądając się po lesie. – Dobrze, że jesteście cali, mimo że przyjechaliśmy za późno.

Wtedy Irena przypomniała sobie o Michale i o tym, że musi go znaleźć, zanim dla niego będzie za późno. Może nie mieć tyle szczęścia, co ona. Odwróciła się na pięcie i odeszła kilka kroków od samochodu. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła.

– Halo? Sprawdziłaś mi ten adres? – spytała, dzwoniąc bezpośrednio do dziewczyny w centrali komendy.

– A złapaliście ich? – odezwał się głos w słuchawce.

– Nie. Uciekli. Ale mamy dużo materiału dowodowego, który może być tym, czego nam właśnie potrzeba.

– Dobrze, dobrze, zaraz, tutaj mam... o, dobra. Łącko, ulica Starza 27, tam mieszka leśniczy. Nie potwierdź ci jednak, czy dane są aktualne. Po co ci to?

– Ja pierdolę... – Posterunkowa złapała się za czoło.

– Irena? Po co ci ten adres?

– Dasz znać Zalewskiemu, co tu znaleźliśmy?

– Jasne.

– Dzięki – rzuciła i rozłączyła się.

Irena spojrzała w czarne niebo i zrobiło jej się słabo. Mężczyzna, z którym rozmawiała przy lesie, to był on, to on jest gościem, który zabija ludzi i odcina im uszy. A dom, do którego się włamała, był jego domem. Była tego pewna. Facet w sklepie miał rację. Spojrzała na grupę policjantów oświetlających latarkami wnętrze bagażnika, ale ugryzła się w język. Chciała im powiedzieć, chciała, by z nią jechali jako wsparcie i pomogli go dorwać. Jeżeli jednak to zrobi i Michał zostanie uratowany, nie tylko on, ale i ona będą skończeni, a wraz z nią cała jej kariera. Całe życie, wszystko, na co do tej pory pracowała, pójdzie na śmietnik.

Wiedziała, że musi jechać sama.

Odwróciła się do Rafała.

– Wrócisz z nimi – rozkazała.

– Co?

– Muszę jechać i potrzebuję auta – zakomunikowała i odwróciła się na pięcie.

Irena szła przez połamane, lyse krzaki do zaparkowanego przy leśnej drodze radiowozu. Wołali ją. Wołał ją Rafał, wołali pozostali, ale nawet się nie obejrzała przez ramię. Wsiadła do auta, odpaliła silnik i odjechała.

Skierowała się prosto do miejsca, gdzie z mrocznego wjazdu do lasu wyjechał samochód zabójcy.

ROZDZIAŁ 13

Pierwszy i ostatni

Dwadzieścia lat wcześniej, lato

Za powalonym drzewem, w którym trzmiele zbudowały gniazdo, w falującym, ciepłym powietrzu, przy dźwięku bzyczących owadów i śpiewających gdzieś w oddali ptaków, stała chatka ze spiczastym dachem. Pomalowana była świeżą farbą, której zapach niósł się po całej okolicy. Stała otoczona wysoką trawą, prowadziła do niej wydeptana droga, spod której wystawały nieco powykrzywiane, czarne korzenie pobliskich starych drzew.

Sześciu mężczyzn cicho weszło na drewniany podest. Niedawno położona na nim brązowa farba kleiła się do podeszw ich butów. Skinęli do siebie głowami na znak gotowości. Silnym kopnięciem wyważyli drzwi do chatki, a do środka wtargnęło trzech z nich. Słychać było odgłosy walki i metaliczny dźwięk spadających narzędzi. Uniósł się huk roztrzaskanego szkła, ktoś się przewrócił. Wrzaski i stękania słyszalne były aż na zewnątrz. Nie była to równa walka, przez co zdana na przegraną osoby, którą napadli w środku. Po chwili wszystko ucichło i czterech funkcjonariuszy policji wyprowadziło zakutego w kajdanki mężczyznę, odzianego w koszulę w kratę. Miał długie włosy związane w koński ogon i wąsy. Z ręki jednego z policjantów kapłała krew.

Przed chatką czekał na niego prokurator w asyście kobiety o ciemnych włosach poddanych modnej w tym czasie trwałej ondulacji. Stała przerażona, z twarzą brudną od rozmytego przez spływające lzy makijażu.

– To on! To on zabi... – Wskazała na niego palcem i wyrzęziła, przerywając na moment oskarżenie. Zebrała się w sobie i z trudem udało jej się dokończyć: – To on zabił mojego męża!

– Proszę pani, proszę się uspokoić. – Prokurator uniósł do niej rękę na znak, że panuje nad sytuacją. – Panie Jerzy Stanowski. Jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem zabójstwa Macieja Wawrzyńca.

– Macie nie tego człowieka! – krzyknął skutny. – To nie ja! Nigdy bym Maćka nie skrzywdził!

– Panie prokuratorze! – Usłyszeli doniosły głos jednego z policjantów stojącego w drzwiach chatki i trzymającego broń tak, by wszyscy ją widzieli.

– Kurwa, jestem leśniczym, oczywiście, że mam strzelbę! Idź na dzika z pięściami, skoroś taki mądry! Anka! Powiedz mu!

– Byłeś mu winny pieniądze i chciał z tym iść na policję! Za to go zabiłeś! Byłeś dla niego jak brat! Jak mogeś!?! – Kobieta wydarła się na całe gardło.

– Czy to prawda? – spytał prokurator.

– Byłem mu dłużny, ale chciałem spłacić... to nie ma nic wspólnego! Jestem niewinny!

– To się okaże. Zabierzcie go na komendę – polecił prokurator i funkcjonariusze zaczęły prowadzić skutego leśniczego przez las aż do radiowozu, by następnie przewieźć go do aresztu.

– Jak to się okaże!?! – oburzyła się zapłakana kobieta. – Ja wiem, że to on! Groził mu, że go zabije, sama słyszałam! – Kobieta się rozplakała i spojrziała leśniczemu w oczy, zanim zniknął z jej pola widzenia. Przeszło ją nieprzyjemne, wwiercające się w jej świadomość uczucie, że nie widzi go po raz ostatni. Zawziętość zmieszana z chęcią zemsty malowała się na jego twarzy.

Zaczęła żałować, że na niego doniosła.

Teraz

Mężczyzna włączył lampkę stojącą na stoliku dosuniętym do okna, a strzelbę oparł o ścianę, lufą ku górze. Odsunął narzędzia rozrzucone przed nim i odstawił kartonowe pudełko, podświetlone teraz ciepłym światłem żarówki. Leśniczy oddychał głośno, jakby sprawiało mu to trud. Zgarbiona postawa zmęczonego życiem człowieka dawała obraz osoby, która już dawno straciła nadzieję na lepsze jutro. Podszedł do leżącego fałszywego komisarza, chwycił za oparcie krzesła i zaparł się nogą. Mocnym ruchem postawił je na nogi, następnie położył dłoń na jego włosach, jakby chciał pocieszyć dziecko, ale Artur zabrał głowę spod jego ręki.

– Rozwiąż mnie! – warknął Artur.

– Już chcesz wychodzić? – powiedział Jurek starym, suchym głosem, po czym minął go i zaczął czegoś szukać w swojej torbie. – Dopiero przyszedłeś.

Artur nie mógł się odwrócić, żeby zobaczyć, co to jest. Leśniczy wrócił do niego z nożem, szmatą i małym narzędziem.

– Nie wypada wypraszać gościa, zanim się go nie ugości. – Obrócił nóż w dłoni. – Mnie już nikt nie odwiedza. – Zerknął na wykończonego Damiana.

Młodzieniec zauważył, że starzec z kucykiem na głowie zbliża się do niego, tupiąc o stare deski w rytm stawianych kroków. Zaczął kręcić głową przecząco z przerażonym wyrazem twarzy. Starzec złapał go za włosy i odchylił jego głowę do tyłu. Przyłożył mu narzędzie podobne do łyżki, tylko mniejsze i dłuższe, do oka, następnie do drugiego. Przymierzał, obliczał.

– Błagam. Nie chcę... zrobię wszystko... tylko powiedz... co...

Zabójca nie reagował na jego słowa. Małą latareczką świecił raz w jedno, raz w drugie oko.

Artur znów spojrzął na stół z małymi zwierzętami. Każde miało wydłubane oczy. Poczuł, jak uderza w niego fala gorąca, a stado mrówek przebiegło mu po plecach. Wiedział, co on planuje, zaczął się szarpać z całych sił. Próbował złamać krzesło, nogę, oparcie, cokolwiek. Podskakiwał wraz z całym meblem, stękając i charcząc przy tym głośno z wysiłku.

– Cicho. – Leśniczy przyłożył łyżkę do ust. – Ciężko mi się skupić w tym hałasie...

– Rozwiąż mnie natychmiast! – krzyknął Artur.

Zabójca oparł kolano na związanym młodym mężczyźnie, by docisnąć go do podłogi. Drugą ręką objął jego głowę i przyciągnął ją sobie do piersi. Wtedy łyżka zaczęła zbliżać się do jego oka.

– Wyciągniemy lewe. Wydaje się mniej zdrowe od prawego.

– Zostaw go! – krzyknął Artur.

– Chcesz się z nim zamienić!? – spytał zabójca, spoglądając na niego przelotnie, ale ten zdusił słowa.

– Artur, błagam! Ratuj! Nie pozwól mu! – wrzeszczał Damian głosem, jakiego Artur wiedział, że nigdy nie zapomni.

– Teraz się nie ruszaj, możesz tylko pogorszyć. – Leśniczy wrócił do Damiana.

– Nie! Nie! Nie! Nie! Nie! Nieeeee! – krzyczał chłopak, gdy zabójca zatopił łyżkę w jego oczodole, podważając oko jak gałkę lodów. Zaczął trząść się cały w dzikich konwulsjach, krzyk bólu rozdzierał jego gardło, palce u stóp i dłoni wykrzywiały się jak u opętanego.

Artur odwrócił wzrok. Wiedział, że odgłosy, jakie wydawała z siebie ofiara, będą go przesładować w koszmarach. Spróbował raz jeszcze siłować się ze sznurami, które od tej walki tarły mu skórę do krwi.

– aaaaaaaaaaaaa... – Nuta satysfakcji w głosie zabójcy zwróciła uwagę Artura.

Leśniczy, stojąc teraz plecami do rannego chłopaka, trzymał w dłoni szmatkę, którą wyciągnął w stronę fałszywego komisarza. Artur zauważył wydłubane oko leżące na splamionym krwią materiale.

Damian trzymał głowę odchyloną z otwartymi jak karp ustami. Nie krzyczał, stękał przeciągle. Czuł, jak ciepła krew spływała mu po zimnym, brudnym policzku, pokrywając go całęgo.

– Nie ruszaj się – zwrócił się do niego leśniczy. – Zaraz cię opatrzę.

– Zabij... zabij mnie... zabij...

Starzec odłożył oko starannie na stole, po czym podszedł do kominka, do którego dorzucił drewna zaraz po powrocie, zanim postawił Artura na nogi. Wyciągnął z niego długą łyżkę, teraz rozgrzaną do czarwonoci. Złapał Damiana za włosy i odchylił głowę.

– Co ja ci zrobiłem... co ja ci... AAAAAA!!!

Syczenie i zapach przypalonego mięsa uniosły się w powietrzu. Artur odwrócił wzrok, ale charczenie i wierzganie szybko ustało. Zabójca odszedł i wsadził łyżkę z powrotem do kominka, wciskając ją pod rozżarzone drewno, by była w gotowości. Nie był to dobry znak. Mężczyzna pozbawiony oka stracił przytomność, jego głowa zawisła luźno, a ciało zwiotczało. Artur przyglądał się uważnie jego unoszącej się klatce piersiowej. Jeszcze oddychał, ale ledwo.

Zabójca złapał za oparcie krzesła Artura i przechylił go do tyłu, po czym sunął nim po podłodze, aż dociągnął go tuż obok kominka. Złapał za kolejny sznur i przywiązał nogi krzesła do rury ciągnącej się wzdłuż ściany. Zabójca podszedł do umywalki niedaleko leżących martwych wiewiórek i królików. Obmył ręce z krwi, po czym wrócił przed stół. Założył gumowe rękawiczki i zaczął przygotowywać kolejną wysyłkę do gazety. Ułożył oko na świeżej szmatce i starannie włożył je do pudełka.

– Znęcasz się nad chłopakiem tylko po to, żebyś mógł stać się sławny? – powiedział Artur. – Podobno twoim motywem miało być prostowanie tego, co krzywe w społeczeństwie... a okazuje się, że jesteś kolejnym psycholem.

Zabójca uniósł palec do góry, nakazując mu, by czekał. Gdy oko było już spakowane, z folii wyciągnął schowany tam list z przyklejonymi literami wyciętymi z różnych czasopism, tworzącymi jego treść. Zapakował go jak prezent, obwiązał wstążką i włożył go do plecaka. Podszedł do drzwi wyjściowych i wyszedł, zamykając chatkę na kłódkę.

Artur poczekał chwilę, po czym spojrzał na nieprzytomnego Damiana. Próbował szarpnąć krzesłem, ale tym razem było związane mocniej.

– Kurwa... – wystękał.

* * *

Dwadzieścia lat wcześniej

Na udeptanej ziemi pomiędzy blokami osiedla Pekin w Nowym Sączu grupka dzieciaków wchodzących w wiek nastoletni grała w piłkę nożną. Cztery plecaki służyły za bramki, a stara, potargana szmacianka, kopana była od podbicia do podbicia. Dziewczyny w podobnym wieku siedziały na trzepaku kilkanaście metrów dalej. Każde z nich próbowało zabijać letni czas na kilka dni przed zakończeniem szkoły, z której właśnie uciekli. Do akcji wkroczył młody chłopak ścięty na języka. Kiwnął na jednego z kumpli, zagrał klepką z zawodnikiem z drużyny, mijając kolejnego i soczystym uderzeniem pokonał bramkarza, który pomimo swojej dużej masy nie zdołał obronić strzału.

– Goooooool!!! – wrzasnął chłopak, dumny z siebie. W ślad za nim, niczym gwizdek sędziego, zawył odjeżdżający z peronu pociąg.

– I co się jarasz jak głupi!? Lecisz za piłką! – burknął oburzony stratą bramki otyły chłopak, który wziął łyk oranżady.

– A żebyś wiedział! Ty i tak byś nie dobiegł!

Piłka wciąż turlała się za parking, mijając stojące tam auta, których wcale nie było tak wiele. Futbółka zatrzymała się na ścianie żywoplotu, który dzielił szare, komunistyczne bloki. Gdy strzelec

bramki był w trakcie pościgu, obie drużyny złapały się na środku boiska, by wyklócać się o wynik. Nikt z nich nie zerkał na strzelca szukającego piłki, kiedy ten miał trudności z jej namierzeniem. Docierając za blok, spał się cały ze strachu, widząc stojącego tam mężczyznę, który trzymał zgubę w rękach.

– Tego szukasz? – spytał.

– Tak, dziękuję.

Mężczyzna wyciągnął do niego szmaciankę, ale gdy chłopak po nią sięgnął, leśniczy cofnął rękę.

– Pamiętasz mnie? – zapytał, a chłopiec pokiwał głową twierdząco. – Jestem przyjacielem twojego taty.

– Mój tata umarł – powiedział smutny nastolatek.

– Wiem. Ale ja wciąż o nim myślę. Ty też? – Chłopak przytaknął. – Coś ci powiem. – Leśniczy kucnął.

– Tata na pewno opowiadał ci o tym, jak razem polowaliśmy w lesie. Może oddajmy piłkę twoim znajomym i pójdziemy razem do sekretnego miejsca, gdzie razem z twoim tatą czailiśmy się na największe dziki, jakie tylko mogliśmy znaleźć?

Chłopiec nie wydawał się przekonany.

– Mam tam niespodziankę, którą zostawił ci twój tata, i prosił mnie, bym ci ją przekazał, gdyby kiedykolwiek stało mu się coś złego.

– Jaką? – spytał chłopiec.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Twój tata powiedział, że tylko ty i nikt inny możesz ją otworzyć. Przeznaczona jest wyłącznie dla ciebie. Rano muszę jechać w bardzo daleką podróż i nie zamierzam tu wracać. Jeżeli teraz tam nie pójdziemy, już nigdy jej nie zobaczysz.

– Powinienem spytać mamy...

– Mama się nie pogniewa, dobrze ją znam. Poza tym wrócimy raz, dwa, nawet nie zauważysz, że cię nie ma – uśmiechnął się. – To co? Idziemy?

Chłopiec przytaknął.

Mężczyzna zostawił piłkę w miejscu, gdzie ją znalazł, wziął chłopca za rękę i razem poszli przez chaszczkę pomiędzy blokami w kierunku ulicy, gdzie czekało na nich jego auto.

* * *

Teraz

Usłyszał metaliczne kliknięcie kłódki, a zaraz po tym otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka silny przeciąg kłuszącego z zimna wiatru. Leśniczy wszedł do chatki i zamknął za sobą z hukiem drzwi, następnie rzucił głośno plecak na stół. Był wyraźnie zdenerwowany. Artur domyślał się, że musiało się coś stać.

– Suka... musiała tu... kurwa... – mówił pod nosem, rozpakowując rzeczy, a jego hałasowanie pobudziło nieprzytomnego Damiana, który zaczął majaczyć.

– Coś poszło nie tak? – zainteresował się Artur. – Policja na ciebie czekała? Oni już wiedzą, pogódź się z tym. Mają twój adres, znają pocztę, z której wysłałeś paczkę. Wiedzą też, do kogo należało ucho, które wysłałeś. Wszystko. Zrobiłeś się nieuważny, popełniłeś błąd z tym pudełkiem. Trzeba było siedzieć cicho...

– Zamknij ryj! Zamknij! Ryj! – Pogroził mu nożyczkami.

– No co!? Przecież to to ci chodziło!? Po co wróciłeś po takim czasie!? – Artur szarpnął się na krześle.

– Nie masz pojęcia... nie masz... – powtarzał leśniczy.

Odrzucił się do stołu i coś dalej mówił. Wtedy usłyszeli stękanie Damiana, a zabójca spojrział na niego, jakby zapomniał, że chłopak nadal tam siedzi. Artur widział jego wzrok. Widział zimny wyraz twarzy zmieszany z obrzydzeniem i nienawiścią. Wtedy zrozumiał, co starzec zamierza.

– Ej, patrz na mnie. – Artur próbował odwrócić uwagę leśniczego. – Znaleźli cię! Już tu idą. Dlatego tak się denerwujesz i masz rację, powinieneś się denerwować!

Leśniczy przełożył nożyczki do drugiej ręki i zaczął iść agresywnym krokiem do Damiana, z paskudną miną rysującą się spod zapuszczonym, siwym wąsem.

– Ej! Czekaj! Patrz na mnie!

Zabójca doskoczył i wbił nożyczki w klatkę piersiową związanego mężczyzny. Zaczął dźgać go raz za razem, a w każde pchnięcie wkładał coraz więcej emocji, coraz więcej siły, więcej złości.

– Kurwa mać! – wrzasnął Artur.

Nie było to zamierzone, nie było w tym sensu ani celu. Chciał się wyżyć, to wszystko. Po kilkunastu dźwiękach bordowa ręka zwolniła, aż zatrzymała się na ciele martwego już człowieka. Zabójca wstał i rzucił Arturowi pogardliwe spojrzenie, jakby ten miał być zaraz następny. Udując komisarza Michała Ptaka mężczyzna patrzył pod nogi. Nie chciał mieć przed oczami tego widoku, nie chciał, by nawiedzał go w koszmarach. Leśniczy zaczął podchodzić do niego, wystawiając w jego stronę nożyczki, z których kapłała teraz krew.

– Skąd? – burknął zabójca, przekrzywiając głowę, a w głosie czaiła się nuta groźby. – Skąd!?

– Co skąd? – spytał zdziwiony Artur.

– Skąd wiedziałeś? Widziałem cię, jak szperałeś w miejscu, gdzie obserwowałem złodzieja oszukującego dobrych ludzi na tanim bimbrze. Tego jebanego kapusia! Donosił na wszystkich w okolicy! Na każdego, kto od niego kupował! Wiedziałeś o tym? Obchodziło cię to w ogóle? – Wykrzywił twarz. – Nie. Ty masz to gdzieś, umiem poznać. Kim ty jesteś?

Artur zaśmiał się pod nosem, co bardzo zdziwiło leśniczego.

– Nie poznajesz? – zapytał i spojrzał na niego spod byka.

Zabójca potrzebował kilku chwil, ale wtedy otworzył szeroko oczy i wyprostował się. Złapał nożyczki do drugiej ręki i zaczął kręcić głową, uśmiechając się szeroko i ukazując nierówne uzębienie. Następnie podszedł do Damiana i rozciął mu więzy. Jego zwłoki padły bezwładnie na podłogę. Dosunął sobie krzesło przed Artura i usiadł, przystawiając mu do policzka zakrwawione narzędzie.

– Mały Arturek – zaśmiał się pogardliwie i ze złością – który zgodził się pójść ze mną, by zobaczyć pozostawoną mi przez ojca niespodziankę. – Zaczął śmiać się lekko, jakby czuł satysfakcję. – Urosłeś.

* * *

Dwadzieścia lat wcześniej

– To tutaj – powiedział leśniczy w koszuli w kratę z ciemnym kucykiem z tyłu głowy.

Wchodzili właśnie na werandę. Podeszli pod drzwi, a mężczyzna wyciągnął klucz i zaczął otwierać kłódkę. Chłopiec spojrzał za siebie na porośniętą trawą drogę, którą tu trafili, i w gąszcz lasu, w którym znikła. Miał ochotę uciekać, ale wiedział, że nawet gdyby mu się udało, to przyjechali tutaj samochodem i nie trafiłby do domu. Kłódka upadła na drewniany podest, strasząc chłopca, który omal nie podskoczył.

– Nie bój się. Nic ci nie grozi – rzucił facet i otworzył drewniane drzwi z głośnym zgrzytem.

Artur poczuł zapach stęchlizny. Drzewa zaszeleściły pchane wiatrem i syknęły liśćmi, stado ptaków uniosło się do lotu. Weszli do środka, a chłopak złał się potem ze strachu. Leśniczy zamknął za nimi drzwi i zatrzasnął kłódkę, tak by dzieciak nie uciekł. Gorące, parne powietrze w długo niewietrzonym wnętrzu dusiło od zapachu świeżej farby.

– Nie bój się, to po to, by żadne zwierzę nam tu nie weszło. – Poklepał go po ramieniu, ale po oczach chłopiec umiał poznać, że jego intencje nie były czyste. – Chodź.

Leśniczy wszedł w głąb chatki, słabo oświetlonej przez małe okienka, a chłopiec patrzył na zawieszane na hakach króliki i wiewiórki. Na stole leżał pokrojony i pozbawiony wnętrza bóbr. Nad zwłokami latały muchy, które siadały na jego oczach i organach. Klatka piersiowa chłopca poruszała się szybko ze strachu. Wtedy trzasnęła drewniana skrzynka, którą mężczyzna rzucił na stolik i stanął przodem do chłopca z oczami szerokimi jak pięćdziesiątówki.

– Zobacz.

Gdy chłopiec skracał dystans, blade i spocone ze strachu, leśniczy zaczął otwierać pudełko, ale zostawił mu pokrywę do przechylenia. Chłopiec spojrział na leśniczego, a ten zrobił krok w tył, zostawiając go samego z niespodzianką.

– No, dalej – zachęcał.

Chłopiec złapał za pokrywkę, dłonie mu drżały, a serce waliło jak podczas biegu.

– To prezent, który twój tata zostawił specjalnie dla ciebie.

Chłopiec otworzył pudełko.

* * *

Teraz

– Nie wierzę ci – warknął Artur, kręcąc głową. – Nie wierzę, że to było jego ucho. Nie wierzyłem ci wtedy i nie wierzę teraz.

– A czyje? Skoro nie umiałeś poznać ojca po kształcie jego ucha, to może nie był twój prawdziwy ojciec? Dwulicowi ludzie mają pod skórą zdradę. Matka zresztą była taka sama. I teraz ty... owoc zdrony z nasienia dwóch dwulicowych osób. Jesteś gorszy od nich.

– Spierdalaj. Nie mów do mnie, jakbyś mnie znał.

– A nie znam? – Leśniczy poprawił swój przeredzony kucyk. – Po co tu przyszedłeś? Sam? Bez wsparcia policji? Tylko ty? Bez świadków. Nie po to, by wsadzić mnie do więzienia. Przyszedłeś mnie zabić. Chcesz się zemścić za tatusia, który był kapusiem? Myślisz, że jest tego wart?

– Moja mama wyjechała z Nowego Sącza, uciekliśmy przed tobą. Do dzisiaj nie doszła do siebie. Najpierw zabiłeś tatę, potem uprowadziłeś mnie, na koniec groziłeś jej i prześladowałeś, wiedząc, że policja będzie miała za mało dowodów, żeby cię skazać. Nie pamiętam już dnia, w którym nie byłaby na lekach. Zniszczyłeś życie naszej rodziny, zniszczyłeś życie jej, ojca i moje, i przez to chciałem cię odnaleźć. Nie było dnia, żebym nie myślał o chwili, w której znów cię zobaczę. Byłem za mały, żeby pamiętać, gdzie znajdowała się ta chatka. Sam bym tu nie trafił. Wtedy wysłałeś pudełko, namierzyłem pocztę, reszta to już formalność. Rozwiąż mnie, to się przekonasz, jaki był powód, dla którego tu przyszedłem! – Szarpnął się wściekle, a rura zawyłła od nacisku.

– Aaaaa... myślisz, że przeżyłeś tego dnia dlatego, że twoja matka przybiegła tutaj z policją na czas? Nie zabijam dzieci, odwiózłbym cię do domu.

– Jesteś popierdolony, zdolny do najgorszego...

– Nie! – krzyknął i przyłożył mu nożyczki do policzka, a stróżka krwi Artura popłynęła w dół. – Ta suka powiedziała ci, gdzie mnie znaleźć, ale nie powiedziała ci, dlaczego to się dzieje!? Pofatygowała się, by ci to wyjaśnić!? Twój ojciec był kapusiem! Donosił na każdego, na kogo mógł, chcąc mieć łżej na policji, bo miał swoje za uszami. Kradzieże, wymuszenia, groźby. Odpuścili mu w zamian za informację! I on się zgodził! Nie można strzelać z ucha! Słyszysz!? – Przesunął ostrzem po jego uchu i naciał policzek, który splamił się teraz na czerwono. – Dowiedziałem się, że donosił też na mnie. O tym, że handluje skórami zwierząt objętych ochroną. Chciałem wyjaśnić, nie chciałem go zabić. Pokłóciliśmy się, ale on widział to inaczej. „Trzeba sobie radzić”, powiedział. „I patrzeć na siebie”, to jego słowa. Za-

częliśmy się bić i okazałem się lepszy. Wszystko wydarzyło się w tej chatce. Gdy leżał martwy, zauważyłem odcięte ucho. Nie potrafiłem stwierdzić, kiedy się to stało, ale nie miało to znaczenia, zrozumiałem, że to znak. Ten, który strzelał z ucha, stracił je, gdy zęgnął się z życiem. By w piekle wszyscy wiedzieli, za co tam trafili.

Artur milczał. Leśniczy puścił go i oparł się o krzesło, patrząc na zakrwawione nożyczki.

– Siedziałem trzy miesiące w tymczasowym areszcie. Potem mnie wypuścili i uniewinnili, bo nie było dowodów, że to ja. Wtedy chciałem ci pokazać, ile twój stary był wart...

– Czyli to wina moich rodziców? To wszystko? – Artur parsknął z kpiącym uśmiechem. – Ilu jeszcze było poza nim?

– Kilku. – Splunął i pociągnął nosem. – Ale nie od razu. Przez kilka miesięcy nikogo nie dotknąłem, siedziałem w chatce, robiłem swoje. Pomimo problemów nadal byłem leśniczym. Aż w końcu pojawił się gość, który, jak się okazało, miał mnie zastąpić. Miał wielkie, kurwa, pretensje, że korzystam z tej chatki jak ze swojej. „To nie twoja własność, musisz się wynieść, inaczej będę musiał to zgłosić”, wykrzykiwał. – Leśniczy w złości ściągnął brwi. – Nie docierało do niego, że to miejsce jest dla mnie drugim domem, jakby przywiązanie nie było dla niego nic warte! Jakby to, że wybudowaliśmy tę chatkę z twoim ojcem własnymi rękami, nie miało znaczenia! – Tupnął. – „Zgłoszę to na policję”, powiedział. Wtedy się zdenerwowałem. Dlaczego, gdziekolwiek nie pójde, trafiam na kapusiów? Czemu rodak donosi na rodaka? Powinniśmy się wspierać! Ale zamiast tego każdy rzuca sobie kłody pod nogi! Każdy tylko patrzy, by donieść na drugiego! Wtedy to zrozumiałem, że wszystko, co złe w tym kraju, wynika z tego, że Polak Polakowi wilkiem! Ktoś musiał to skończyć, a dzięki twojemu ojcu znałem nazwiska innych, którzy donosili psom. Mówił mi o nich.

– Więc go zabiłeś – dokończył Artur. – A potem kolejnego i kolejnego, w imię ideologii, jaką sobie ubzdurałeś. Nigdy cię nie złapali, bo nie było kogo złapać. Siedziałeś w tej chatce i żarłeś zabite zwierzęta, na które polujesz. Nikt cię nie znał, nikt nie widział, a część osób uznała, że wyjechałeś albo że zabójca zabił i ciebie. Jeśli mam zgadywać, żadnemu z policji nie chcieli się tu nawet zajrzeć po umorzeniu śledztwa. Trop się urywa.

Na chwilę zapadła cisza. Siedzieli tak, jakby byli na siebie obrażeni. W końcu Artur podjął:

– Nie rozumiem jednego, jaki związek z tym ma komendant wojewódzki z Krakowa? Czemu jemu tak bardzo zależy?

– Komendant był tym, któremu twój ojciec donosił. Szukał twojego ojca, nawet gdy policja już zamknęła śledztwo. Łaził po tych lasach. I był naprawdę blisko. Ogluszyłem go i przywiązałem do drzewa, obudził się z odciętym uchem i kartką, na której napisałem mu wiadomość. Zrozumiał, co się stanie, jeżeli będzie kontynuował. Wiedziałem, gdzie mieszka, od twojego ojca, jak widać nie umiał się powstrzymać, sprzedawał wszystko wszystkim. A komendant miał małą córkę i żonę, sporo do stracenia. Za dużo, by biegać za zabójcą kapusia i ryzykować utratą rodziny. Odpuścił.

– Ja nie donoszę – wtrącił Artur. – Czyli mnie nie zabijesz?

– Ty nie donosisz... – powiedział i nachylił się. – Mówisz, że nie donosisz, a zanim tu wróciłem, natknąłem się na kogoś z policji. Skąd wiedzieli, gdzie szukać? Skąd wiedzieli, w jakiej okolicy jest chatka? Jesteś tak samo zakłamany jak twój stary. Do momentu, aż się nie pojawiłeś, nie umieli połączyć kropek przez piętnaście lat, a teraz są blisko. Mieli tylko o mnie wszystkim przypomnieć, ale przez ciebie są na moim tropie przez to, co im na mnie doniosłeś!

Leśniczy wbił mu nóż w udo, a Artur zawył z bólu i zaczął się szarpać jak dziki zwierz. Wtedy zabójca poszedł na drugi koniec chatki i wyciągnął pudełko, które Artur od razu rozpoznał. Zakreślił nożyczkami na palcu i zaszedł fałszywego komisarza od tyłu. Pochwycił go mocno za włosy, po czym otworzył nożyczki i wsunął ucho pomiędzy ostrza.

– Od twojego ojca się zaczęło, na tobie się skończy...

ROZDZIAŁ 14

Układ

Radiowóz policyjny zahamował ostro, przeslizgując się kilka metrów po grubym śniegu. Posterunkowa była już w Łącku przed domem zabójcy tuż na skraju ciemnego jak otchłań lasu. Wyrzwała przez okno, patrząc w czarne okna opustoszałego domu. Leśniczego nie było na miejscu albo nie włączył światel, by ukryć swoją obecność. Chciała wysiąść, ale dzwoniący telefon zaczął domagać się uwagi. To był podinspektor Zalewski, wiedziała, że musieli go poinformować o tym, że odjechała z miejsca, w którym członkowie gangu braci Straszewskich porzucili pojazd z dowodami, i że zabrała radiowóz. Facet nie jest głupi, musiał się domyślać, co ją tak zajmuje. Zlapała za nokię i odebrała.

– Mam nadzieję, że zawartość bagażnika nie została zalana octem? – zaczęła od razu.

– Nie. Dowody są zabezpieczone. – Słyszała wyraźną przerwę. – Irena, nie zgrywaj bohaterki – podjęła. – Wiem, że masz coś na zabójcę odcinającego uszy. Nie musisz tego robić sama, wyślę kogoś z grupy dochodzeniowo-śledczej. Cholera, sam przyjadę, jeżeli to...

– Nie wiem, czy coś mam... – weszła mu w słowo. – Sprawdzę i się odezwę.

– Sprawdzisz i dasz znać, tak mam to rozumieć? A co, jeżeli to znów będzie zasadzka? Gdzie ty jesteś?

Chciała mu powiedzieć, chciała, by ktoś był tu teraz z nią.

– Halo? Jesteś tam? – dopytywał podinspektor.

– Jeżeli to pułapka, to przynajmniej miał pan rację.

– Z czym?

– Z tym, że lepiej nie pracować z młodymi. – Rozłączyła się i sprawdziła pistolet samopowtarzalny P-64. W magazynku zostały jej jeszcze cztery kule.

Wyszła z samochodu, a mokre od śniegu dżinsowe spodnie zapiekły od zimna. Podeszła do bramy, którą otworzyła ostatnim razem. Skrzydła uderzyły o zepchnięty wcześniej śnieg. Znajdując się po drugiej stronie, świeciła latarką równo z linią strzału, gdy w drugiej ręce trzymała spluwę. Widziała teraz, o co chodziło sprzedawcy, kiedy mówił o burdelu w ogrodzie. Jedno wielkie wysypisko przeróżnych rzeczy wrzuconych jedna na drugą, a teraz przykrytych warstwą śniegu.

Przyszło jej do głowy, że takie stare domy często miały piwnice. Być może ten miał swoją ukrytą gdzieś w podłodze, ostatnim razem nie szukała niczego podobnego. Teraz jednak musi być bardziej dokładna. Znajdzie i uratuje Michała, kimkolwiek on jest. Podchodziła bliżej, patrząc po oknach, nawet na to w drugim domu, z którego wcześniej ktoś ją obserwował. Również było ciemne. Usłyszała niskie, grube warknięcie i szczekanie. Rottweiler wybiegł zza domu, wzbijając łapami śnieg i pędząc wprost na nią. Posterunkowa chciała uciekać, ale tempo biegnącego wściekłego zwierza było dla niej zbyt szybkie, i wiedziała, że nie zdąży dobiec do płotu na czas. Wystrzeliła kulę w powietrze, a huk pistoletu sprawił, że pies się zatrzymał, wbijając łapy w śnieg. Pochylił łeb, sierść na grzbiecie postawił jak kolce jeża, wyszczerzył ostre zębiska z żółtym osadem przy dziąsłach, spod których ciągnęła się gęsta, spieniona ślina. Wściekle, wypełnione czernią oczy i kilkutonowy uścisk gotowych do zaatakowania szczęk skierowane były teraz wprost na nią. Irena była przerażona. Dłoń, trzymająca latarkę, drżała.

– Siad! – krzyknęła, ale ze strachu nie mogła złożyć prawidłowo ust, by zagwizdać. – Spokojnie, spokojnie, nic się nie dzieje... – Zmiękczyła ton głosu i nadal celowała w niego, pamiętając, że miała jeszcze tylko trzy kule.

Stali tak i patrzyli na siebie. Z pyska i spod ostrych zębisk spływała pilnującemu terenu psu piana, która opadała na śnieg z każdym szczenięciem. Przerazenie mroziło jej krew w żyłach bardziej niż grudniowy mróz, a wizja zagryzienia przez rozjuszone zwierzę zablokowała jej właściwą ocenę sytuacji. Nie wiedziała, co robić.

– Do budy! Do budy, słyszysz!? – wydała rozkaz.

Zrobiła krok w jego stronę. Krótki, testowo, by nie wymusić ataku. Wiedziała, że nie wolno jej się cofać. Nie może pokazać, że zwierzę ma przewagę. Pies, ku jej zaskoczeniu, zaczął się cofać, ale z każdym krokiem Ireny wracał do bojowej postawy, naskakując na przednie łapy i zlizując coś z zębów. Był zjeżony do granic, a mięśnie rysowały mu się na silnym karku i łapach. Nie przerywał ciężkiego warkotu docierającego do niej z jego rozwartych szczęk. Szli za dom, mijając wejście oraz zagrodę. Szli dalej, zbliżając się do wybiegu zbudowanego z zespalanych rur. Pies ruszył na nią na odległość dwóch kroków, szczekając, a ona znów wystrzeliła w powietrze. Zostały dwa naboje. Podziałało. Pies ponownie odskoczył, przestraszony, i zaczął się cofać. Nie mieli daleko, od kojca dzieliło ich kilka kroków.

– Do budy! Do budy! Już! – powtórzyła komendę.

Pies wycofał się wreszcie na teren wybiegu, ale mimo iż łapami był w środku, leb wciąż wystawał poza linię bramki. Irena złapała za metalowe drzwiczki od kojca i nie przestając celować w psa, wolno i ostrożnie zamykała bramkę. Nagle pies ruszył, a posterunkowa całym ciałem docisnęła drzwi. Te się jednak nie zatrzasnęły, blokował je wciśnięty pomiędzy dranki gruby kark, nie pozwalając Irenie ich zamknąć. Siłowała się z bydłakiem, ale był zbyt potężny. Czowała, jak się przeciska, a unoszące się teraz charczenie i szczek wściekłego zwierzęcia były wyraźnym sygnałem, że negocjacje się skończyły. Czowała, jak się wyslizguje, jak jego umięśniony korpus pchany przez cztery wbite w śnieg łapy przeciska się przez dociskaną jej ciałem bramkę.

Wściekły pies wyskoczył, przewracając się, a bramka trzasnęła z rozpędu posyłając posterunkową na kolana. Rottweiler zbierał się, rozkopując śnieg, i wstał na cztery łapy...

* * *

„Boże, pozwól mi to przeżyć” – powiedział Artur w myślach.

Mocne uderzenie ciężkiego noża wbiło się w drewnianą podłogę, przebijając się wreszcie przez kość. Podczas gdy zabójca kroił zwłoki Damiana za ciężką kotarą, Artur patrzył na kilka worków wypełnionych kawałkami ciała młodego mężczyzny, które stały oparte o ścianę niedaleko stołu. Czekwały, aż leśniczy je skompletuje. Na stole leżało małe pudełeczko, w którym zabójca złożył wszystkie zęby ofiary. Słyszał, jak pakuje ostatnie kawałki jego ciała, po czym przyniósł następny ciężki worek, opierając go o pozostałe. Dwie odcięte dłonie położył na wyłożonym folią stole, palcami do góry, gdzie przypominały teraz martwe pająki.

Spełtane ręce i nogi bolały, sznur wpijał się w przeguby Artura. Na twarzy i szyi czuł ciepłe strużki krwi płynące z odciętego ucha. Rana pulsowała mu w rytm uderzeń serca. Chociaż ból był znośny, domyślał się, że to za sprawą adrenaliny i instynktu przetrwania. Wyparty strach przenikał go teraz na wskroś, coraz trudniej było mu zachować spokój, czuł, że z gościa, który przyszedł do opuszczonej chatki, by zabić w imię zemsty, przekształcał się w ofiarę, zdaną na łaskę oprawcy. „Weź się, kurwa, w garść!” – przywoływał się do porządku.

Artur nie należał do strachliwych, przeżył wiele i zrobił drugie tyle osobom, które siały postrach na osiedlu, w szkole czy potem na ulicach Krakowa. Jednak to, co miał teraz przed sobą, wzbudzało w nim czysty i pierwotny strach. Strach podbudzany wizją tego, że zaraz to on będzie ćwiartowany jak Damian i wrzucony do worków jak stary mebel. Zamknął oczy i wstrzymał oddech, zaciskając zęby. Całe jego ciało było napięte jednym skurczem, a gorąc nie opuszczał go od długiego czasu.

Obserwował jedynie, jak zabójca mija go i zaczyna grzebać w rozpalonym kominku. Drzewo strześliło, sypiące iskrami, zrobiło się jaśniej i cieplej. Leśniczy w zaruconym na siebie ciężkim, schlapanym krwią fartuchu i rękawicach jak rzeźnik, by nie splamić ubrania, wyciągnął żelazny drut z małą łyżką

na końcu i podszedł do odciętych dłoni leżących na stole. Złapał za pierwszy palec i przyłożył do opuszki, rozgrzaną do czerwoności stal, uniosło się syczenie przypalanej tkanki oraz smród spalonego mięsa. Robił tak z każdym palcem, po czym wrzucił dłoń do worka, choć opuszki dymity jeszcze jak zgaszone świece. Sięgnął po drugą dłoń.

– Twoje ofiary były znajdowane całe, z wyjątkiem uszu – powiedział Artur. – Skąd ta zmiana?

Strzec nie odniósł się jednak do pytania, tylko splunął, skończył wypalać odciski palców z drugiej dłoni i dorzucił ją do reszty.

– Ej... ogłuchłeś!? Nie widzę, by brakowało ci uszu... ty skurwy... – zdenerwował się Artur, nie rozumiejąc tego, co się dzieje.

Zabójca zsunął z dłoni gumowe rękawiczki, po czym oparł ręce na biodrach, łapiąc oddech i zdjął z szyi ciężki, gumowy fartuch, z którego kapala jeszcze krew Damiana. Wszystko położył na ostatnim worku, gdzie kawałków ciała było mniej. Odpalił papierosa, przykładając sobie rozgrzaną stal wyjętą z kominka do fiffki. Następnie włożył świeże rękawiczki, niebieskie jak u chirurga, i ruszył do związanego mężczyzny. Leśniczy kucnął i złapał go za prawą dłoń. Artur zaczął się rzucać, zacisnął pięść, by uniemożliwić mu odcięcie palca. Starzec przyłożył rozgrzaną stal do jego skóry pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i szybko cofnął. Tak by jedynie oparzyć, ale nie zranić mu ręki.

– Aaaaaa, pojechało cię!? – wrzasnął Artur.

Leśniczy wstał i oparł ostrożnie stalowy kij przy kominku. Następnie wszedł do pomieszczenia za drewnianymi drzwiami, szukał tam czegoś. Artur próbował zerkać na zranioną dłoń, która była teraz oparzona, choć nie rozumiał, w jakim celu oprawca to zrobił. Po chwili usłyszał szuranie czegoś ciężkiego. Mężczyzna z końskim, siwym kucykiem ciągnął po podłodze dzika. Zwierzę było żywe, ale wycieńczone, jakby głodził je od wielu dni. Nie miało siły walczyć czy choćby nawet stanąć na nogach, ale oddychało i popiskiwało.

Morderca w rozpiętym grubym swetrze, spod którego wystawała znoszona, czerwona koszula w kratę, podciągnął dzika do miejsca, gdzie kroił przed momentem Damiana. Stanął za nim i uniósł łeb dziłkiego zwierza, po czym szybkim ruchem podciął mu gardło. Krew chlusnęła szeroko jak z rozciątego bukłaka i przykryła tę ludzką. Artur teraz rozumiał, co się dzieje i to, w jaki sposób zdołał uniknąć skazania przez cały ten czas. Dowody zbrodni mieszały się z tkankami mordowanych tu zwierząt. Dla analityków niemożliwe było, by potwierdzić, że cokolwiek z tego, co tu znaleźli, pasowało do DNA zabitej ofiary.

Leśniczy jednak nie chciał zabić związanego mężczyzny, chciał zrobić coś gorszego.

– Wrobisz mnie – odgadł Artur, zgrzytając zębami ze złości.

Zabójca puścił łeb dzika i znów łapał oddech. Widać było po nim, że sam rozumie, iż robi się na to za stary. Przetarł spocone czoło o rękaw swetra.

– Pocięte ciało, wyrwane zęby, przypalone odciski palców, wszystko po to, by nie można było zidentyfikować ofiary. A narzędzia, którymi wyrwalesz zęby i przypalalesz odciski, następnie wymacalesz moimi palcami, to przypalenie na mojej dłoni... Chcesz, by stwierdzili, że musiałem się oparzyć podczas wyciągania ich z kominka. Krew zwierza ma wyglądać, jakbym próbował zacierać ślady, ale niezdarnie, bo na stole i pod stołem znajdują jej więcej i ta już będzie pasowała do tej w worku – parsknął. – Kurwa, tylko że mnie już tu nie będzie, zanim przyjdą.

– Będziesz. – Leśniczy odsapnął. – Związany, tak jak teraz. – Wrócił do stołu i sięgnął po fiffkę. – Policja tu wpadnie i zobaczą cię skrupowanego, po czym pozbięrają wszystkie dowody, jakie im tutaj zostawię. Na początku pomyślą: „O kurwa, uratowaliśmy gościa w ostatniej chwili, zabójca pewnie uciekł”. Ale potem przyjdą wyniki z laboratorium i okaże się, że wszystko, co zaszło w tej chatce, było robione przez ciebie i żadnych odcisków poza twoimi tutaj nie ma. – Złapał za duże nożyczki i podszedł do Artura. – Zwodziłem ich przez lata. To nie takie trudne, gdy rozumiesz, według jakich zasad się poruszają. Opowiadał mi o nich twój ojciec. Tłumaczyli mu, czego ma szukać i na co zwracać uwagę, by donos okazał się skuteczną. Był ich pieskiem, tresowanym, jak im pasuje.

– Co robisz? – spytał Artur, patrząc na narzędzie.

– Wtedy pomyślał: „Kurwa, gość próbował nas oszukać i wmówić nam, że jest ofiarą, mimo iż to on wszystko wiedział. Jest za młody na to, by zabijać piętnaście lat temu, ale to nie znaczy, że nie próbował teraz go naśladować i krew ostatnich trzech ofiar jest na jego rękach. W końcu coś łączy go z głównym podejrzany. I przyłożył się do tego tak dobrze, że nawet dla niepoznaki odciął sobie własne ucho”. A potem powiedzą jeszcze: „O cholera! Ten gość jest synem pierwszej ofiary zabójcy, zatem musi mieć odbitą pieczęć na swojej psychice, dlatego to teraz robi. Ale nie z nami te numery”. – Leśniczy gestykował nożyczkami w trakcie opowiadania. – „Jesteśmy od niego mądrzejsi”.

– Poczekaj! – krzyknął jeszcze Artur, gdy starzec stanął za nim.

Mocował się z więzami z całej siły, nie zważając na rany, jakie sobie tym wyrządza. „Albo wszystko, albo nic” – pomyślał. Krzyczał, wrzeszczał, na ile gardło mu pozwoliło.

Usłyszał metaliczne zgrzytnięcie otwieranych nożyczek.

* * *

Rottweiler z wbitymi głęboko zębami w lydkę posterunkowej ciągnął ją do siebie mocnymi szarpnięciami łba. Irena wrzasnęła, ciągnięta tyłkiem po zamarzniętym śniegu. Celowała mu w głowę, ale za bardzo się rzucał i poczekała, aż jego łeb na chwilę się zatrzyma.

Strzeliła, a kula przebiła czaszkę zwierzęcia. Krew chlapnęła, a posterunkowa poczuła lepkie, gorące krople na swojej twarzy. Czarne bydlę osunęło się na śnieg wymieszany z ziemią wydrapaną jego pazurami. Psie zęby dalej były zatopione w jej nodze. Irena wsunęła palce w pysk zwierzęcia i podważając szczękę, uwolniła się ze stalowego uścisku. Nawet nie chciała patrzeć na ranę, cała nogawka dzinsowych spodni była podarta i brudna od krwi. Podniosła się, z ogromnym bólem utrzymując ciężar na zdrowej, prawej nodze. Spojrzała na pistolet, została jej jedna kula. Podskakując, skierowała się do ważonych wcześniej drzwi wejściowych, wpadła do środka i zamykając je, oparła się o nie plecami, by odpocząć.

– Trzy kule na jebanego psa – wysapała, walcząc z ogromnym, piekącym bólem.

Podskakując ostrożnie na jednej nodze, dotarła do kuchni. Było ciemno, czerń zakrywała przed nią każdy fragment domu, poklepała się dłonią po pasku w poszukiwaniu latarki, ale zorientowała się, że musiała jej wypaść podczas szarpaniny z psem. Włączyła nokię, a zielone światło wyświetlacza pozwoliło jej namierzyć lampkę olejną stojącą na lodówce. W szufladkach wciąż były zapalki. Parę chwil później ciepłe światło płomyka rozjaśniło pomieszczenie. Posterunkowa poszukała apteczki, która schowana była w szafce nad zlewem. Znalazła tam wszystko, czego potrzebowała: bandaże, wodę utlenioną, nawet zestaw do szycia. Data ważności dzieliła się na wyposażenie bardzo przeterminowane bądź zaraz po terminie, nie była jednak w sytuacji, by pozwolić sobie na wybrzydzenie. Wysypała na dłoń przeciwbólowe tabletki i połknęła cztery za jednym razem, pijąc je lodowatą wodą z kranu. Przez ból zbierało się jej na wymioty i czuła, jak wiotczej jej mięśnie. Wzięła głęboki wdech, a potem następny, by pozbierać się do kupy. Podniosła nogawkę i odruchowo odwróciła głowę.

– Ja pierdołę – zaklęła, widząc nie tylko ślady po wbitych zębach, ale też poszarpane w dwóch miejscach mięśnie. Wiedziała, że porusza się jeszcze tylko przez końską dawkę adrenaliny i strachu, inaczej by nie wstała. Zalała lydkę wodą utlenioną i uderzyła pięścią o stół, licząc, że to pomoże jej przetrwać ból rozdzierający nogę aż do pachwiny. Przyłożyła gazę do ran, a całą lydkę owinięła mocno bandażem. Następnie zsunęła z powrotem porwaną nogawkę i wstała, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze.

Kuśtykając, sprawdziła dom. Zajrzała do salonu, każdego z pokoi, do łazienki oraz na strych, ale nie znalazła niczego podejrzanego. Kierując się ku wyjściu, zerknęła na kurtki wiszące na przybitych do boazerii wieszakach. Gwizdy, jakie dochodziły do jej uszu, zwróciły jej uwagę. Podeszła bliżej i pchnęła ścianę, która kliknęła i wyskoczyła. „Ukryte przejście?” – domyśliła się nieco zaskoczona. Nie umiała jednak go otworzyć, zaczęła więc kombinować z wieszakami. W końcu pchnęła jeden, jakby wajchłą do góry, i coś przeskoczyło. Drzwi z boazerii się uchyliły.

Otworzyła je, czując powiew cieplejszego powietrza, które śmierzdziało stęchlizną dawno niewietrzonego pomieszczenia. Ujrzała schody prowadzące pod budynek i ściany z betonu. Lampka olejna oświetlała tylko pierwsze stopnie, pozostawiając wszystko, co znajdowało się u podnóża schodów, w czarnym mroku.

– Michał? Jesteś tam? – zawołała, ale nie usłyszała odpowiedzi. – Wydadź odgłos, cokolwiek – dodała, stawiając pierwszy krok.

Weszła do piwnicy, nie doczekawszy się żadnego dźwięku. Wiedziała, że fałszywy komisarz mógł być nieprzytomny. Ostrożnie opierając się o ściany, zeskoczyła stopień po stopniu na dół. Spowita mrokiem piwnica, oświetlana jedynie ciepłym światłem olejnej lampki, wyloniła przed nią warsztat. Wiszące na ścianie stare rowery z ze spuszczonego powietrzem w oponach i pajęczynami pomiędzy szprychami. Motorynkę z odkręconą świecą i kilkoma narzędziami pod małym silnikiem. Smród gęste i kwaśnego zagrzybiałego powietrza, który spowijał ściany, utrudniał oddychanie. Piwnica była mała, nie większa od pokoju w jej mieszkaniu. Na drewnianym stole zauważyła kilka czerwonych kropeł, choć motor był zielony, co wykluczało farbę. Wtedy zwróciła uwagę na lodówkę postawioną w rogu, zaraz przy małych okienkach wyglądających na ogród, które teraz przysłonięte były śniegiem. Maszyna buczała i działała. Musiała mieć osobne zasilanie.

Zbliżyła się, a serce stanęło jej w gardle. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem bała się tak bardzo, jak teraz. Myślała o tym, co może znaleźć za tymi drzwiami. Otworzyła drzwiczki z dźwiękiem uderzonych o siebie słoików, a światło ze środka raziło ją w oczy. W lodówce znalazła dwa kolejne pudełka, dokładnie takie same jak te, które zabójca wysłał do siedziby gazety. Wyciągnęła jedno z nich i położyła na drewnianym stole obok narzędzi. Palce jej drżały, gdy zaczęła ściągać wstążkę, którą było owinięte. Następnie wolno otworzyła wieczko i odskoczyła, widząc kolejne odcięte ucho, gotowe do wysłania razem z liścikiem. Wiedziała, że musi się spieszyć. Michał był w niebezpieczeństwie, o ile jeszcze żył. Wiedziała, że nie ma wiele czasu. Zabójca wie, że policja kręci się blisko jego domu, wie, że go szukają.

Wyciągnęła telefon i wykręciła numer do podinspektora Zalewskiego, ale palec zatrzymał się nad przyciskiem zielonej słuchawki. Nie mogła zadzwonić. Nie mogła zrzucić tego na siebie i Michała. Doszła do wniosku, że zgłosi to dopiero, gdy go uwolni, gdy nie będzie go na miejscu zdarzenia. Schowała telefon do kieszeni i wyszła z domu. Podniosła latarkę leżącą obok bordowego śniegu nasiąkniętego krwią martwego psa. Dokuśtykała do samochodu i odpałała go. Czula że tabletki przeciwbólowe zaczynają działać. Rozpędziła się i wjechała pod górkę, docierając do ciemnego, przerażającego lasu, który jakby pożerał ją w całości. Nie miała pojęcia, gdzie jedzie i czy znajdzie tam Michała. Auto buksowało, tylna oś przesuwiała się na boki w trakcie dodawania gazu, ale pojazd posuwał się do przodu i to było najważniejsze.

Podróż przez gęsty las, oświetlony jedynie lampami radiowozu, pobudzała jej wyobraźnię, rysując wszelakie, straszne scenariusze. To wszystko sprawiało, że miała ochotę zawrócić. Złapać za gruszkę i wezwać pomoc, cokolwiek, byle nie być tu teraz w pojedynkę. Przysięgała sobie w myślach, że już nigdy nie zgodzi się na drogę na skróty, którą w jej przypadku było pójście na układ z Michałem. To była jej pokuta, jej karma. Nie potrafiła sobie tego inaczej wytłumaczyć.

Po kilkunastu minutach dotarła do miejsca, gdzie zauważyła między drzewami stojący terenowy samochód, ten sam, który spotkała tu ostatnim razem. Wylączyła światła, tak by nie zwracać na siebie uwagi. Zatrzymała się za nim, uniemożliwiając mu wyjazd na ubitą drogę. Wysiadła i obeszała pojazd, kuśtykając na jednej nodze. Przyświeciła latarką i zerknęła do środka przez szyby, nie widziała tam jednak niczego szczególnego. Auto było zamknięte, ciągnięcie za klamki nic nie dało. Obeszała pojazd od strony kierowcy i zauważyła ślady w śniegu. Ludzkie kroki prowadzące w głąb lasu.

Irena oparła się o samochód terenowy i sprawdziła magazynek, był pusty. Jedyne naboje, który miała, znajdował się już w komorze pistoletu.

– Świetnie. Z jednym nabojem i jedną nogą na seryjnego mordercę – powiedziała do siebie ze smutną, cyniczną nutą w głosie.

Poprawiła się i poszła w ślad za zabójcą. Droga była długa, a ona sama nie używała już latarki. Nie chciała, by dostrzegł ją w oddali. Jej oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności, a dzięki niskiej temperaturze ból pogryzionej nogi był do wytrzymania. Usłyszała dźwięk dochodzący z niewielkiej odległości. Szła w kompletnym mroku, gdzie ciężko było zauważyć choćby kontury drzew. Nawet biały śnieg niewiele pomagał. Las żył i mówił do niej, szeptał przez wiatr, warczał, łamiąc gałęzie i prychał spadającym z drzew śniegiem. Słyszała zwierzęta przechodzące swoimi pobliskimi ścieżkami. Bała się. Bała się tak mocno, że nie wytrzymała i wyciągnęła latarkę, zasłaniając światło dociskaną do żarówki dłonią.

Przez przebijające się przez tkankę jej dłoni czerwone światło nie widziała lasu tak wyraźnie, jak było jej to potrzebne. Co chwilę prostowała palce, by zobaczyć, co jest przed nią i od razu je zamykała, blokując promień światła. Pod nogami skrzypiało zmrożone leśne poszycie. Posterunkowa podświetlała otoczenie po bokach i za plecami. Ścierpła jej skóra, gdy usłyszała wycie czegoś w oddali. Nie był to wilk, jednak nie umiała stwierdzić, do jakiego zwierzęcia należał ten odgłos. Coraz bardziej nerwowo przekładała latarkę i coraz rzadziej zakrywała ją dłonią. Młode świerki, wychylające się spod śniegu, nie ułatwiały przeprawy, szczególnie z ranną nogą. Coś strzeliło. Ukłękła i wycelowała w miejsce, skąd dochodził dźwięk. Z ust unosiły się obłoki pary, a dłonie były zimne pomimo włożonych na nie rękawiczek.

Niczego jednak nie widziała, a las zrobił się nagle cichy. Nawet wiatr ustał, gdy poszła dalej. Niedługo później zauważyła ciepłe światło w oddali i od razu zgasiła latarkę, choć zrobiła to niechętnie. Podeszła bliżej, chowając się za krzakami i powalonym drzewem. Zauważyła drewnianą chatkę, w której małym okienku mrugało zapraszająco ciepłe światło lampki.

– Jest – powiedziała sama do siebie. – Znalaz... – Nie dokończyła.

Usłyszała głośny ryk bólu dochodzący z wnętrza domku. Irena ruszyła biegiem, utykając na jedną nogę. Trzymała w dłoni pistolet, odbezpieczony i gotowy do strzału. Dobiegając do ściany, zairażowała przez okienko. Gęsta firanka nie pozwalała na dokładną obserwację, mogła dostrzec co najwyżej cienie, ale w niczym jej to nie pomogło. Krzyki nie ustawały. Po głosie nie umiała poznać, czy był to Michał, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia i musi się tam dostać. Weszła do środka, a wraz z nią do izby wpadła chmura niosącego się z przeciagiem śniegu, który zatańczył i zakręcił się migotliwie w powietrzu.

– Policja! Odsuń się od niego! – wydała rozkaz.

Zabójca stał za Arturem, którego Irena знаła jako komisarza Michała Ptaka z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Związany krzyczał głośno i siłował się ze sznurami, które go więziły. W miejscach, gdzie wcześniej znajdowały się uszy, były teraz zalane krwią rany, z których posoka spływała aż na ramiona.

Irena trzymała leśniczego na muszce, który stał teraz za wierzgającym Arturem i w jednej ręce trzymał zakrwawione nożyczki, a w drugiej odcięte ucho. Przez kilka sekund patrzyli na siebie w bezruchu, choć starzec nie wydawał się przestraszony. Wolno kucnął, czyniąc Artura swoją żywą tarczą.

– Rozwiąż go! – rozkazała posterunkowa. – Już!

Zabójca chował się za związanym, wyglądając zza zakrwawionej głowy ofiary. Nie odpowiadał przez moment, aż w końcu wystawił czerwone od krwi nożyczki i wskazał nimi na stół.

– Odłóżysz broń. Tam – powiedziała półszepem. Tak niewyraźnie, że ledwo go słyszała.

– Rób, co mówię! – krzyknęła rozkazującym tonem.

– Zastrzel go – wystękał Artur.

– Co? – zdziwiła się. – Ale...

– Strzelaj! Próbuje... mnie zrobić w te zabójstwa!

Leśniczy chciał podejść, ale widząc, że policjantka nadal celowała w niego z pistoletu, znów się zatrzymał. Następnie wystawił głowę z ukrycia i szybko ją cofnął. Obmierzły uśmiech i oczy przepelnione

nienawiścią zdradzały intencje oraz psychopatyczną osobowość starca. Powtórzył tę czynność, testując niedoświadczoną policjantkę.

– Ręce do góry, tak żebym je widziała! I rozwiąż go w tej chwili!

– Muszę zatamować krwawienie – odparł, utrzymując ton w niewyraźnym półszepcie.

– Co? – dopytała.

– Muszę go uratować, żeby mogła go pani zawieźć na komendę. Bo tego pani chce, tak? Ukarać go za jego zbrodnię?

Zabójca wyciągnął zamkniętą pięść przed siebie, po czym otworzył palce, a ucho opadło Arturowi na kolana razem z nożyczkami. Artur odwrócił głowę i zastękał, nie chciał patrzeć na odciętą część swojego ciała. Leśniczy kucnął i zaczął zbliżać się do rozpalonego kominka.

– Co robisz!? Powiedziała ci, żebyś go rozwiąza... kurwa mać! – krzyknęła przerażona, widząc kawałki ciała wystające z worków, które oparte były o drewnianą ścianę obok stołu. Przyłożyła dłoń do ust, choć sama nie była pewna, czy zrobiła to ze zdziwienia, czy z mdłości.

– Gdy tu dotarłem, te worki już tam były – kontynuował leśniczy. – A twój kolega na krześle wylewał krew świni, by zataić dowody swojej zbrodni. Cwany mały lis jak jego ojciec.

Starszy mężczyzna złapał za metalowy przyrząd, rozgrzany teraz do czerwoności, po czym zanurkował za krzesłem Artura.

– Co robisz!? – zapytała głośno Irena. Serce waliło jej jak młotem. – Odłóż to, bo będę strzelać!

Zmarszczki na twarzy leśniczego się pogłębiły, a on sam wysunął język, jakby ten miał pomóc mu się skupić. Wyciągnął rozgrzane narzędzie, a Artur, czując jego ciepło, uciekł w bok głową.

– Irena, nie pozwól mu! Strzelaj! – wołał do niej fałszywy komisarz.

Posterunkowa położyła palec na spuście, ale nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Zabójca przyłożył rozgrzany metal do odciętego ucha Artura. Tkanka zasyczała w tej samej chwili, w której z gardła mężczyzny wyrwał się wrzask. Nie mogła z nim wejść w szarpaninę, z ranną nogą była bez szans, a została jej ostatnia kula. Zabić go też nie mogła. Jednak ryk bólu, jaki wydobywał z siebie Artur, nie pozwalał jej na zwykłe patrzywanie.

Pociągnęła za spust, a broń wystrzeliła, na ułamek sekundy rozjaśniając chatkę. Potem zapadła cisha. Facet zastygł jak zamrożony, wciąż pochylony nad Arturem, ale nie przypalał już jego skóry. Ofiara stękała z bólu z twarzą spiętą do granic. Ranny mężczyzna z trudem brał kolejne wdechy. Irena patrzyła, jak dym ulatnia się z rozgrzanej lufy po tym, jak wystrzeliła ostatni nabój. Wcisnęła przycisk zatrzasku zamka, a ten przeskoczył. Nie chciała zdradzać, że nie ma już amunicji. Nie trafiła w nikogo, był to strzał ostrzegawczy i od razu zaczęła tego żałować. Jednak zabójca o tym nie wiedział.

– Teraz go rozwiąż. – Uniosła broń wyżej, celując prosto w leśniczego. – Drugi raz nie chybię.

Mężczyzna w starym swetrze, spod którego wystawała czerwona koszula w kratę, miał pochyloną głowę i przytaknął posłusznie dopiero po chwili. Nie spodziewał się, że dziewczyna strzeli. Obszedł wolno swoją ofiarę i zaczął odwiązywać jej prawą rękę. Fałszywy komisarz stękał cicho i próbował wyrównać oddech. Irena zaczęła się rozglądać po chatce, patrzyła na pocięte zwłoki w workach, wiszące zwierzęta na ścianach oraz martwego dzika z poderżniętym gardłem tuż za dużą kotarą. Krew spływała do małego otworu w podłodze. Gdy zerknęła za siebie na otwarte drzwi, zmieniając ciężar ciała, poczuła, że zabolą ją pogryziona noga i zastękała z bólu.

Nie uszło to uwadze leśniczego, który zastygł nagle w bezruchu i wskazał palcem na jej bordową już łydkę w potarganych dżinsach, spod których wystawał biały bandaż.

– Skąd to masz? – Przestał odwiązywać Artura, a wycelowany w nią palec drgał, jakby chciał zdrapać niewidzialną zdrapkę.

– Co?

Skinął głową, a napięcie rosło. Oblicze leśniczego zachmurzyło się.

– Gdy spotkałem cię przy lesie, chodziłaś normalnie. Kręciłaś się obok mojego domu. Co ci się stało w nogę? – Podniósł głos, a półszept zniknął.

– Nie jesteś tu od zadawania pytań. Rozwiążuj go. Już!

– Tam był pies. – Wstał, lekko pochylony w jej stronę, a ręce rozstawił szeroko jak wilkoloak. – Co z nim zrobiłaś?

Wycelowała broń w jego głowę i spowaźniała.

– Zabiłaś go? – Mężczyzna zaczął do niej podchodzić i był przy tym wyraźnie zdenerwowany. W jego oczach nie znalazła nawet grama strachu. Sięgnął po nożyczki, które leżały na kolanach Artura. – Powiedz.

Małymi krokami skracał dystans i patrzył na nią wrednie czerwonymi oczami, spod długich wąsów zaczęły wysuwać się zęby, a oczy mu się zaszklily. Posterunkowa zaczęła się cofać. Wiedziała, że nie przeżyje walki z taką raną.

– Zamknęłam go w kojcu! – odparła, czując, że nie ma wyjścia.

– Co... – Zatrzymał się nagle. Pokręcił głową i potarł dłonią policzek, jakby miał zdrapać z niego skórę. – Nie mam nikogo poza nim. Znam go. Nie pozwoliliby się zamknąć!

– Odsuń się! – Zrobiła krok w tył, widząc, że leśniczy zaczyna tracić zmysły, a emocje przejmują nad nim kontrolę.

– Zabiłaś go! – Uderzył ją prętem, którym przypalał Arturowi głowę, a ona upuściła pistolet.

Omiał nie straciła równowagi, stojąc na rannej nodze. Podparła się o stół, leśniczy w tym czasie szybko podniósł jej broń. Wycelował i naciskał spust raz za razem, ale pistolet jedynie pusto stukał. Irena zauważyła strzelbę opartą o ścianę za workami z poćwiartowanym ciałem. Starzec również do niej ruszył, ale posterunkowa była bliżej. Złapała za broń i chciała wycelować w napastnika, jednak ten złapał rękami za łufę. Szarpali się teraz, Irena pociągnęła za spust, a strzelba wystrzeliła. Siła odrzutu przewróciła ją na plecy wraz z leśniczym, a z przewróconych worków wysypały się mokre części Damiana i poturłały się po sosnowej podłodze, znacząc ją krwią.

Irena sięgnęła prędko okulary, które spadły jej z nosa, założyła je i się podniosła. Brzuch leśniczego zalany był krwią, przyjął cały wystrzał prosto w trzewia. Stękał i wierzgał jeszcze przez chwilę. Jasnoczerwona, tętniąca krew szybko z niego uchodziła. Spanikowana, nie wiedziała co robić, padła przy nim na kolana i przyłożyła dłonie do rany postrzałowej, która wręcz rozszarpała mu jelita. Starła się zatamować krwawienie, ale palce ślizgały się w jego lepkich wnętrznościach i płynącej obficie jak z przewróconej butelki po winie krwi. Widziała jego przerażoną twarz, wykrzywaną skurczami bólu. Jego nogi szamotały się lekko.

– Nie wiem, co mam zrobić! Nie wiem, co mam zrobić! – powtarzała, niemal płacząc. Nie widziała teraz seryjnego mordercy, leżącego przed nią na podłodze, a konającego starca, któremu nie umiała pomóc.

Zakwilił jeszcze jak dziecko, ciężki oddech uniósł ostatni raz kłatkę piersiową i oparł głowę o podłogę. Był martwy. Irena uciskała jeszcze przez krótką chwilę rozległą ranę w jego brzuchu, po czym zaprzestała ratunkowych czynności i podniosła się, patrząc na czerwone od krwi ręce. Powstrzymała się od krzyku, choć czuła, że ją to przerasta, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy chowała się w łazience mieszkania podczas zasadzki. Wyrównała oddech, próbowała trzymać się w garści, to nie był moment na załamanie nerwowe. Pokuśtykała do drewnianego stołu, wyłożonego teraz folią brudną od krwi Damiana, i wytarła ręce w szmatę.

Gdy dłonie były już prawie czyste, wygięła strzelbę, sprawdzając liczbę naboji. Wciąż miała jeden strzał. Poczowała, jak ślina wzbiera jej w ustach i zwymiotowała za stołem. Oddałaby wszystko, żeby był to po prostu koszmar, z którego zaraz się wybudzi. Jednak nic z tych rzeczy się nie stanie. Właśnie zabiła człowieka, stojąc w środku poćwiartowanych kawałków ludzkiego ciała.

– Spisałaś się. Teraz mnie rozwiąż. – Artur przerwał ciszę, stękając. – I zamknij drzwi, zamaram.

Irena odwróciła się do niego, opierając się ręką o stół. Czowała, jak rana na jej nodze pulsuje. Wyzna-
czała rytm przypluwającego falami bólu, który uderzał w miejscach, gdzie pies zatopił swe zębiska. Pa-
trzyła na rannego i związanego Michała.

– No szybciej, mam już dość tych jebanych sznurów – ponaglił ją i kiwnął głową.

Przytaknęła, po czym postawiła w jego stronę pierwszy, ostrożny krok. Nie chciała poślizgnąć się na
podłodze, mijając wysypane z worków części ciała i wypływającą nadal z wnętrzości leśniczego krew.
Pomieszczenie oświetlone było jedynie blaskiem tańczących płomyków ognia w kamiennym kominku.
Jedna ze szczap właśnie ukruszyła się, sypiąc popiołem i złotymi iskrami, które szybko zgasły. Dźwięk
uderzanej o drewnianą podłogę lufy od strzelby, którą posterunkowa używała teraz jak kuli do podpie-
rania, roznosił się po izbie. Sprawiała wrażenie, jakby była piratem po ciężkiej bitwie na statku. Irena
stała przed fałszywym komisarzem i wycelowała w niego ze strzelby.

– Co ty, na boga, robisz? – parsknął. – Nie zabijesz mnie.

– Taki jesteś, kurwa, pewny? – Pociągnęła za kurek, czyniąc strzelbę gotową do wystrzału. – Mów,
kim jesteś. I jak Boga kocham, jeżeli mnie okłamiesz, skończysz jak ten w worku. Już mi to wisi. – Przy-
łożyła mu lufę do piersi i pchnęła. – Mów.

Spojrzał na nią. Po jej wyrazie twarzy wyczytał, ile mogła się dowiedzieć.

– Czyli go znaleźli – skomentował i wywrócił teatralnie oczami. – Zgaduję, że wiecznie pijany rybak
w końcu wytrzeźwiał na tyle, że wstał i zobaczył przed swoim domem dziwne ślady. Poszedł sprawdzić
i zobaczył zamrożone ciało komisarza Ptaka. Czyż nie tak?

– Skoro Michał z komendy wojewódzkiej z Krakowa leży teraz w kostnicy, to kim ty jesteś?

– Synem pierwszej ofiary tego o tam. – Kiwnął głową na zabitego leśniczego. – Zabił mi ojca i zmienił
życie mojej matki w koszmar, przyjechałem się odwdziżyć.

– Tak po prostu? – spytała.

– Po prostu? Mając zaledwie dziesięć lat musiałem zajmować się chorą matką aż do dzisiaj. Trauma
za traumą, leki za lekami, odwyki za odwykami. Paranoje i ataki w środku nocy. Bieganie po Krakowie
i ściąganie z powrotem, bo w swych atakach uciekała z domu, nawet o tym nie wiedząc. Karmiłem ją,
myłem, ubierałem. I ty to nazywasz „tak po prostu”? Nie, nie tak po prostu. Spierdolił życie całej mojej
rodziny. Zaciągnął mnie tutaj, gdy byłem mały, pokazał mi odcięte ucho mojego ojca. Wręczył je jako
prezent. Mało razy budziłem się w środku nocy, zlany potem i przerażony!? – Szarpnął się w jej stronę,
aż strzeliły rury, do których przywiązane było krzesło. – Skurwysyn jebany! Trzeba było strzelać w ko-
lano. Resztę bym sam dokończył! – chrząknął i wziął wdech. – Teraz mnie wypuść.

– To nie wszystko – dodała.

Spojrzał na nią z zdenerwowany.

– Skąd wiedziałeś o komisarzu? Skąd wiedziałeś, że jedzie do Sącza?

– Starszy posterunkowy Artur Wawrzyniec, zgłaszam się do służby. – Pochylił głowę. – Wiedziałem,
że moje życie jest zrujnowane, ale wierzyłem, że mogę dopilnować, by to, co spotkało mnie, nie spotyka-
ło innych. Więc wstąpiłem do policji, lata temu. Jestem w bliskich relacjach z sekretarką komen-
danta, celowo, rzecz jasna. Gdy komendant dostał cynk o gościu odcinającym uszy w Nowym Sączu,
miałem akurat zmianę nocną. Powiedziała mi, że dzieje się coś dużego, bo komendant chce numer do
zawieszonego w obowiązkach komisarza Ptaka, swojego pupila. Wszyscy na komendzie się zastana-
wiali, czy jak wchodzi mu do dupy, to ściąga buty. Pojechałem pod jego mieszkanie, by się upewnić. Ko-
mendant się zjawił, tak jak sądziłem. Reszta była do przewidzenia. Jeżeli nie nazwiesz tego zrządze-
niem losu, to nie wiem, jak inaczej. – Splunął. – Wszedłem do auta i pojechałem do Nowego Sącza. Ko-
misarza zatrzymałem przed wjazdem do miasta. Nie było to trudne, droga jest tylko jedna. – Spojrzał
jej w oczy. – I co? Kłamię?

– Kłamiesz, odkąd cię poznałam... jak miałabym ci teraz uwierzyć?

– Nie – poprawił ją. – Nie przedstawiłem się we własnej osobie, natomiast cała reszta była prawdą.
Pomogłem tobie. Pomogłem grupie dochodzeniowo-śledczej zbliżyć się do schwywania braci Straszew-

skich, którzy terroryzują to miasto od wielu lat. Dorwałem typa, którego nie umieli złapać przez ponad piętnaście lat. Po to miał tu przyjechać komisarz Ptak. Tyle że on by tego nie rozgryzł, bo nie posiadał informacji, które posiadam ja. – Szarpnął się znowu. – Rozwiąż mnie wreszcie.

– Ukrywałeś istotne informacje. Michał by ich nie miał, to jasne, że nie podszedłby do tego w ten sposób. Wiedziałeś, gdzie szukać, wiedziałeś, gdzie się czaił na ofiary, wiedziałeś, gdzie ma drewnianą chatkę.

– Wiedziałem o chatce, ale ani ja, ani mama nie pamiętaliśmy, gdzie była dokładnie. Ja byłem za młody, by pamiętać, a mama... – Jego głos zawisł na moment. – Mama nie potrafi dzisiaj powiedzieć, gdzie mieszka. Pielęgniarka się nią zajmuje pod moją nieobecność. Ale wy wiedzieliście! I co!? I, kurwa, co!? Mój ojciec wam powiedział, że leśniczy jest niebezpieczny, że mu grozi śmiercią, to go wyśmialiście. Tak samo byście zrobili ze mną. Przynajmniej teraz inni będą mogli spać spokojnie. Sprawa zamknięta, sprawca ujęty, zabity przez posterunkową podczas próby zatrzymania. Ty masz upragniony awans, mnie tu nigdy nie było. *Happy ending*.

Irena stała i patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Zastanawiała się, zbierała myśli. Coś jej jednak nie pasowało. Czowała, że jest coś jeszcze.

– Dlaczego zaczął znów zabijać po piętnastu latach? – spytała.

– Nie wiem.

– Nie kłam!

– Nie wiem czemu! Może się znudził, może miał do was pretensje, bo go olaliście. Mogłaś go zapytać, zanim strzeliłaś mu w brzuch.

– To był... – Opuściła broń z miną zbitego psa. – To był przypadek. Widziałeś.

– Rozwiąż mnie. Muszę odcisnąć na miejsce. Leśniczy przygotował wszystko tak, by mnie w to wrobić, zostawił moje odciski palców na każdym narzędziu, którym kroił Damiana. Potrzebuję godziny, później dzwonię po wsparcie. Ustalimy wspólne wersje wydarzeń i gdy przyjedzie policja, mnie już tu nie będzie. I na koniec, jak możesz – westchnął – daj mi trochę wody...

Irena cofnęła się ostrożnie do stolika i poprawiła okulary na nosie. Czowała, że ból przegryzionej łydki zaczyna się nasilać. Położyła strzelbę na stoliku i usiadła na nim jednym pośladkiem, by ulżyć chorej nodze. Wyciągnęła nokię i zaczęła wybijać w niej numer telefonu.

– Co robisz? – spytał. – Gdzie dzwoniisz?

– Po posiłki.

– Za wcześniej! – Uniósł głos i wyraźnie się poruszył. – Nie zdążę wycisnąć miejsca zbrodni...

– Przykro mi, ale nie rozwiążę cię, Michał, to znaczy Artur czy jak tam masz na imię. Zabiłeś dwóch policjantów, manipulowałeś komendą miejską Policji, podszywając się pod komisarza, nie mogę cię tak po prostu puścić. Albo mówisz prawdę, albo twoje odciski są na tym ciele, bo to ty go zabiłeś. Potem się pokłóciliście i on cię związał.

– Jaja sobie robisz!? Nawet mnie nie wkurwiał! Odlóż ten telefon! – Artur zaczął się szarpać na krzesła, próbując się uwolnić. – Irena, rozłącz się!

– Halo, centrala? Tutaj posterunkowa Irena Adamczuk, jestem w chatce leśniczego w Łącku, mam tutaj dwa ciała i jednego przywiązanego do krzesła. Ta osoba, to człowiek podający się za komisarza Michała Ptaka podejrzanym o zabicie dwóch policjantów. Jestem ranna. Potrzebuję wsparcia natychmiast i przyslijcie też ekipę techniczną oraz karetkę, zostałam pogryziona przez psa. Tak. Tak, niech jadą leśną drogą, aż dotrą do radiowozu. Stamtąd niech podążają śladami butów na śniegu. Jestem na miejscu i czekam.

Schowała telefon do kieszeni i podeszła do drzwi wejściowych, które zamknęła z trzaskiem, robiło się mroźnie. Ciemność spadła na drewnianą chatkę wraz z głośnym sykiem zalanego wodą kominka. Posterunkowa odwróciła się, przerażona. W środku panowała czerń uniemożliwiająca widoczność.

Włączyła latarkę i poświęciła na puste krzesło, na którym przed sekundą siedział związany Michał. „Co się stało?” – pomyślała. „Leśniczy go wtedy rozwiązał? Zdążył?”

Irena doskoczyła do strzelby, która nadal leżała tam, gdzie ją zostawiła. Złapała ją pewnie, a strach przeszył ją na wskroś.

– Michał, pokaż się! Nie chcę cię zastrzelić!

Nie odpowiadał.

Kuściwała w głąb ciemnej chatki oświetlonej jedynie tarczą latarki, ukazującą fragmenty ludzkich zwłok i martwego leśniczego z wciąż otwartymi oczami. Serce waliło jej ze strachu, a dłoń trzymająca latarkę drgała.

– Na co liczyłeś!? Działanie zza kurtyny i wbrew poleceniom komendanta to jedno. Ale zabójstwa to już zupełnie inny kaliber! Nie pogarszaj swojej sytuacji! – mówiła głośno.

Kulejąc, zbliżała się do kotary, która zasłaniała połowę dzika leżącego we własnej krwi. Wyciągnęła przed siebie strzelbę i lufą odsunęła zasłonę, lecz jego tam nie było. Wtedy dotarło do niej trzeszczenie starych desek tuż za nią. Irena odwróciła się, widząc Michała wychodzącego spod drewnianego stołu. Ruszył na nią biegiem, a ona pociągnęła za spust. Strzelba wystrzeliła z głośnym hukiem, ale napastnik zdążył odsunąć ją w bok, tak by kule trafiły w ścianę.

– Ała! – krzyknął, gdy rozgrzana lufa oparzyła mu dłonie. Złożył dłoń w pięść i wycelował prosto w szczękę Ireny, która zdążyła zrobić unik i wykorzystując siłę przeciwnika, przerzuciła go nad sobą tak, że runął ciężko na podłogę. Ona sama padła na kolana, krzycząc z bólu, jaki czuła w pogryzionej nodze. Latarka spadła i poturlała się pod ścianę, świecąc teraz na dzika i rzucając jedynie białe półmrok na resztę chatki. Gdy Michał chciał wstać, kopnęła go prosto w twarz i zaczęła się czołgać, szukając czegoś, co pomoże jej walczyć. Michał zerwał się i złapał ją za ranną łydkę, a krzyk bólu opuścił jej gardło. Falszywy komisarz siadł okrakiem na jej brzuchu i zdzielił ją dwa razy pięścią w twarz, aż krew zalała jej prawy policzek, spływając z rozciętej wargi. Irena uderzyła go w odcięte ucho, a ten zawył przeraźliwie i odruchowo z niej zszedł.

Zdyszany podszedł do torby, którą miał ze sobą zabójca. W środku odnalazł swój pistolet i kątem oka zauważył, że Irena biegnie na niego, więc wycelował w nią szybko, zrywając się na nogi. Irena zatrzymała się tuż przed lufą. Oboje sapali, spoceni od bólu i wysiłku.

– No dalej – powiedziała zdyszana. – Zabij mnie jak tamtych policjantów.

– Kurwa, Irena – odpowiedział równie zdyszany. Z braku jedzenia, picia i utraty krwi czuł, jak kręci mu się w głowie. Przyłożył dłoń do miejsca, gdzie go trzasnęła, ale go nie dotknął. – Tamci to co innego. Komisarz Ptak był przeskodą na drodze. On musiał umrzeć. Ale ten od was, który miał zabrać mnie na miejsce zbrodni, nie pamiętam nawet jak mu było. Zorientował się, że to nie ja, doniósłby na mnie. Nie miałem innego wyjścia! Przyjeżdżając po cywilu, nie miałbym żadnych informacji na temat postępu w sprawie! To była jedyna opcja, żeby oddać mu za to, jak zrujnował nam życie!

– Idziesz ze mną na komendę – powiedziała.

– I wkopiesz siebie? Nikt nie jest tak głupi.

Irena sięgnęła ręką za plecy i wyciągnęła do niego kajdanki.

– Załóż je – powiedziała. – Przykuj się do ściany. Nikt więcej nie musi ginąć.

W tym momencie jego mina zmieniła się zupełnie. Nadzieja na to, że zdoła ją namówić i przekonać, całkowicie go opuściła. Wytarł nos w rękaw i wziął wdech. Wycelował między jej oczy, a ona wtedy podrzuciła kajdanki. Artur podążył za nimi wzrokiem w górę jedynie na ułamek sekundy, a Irena, wykorzystując sytuację, wygięła mu nadgarstek, wyrwijąc broń z dłoni szybkim, zwinnym ruchem. Uderzył ją łokciem w głowę, bijąc na oślep, i złapał rękami za szyję, którą zaczął ścisnąć z całej siły. Oddała dwa szybkie strzały. Artur padł na podłogę, i złożył się w pozycję embrionalną.

– Mogłem cię zająbać! Dzięki mnie... żyjesz... – krzyczał, wierząc się z bólu. Posterunkowa złapała za latarkę i pokuściwała do szmatek, które leżały niedaleko, rzuciła mu je.

– Karetka jest już w drodze. To nie jest strzelba, kule nie powinny śmiertelnie ranić organów, powinieneś przeżyć. – Usiadła na krześle, do którego wcześniej był przywiązany. – Jesteś aresztowany za zabójstwo dwóch policjantów, wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie. Masz prawo do adwokata, a jeżeli cię na niego nie stać, zostanie ci przydzielony z urzędu.

Oparła się o krzesło, a on doczołgał się pod ścianę i przyłożył szmatki do rany postrzałowej, by zatać krewawienie. Irena nie spuszczała z niego wzroku. Żadne nie odezwało się już słowem, siedzieli i czekali, aż usłyszeli syreny radiowozów.

* * *

Tydzień później

Irena pukała do drzwi pokoju podinspektora Roberta Zalewskiego. Posterunkowa miała na sobie czarne dzinsy, marynarkę od munduru, białą koszulę z krawatem, a włosy, jak nigdy, były rozpuszczone i wyprostowane. Rany na brzoskwińowych ustach zdążyły się już zabiżnić, lecz wciąż utrzymywały rumień podkreślający dwa miejsca. Pod pachy wsunięte miała dwie kule, które pomagały jej oszczędzać chorą nogę. Prześwietlenie wskazało, że pies naruszył również kość piszczelową. Mówili, że to cud, że noga nie złamała się w pół podczas jej wędrówki przez las. Irena zjawiała się w komendzie pierwszy raz od akcji w chatce i przyszła tylko na polecenie podinspektora Zalewskiego, który twierdził, że jej obecność jest obowiązkowa.

Drzwi otworzył ekspert kryminalistyki Paweł Kałuża, w oczy rzuciła jej się jego charakterystyczna kozia bródka. W pokoju dostrzegła wszystkich z zespołu dochodzeniowo-śledczej, zadowolonych i ubranych wyjątkowo w mundury. Siedzieli i popijali szampana, witając ją uśmiechem.

– Jesteś! – powiedział Zalewski jak nigdy nie zobojętniały. – Wybacz, że zaczęliśmy bez ciebie, robiliśmy się późno i sądziliśmy, że jednak odpuszczysz.

– Bez przesady. Pies nie zjadł mi nóg, no i podinspektor napisał, że obecność jest obowiązkowa. Więc jestem – parsknęła, unosząc kącik ust. – Co świętujemy?

– Mamy ich! – krzyknęła podkomisarz Skrzynecka, wnosząc kieliszek. Miała postawione na żel krótkie włosy, przez co Irena omal jej nie poznała. – Bracia Straszewscy zostali zatrzymani o szóstej rano przez grupę antyterrorystów i już siedzą za kratami. Sędzia będzie chciał skazać ich na siedem, może osiem lat za rozboje i napady potwierdzone dowodami znalezionymi w bagażniku samochodu, którym uciekali od księdza. Da nam to więcej czasu na udowodnienie im przemytu i sprzedaży narkotyków. Nie zapominając, że na wieść o tym, że dostali wyroki, właściciele sklepów płacący im haracze pewnie również zaczną gadać.

– Materiały z bagażnika się przydały? – dopytała, czując się przytłoczona tą informacją. Odpoczywając w domu, tonęła w zaległych książkach i odcięła się zupełnie od wiadomości czy radia.

– Jak cholera! – potwierdził patolog sądowy Igor Kubot, a po jego oczach widać było, że przyszedł na świętowanie już podchmielony. – Dodatkowo mamy też tych, którzy uciekli wam do jeziora.

– Co!? Jak!? – Posterunkowa uniosła głos i poprawiła okulary. Weszła głębiej do pokoju.

– Wyłynęli nie dużo dalej od miejsca, gdzie porzucili samochód i złapali taksówkę – wtrącił zza biurka prokurator Janusz Perła, który z całej grupy jako jedyny siedział na krześle. – Taksówkarz najpierw odwiózł ich do domu, a potem zadzwonił na policję, zgłaszając, że właśnie wiózł podejrzane trzy osoby. Chłopaki wjechali im piętnaście minut później i zawięli wszystkich, razem z dwoma dodatkowymi osobami, które również były poszukiwane listem gończym. Na każdego jest co najmniej jedna pełna teczka. Wszyscy pracowali dla braci Straszewskich. Nie przyznali się, oczywiście, ale większego znaczenia to nie ma. Odciski palców zgadzały się na pałkach oraz z tymi zdjętymi z księdza, który już potwierdził, że to oni. Akty oskarżenia dostali zaraz po tym. Wszyscy są zatrzymani. Mamy ich, posterunkowa, teraz już się nam nie wymkną.

Wszyscy unieśli kieliszki i wzięli po łyku wina musującego. Podkomisarz Skrzynecka się nagle oburzyła.

– Ej, ale zaraz, zaraz, panowie. Nikt nie poleje Irencę? Dziewczyna odwaliła kawał dobrej roboty, lećcie jej do pełna!

– Tak, tak, już!

Igor zebrał się w pośpiechu i wyciągnął szklankę schowaną za dokumentami w szafie. Nalał jej szampana i podał do ręki, biorąc w zamian jedną z kul. Posterunkowa stała teraz, podpierając się tylko chorą nogą. Odchyliła głowę i wzięła mały łyk, ale jako jedyna się nie cieszyła, gdy czuła, jak szampan przelewa się jej przez język i gardło. Ona dręczyła się wyrzutami sumienia i tym, że tak naprawdę to nie ona, a Michał załatwił tę grupę. Podinspektorowi Zalewskiemu nie uszedł uwadze jej smutny wyraz twarzy.

– A gdzie Artur? Ten, co podawał się za komisarza Ptaka? – spytała, odbierając drugą kulę od Igora i wręczając mu swój kieliszek.

– Jego stan jest już stabilny, dzisiaj będą go przewozić do Krakowa – odparł podinspektor.

– Będą go przenosić?

– Komendant z Krakowa na to nalegał. – Zalewski uniósł jedynie brwi, wyraźnie z tego niezadowolony.

– Jest jeszcze w szpitalu? – upewniała się posterunkowa.

– Jeszcze tak. Ale nie wiem do której.

– Gratuluję wam wszystkim. Naprawdę, świetna robota – uśmiechnęła się do grupy, choć oczy wciąż miała smutne. – Pozwólcie teraz, że wrócę do siebie. A, no i wszystkiego dobrego w nowym roku – życzyła wszystkim.

Irena się odwróciła i zaczęła kuśtykać w stronę drzwi. Wyszła z pokoju, a pozostali spojrzeli na siebie, zdziwieni jej reakcją. Podinspektor Zalewski zaczął nowy temat, nie chciał, by to utknęło w głowach grupy na dłużej. Irena udała się prosto do szpitala, gdzie przed pokojem, w którym leżał fałszywy komisarz, stał policjant strzegący wejścia. Posterunkowa jednak po ostatnich dokonaniach stała się znana na komendzie, policjant zatem skinął do niej głową bez słowa.

– Cześć – powiedziała.

– Dzień dobry, pani posterunkowa Adamczuk. Lepiej się pani czuje?

– Tak, dziękuję. Powiedział coś?

– Tylko, że będzie rozmawiał z tobą i nikim innym.

– Naprawdę? Czemu nikt mnie nie poinformował? Byłabym wcześniej.

Policjant uniósł jedynie ramiona, a Irena wychyliła się, patrząc na łóżko szpitalne. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Artur, widząc, że to ona, uśmiechnął się złośliwie i podniósł na łokciach. Posterunkowa stanęła z boku łóżka. Mężczyzna leżał podpięty do aparatury, z kroplówką podłączoną do wenflonu. Miał opatrunek i bandaże na głowie oraz brzuchu. Jego ręce były przykute kajdankami do ramy szpitalnego łóżka. Spojrzał na nią zmęczonymi oczami.

– Przyszłaś podać mi kaczuszkę? – zaczął i odchrząknął, czyszcząc gardło.

Parsknęła i usiadła na łóżku obok, żeby dać odpocząć nodze, która na szczęście już tak bardzo jej nie doskwierała.

– Jak twoja noga? – spytał.

– Lepiej, ale bez kul chodzić jeszcze nie...

Artur przerwał jej w pół słowa i wskazał palcem na zabandażowane uszy, dając do zrozumienia, że musi mówić głośniej.

– Lepiej, ale bez kul chodzić jeszcze nie mogę – powtórzyła, podnosząc głos na tyle, by nie zwracać przy tym uwagi policjanta stojącego za drzwiami. – W przyszłym tygodniu mam ściągnięcie szwów –

dołała, patrząc na nogę. Unikała kontaktu wzrokowego.

– Nie bierzesz przeciwbólowych? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Karzesz się, by ulżyć swojemu sumieniu? – prychnął. – Bardzo dobrze. Masz za co pokutować. Zabójstwo, włamanie i wyprowadzanie tajnych informacji z komendy dla uzyskania własnych korzyści. Uzbierało ci się tych zarzutów. Liczyłaś, ile ci za to grozi?

– Że co proszę?

– Sprzedawałaś mnie! – Uderzył pięścią w łóżko. – Trzeba było mnie puścić, oboje wrócilibyśmy do swojego życia i nikt nigdy by się nie dowiedział. To złała cię, kurwa, sumienie, ale tylko w jedną stronę, co? Ja mam gnść w więzieniu, a ty masz się wspinać po szczeblach kariery, na które na moich plecach się wdrapałaś? Dobry kompas moralny, pani posterunkowa. Czy może już pani komendant?

– Chcesz nas porównywać? – Ignorując ból, stanęła bez kul. – Chcesz porównać mnie, osobę, która zgodziła się nagiąć trochę prawo dla dobra sprawy, i ciebie, który z zimną krwią zamordowałeś dwóch policjantów? Wiesz co? Spierdalaj. – Wsunęła kulę pod pachę. – Nie wiem, po co tu przyszłam. To był błąd – dodała i ruszyła w stronę drzwi.

– Przyszłaś, żeby wy badać, czy nie odwdzięczę się tym samym – wysapał i wsparł się wyżej na lokciach, stękając przy tym z bólu. – Po to przyszłaś, Ireno. Nie dla mojego zdrowia, nie dla sumienia, przyszłaś się upewnić, że nie powiem nikomu o tym wszystkim, co zrobiłaś. Że twoja kariera jest bezpieczna, że nikt nie zobaczy, jaka osoba kryje się za tą maską niewinnej blondyneczki. Pytanie tylko, co się stanie, jeżeli powiem, że nie? Nie zeznawałem przed nikim z tego kurwidolka, ale w Krakowie mam zamiar się bronić. Jak myślisz, co powinienem zeznać? Co, jeżeli powiem ci teraz, że mam zamiar trzymać się prawdy? – Podniósł się wyżej, a kajdanki zadzwoniły, zatrzymane przez szpitalne łóżko. – Pannie prokuratorze, nie działałem w pojedynkę, miałem szczura na komendzie w Sączu. Tamtejsza posterunkowa wszystko mi sprzedawała, wносиła każdą informację i przekazywała ją informatorowi z grupy przestępczej braci Straszewskich. Ukryła również przed przełożonym informację o miejscu pobytu mordercy. A na koniec z zimną krwią zabiła podejrzanego o zabójstwa. Z zimną krwią, bo z racji wieku nie miał siły się bronić. – Uśmiechnął się, widząc stres rysujący się na jej twarzy.

Irena patrzyła na niego, zastanawiając się przez moment, po czym poprawiła okulary w czerwonych oprawkach, widząc jego głupi uśmiezek pełen satysfakcji. Nagle jednak emocje odpłynęły z jej twarzy i podeszła do łóżka od strony wiszącej na stojaku kroplówki.

– Zeznasz tak, jak teraz mówileś? – spytała pozbawionym emocji tonem.

– Żebyś, kurwa, wiedziała. Mogę iść na dno, ale nie sam.

Irena zasłoniła kotarę dzielącą łóżka, tak by nie było widać niczego z korytarza. Sięgnęła po pustą strzykawkę leżącą niedaleko i odpakowała ją z folii. Zdjęła osłonkę na igłę i pociągnęła za kurek wypełniając ją powietrzem.

– Co robisz? – Artur zbladł. Widział jej pozbawioną emocji, wyrachowany, lodowaty wzrok, niepasujący do kobiety, którą znał.

Uniosła strzykawkę i zbliżyła ją do worka z płynem, przejechała po nim delikatnie.

– Co robisz!?

Przyłożyła palec do ust, a Artur od razu zszedł z tonu. Sięgnęła za rurkę. Chciał reagować, ale przykute ręce mu to uniemożliwiały

– Kurwa, zajebię cię, rozumiesz!? Jak Boga kocha... – Zobaczył, że strzykawką dociska rurkę ciągnącą się od kroplówki do jego żyły przez wenflon, tutaj ją zatrzymała. Następnie zsunęła ją niżej i przyłożyła igłę bezpośrednio do żyły, ale jej nie wbiła.

– Wiesz, jak bolesną śmiercią jest pęcherzyk powietrza w żyłę? W układzie tętniczym nawet najmniejsza bańka tlenu może spowodować zawał mięśnia sercowego albo doprowadzić do udaru mózgu.

Zastanawiałeś się, jakie to uczucie? Ile szkód mogą wyrządzić dwa lub trzy takie pęcherzyki? Rozrywanie od środka? Bardzo bolesny sposób, by umrzeć. Z udarem czy zawałem nie można zeznawać.

– Przestań! Nic nie powiem, przysięgam! – rzucił przez zaciśnięte zęby. Oczywiście miał przerażone. – Odwiozłaś mnie na przystanek, potem złapałaś mnie w chatce i tyle! Przysięgam, że tak zeznam! – mówił szeptem, a Irena cofnęła strzykawkę. Zabezpieczyła ją plastikowym koreczkiem i włożyła do kurtki. Następnie poprawiła kule pod pachami i wróciła przed łóżko, gdzie Artur położył się wygodniej, złany teraz potem, i przelknął nerwowo ślinę.

– Masz rację, przyszedłem się upewnić – mówiła poważnym tonem. – Bo czegoś mnie jednak nauczyłeś. Oni stawiają warunki, my tylko odpowiadamy. Zaczęłeś mi grozić, to jest moja odpowiedź. A sumienie zostaje po twojej stronie. Będę śledzić przebieg twojej sprawy, będę czytać zeznania...

Drzwi do pokoju się otworzyły i weszli policjanci w asyście pielęgniarki.

– Dobra, przenosimy go Krakowa – zakomunikował jeden z policjantów.

– Proszę się pożegnać – dodał lekarz.

Spojrzała na Artura, nie mówiąc już nic, a on odwrócił wzrok w milczeniu. Policjanci zaczęli go rozkuwać. Gdy Irena opuściła szpital, zobaczyła, że dzwoni jej telefon. To był podinspektor Zalewski. Rozłączyła go, wiedziała, że jest na chorobowym do połowy stycznia i nie miała zamiaru więcej odbierać połączeń z komendy. Musi poukładać sobie to wszystko w głowie.

Wieczorem udała się na Rynek w Nowym Sączu. Było ciemno, śnieg sypał, a oświetlenia świąteczne nad latarniami dodawały klimatu. Ludzie stali zebrani na placu na tle Ratusza wraz ze swoimi rodzinami i dziećmi na ramionach i czekali na pokaz sztucznych ogni, które miały oznajmić przyjsie Nowego Roku. W końcu zaczęli odliczać od dziesięciu. Irena w tym czasie zaczęła rozumieć, że nie wszystko zawsze będzie się układało po jej myśli, że nie wszystko będzie czarno-białe. Życie takie nie jest, więc dlaczego jej praca miałaby taka być? Z tym, co zaszło, wiązało się wiele zawodów, ale jej decyzje przyczyniły się do zamknięcia szefów groźnej grupy przestępczej oraz do zabicia seryjnego mordercy, który już nigdy nikogo nie skrzywdzi. To była nagroda za jej stres i poświęcenie, nawet jeżeli momentami była zmuszona grać przeciw swojemu charakterowi.

– Trzy, dwa, jeden... SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!!!

Z tymi słowami wystrzeliły petardy i rozświetlając nad sądeckim Ratuszem feerię barw i iskrzących się na niebie światel, grały kolorowy spektakl do taktu płynącej z głośników muzyki. Ludzie wznieśli okrzyki. Słyszała radosnych mężczyzn i roześmiane kobiety, podziwiali i obserwowali, częstowali się szampanem i innymi alkoholami. Uśmiechnięci patrzyli z nadzieją w przyszłość, wierząc, że przyszły rok będzie lepszy. Ona widziała to tak samo. Miała zamiar zostawić miniony rok za sobą, ruszyć w następny z nową energią i pilnować, by to miasto było bezpieczne.

Gdy dojdzie do siebie i wróci do służby, komendant w ramach nagrody w jej wkład wyśle ją do szkoły oficerskiej, po ukończeniu której wróci do Sącza ze stopniem podkomisarza.

Widziała przed sobą nowy rozdział, jednak tym razem będzie na niego gotowa.

KONIEC